

Powrót Tarzana

Burroughs Edgar Rice

Książka II z Tarzan



calibre 0.9.43

PRZYGODY TARZANA

CZŁOWIEKA LEŚNEGO

TŁUMACZYŁA J. COLONNA-WALEWSKA

CZEŚĆ II: POWRÓT TARZANA

ROZDZIAŁ I

NA PAROWCU

- Magnifique* - odezwała się hrabina de Coude sama do siebie.

- Co? - zapytał hrabia, zwracając się do swej młodej żony. - Co wspaniałego zobaczyłaś?

- i hrabia rozglądał się wokoło, szukając przedmiotu, który wywołał jej podziw.

- Ach, nic takiego, mój drogi - odrzekła hrabina, a rumieniec chwilowo zabarwił jej już i tak różowe policzki.

- Przypomniały mi się tylko te potężne drapacze nieba, jak je nazywają w Nowym Jorku. -

To mówiąc, piękna hrabina poprawiła się w fotelu, gdzie siedziała na pokładzie parowca, i zabrała się do przeglądania miesięcznika ilustrowanego, który wskutek owego "nic takiego" opuściła na kolana.

Jej małżonek pograżył się znów w czytaniu książki. Dziwiło go to trochę, że żona w trzy dni po opuszczeniu Nowego Jorku nagle uczuła podziw uwielbienia dla tych budowli, które jeszcze niedawno nazywała okropnymi.

Po pewnym czasie hrabia odłożył czytaną książkę.

- Nudzi mi się, Olgo - rzekł. - Spróbuję znaleźć innych, którzy równie się nudzą i zagramy w karty.

- Nie jesteś zbyt grzeczny, mój mężu - odpowiedziała, uśmiechając się, hrabina - lecz ponieważ i ja nie jestem w wesołym usposobieniu, mogę ci przebaczyć. Idź więc, jeżeli masz ochotę i zagraj w swoje nudne karty.

Kiedy mąż odszedł, skierowała szybko oczy na wysoką postać młodego człowieka, który rozsiadł się wygodnie w fotelu w niewielkiej odległości.

- Magnifique - wyszeptała znowu.

Hrabina Olga de Coude miała dwadzieścia lat, jej mąż - czterdzieści. Była wierną i uczciwą żoną, wobec tego jednak, że nie pytano jej o zdanie przy wyborze męża, mało prawdopodobne byłoby przypuszczenie że była gwałtownie i namiętnie zakochana w człowieku, którego utytułowany rodzic

kazał jej poślubić. Z tego jednak, że mimowolnie wydała okrzyk podziwu na widok wspaniałej postaci obcego mężczyzny, nie należy bynajmniej wnioskować, żeby myśli jej miały być nielojalne względem małżonka. Uczuła podziw tak naturalnie, jak mógłby w niej wywołać podziw inny, szczególnie piękny okaz jakiegokolwiek innego rodzaju. A przy tym młodzieniec niezaprzeczalnie był piękny.

1

Kiedy ukradkowe spojrzenie hrabiny spoczęło przez chwilę na jego profilu, powstał z miejsca, by opuścić pokład. Hrabina de Coude zwróciła się do przechodzącego służącego.

- Kto to, ten pan?

- Zapisany jest w książce pasażerów jako pan Tarzan z Afryki - odpowiedział służący.

- O, to są wielkie dobra - pomyślała hrabina, a to wzbudziło jeszcze większe jej zainteresowanie.

Kiedy Tarzan szedł powolnym krokiem, udając się do pokoju dla palących, natknął się niespodziewanie na dwu mężczyzn szepczących coś do siebie w podnieceniu. Nie pomyślałby nawet o nich ani przez chwilę, lecz uderzyło go dziwne wejrzenie, jakie jeden z nich rzucił w jego kierunku. Wygląd obu przypominał Tarzanowi melodramatyczne postacie zbrodniarzy, jakie widywał w teatrach paryskich. Obaj mieli pochmurny wyraz twarzy, a dziwne ruchy, ukradkowe spojrzenia, jakie rzucali wokoło, knując coś na boku, wzmacniały jeszcze takie podobieństwo.

Tarzan wszedł do pokoju palących i znalazł sobie krzesło w pewnym oddaleniu od innych znajdujących się tam osób. Nie był w usposobieniu do rozmowy i popijając absynt zaczął ze smutkiem przypominać sobie wydarzenia z ostatnich kilku tygodni swego życia.

Nachodziła go wątpliwość, czy postąpił rozumnie, zrzekając się swych praw, należnych mu z urodzenia, na rzecz człowieka, wobec którego nie był niczym zobowiązany.

Claytona lubił, to prawda, tak - ale nie o to chodziło. Nie dla Williama Cecyla Claytona, lorda Greystoke, wyrzekł się swego prawa pierworodztwa. Zrobił to przez wzgląd na kobietę, którą obaj kochali i którą dziwne zrządzenie losu oddało Claytonowi zamiast jemu.

To, że był przez nią kochany, powiększało jeszcze trudności, lecz czuł, że nie mógł

postąpić inaczej, niż postąpił owego wieczora na małej stacyjce, zbudowanej w lasach dalekiego Wiskonsynu. Wzgląd na jej szczęście był dla niego rzeczą najważniejszą, a krótkie zaznajomienie się z cywilizacją i ludźmi cywilizowanymi przekonało go, że życie bez pieniędzy i bez pozycji towarzyskiej było dla tych ludzi nie do zniesienia.

Janina Porter stworzona była do korzystania i z bogactw, i z pozycji światowej. Gdyby Tarzan je zabrał jej przyszłemu małżonkowi, to bez wątpienia pogrążyłby ją w nędzy i cierpieniu. W umyśle jego nawet nie powstało przypuszczenie, że Janina Porter wyrzekłaby się Claytona, gdyby był pozbawiony tytułu i dóbr, gdyż wierzył, że inni ludzie żywią w sercu taką szlachetność uczuć, jaka

znamionowała jego charakter. Co do tego nie był w błędzie. Podobne nieszczęście istotnie mogłoby tylko jeszcze bardziej wpłynąć na Janinę Porter, aby pozostała wierna obietnicy danej Claytonowi.

Myśli Tarzana przeniosły się teraz od przeszłych zdarzeń do przyszłości. Z początku zaczął rozmyślać z uczuciem ulgi o swym powrocie do dżungli, gdzie się urodził i wyrósł, do okrutnej, dzikiej dżungli, w której spędził dwadzieścia z dwudziestu dwu lat swego życia. Któżjednak z masy żyjących tam istot powita radośnie jego powrót? Nikt. Miał tylko jednego przyjaciela, Tantora - słonia. Inne istoty rozpoczną zaraz polowanie na niego lub będą przed nim uciekały, jak to czyniły przedtem.

Nawet małpy jego własnego plemienia nie będą mu towarzyszami.

2

Cywilizacja nauczyła w pewnej mierze Tarzana jednej rzeczy, wytworzyła w nim potrzebę towarzystwa ludzkiego i rozwinęła poczucie prawdziwej przyjemności z przebywania w miłej, dobrze dobranej kompanii i w równej mierze obrzydziła mu inne życie. Trudno było wyobrazić sobie dalsze życie bez przyjaciela - bez żadnej istoty, do której można by przemówić w jednym z tych języków, które Tarzan nauczył się kochać. Zagłębiając się w takie myśli, Tarzan nie uciuwał radości z tego życia, jakie dla siebie wybrał. Gdy siedział

tak rozmyślając i paląc papierosa, oczy jego padły na stojące przed nim lustro: ujrzał w nim odbicie stołu, przy którym siedziało czterech mężczyzn przy kartach. Jeden z nich w owej chwili wstał i oddalił się, a inny zbliżył się. Tarzan widział, że uprzejmie zaproponował przyłączenie się do gry na miejsce gracza, który odszedł, aby nie przerywać gry. Był to jeden z tych dwu ludzi, których Tarzan widział w przejściu do pokoju, gdzie grano, ten, który był niższego wzrostu.

Zwróciło to uwagę i pewne zainteresowanie Tarzana. Rozmyślając więc o swej przyszłości, zaczął śledzić w lustrze odbicie graczy siedzących przy karcianym stoliku poza sobą. Prócz tego człowieka, który właśnie przyłączył się do gry, Tarzan znał, lecz tylko z imienia, jeszcze jednego z grających. Był to gracz siedzący naprzeciwko nowo przybyłego, hrabia Raul de Coude, na którego usłużny kelner parowca zwracał uwagę pasażerów jako na jedną z osób znakomitych odbywających podróż, oznajmiając, że jest to urzędnik we francuskim ministerstwie wojny.

Nagle to, co się zaczęło dziać na obrazie w lustrze, pochłonęło całą uwagę Tarzana. Do pokoju wszedł drugi, śniadej cery spiskowiec i stanął poza krzesłem hrabiego. Tarzan spostrzegł, że obrócił się on i ukradkowo obejrzał się po pokoju, lecz oczy jego nie spoczęły na lustrze na czas dostateczny, by dostrzec w nim odbicie badawczych oczu Tarzana. W sposób tajemniczy człowiek ten wyjął coś z kieszeni. Tarzan nie mógł

rozróżnić, co to było, gdyż przedmiot ukryty był w ręku.

Ostrożnie ręka podsunęła się do hrabiego, po czym przedmiot bardzo zręcznie został

wsunięty do kieszeni hrabiego. Człowiek pozostał nadal na tym miejscu, skąd mógł

widzieć karty w ręku Francuza. Tarzan zdziwiony wyteżył teraz całą uwagę, bacznym na każdy

szczegół tego, co się działo.

Gra trwała jakieś dziesięć minut, w czasie których hrabia wygrał znaczną sumę od tego, który przyłączył się do gry i wtedy Tarzan zauważył, że człowiek stojący poza plecami hrabiego kiwnięciem głowy dał znak swemu towarzyszowi. Natychmiast potem gracz wstał i wskazał palcem na hrabiego.

- Gdybym wiedział, że pan jest profesjonalnym oszustem w grze karcianej, nie byłbym się przyłączył do gry - rzekł.

Słyszając to hrabia i dwaj inni gracze zerwali się na nogi.

De Coude zbladł.

- Co to ma znaczyć? - zawołał. - Czy pan wie, do kogo pan to mówi?

- Wiem, że odzywam się po raz ostatni do osoby, która oszukuje w karty - odpowiedział tamten.

Hrabia przechylił się przez stół i uderzył otwartą dłońią w twarz mówiącego, a wtedy inni wdali się i rozdzielili ich.

3

- Tu jest jakieś nieporozumienie - rzekł jeden z grających. - To przecież jest hrabia de Coude.

- Jeżeli jestem w błędzie - przemówił oskarżyciel - chętnie gotów jestem przeprosić, lecz przedtem, niech hrabia wytłumaczy po co ma zbywające karty, które widziałem, jak wsunął sobie do bocznej kieszeni.

W owej chwili człowiek, który na oczach Tarzana wsunął karty do kieszeni hrabiego, chciał opuścić pokój, lecz zastąpił mu drogę wysoki cudzoziemiec z szarymi oczyma.

- Przepraszam - rzekł ów człowiek sucho, próbując przesunąć się bokiem.

- Proszę zaczekać - rzekł Tarzan.

- Po co mam czekać? - zawołał tamten z uniesieniem. - Proszę mi dać przejść.

- Zaczekaj - rzekł Tarzan. - Widzę, że chodzi tu o sprawę, którą bez wątpienia pan będzie mógł wyjaśnić.

Wychodzący uniósł się wtedy i z przekleństwem na ustach usiłował usunąć Tarzana z drogi. Ten uśmiechnął się tylko, zakręcił nim w kółko i chwyciwszy młodego człowieka za kołnierz surduta, poprowadził do stołu z powrotem, opierającego się, wykrzykującego przekleństwa i starającego się na próżno wywinąć z rąk.

Człowiek, który rzucił oskarżenie przeciwko hrabiemu i dwaj inni gracze stali tymczasem koło hrabiego. Inni pasażerowie zbiegli się do miejsca, gdzie powstała kłótnia i oczekiwali, jaki będzie rezultat.

- Człowiek ten ma pomieszane zmysły - rzekł hrabia. - Panowie, proszę was, niech kto przeszuka moje kieszenie.

- Oskarżenie jest śmieszne - rzucił jeden z grających.

Trzeba tylko wsunąć rękę do kieszeni hrabiego, a zobaczycie, że oskarżenie ma swą rację - ciągnął dalej oskarżyciel. A gdy inni wciąż się wahali, rzekł - oto, proszę, ja sam to zrobię, jeżeli nikt z panów tego uczynić nie chce. - Z tymi słowami podsunął się do hrabiego.

- Nie pozwolę na to - rzekł de Coude, dam się obszukać, ale tylko uczciwemu człowiekowi.

- Nie ma potrzeby przeszukiwać kieszeni hrabiego. Karty znajdują się tam. Ja widziałem, że zostały wsunięte.

Wszyscy ze zdziwieniem zwrócili się w stronę nowego przybysza i ujrzeli pięknie zbudowanego mężczyznę, popychającego w kierunku stołu drugiego człowieka, którego trzymał za kołnierz.

- To jakiś uknuty szantaż - zawołał gniewnie de Coude. - Nie ma kart w moim surducie. -

Mówiąc to, włożył rękę do swej kieszeni. Milczenie zapanowało wśród tej grupki ludzi.

Hrabia zbladł jak ściana, wyciągnął rękę, a w niej były trzy karty.

Patrzył na nie, nie mówiąc nic, z widocznym przerażeniem. Na policzkach wystąpiły mu wypieki z doznanego wzruszenia. Na twarzach osób otaczających odbił się wyraz litości i pogardy na widok człowieka, który stracił honor.

- To zmowa, panowie - odezwał się szarooki cudzoziemiec. - Panowie - ciągnął dalej -

hrabia nie wiedział o tym, że karty są w jego kieszeni. Wsunęto mu je bez jego wiedzy, gdy siedział przy grze. Z tego oto miejsca, gdzie siedziałem, widziałem w lustrze odbicie 4

tego, co się działo. Osobnik, którego pochwyliłem, gdy usiłował opuścić pokój, włożył

karty do kieszeni hrabiego.

De Coude przeniósł spojrzenie z Tarzana na człowieka, którego ten trzymał.

- Boże mój - zawołał - Mikołaju, to ty?

Po czym zwrócił się do tego, który oskarżał i popatrzył na niego uważnie przez chwilę.

- A pan, nie poznałem pana z przyprawioną brodą. To zmieniło zupełnie pana wygląd, panie

Paulwicz. Teraz rozumiem. Wszystko jasne, panowie.

- Co należy z nimi zrobić, hrabio? - zapytał Tarzan - oddać ich w ręce kapitana?

- Nie, mój przyjacielu - rzekł hrabia pośpiesznie. - Jest to sprawa osobista i prosiłbym, byś dał jej spokój. Wystarczy, że oczyściłem się z oskarżenia. Im mniej będziemy mieli do czynienia z takimi ludźmi- tym lepiej. Lecz jak mam dziękować za wielką usługę, jaką mi pan wyświadczył? Pozwoli pan, że podam panu swój bilet wizytowy, a gdyby zdarzyło się, że mógłbym się panu przydać, proszę nie zapominać, że masz pan prawo mi rozkazywać.

Tarzan wypuścił z rąk Rokowa, który wraz ze swym towarzyszem Paulwiczem spiesznie opuścił pokój. Przy wyjściu Rokow zwrócił się do Tarzana ze słowami: "Będzie pan miał

sposobność pożałować wtrącania się do cudzych spraw".

Tarzan uśmiechnął się tylko, po czym skłoniwszy się hrabiemu, wręczył mu swoją kartę wizytową.

Hrabia przeczytał:

Jan C. Tarzan

- Panie Tarzanie - rzekł - wolałbym, żeby pan nie okazał mi swojej przyjaźni, gdyż jestem pewien, że pozyskał pan sobie nieprzyjaźń dwu najwierutniejszych w całej Europie łotrów. Unikaj ich, radzę.

- Miałem w swym życiu wrogów bardziej groźnych - odpowiedział Tarzan ze spokojnym uśmiechem - a jednak dotychczas żyję i nic mi się nie stało. Sądzę, że żaden z nich nie zdoła wyrządzić mi krzywdy.

- Miejmy taką nadzieję - rzekł de Coude - jednakże nie zawadzi mieć się na baczności i wiedzieć, że pozyskał pan sobie dziś jednego co najmniej wroga, który nigdy nie zapomina i nigdy nie przebacza, który w swym złośliwym mózgu obmyśla wciąż nowe złodziejstwa przeciwko tym, którzy udaremnilijego zamiary lub wyrządzili mu obrazę.

Nazwać Rokowa diabłem byłoby lekkomyślną zniewagą dla jego szatańskiej mości.

Tego wieczora, kiedy Tarzan powrócił do swej kabiny, znalazł na podłodze kartkę, którą widocznie ktoś przesunął pod drzwiami. Gdy ją otworzył, przeczytał: Panie Tarzan!

Sądzę, że Pan nie zdawał sobie sprawy z ważności czynu, jaki Pan popełnił, w przeciwnym razie nie zrobiłby Pan tego, co Pan zrobił. Chcę wierzyć, że Pan działał w nieświadomości i bez zamiaru wyrządzania obrazy. Dlatego gotów jestem zgodzić się na przyjęcie przeprosin, a otrzymawszy zapewnienie, że pan w dalszym ciągu nie będzie się wtrącał do spraw, które Pana nie dotyczą, pozostawię rzecz bez złych dla Pana skutków.

5

W przeciwnym razie... lecz sądzą, że Pan postąpi rozsądnie, tak jak ja proponuję.

Z poważaniem

Mikołaj Rokow

Na ustach Tarzana zagrał złowróbny uśmiech, lecz zaraz potem przestał myśleć o Rokowie i położył się spać.

W pobliskiej kabinie hrabina de Coude mówiła do swego małżonka:

- Dlaczego jesteś taki poważny, mój drogi Raulu. Przez cały wieczór byłeś zasepiony. Co ci jest?.

- Olgo, Mikołaj jedzie z nami na statku. Czy wiesz o tym?

- Mikołaj! - zawołała. - To niemożliwe, Raulu. Nie może być. Mikołaj siedzi w więzieniu w Niemczech.

- Tak i ja myślałem, lecz dziś go widziałem i z nim tego drugiego arcyłotra Paulwicza.

Olgo, nie mogę dłużej znosić jego prześladowania. Nawet dla ciebie. Wcześniej czy później będę zmuszony kazać go aresztować. W istocie prawie zdecydowany jestem powiedzieć wszystko kapitanowi przed wyjściem na brzeg. Na francuskim parowcu nie byłoby trudno, Olgo, skończyć tę naszą nemesis* raz na zawsze.

- Ach, nie, Raulu! - zawołała hrabina, padając na kolana przed mężem, który siedział na kanapie ze schyloną głową. - Nie rób tego. Wspomnij na dane przyrzeczenie. Powiedz, że tego nie zrobisz. Nie groź mu nawet, Raulu.

De Coude ujął jej ręce w swoje dłonie i przyglądał się czas pewien jej pobladłej i strwożonej twarzy, jakby chciał wydobyć z tych pięknych oczu istotną przyczynę, która kazała jej bronić tego człowieka - w końcu przemówił:

- Niech będzie tak jak sobie życzysz, Olgo. Nie mogę tego zrozumieć. Utracił on wszelkie prawo do twojej miłości, lojalności lub szacunku. Zagroza twojemu życiu i twojej dobrej sławie, a również życiu i honorowi twego męża. Żebyś tego nie żałowała, że bierzesz go w swoją obronę.

- Ja go nie bronię, Raulu - przerwała z uniesieniem. - Nienawidzę go nie mniej niż ty, lecz, Raulu, krew jest gęstsza niż woda.

- Dziś miałem ochotę wytoczyć z niego krew - rzekł ponuro de Coude. - Obaj uwzięli się z całym rozmysłem, aby błotem obrzucić moją cześć, Olgo. Tu opowiedział jej, co zaszło w pokoju, gdzie grano w karty. - Gdyby nie ten, nie znany mi zupełnie człowiek, udałoby się im, któż bowiem uwierzyłby moim gołosłownym zapewnieniom wobec fatalnego faktu, że karty były w kieszeni? Ja sam zacząłem prawie wątpić samemu sobie, kiedy ten pan Tarzan wyciągnął przed nas twego kochanego Mikołaja i wytłumaczył całą niecną sprawkę.

- Pan Tarzan? - zapytała hrabina, widocznie zdziwiona.

- Tak. Znasz go, Olgo?

- Widziałam go. Służący mi go wskazał.

- Ja nie wiedziałem, że to znakomitość - rzekł hrabia.

Olga de Coude zmieniła przedmiot rozmowy. Spostrzegła się nagle, że trudno jej będzie wytłumaczyć powód, dlaczego służący wskazał jej pięknego młodzieńca. Być może zarumieniła się nawet nieco, bo czyż hrabia, jej małżonek, nie przypatrywał się jej przy 6

tym dziwnie zagadkowym spojrzeniem. - Ach, - pomyślała - nieczyste sumienie to rzecz najbardziej podejrzana.

ROZDZIAŁ II

DŁUG NIENAWIŚCI

Tarzan nie spotkał się z nikim z towarzyszy podróży, w których sprawy kazał mu się wtrącić wrodzony popęd do uczciwości i jego prostota, aż późnym wieczorem następnego dnia. Wtedy, w sposób nieoczekiwany, znalazł się tuż przy Rokowie i Paulwiczu w chwili, kiedy ci jak najmniej mogli być zadowoleni z jego towarzystwa.

Stali obaj na pokładzie w miejscu, gdzie prócz nich chwilowo nikogo innego nie było.

Kiedy Tarzan podszedł, gorąco rozprawiali z jakąś kobietą. Tarzan zauważył, że była strojnie ubrana, a jej wysmukła, zgrabna postać świadczyła o młodym wieku. Nie mógł

jednak zauważyć rysów jej twarzy, gęsto zawoalowanej.

Mężczyźni stali obok niej, po obu stronach, a wszyscy troje zwróceni byli plecami do Tarzana tak, że podszedł tuż blisko, lecz go nie spostrzegli. Zauważył, że Rokow, jak gdyby czymś groził, a ona o coś go prosiła, mówili jednak w obcym języku i tylko z widoku mógł sądzić, że kobieta była przerażona.

Rokow tak widocznie groził kobiecie użyciem siły, że człowiek-małpa zatrzymał się na chwilę za tą trójcą, czując instynktownie, iż kobiecie grozi niebezpieczeństwo. Zaledwie się zatrzymał, kiedy jeden z mężczyzn chwycił kobietę za rękę, wykręcając ją, jak gdyby chciał zdobyć jakąś obietnicę zadaną męczarnią. Co stałoby się dalej, gdyby Rokow mógł wykonać swój plan, możemy jedynie przypuszczać, gdyż planów swoich wykonać nie miał możliwości. Stalowe palce chwyciły go za ramię i bez ceremonii okręciły w ten sposób, że spotkał się oko w oko z zimnym wejrzeniem szarych oczu człowieka, który udaremnił jego zamiary dnia wczorajszego.

- Saprستي! - zapiszczał rozwścieczony Rokow. - Czego chcesz znowu? Czyś pan zmysły postradał, że znowu śmiesz znieważać mnie, Mikołaja Rokowa?

- Oto moja odpowiedź na pańską kartę - rzekł Tarzan przyciszonym głosem. I odepchnął

go od siebie z taką siłą, że Rokow padł na wznak.

- Do diabła! - zawołał Rokow. - Bydłę, zapłacisz za to życiem - i podnosząc się na nogi, podskoczył ku Tarzanowi, wyciągając jednocześnie rewolwer z tylnej kieszeni. Młoda kobieta cofnęła się przerażona.

- Mikołaju! - zawołała. - Nie czyń tego - ach, nie czyń tego. Prędko, panie, uciekaj albo padniesz z jego ręki! - Zamiast jednak, szukać ratunku w ucieczce, Tarzan podszedł do Rokowa. - Nie bądź pan głupcem - rzekł.

- Rokow rozwścieczony do żywego z powodu doznanego poniżenia wydobyl w końcu rewolwer. Stał, wymierzył w pierś Tarzana i pociągnął za cyngiel. Słychać było uderzenie kurka, lecz rewolwer nie wypalił - ręka małpy-człowieka wyciągnęła się jak głowa rozdrażnionego węża, rewolwer wyleciał daleko przez barierkę statku i wpadł w wody Atlantyku.

Przez chwilę obaj stali naprzeciwko siebie. Rokow odzyskał panowanie nad sobą.

Przemówił pierwszy.

7

- Już po raz drugi pan uważa za stosowne wtrącać się do spraw, które go nie dotyczą.

Dwukrotnie był pan przyczyną poniżenia Mikołaja Rokowa. Pierwsza obraza została darowana przez wzgląd, że pan działał z nieświadomości, lecz to zajście nie będzie darowane. Jeżeli pan nie wie, kto jest Mikołaj Rokow, to ta ostatnia bezczelność bez wątpienia kiedyś każe panu popamiętać o nim.

- Wiem, że jest pan drabem i łotrem - odrzekł Tarzan - i to jest wszystko. Teraz chciał się zapytać młodej kobiety, czy nie stało się jej coś złego, lecz zniknęła. Wtedy, nie spojrzawszy nawet więcej na Rokowa i jego towarzysza, Tarzan poszedł na pokład.

Tarzan dziwił się, co to była za afera i jakie mogły być zamiary obu mężczyzn. Zdawało mu się, że zawołana kobieta, na której ratunek zdążył nadejść, nie była mu obca, lecz ponieważ nie spostrzegł jej twarzy, nie był pewien, gdzie ją już widział. Zauważył

tylko, że miała na palcu ręki, którą Rokow pochwycił, pierścionek, szczególnie piękny, i postanowił sobie zwracać uwagę na palce pasażerek, aby odnaleźć tę, którą Rokow prześladował i dowiedzieć się, czy już jej nie dokuczają.

Znalazłszy sobie krzesło na pokładzie, usiadł i zaczął rozmyślać o licznych przykładach ludzkiego okrucieństwa, samolubstwa i wściekłości, których był świadkiem od czasu, jak cztery lata temu oczy jego w dżungli spotkały ludzką istotę - przypomniał sobie gibkiego czarnego człowieka Kulongę, którego bystra włócznia owego dnia przebiła serce Kali, wielkiej małpy, i pozbawiła go tej jedynej matki, którą znał. Przypomniał sobie morderstwo, spełnione na Kingu przez Snajpsa o szurzej twarzy; porzucenie profesora Portera i towarzyszących mu osób przez zbuntowaną załogę Strzały; okrucieństwa czarnych wojowników i kobiet z wioski Mbongi względem pochwyconych jeńców; nędzną zawiść wśród władz cywilnych i wojskowych kolonii Zachodniego Wybrzeża, jaką widział

przy pierwszym zetknięciu się ze światem cywilizowanym.

- Mój Boże! - mówił do siebie, wszyscy oni są do siebie podobni. Oszukują, mordują, łżą, biją się o rzeczy, których bestie z dżungli nie ceniłyby - o pieniądze, by za ich cenę kupić sprowadzające zniewieściałość przyjemności. Marnoty. Związani głupimi zwyczajami, które czynią ich niewolnikami nędznego losu, mocno wierzą, że są panami stworzenia, doświadczającymi istotnych przyjemności życia. W dżungli trudno o przykład, żeby ktoś zachowywał się biernie, gdy ktoś inny zabiera mu towarzyszkę. Głupi jest ten ludzki świat, świat to idiotyczny, Tarzan z małp był głupcem, kiedy wyrzekł się wolności i szczęśliwości życia w dżungli, by przenieść się w ten świat.

Kiedy tak siedział, nagle poczuł, że z tyłu zwrócone na niego były czyjeś oczy. Dawny instynkt zwierzęcy przebił cienką pokrywę cywilizacji i Tarzan obrócił się za siebie tak szybko, że oczy młodej kobiety, które potajemnie mu się przyglądały, nie miały czasu odwrócić się, gdy szare oczy małpy-człowieka rzuciły badawcze, skierowane wprost w nie spojrzenie.

Kiedy oczy opuściły się, Tarzan spostrzegł, że szkarłatna fala wypłynęła szybko na wpółodwróconą teraz twarz.

Uśmiechnął się sam do siebie, spostrzegając, że popełnił grzech przeciwko cywilizowanym zwyczajom świata, nie spuszczać wzroku kiedy jego oczy spotkały oczy młodej kobiety. Była bardzo młoda i przystojna. Uderzyło go w niej coś znajomego tak, że zaczął zastanawiać się, gdzie spotkał ją już przedtem. Powrócił do swej poprzedniej 8

pozycji w fotelu, a zaraz potem zrozumiał, że wstała i opuszcza pokład. Gdy przechodziła koło niego, Tarzan obrócił się, by na nią spojrzeć, w nadziei, że znajdzie klucz do rozwiązania zagadki, kto to był.

I nie zawiodła go nadzieja, gdyż odchodząc, podniosła rękę do czarnej falującej masy włosów na tyle głowy - szczególnym, kobiecym ruchem, który świadczył, że właścicielka czuła obecność poza sobą oczu patrzących na te włosy z podziwem, a wtedy Tarzan ujrzał na palcu ręki pierścień dziwnie pięknej roboty, który widział na palcu zawoalowanej kobiety.

A więc to tę piękną młodą damę prześladował Rokow. Tarzan począł się zastanawiać, rozumując zimno, kim mogła być ta pani i jakie stosunki mogły łączyć istotę tak miłą z posępnym, brodatym Rosjaninem.

Po obiedzie tego wieczora Tarzan wybrał się na przód parowca, gdzie przez pewien czas, gdy już zapadł zmierzch, rozmawiał z oficerem marynarki, a gdy ten odszedł, by pełnić swe obowiązki, Tarzan zatrzymał się, nie mając zajęcia, przy burcie okrętowej, przyglądając się grze światła księżycowego na łagodnie wznoszących się falach. Przesła urządzenia do opuszczania na wodę łodzi okrętowych zasłaniały jego postać tak, że dwaj mężczyźni idący po pokładzie zbliżyli się w to miejsce i nie zauważyli jego obecności, a Tarzan, gdy przechodzili koło niego, posłyszał z ich rozmowy takie słowa, które sprawiły, że udał się za nimi, by wysledzić, jakie mieli zamiary. Rozpoznał głos Rokowa i zobaczył, że towarzyszył mu Paulwicz.

Tarzan usłyszał tylko kilka wyrazów: - A jeżeli będzie krzyczeć, możesz ją zdusić - to wystarczyło, aby obudziła się w nim chęć przygód, i dlatego nie spuszczał z oka tych dwu ludzi, którzy szybko

teraz przesuwali się po pokładzie. Poszedł za nimi do pokoju dla palących, lecz zatrzymali się tam tylko na chwilę, by widocznie upewnić się, czy ktoś, kto ich interesował, znajdował się tam.

Stąd udali się wprost do kabin pierwszej klasy na pokładzie spacerowym. Tu Tarzanowi trudniej było kryć się, lecz udało mu się pozostać nie postrzeżonym. Gdy zatrzymali się przed gładkimi drzwiami jednej z kabin, Tarzan usunął się w cień sąsiedniego korytarzyka, w odległości nie większej niż kilkunastu kroków od tego miejsca. Na ich pukanie odezwał się głos po francusku: "Kto tam".

- To ja, Olgo, Mikołaj - brzmiała odpowiedź wypowiedziana gardłowym głosem Rokowa. -

Czy mogę wejść?

- Dlaczego mnie wciąż prześladujesz, Mikołaju? - dał się słyszeć głos kobiety spoza cienkiej ściany. Nie zrobiłam ci nic złego.

- Nie obawiaj się, Olgo - rzekł mężczyzna łagodnym tonem. - Chcę pomówić z tobą, tylko kilka słów. Nic złego nie chcę ci zrobić, a nawet nie wejdę do kabiny, lecz nie chcę mówić głośno, o co mi chodzi, przez drzwi.

Tarzan usłyszał uderzenie zasuwki, odsuniętej od wewnątrz. Wysunął się naprzód ze swego ukrycia na tyle, aby dojrzeć, co się tam będzie dziać, gdy drzwi się otworzą, gdyż w uszach brzmiały mu złowieszcze wyrazy, które usłyszał przed chwilą na pokładzie: "A gdyby krzyczała, możesz ją zdusić."

Rokow stał tuż przed drzwiami. Paulwicz przyłgnął do wykładanej ściany korytarza trochę opodal. Drzwi się otworzyły. Rokow postąpił na próg i stanął, opierając się plecami o

drzwi, po czym zaczął mówić coś przyciszonym głosem do damy, której Tarzan nie mógł

dojrzeć. Wtedy Tarzan usłyszał głos damy, wymawiającej słowa głosem cichym, lecz tak, że mógł rozróżnić wyrazy.

- Nie, Mikołaju - mówiła - to nie może być. Nie ulęknię się twych gróźb i nie zgodzę się nigdy na to, czego żądasz. Idź sobie, proszę, nie masz prawa tu pozostawać. Obiecałeś nie wchodzić.

- Pięknie, Olgo, nie wejdę. Zanim jednak skończysz ze mną, po tysiąc razy pożałujesz, że nie spełniłaś od razu mej prośby. Koniec końców dopnę swego, i ty mogłabyś oszczędzić mi trudu i czasu, i uchronić się od niesławy, swojej i twego...

- Nigdy tego nie będzie, Mikołaju - zawołała kobieta, a wtedy Tarzan ujrzał, że Rokow się obrócił i skinął na Paulwicza, który poskoczył szybko ku drzwiom kabiny, przesuwając się koło Rokowa, trzymającego otwarte drzwi. Zaraz potem Rokow się cofnął. Drzwi się zamknęły. Tarzan usłyszał uderzenie zasuwki, którą Paulwicz zamykał od wewnątrz.

Rokow zatrzymał się, stojąc przed drzwiami ze schyloną głową, jak gdyby nasłuchiwał

słów, dochodzących z kabiny. Wstrętny uśmiech widać było na jego zarosłych wargach.

Tarzan słyszał głos kobiety, nakazujący komuś opuszczenie kabiny. „Każę przywołać mego męża” - zawołała. - "Nie będzie żartował". Dał się słyszeć przez drzwi szyderczy śmiech Paulwicza.

- Oficer okrętowy poprosi tu małżonka pani - rzekł. - W rzeczy samej oficerowi temu już dano znać, że pani przyjmuje u siebie w zamkniętej kabinie innego mężczyznę, a nie swego męża.

- Ach! - zawołała kobieta. - Mąż mój dowie się całej prawdy.

- Nie wątpię, że pani mąż dowie się całej prawdy, ale nie oficer, ani wiedzieć nie będą całej prawdy reporterzy gazet, którzy w tajemniczy sposób usłyszą o tym, gdy statek stanie w porcie. Radzi będą ze skandalu także i wasi znajomi, gdy przeczytają wiadomość w gazetach przy śniadaniu... kiedy to będzie, dziś jest wtorek... tak, gdy przeczytają wiadomość w najbliższy piątek. Nie zmniejszy to ich zainteresowania, gdy się dowiedzą, że mężczyzną tym, którego pani przyjmowała, był służący Rosjanin -

służący brata pani, jeżeli chodzi o ścisłość.

- Aleksieju Paulwicz - dał się słyszeć głos damy, chłodny, nie zdradzający uczucia strachu - masz powody do obaw o siebie, a gdy wspomnę ci pewne imię, dasz spokój swym żądaniom, groźbom i opuścisz natychmiast kabinę, a sądzę, że nigdy już nie będziesz próbować mi dokuczać. - Potem nastąpiła chwila ciszy i Tarzan mógł wyobrazić sobie, że w owej chwili dama przechyliła się do ucha łotra, mówiąc mu po cichu to, o czym przed chwilą wspomniała. Była chwila milczenia, potem zaraz rozległo się z ust mężczyzny przekleństwo, szuranie nóg po podłodze, krzyk kobiety... i znów zapadło milczenie.

Na krzyk kobiety człowiek-małpa wyskoczył ze swej kryjówki. Rokow rzucił się, by go wstrzymać, lecz Tarzan chwycił go za kark i usunął z drogi. Nie przemówili słowa, gdyż obaj czuli instynktownie, że w tym pokoju dokonywano morderstwa, a Tarzan domyślał

się, że nie było to w zamiarach Rokowa, by jego towarzysz posunął się tak daleko.

Domyślał się, że zamiary łotra sięgały głębiej - były czymś gorszym i nikczemniejszym niż brutalne, z rozmysłem popełnione morderstwo.

10

Nie tracąc czasu na zadawanie pytań, człowiek-małpa wsparł się swym potężnym ramieniem o kruche drzwi i pod gradem odłamków spadających mu na głowę, wszedł do kabiny, ciągnąc za sobą Rokowa. Przed nim na kanapie leżała kobieta, a Paulwicz dusił

ją za gardło. Ręce ofiary uderzały bezsilnie w jego twarz i chwyciły za palce okrutnych rąk, które ją dusiły. Na hałas spowodowany wejściem Tarzana Paulwicz porwał się na nogi i w groźnej postawie stanął przed Tarzanem. Dama chwiejnie przysiadła. Jedną ręką trzymała się za gardło i oddychała ciężko. Chociaż miała włosy potargane i twarz pobladłą, Tarzan poznał w niej tę młodą osobę, która - jak spostrzegł - przyglądała mu się w dzień na pokładzie.

- Co to ma znaczyć? - odezwał się Tarzan, zwracając się do Rokowa, który, jak przeczuwał, był kierownikiem napadu. Ten milczał, spoglądając spode łba. - Proszę nacisnąć guzik - rzekł człowiek-małpa - musimy wezwać tu kogoś z oficerów parowca -

sprawa jest dość poważna.

- Nie chcę, nie - odezwała się dama wstając. - Niech pan tego nie robi. Wiem, że nie chciano zrobić mi krzywdy. Wywołałam gniew tego pana i on stracił panowanie nad sobą

- to cała sprawa. Nie chciałabym, aby rzecz miała się skończyć przywołaniem policji. -

Tyle było gorącej prośby w jej głosie, że Tarzan nie zdecydował się więcej nalegać, chociaż rozsądek mówił mu, że działo się tu coś takiego, o czym należało dać znać władzy.

- Czy pani żąda ode mnie, abym nic już więcej nie czynił w tej sprawie?

- Nic - odrzekła.

- Chce się pani narażać, by ci dwaj łotrzy w dalszym ciągu prześladowali panią?

Dama zmieszała się i jakby nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Miała minę osoby nieszczęśliwej, zakłopotanej. Tarzan spostrzegł złośliwy uśmiech triumfu na ustach Rokowa. Dama widocznie obawiała się tych dwu ludzi i nie śmiała wypowiedzieć wobec nich tego, czego by chciała.

- Jeżeli tak - rzekł Tarzan - to biorę wszystko na swoją odpowiedzialność. Tobie - mówił

dalej zwracając się do Rokowa - a to się tyczy i twego towarzysza, oznajmiam, że od tej chwili do końca podróży będę miał was na oku i gdyby się okazało, że w jakikolwiek sposób poważyłby się któryś z was dokuczyć tej damie, będziecie mieli ze mną do czynienia, a rozprawa moja z wami nie będzie należała do przyjemności, zapewniam was.

- A teraz precz stąd! - mówiąc to, pochwyił jednego i drugiego za kark popychając za drzwi, a na schodkach zepchnął ich w dół kopnięciem buta. Potem zawrócił do pokoju i do damy. Patrzała nań szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

- A pani - rzekł - uczyni mi wielką łaskę, jeżeli zechce mnie powiadomić, gdyby których z tych łotrów napastował panią jeszcze.

Ach, panie - odrzekła - chciałabym wierzyć, że pan nie ucierpi z powodu usługi, jaką pan wyświadczył. Zrobił pan sobie bardzo złośliwego i przebiegłego wroga, który nie zawaha się przed niczym, aby zaspokoić nienawiść. Musi pan mieć się bardzo na baczności.

- Wybacz pani, nazywam się Tarzan.

- Panie Tarzanie, proszę nie sądzić, że nie zgodziłam się wezwać policji, abym nie miała być panu szczerze wdzięczna za odważne i dzielne wystąpienie w mojej obronie.

Żegnam pana, panie Tarzanie, nigdy nie zapomnę tego, co panu jestem dłużna - tu dama skłoniła się Tarzanowi i uśmiechnęła się przy tym czarującym uśmiechem, ukazując szereg pięknych zębów. Tarzan pożegnał się i wyszedł na pokład.

Nie mógł tego zrozumieć, że mogło być na pokładzie dwoje ludzi - ta młoda dama i hrabia de Coude - którzy doznawali obelg z rąk Rokowa i jego towarzysza, a nie chcieli pozwolić na oddanie przestępców w ręce sprawiedliwości. Nim powrócił do siebie tego wieczoru, myśli jego niejednokrotnie wracały do wspomnienia o tej pięknej kobiecie, w której tkaninę życia losy tak go dziwnie wplątały. Przyszło mu na myśl, że nie dowiedział

się, jak się nazywa. Że była kobietą zamężną, widać było z tego, że nosiła wąską złotą obrączkę, otaczającą środkowy palec ręki. Samo przez się zjawilo się w jego umyśle pytanie, kto był szczęśliwym mężem tej damy.

Osób, biorących udział w tym małym dramacie, którego część zobaczył, nie ujrzał Tarzan więcej, aż dopiero późną porą po południu w ostatni dzień podróży. Zdarzyło się wtedy tak, że znalazł młodą kobietę tuż przed sobą, gdy oboje zbliżyli się do swoich foteli, stojących na pokładzie, z przeciwnej strony. Pozdrowiła go miłym uśmiechem i zaraz potem zaczęła mówić o sprawie, której był świadkiem w jej kabinie dwa dni temu. Ze słów jej wynikało, że była zakłopotana myślą, iż on mógł wyciągnąć uwłaczające jej wnioski z jej znajomości z takimi ludźmi jak Rokow i Paulwicz.

- Mam nadzieję, że pan nie potępią mnie - przemówiła - z powodu nieszczęsnego wydarzenia z dnia wtorkowego. Dużo mnie ono kosztowało - dziś po raz pierwszy odważyłam się wyjść z kajuty. Wstyd mi było - dodała na zakończenie.

- Nie można potępić gazeli, widząc, że napadają na nią lwy - odrzekł Tarzan. - Widziałem już przedtem, jak sobie poczynają ci dwaj w pokoju karcianym, poprzedniego dnia przed napaścią na panią, jeżeli dobrze sobie przypominam, i znając ich postęпки, jestem przekonany, że wrogie ich usposobienie może tylko świadczyć o niewinności osób, które padają ich ofiarą. Podobni im ludzie lgną do tego tylko, co jest nikczemne, a nienawidzą tego, co jest szlachetne i dobre.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony tłumaczyć sobie całą sprawę w taki sposób -

odpowiedziała z uśmiechem. - Słyszałam o sprawie karcianej. Mąż mój opowiedział mi całą historię. Z podziwem wychwalał siłę i dzielność pana, wobec którego zaciągnął

wielki dług wdzięczności.

- Pani mąż? - odrzekł Tarzan tonem zapytania.

- Tak. Jestem hrabiną de Coude.

- Jestem już hojnie wynagrodzony, pani, dowiadując się, że wyświadczyłem przysługę żonie hrabiego de Coude.

- Niestety, panie, mój własny dług jest tak wielki, że trudno mi żywić nadzieję, abym kiedykolwiek mogła go spłacić, toteż proszę nie powiększać już moich zobowiązań. -

Mówiąc to, obdarzyła go takim miłym uśmiechem, że Tarzan uczuł, iż gotów byłby ważyć się na rzeczy daleko większe, niż to, czego dokonał za cenę takiego błogosławionego uśmiechu.

Nie ujrzał już jej więcej tego dnia, a wśród pośpiechu lądowania następnego ranka zgubił

ją zupełnie. W wyrazie jej oczu, kiedy się żegnali na pokładzie dnia poprzedniego, było coś, co nie dawało mu spokoju. Była tam jakby żalność, gdy mówili o niestałości przyjaźni, 12

zawartych w czasie przejazdu oceanicznego i o tym, że znajomości takie kończą się zwykle tak prędko.

Tarzan zastanawiał się, czy spotka ją jeszcze kiedyś w życiu.

ROZDZIAŁ III

CO SIĘ ZDARZYŁO NA ULICY MAULE

Po przybyciu do Paryża Tarzan udał się wprost do mieszkania swego przyjaciela d'Arnota, gdzie porucznik marynarki zgromił go ostro za postanowienie wyrzeczenia się tytułu, dóbr, które należały mu się prawem dziedzictwa po ojcu Jana Claytonie, zmarłym lordzie Greystoke.

- To szaleństwo, mój przyjacielu - mówił d'Arnot - wyrzekać się tak lekkomyślnie nie tylko bogactwa i pozycji towarzyskiej, lecz i sposobności do stwierdzenia wobec całego świata, że w twoich żyłach płynie szlachetna krew dwu najznakomitszych domów Anglii, a nie krew dzikiej małpy. Nie pojmuję, jak mogli ci ludzie uwierzyć twym słowom, a szczególnie panna Porter.

Jakżeż to, ja nigdy temu nie wierzyłem, nawet w tych czasach, kiedy w swej dzikiej afrykańskiej puszczy rozrywałeś surowe mięso zabitych zwierząt potężnymi szczękami, na podobieństwo drapieżnych zwierząt, i wycierałeś zatłuszczone ręce o biodra. Nawet wtedy, zanim miałem w ręku jakikolwiek dowód istotnego stanu rzeczy, miałem przekonanie, że byłeś w błędzie, przypuszczając, że Kala była twoją matką.

Obecnie zaś, kiedy odnaleziony został dziennik twego rodzica o okropnym życiu, jakie pędził z twoją matką na dzikich brzegach Afryki, kiedy wiadome jest twoje urodzenie i kiedy doszliśmy do posiadania tego ostatecznego i decydującego o wszystkim dowodu z odbitek twych własnych palców z czasów dzieciństwa na stronicach dziennika, wydaje mi się rzeczą nie do wiary, że chcesz pozostać tułaczem bez imienia i bez grosza.

- Nie potrzebuję lepszego imienia niż Tarzan - odrzekł człowiek-małpa - a co się tyczy tego, że mam zostać tułaczem bez grosza, to nie leży to w moich zamiarach. Istotnie pierwszą i niejmy nadzieję ostatnią trudną do spełnienia prośbą, z jaką zmuszony jestem odwołać się do twej wspaniałomyślnej przyjaźni, jest prośba o wynalezienie mi zajęcia.

- Co ty wygadujesz! - odezwał się d'Arnot. - Wiesz, że nie to miałem na myśli. Czyż nie powtarzałem

wielokrotnie, że posiadam pieniędzy dosyć na dwudziestu ludzi i że połowa tego, co posiadam, należy do ciebie? A gdybym nawet oddał tobie wszystko, czyżby to choćby w dziesiątej części wyrównało cenę, jaką przywiązuję do twej przyjaźni, Tarzanie? Czyżby to wynagrodziło te przysługi, jakie mi wyświadczyłeś w Afryce? Nie zapomniałem tego, mój przyjacielu, że gdyby nie ty i twoja podziwu godna dzielność, zginąłbym przy palu w wiosce ludożerców Mbongi. Nie zapomniałem również o tym, że tylko dzięki twemu poświęceniu i troskliwości wyleczyłem się ze strasznych ran, poniesionych z ich rąk. Po pewnym czasie domyśliłem się coś niecoś, ile ciebie kosztowało pozostanie ze mną w kolisku małp, gdy serce twoje rwało się gdzie indziej, na wybrzeże.

Kiedyśmy w końcu tam przybyli i przekonali się, że panna Porter z wraz z towarzystwem odjechała, zacząłem uświadamiać sobie, coś ty zrobił dla mnie, obcego ci człowieka. Ani 13

myślę odpłacać ci za to tylko pieniędzmi, Tarzanie. Teraz właśnie potrzebujesz pieniędzy, gdyby było trzeba, abym uczynił dla ciebie jaką istotną ofiarę - byłoby to wszystko jedno -

masz na zawsze moją przyjaźń, ponieważ mamy wspólne zamiłowania i odczuwam dla ciebie podziw. Co do ofiary, nie wiem, o jaką może chodzić, lecz pieniędzmi dysponuj.

- Niech tak będzie - odezwał się wesoło Tarzan, - nie będziemy kłócili się o pieniądze.

Muszę żyć, a przeto muszę mieć pieniądze, lecz byłbym zadowolony, gdybym miał coś do roboty. Nie możesz mi okazać przyjaźni w sposób bardziej przekonujący jak wynalezieniem dla mnie zatrudnienia - umarłbym w krótkim czasie z bezczynności. Co się tyczy mego prawa pierworodztwa - dostało się w dobre ręce. Clayton nie wydarł mi go gwałtem. On szczerze wierzy, że jest właściwym lordem Greystoke i wszystko zapowiada, że on będzie lepszym angielskim lordem niż człowiek, który urodził się i wychował w afrykańskiej dżungli. Wiesz, że i dziś jestem człowiekiem na wpół

cywilizowanym. Niech tylko zamigota mi przed oczami czerwona łuna gniewu, a wszystkie popędy dzikiego zwierzęcia, którym w istocie jestem, zatopią od razu tę odrobinę kultury i ogłady, jakie posiadam.

A przy tym, gdybym sięgnął po swoje prawa, pozbawiłbym kobietę, którą kocham, bogactwa i tej towarzyskiej pozycji, które jej teraz zapewni małżeństwo z Claytonem.

Tego nie mogłem uczynić. Czy sądzisz inaczej, Pawle? A kwestia praw, wynikających z urodzenia, nie ma w moich oczach większego znaczenia - ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź. - Wychowany w sposób ci wiadomy, uznaję w człowieku lub zwierzęciu tylko taką wartość, jaką ma istotnie przez swoją zdolność umysłową lub dzielność fizyczną.

Dlatego nie sprawia mi przykrości myśl, że Kala mogła być moją matką, a nie biedna, nieszczęśliwa Angielka, która zmarła w rok po wydaniu mnie na świat. Kala była dla mnie zawsze dobra na swój sposób. Wychowała mnie na swej włochatej piersi, od czasu jak zmarła moja matka. Broniła mnie wobec okrutnych mieszkańców lasów i dzikich członków naszego plemienia, okazując głębię uczucia prawdziwej macierzyńskiej miłości.

I ja również ją kochałem, Pawle. Nie zdawałem sobie z tego dobrze sprawy aż do chwili, kiedy

okrutna włócznia i zatruta strzała czarnego wojownika zabrała mi ją. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy to się stało, i rzuciłem się na jej zwłoki i wylewałem gorzkie łzy, jak dziecko oplakujące swoją matkę. Tobie, mój przyjacielu, może wydałaby się okropną, wstrętną istotą, w moich oczach była piękna - tak potężnie miłość przeobraża przedmiot swego ukochania. Zupełnie mi to wystarcza, abym na zawsze pozostał synem Kali-małpy.

- Podziwiam cię za twoją lojalność - rzekł d'Arnot - przyjdzie jednak czas, kiedy zechcesz odzyskać swe prawa. Zapamiętaj to, co mówię, i miejmy nadzieję, że i wtedy będzie równie łatwo dowieść twych Praw jak dziś. Powinieneś mieć na uwadze, że profesor Porter i pan Philander, jedni na całym świecie mogą stwierdzić przysięgą, że mały szkielet, znaleziony w chacie wraz ze szkieletem twej matki i twego ojca, był to szkielet antropoidalnej małpy, a nie potomek lorda Greystoke. To bardzo ważne świadectwo.

Obaj są w wieku podeszłym. Mogą żyć już niedługo. A przy tym, czy nie przyszło ci to na myśl, że gdyby panna Porter dowiedziała się prawdy, zerwałaby z Claytonem? Łatwo mógłbyś zdobyć tytuł, dobrą i kobietę, którą kochasz. Czyś nie pomyślał o tym?

14

Tarzan potrząsnął głową. - Nie znasz jej - rzekł. - Niestety, jakie by spotkało Clayтона, przywiązałoby ją do niego. Ona pochodzi ze starego południowego rodu Ameryki, a południowcy dumni są ze swej wierności w dochowaniu danego słowa.

Następne dwa tygodnie Tarzan spędził na poznawaniu życia paryskiego. Za dnia odwiedzał biblioteki i galerie obrazów. Stał się wszystko pożerającym czytelnikiem, a świat możliwości, który odkrył się przed nim w tej siedzibie kultury i nauki, napełnił go strachem, gdy rozmyślał, jak nieskończenie małą kruszynę ludzkiej wiedzy może zdobyć jednostka nawet po całym życiu, spędzonym na studiach i badaniach. Uczył się tego, co było mu dostępne, za dnia, a wieczory spędzał, szukając odpoczynku i zabawy. Co się tyczy nocnych doświadczeń, Paryż okazał się nie mniej żyznym polem.

Jeżeli wypalał za dużą ilość papierosów i wypijał za dużo absyntu - to dlatego, że przyjmował taką cywilizację, jaką znajdował i czynił to, i co robili jego cywilizowani bliźni.

Życie było pełne nowości i pońt, a przy tym żywił w sercu ból i wielką tęsknotę, która nigdy nie miała się spełnić, i dlatego szukał w studiach i rozrywkach - dwu ostatecznościach - środka zapomnienia przeszłości i powstrzymania rozmyślań nad przyszłością.

Pewnego wieczoru uczestniczył w koncercie. Pijąc absynt i podziwiając zręczność pewnej sławnej rosyjskiej tancerki zauważył, że para złośliwych czarnych oczu spoczywa na nim. Przyglądający mu się człowiek zawrócił i zgiął w tłumie przy wyjściu, zanim Tarzan zdążył mu się przyjrzeć, lecz miał pewność, że już gdzieś widział te oczy przedtem i że oczy te skierowane były na niego tego wieczoru nie przez próżny przypadek. Przez czas pewien doznawał nieprzyjemnego uczucia, że ktoś go śledzi. Idąc za tym zwierzęcym instynktem, który tkwił w nim mocno, obrócił się nagle i to dało mu możliwość dostrzeżenia tych samych oczu. Wkrótce jednak o tym zapomniał, a przy wyjściu nie zauważył, że śniadej twarzy osobnik usunął się w cień przeciwległych drzwi w chwili, gdy wychodził z jasno oświetlonej sali koncertowej.

Chociaż Tarzan o tym nie wiedział, śledzono go niejednokrotnie, gdy wychodził z zabaw, lecz dotychczas rzadko kiedy się zdarzało, żeby był sam. Tego wieczoru d'Arnot proszony był gdzie indziej i Tarzan przyszedł bez towarzysza.

Kiedy się zwrócił w kierunku, którądy zwykle chodził, wracając z tych okolic Paryża do swego mieszkania, pilnujący go osobnik przebiegł ulicę, wynurzając się ze swej kryjówki, i pobiegł szybkim krokiem, wyprzedzając go.

Tarzan zwykle przechodził ulicą Maule w drodze do siebie. Były to okolice ciche i bardzo ciemne, które przypominały mu więcej umiłowaną afrykańską puszcze niż hałaśliwe i jarzące się sąsiednie ulice. Czytelniku, jeżeli znany ci jest Paryż, przypomnisz sobie wąskie, odpychające okolice wokoło ulicy Maule. Jeżeli nie znasz Paryża, to wystarczy zapytać się policji, aby się dowiedzieć, że z całego Paryża w tych tu okolicach trzeba być najbardziej ostrożnym, gdy się ściemni.

Tego wieczora Tarzan przeszedł pewną przestrzeń wśród gęstych cieni, rzucanych przez nędzne mieszkania, które otaczają tę ponurą drogę, kiedy uszu jego doszły krzyki i wołania o pomoc z trzeciego piętra przeciwległego domu. Był to głos kobiecy. Zanim jeszcze zamarły echa pierwszego krzyku, Tarzan skoczył, w górę po schodach i przez ciemne korytarze, na ratunek.

15

W głębi korytarza na trzecim piętrze były drzwi na wpół przymknięte i z tego pokoju usłyszał Tarzan to samo wołanie, które pociągnęło go z ulicy. Jeszcze chwila i znalazł się pośrodku słabo oświetlonego pokoju. Lampa naftowa paliła się tam na wysokim staromodnym kominku, rzucając niewyraźne promienie na kilkanaście odrażających postaci. Byli to sami mężczyźni prócz jednej kobiety. Miała lat około trzydziestu. Twarz jej, na której zaznaczyło się nieporządne życie, nosiła ślady piękności. Stała, opierając się o ścianę z ręką u gardła.

- Pomocy, panie - zawołała cichym głosem, gdy Tarzan wszedł - chcą mnie zamordować.

Obróciwszy się ku ludziom, znajdującym się w pokoju, Tarzan ujrzał przed sobą przebiegłe, złośliwe twarze zwykłych złoczyńców. Zadziwiło go to, że nie próbowali wcale uciekać. Posłyszawszy poruszenie za sobą, obrócił się. Zobaczył dwie rzeczy, a jedna z nich wzbudziła w nim wielkie zdziwienie. Pewien człowiek ukradkowo wymykał się z pokoju. Tarzan rzuciwszy okiem, spostrzegł, że był to Rokow.

Ujrzał jeszcze coś innego, co wymagało natychmiastowego działania. Z tyłu zbliżał się do niego dryblas wielkiego wzrostu z potężną pałką w ręku. Kiedy człowiek ten i jego towarzysze zobaczyli, że Tarzan ich dostrzegł, rzucili się wszyscy na niego ze wszystkich stron naraz. Kilku wyciągnęło noże. Inni wzniesli stołki, a osobnik z pałką wzniosł ją wysoko ponad swą głowę, zamachnął się i zamierzał zadać cios, który by zdruzgotał

głowę Tarzana, gdyby spadł na nią.

Lecz z umysłem, zwinnością i muskułami, które wyszły zwycięsko z walki w głębiach dzikiej puszczy, z potężną siłą i przebiegłą zmyślnością Terkoza i Numy nie tak łatwo było sobie poradzić,

jak to się zdawało paryskim apaszom.

Wybierając najgroźniejszego przeciwnika, człowieka z pałąką, Tarzan rzucił się na niego, a chwyciwszy wytrącony oręż, zadał tak straszny cios w szczękę, że zwałił go z nóg.

Potem zwrócił się przeciwko innym. Teraz była to już zabawka dla niego. Bitwa i widok krwi sprawiały mu rozkosz. Cieniutka warstwa ogłady Tarzana opadła jak krucha osłona, pękająca przy pierwszym uderzeniu, i dziesięciu łotrów, przydybanych jak w klatce w niewielkim pokoju, znalazło się wobec dzikiej rozjuszanej bestii, z której stalowymi mięśniami ich drobne siły nic nie mogły poradzić.

W głębi korytarza stał Rokow, oczekując końca bijatyki. Pragnął się doczekać śmierci Tarzana, lecz nie chciał być obecny w pokoju w czasie spełnienia morderstwa.

Kobieta wciąż stała w tym miejscu, gdzie ją Tarzan przy swoim wejściu zastał. Na jej twarzy malowała się gra zmiennych wzruszeń w miarę jak czas ubiegał. Udany wyraz strachu, jaki widoczny był na jej obliczu, kiedy Tarzan ją ujrzał, znikł, na jej twarzy odbiła się chytrych w chwili, gdy Tarzan obrócił się, by odeprzeć atak, szykowany z tyłu. Zmiany tej jednak Tarzan już nie widział.

Potem odmalowało się na jej obliczu zdziwienie, a w końcu przerażenie. Czyż można się było temu dziwić? Wymuskany paniczyk, którego jej krzyki zwabiły na miejsce, gdzie miała go spotkać śmierć, przeobraził się w demona zemsty. Zamiast delikatnych mięśni i słabej obrony spotkali się z prawdziwym Herkulesem doprowadzonym do szału.

16

- Boże, Panie! - wykrzyknęła - to dzika bestia. - Właśnie mocne, białe zęby małpy-człowieka chwyciły za gardło jednego z napastników, gdyż Tarzan walczył na sposób, w jaki nauczył się walczyć wśród wielkich małp plemienia Kerczaka.

Postać jego ukazywała się w kilkunastu miejscach pokoju jednocześnie w podskokach, które przypominały kobiecie ruchy pantery widzianej w zoologicznym ogrodzie. Rozlegał

się chrzęst kości w jego żelaznym uścisku, to znowu opadało zwichnięte ramię, gdy Tarzan pochwycił rękę ofiary.

Wydając okrzyki bólu, ludzie zaczęli uciekać co prędzej na korytarz. Zanim jednak pierwszy przystanął, zalany krwią, z połamanymi kośćmi, Rykow pojął, że nie było sądzone Tarzanowi polec w tym domu tej nocy i wtedy pospieszył do pobliskiej stacji telefonicznej i zawiadomił policję, że jakiś człowiek morduje ludzi na trzecim piętrze przy ulicy Maule nr 27.

Kiedy policjanci się zjawili, ujrzeli trzech ludzi wijących się na podłodze, jęczących z bólu, przerażoną kobietę, leżącą na brudnym łóżku, ukrywającą twarz rękoma, a po środku pokoju - młodego człowieka, dobrze ubranego, oczekującego widocznie na sukurs, który zapowiadały odgłosy kroków, śpieszących po schodach. Co do tego młodego człowieka domysły ich nie sprawdziły się - była to rozjuszona bestia, spoglądająca na nich przez przymknięte powieki stalowymi oczami.

Poczuwszy zapach krwi, Tarzan utracił resztki nabytej świeżo ogłady i stał teraz w postawie dzika przed ogarami, podobny do lwa, broniącego się przed myśliwymi, oczekującego nowego natarcia i szykującego się do odporu.

Co tu się stało? - zapytał jeden z policjantów. Tarzan w krótkich słowach wyjaśnił sprawę, lecz kiedy zwrócił się do kobiety, by potwierdziła jego słowa, posłyszał niespodziewaną odpowiedź.

- On kłamie! - wykrzyknęła piskliwie zwracając się do policji. - Wszedł tu, do mego pokoju, gdzie byłam sama, z niedobrymi zamiarami. Kiedy go odepchnęłam, chciał mnie zamordować, a krzyki moje ściągnęły tu tych panów, którzy przechodzili мимо domu w owej chwili. To istny czort; sam jeden pobił dziesięciu ludzi i pomordował ich gołymi rękoma i zębami.

Tarzan tak był zdumiony jej niewdzięcznością, że nie wiedział, co ma powiedzieć. Policja miała powody, by nie przywiązywać zbytnej wiary do słów kobiety, ponieważ już poprzednio miała do czynienia z tą samą damą i jej miłą koterią przyjaciół. Jednakże to była policja, a nie sąd. Postanowili więc zaarrestować wszystkie osoby, znajdujące się w pokoju i pozostawić komu innemu, wedle prawa, rozstrząsać niewinnych od winnych.

Okazało się zaraz, że co innego było oznajmić temu młodemu panu, że jest aresztowany, a zupełnie co innego zaarrestować go istotnie.

- Nic nie zawiniłem - rzekł głosem spokojnym. - Napadnięty, musiałem się bronić. Nie wiem, dlaczego kobieta ta powiedziała to, co od niej słyszeliście. Nie może mieć do mnie żadnej pretensji, ponieważ nigdy w życiu jej nie widziałem aż do chwili, kiedy tu przybyłem, słysząc jej krzyki o pomoc.

- Dostyc, dostyc - rzekł jeden z policjantów. - Są sędziowie do wysłuchania wszelkich tłumaczeń - i postąpił naprzód, chcąc ująć Tarzana za ramię, lecz w jednej chwili został

odrzucony w róg pokoju, a gdy inni policjanci rzucili się na małą-człowieka, doświadczyli 17

czegoś podobnego, co spotkało przedtem apaszów. Tak szybko i tak gwałtownie z nimi sobie poradził, że nie mieli nawet możliwości wydobywania rewolwerów.

W czasie krótkiej walki Tarzan zauważył otwarte okno, a przez nie pień drzewa czy słup telegrafu - nie mógł tego dobrze rozróżnić. Gdy ostatni z policjantów upadł, udało się jednemu wydobyć rewolwer i z miejsca, gdzie leżał na podłodze, wypalił w Tarzana. Kula chybiła, a zanim człowiek zdążył dać drugi strzał, Tarzan zrzucił lampę z kominka i pograżył pokój w ciemności.

Ujrzeni wtedy, że zwinna postać skoczyła na obramowanie otwartego okna i skoczyła na słup sterczący na ulicy. Kiedy policjanci zgromadzili się znowu i wyszli na ulicę, aresztanta nigdzie nie było widać.

Z aresztowaną kobietą i ludźmi, którzy nie uciekli, nie obchodzili się zbyt łagodnie, kiedy ich prowadzili na komisariat. Byli źli i czuli się upokorzeni. Dokuczało im to, że będą musieli złożyć raport, że jeden nieuzbrojony człowiek rozciągnął na podłodze całą ich kompanię, a później drapnął

równie łatwo, jak gdyby ich nie było wcale.

Policjant, który pozostał na ulicy, zapewniał, że nikt nie wyskoczył z okna, ani nie wyszedł z domu, od chwili, kiedy weszli, aż do chwili, kiedy dom opuścili. Towarzysze sądzili, że on kłamie, lecz nie mogli tego dowieść.

Kiedy Tarzan znalazł się na słupie, wyskoczywszy z okna, postąpił, jak kazał mu instynkt.

Nie schodząc, rozejrzał się najpierw, czy w dole nie ma kogo z wrogów. Dobrze zrobił, gdyż właśnie tam stał policjant. Ponad sobą Tarzan nie spostrzegł nikogo i dlatego powędrował w górę, a nie na dół.

Wierzchołek słupa znajdował się naprzeciwko dachu budynku. W jednej więc chwili muskuły, nawykłe do przerzucania ciała z wierzchołków na wierzchołki drzew pierwotnego lasu, przeniosły go przez tę niewielką przestrzeń, jaka dzieliła słup od dachu. Z jednego dachu dostał się na drugi i tak szedł dalej, wspinając się i skacząc, aż przy przecznicy dostrzegł inny słup, po którym spuścił się na ziemię.

Przebiegł szybko kilka ulic, później skręcił do małej nocnej kawiarni, gdzie w umywalni usunął z rąk i ubrania ślady swej wędrówki po dachach. Wkrótce potem wyszedł i powolnym krokiem udał się do swego mieszkania.

Gdy dochodził do domu, wypadło mu przejść oświetlony plac. Kiedy się zatrzymał w świetle, aby przepuścić koło siebie zbliżający się elegancki automobil, usłyszał swe imię, wymienione głosem kobiecym. Spojrzawszy przed siebie, ujrzał uśmiechnięte oczy Olgi de Coude, stulonej na tylnym siedzeniu. Oddał bardzo niski ukłon w odpowiedzi na jej przyjacielskie pozdrowienie. Kiedy wyprostował się znowu, automobil uniósł ją już daleko.

- Rokow i hrabina de Coude; spotykam oboje jednego wieczoru - powiedział do siebie. -

Widocznie Paryż nie jest duży.

ROZDZIAŁ IV

WYJAŚNIENIA HRABINY

18

- Twój Paryż jest niebezpieczniejszy, niż moje dzikie puszcze, Pawle - dorzucił Tarzan, opowiedziawszy swe przygody przyjacielowi nazajutrz po spotkaniu się z apaszami i policją na ulicy Maule. - Po co oni mnie tam zwabili? Czy głód ich do tego popchnął?

D'Arnot dla żartu wstrząsnął się z udanego przerażenia. Rozśmieszyło go dziwaczne przypuszczenie.

- Mój przyjacielu, widzę, że trudno ci jest wznieść się ponad obyczaje puszczy i rozumować, kierując się znajomością obyczajów cywilizowanych. Co o tym sądzisz? -

zapytał żartobliwie.

- Obyczaje cywilizowane w istocie - odezwał się ironicznie Tarzan. - Obyczaje dżungli nie usprawiedliwiają okropności, popełnianych na próżno, bezcelowo. Zabijamy dla uzyskania pokarmu, przy zdobywaniu towarzyszek życia lub w obronie potomstwa.

Zawsze, jak widać, w zgodzie z jakimś wielkim prawem natury. Lecz tu, co się wyrabia?

Tfu, ten cywilizowany człowiek jest bardziej zwierzęcy niż , zwierzęta. Zabija z przywidzenia, a co gorsza, wyzyskuje uczucie szlachetne, miłość bliźniego, jako środek przywabienia, aby wplątać niebaczną ofiarę i odebrać jej życie. W odpowiedzi na wołanie o pomoc bliźniego pośpieszyłem do kryjówki, gdzie czatowali na mnie mordercy. Ja nie mogłem tego pojąć, i długo potem nie mogłem tego zrozumieć, że kobieta może tak daleko posunąć się w upadku moralnym, ażeby swego zbawcę przywoływać w celu pozbawienia go życia. Było tak jednak - obecność tam Rokowa i oskarżenie mnie przed policją nie pozwalają w inny sposób wytłumaczyć jej czynów. Rokow musiał wiedzieć o tym, że ja często przechodziłem ulicą Maule. On czyhał na moje życie. Obmyślił plan w najdrobniejszych szczegółach, przewidział nawet, co miała mówić kobieta na wypadek, jeżeli plan się nie powiedzie, co rzeczywiście nastąpiło. Teraz jest to dla mnie zupełnie jasne.

- Bez wątpienia tak było - rzekł d'Arnot. - Przygoda ta dowiodła ci tego, o czym na próżno usiłowałem cię przekonać, że należy unikać ulicy Maule po zmroku.

- Przeciwnie - odrzekł Tarzan z uśmiechem, - przekonała mnie o tym, że jest to najciekawsza ulica w całym Paryżu. Nie pominę nigdy sposobności, by się przejść tą ulicą, gdyż dostarczyła mi pierwszej prawdziwej zabawy, jakiej doświadczyłem od czasu opuszczenia Afryki.

- Może cię ona nabawić wielkiego kłopotu, nawet jeżeli na nią nie powrócisz - rzekł

d'Arnot. - Z policją sprawa nie skończona, pamiętaj o tym. Znam na tyle paryską policję, że mogę cię zapewnić, iż nieprędko zapomni o tym, coś względem niej przewinił.

Wcześniej lub później znajdą cię, mój kochany Tarzanie, a wtedy zamkną dzikiego człowieka za kratą. Czy będzie ci się to podobało?

- Nie zamkną nigdy Tarzana z małp za żelaznymi kratami - odpowiedział Tarzan, marszcząc się.

W głosie Tarzana, gdy to mówił, słysząc było coś takiego, że d'Arnot spojrział mu bystro w oczy. To, co ujrzał na twarzy przyjaciela, w wyrazie zaciśniętych szczęk i w zimnych szarych oczach, wzniciło w młodym oficerze obawę o losy tego wielkiego dziecka, które nie uznawało żadnego prawa wyższego ponad własną wielką siłę i dzielność. Zrozumiał

zaraz, że należało coś przedsięwziąć, by pogodzić Tarzana z policją wprzód, nim może nastąpić nowe z nią spotkanie.

- Musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć, Tarzanie - przemówił poważnie. - Prawo ludzkie musi być

uszanowane, nawet w tym wypadku, gdy ci się nie podoba. Jeżeli zechcesz postępować, nie zważając na policję, narobisz sobie i swym przyjaciołom kłopotu. To, co się wydarzyło, postaram się wytłumaczyć policji i zrobię to jeszcze dzisiaj dla ciebie, lecz nadal musisz już być posłuszny prawu. Gdy przedstawiciel prawa powie

"chodź", trzeba pójść, gdy powie "idź" - trzeba iść. Pójdziemy teraz do mego przyjaciela do departamentu policji i wyjaśnimy sprawę z ulicy Maule. Chodź!

Pół godziny potem obaj, Tarzan i d'Arnot, wchodzili do urzędu policji. Urzędnik przyjął ich bardzo serdecznie. Przypomniawszy sobie Tarzana z odwiedzin, które złożyli mu we dwu kilka miesięcy temu w sprawie odcisków palców. Kiedy d'Arnot skończył opowieść o wypadkach, które wydarzyły się poprzedniego wieczora, urzędnik uśmiechnął się pod wąsem. Nacisnął guzik na biurku, a oczekując na przybycie wezwanego oficera policji, zaczął przeszukiwać papiery, szukając jakiegoś dokumentu, który znalazł i położył przed sobą.

- Słuchaj, Joubon - rzekł, gdy oficer wszedł - przywołaj tu tych policjantów, każ im przyjść tu zaraz - i wręczył oficerowi papier, który odszukał. Potem zwrócił się do Tarzana.

- Popełnił pan wielkie wykroczenie - rzekł tonem, w którym nie czuć było nieprzyjaźni - i gdybym nie słyszał wyjaśnienia, które przedstawił tu nasz dobry przyjaciel, porucznik d'Arnot, osądziłbym sprawę pańską surowo. Zamiast tego jednak postąpię w sposób nie praktykowany, wyjątkowy. Wezwałem tu policjantów, których pan zmalretował tej nocy.

Wysłuchają oni tego, co powie im porucznik d'Arnot, a wtedy zapytam ich, czy żądają, aby pan był pociągnięty do odpowiedzialności, czy też nie.

Musi się pan jeszcze nauczyć niejednej rzeczy, by poznać sposób postępowania ludzi cywilizowanych. Musi się pan nauczyć godzić się na rzeczy, które mogą się panu wydać dziwne lub zbyteczne i nie oponować, aż pan zrozumie motywy, z których wynikają.

Policjanci, których pan pobił, spełniali tylko swoją powinność. Nie chcieli wyrządzić panu żadnej krzywdy i nie postępowali samowolnie. Każdego dnia narażają swe życie w obronie cudzego życia lub własności. To samo zrobiliby i dla pana. Są to ludzie dzielni i uczciwi, i głęboko odczuli upokorzenie, że dali się zwyciężyć i pobić jednemu nie uzbrojonemu człowiekowi. Proszę wyjaśnić im całe zajście, aby nie mieli pretensji o to, co się stało. Uważam pana za bardzo dzielnego człowieka, a dzielni ludzie są zazwyczaj wielkoduszni.

Dalszą rozmowę przerwało wejście czterech policjantów. Gdy oczy ich padły na Tarzana, na ich obliczach można było wyczytać wielkie zdziwienie.

- Chłopcy - przemówił urzędnik - oto stoi przed wami ten pan, którego spotkaliście ostatniej nocy na ulicy Maule. Przyszedł tu z własnej woli. Chcę, żebyście wysłuchali uważnie tego, co wam powie porucznik d'Arnot o życiu tego pana. Wyjaśni jego postępowanie względem was. Panie poruczniku, proszę mówić.

D'Arnot przemawiał do policjantów z pół godziny. Opowiedział im o wychowaniu Tarzana w dzikiej

dżungli. Zwrócił ich uwagę na warunki życia, które nauczyły Tarzana walczyć na podobieństwo dzikich zwierząt w obronie własnego życia. Zrozumieli, że Tarzan posłuchał głosu instynktu, nacierając na nich, a nie działał z premedytacji. Nie rozumiał

20

ich celów i zamiaru. W jego oczach nie różnili się oni od innych istot, które spotykał w swej rodzinnej dżungli, gdzie miał we wszystkich istotnie swych wrogów.

- Duma wasza ucierpiała - kończył swe przemówienie d'Arnot. - Dotkliwie czujecie, że człowiek ten was pokonał. Nie macie jednak czego się wstydzić. Nie uważalibyście za potrzebne szukać usprawiedliwienia z porażki, gdybyście w owym pokoju znaleźli się wobec afrykańskiego lwa lub goryla z dżungli. Spotkała was walka z mięśniami, które po wiele razy, i zawsze zwycięsko, występowały przeciwko tym strasznym zwierzętom, stanowiącym postrach czarnego kontynentu. Ulec nadludzkiej sile Tarzana z małp nie może być hańbą dla człowieka.

Wtedy to, gdy policjanci stali, spoglądając to na Tarzana, to na swego przełożonego, człowiek-małpa postąpił tak właśnie, jak należało, aby usunąć resztki zapalczywości, jaką mogli czuć do Tarzana. Z wyciągniętą dłonią zwrócił się ku nim.

- Żałuję tego, co się stało - rzekł z prostotą. - Bądźmy przyjaciółmi. - Taki był koniec całej sprawy. O Tarzanie zaczęto sobie opowiadać historie po barakach policyjnych i Tarzan pozyskał sobie czterech nowych przyjaciół.

Po powrocie do mieszkania d'Arnot znalazł u siebie list od Williama Cecyla, lorda Greystoke. Korespondowali ze sobą od czasu zawiazania przyjaźni w czasie nieszczęsnej ekspedycji, przedsięwziętej w celu poszukiwania Janiny Porter po porwaniu jej przez Terkoza - małpę z dżungli.

- Mają się pobrać w Londynie za dwa miesiące - rzekł d'Arnot, przeczytawszy list.

Tarzanowi nie trzeba było mówić, kogo miał na myśli d'Arnot. Nie odpowiedział nic, był bardzo cichy i zamyślony przez resztę dnia.

Wieczorem byli w operze. Tarzan pogrążony był w ponurych myślach. Prawie nie zwracał

uwagi na to, co się działo na scenie. Przed jego oczami unosił się wciąż widok pięknej Amerykanki, a w uszach brzmiał mu smutny, słodki głos, zapewniający, że jego miłość była wzajemna. I ona miała poślubić innego!

Wstrząsnął się, chcąc uwolnić się od tych niemiłych myśli i w tejże chwili poczuł, że spoczęły na nim czyjeś oczy. Wiedziony instynktem, który wyrobił sobie przez wychowanie, spojrział wprost w oczy, które spoglądały na niego, i ujrzał, że oczy te jaśniały w uśmiechniętej twarzy Olgi, hrabiny de Coude. Gdy Tarzan skłonił się, pozdrawiając hrabinę, był pewien, że w spojrzeniu jej świeciła zachęta, prawie prośba.

W najbliższym antrakcie znalazł się obok niej w łoży.

- Bardzo pragnęłam pana zobaczyć - mówiła. Dokuczała mi myśl, że doświadczywszy tylu przysług okazanych przez pana mnie i mężowi, nie mogliśmy wyjaśnić panu, dlaczego nie robiliśmy koniecznych kroków, aby uniemożliwić powtórzenie się napaści tych dwu ludzi, co mogło się wydawać brakiem wdzięczności z naszej strony.

- Krzywdzi mnie pani - odpowiedział Tarzan. - Mam tylko miłe wspomnienia o pani. Nie powinna się pani przejmować tą myślą, że potrzebne mi jest jakieś wyjaśnienie. Czy ludzie ci przestali dokuczać pani?

- Nigdy nie przestaną - odpowiedziała ze smutkiem. - Czuję, że muszę się wypowiedzieć, a pan zasługuje na to, żeby usłyszeć wyjaśnienie. Pozwól mi to zrobić. Może się to i panu przydać, gdyż znam zbyt dobrze Mikołaja Rokowa i wiem z pewnością, że pan będzie miał jeszcze z nim do czynienia. Szukać będzie sposobu, by wyrzucić na panu 21

swoją zemstę. To, co powiem, może panu pomóc w zwalczeniu mściwych planów, jakie knuje. Dziś tu nie mogę panu tego opowiadać, lecz jutro o piątej będę oczekiwała pana.

- Czas będzie mi się dłużył do nieskończoności, by doczekać się piątej godziny do jutra -

rzekł Tarzan, żegnając się z hrabiną de Coude.

Z kąta teatru, gdzie siedzieli, Rokow i Paulwicz spostrzegli Tarzana w łoży hrabiny de Coude i obaj uśmiechnęli się złośliwie.

O wpół do piątej następnego dnia brodaty mężczyzna o śniadej cerze zadzwonił do wejścia przeznaczonego dla służby w pałacu hrabiego de Coude. Służący, który drzwi otworzył, zrobił wielkie oczy, gdy zobaczył, kto stał przed nim. Nastąpiła między nimi rozmowa prowadzona cichym głosem.

Z początku służący nie chciał się zgodzić na jakąś propozycję, którą robił brodaty mężczyzna, lecz po chwili gość wsunął coś w rękę służącego. Wtedy służący zawrócił i poprowadził gościa bocznym przejściem do małej niszy, osłoniętej portierami, w sąsiedztwie komnaty, w której zwykle po południu podawano herbatę.

Pół godziny później wszedł do tej sali Tarzan i zaraz potem zjawiała się gospodyni, witając go przyjaznym uśmiechem z wyciągniętą na spotkanie dłonią.

- Bardzo jestem rada, że pan przybył - rzekła.

- Nie mogło zdarzyć się nic, co by mnie mogło powstrzymać od złożenia wizyty -
odpowiedział.

Przez czas krótki rozmawiali o operze, o sprawach, które w owym czasie absorbowwały uwagę paryżan, o przyjemności, jaką sprawiało im odnowienie znajomości rozpoczętej wśród tak dziwnych okoliczności i to doprowadziło ich do przedmiotu, który zajmował

głównie ich myśli.

- Pan zapewne nie mógł zrozumieć - rzekła w końcu hrabina - jaki jest cel prześladowania nas przez Rokowa. A jest to rzecz bardzo prosta. Hrabia ma rozmaite ważne tajne wiadomości z ministerstwa wojny. Często ma w swych rękach papiery, za które obce państwa gotowe są płacić bajeczne sumy - tajemnice państwowe, dla których zdobycia ajenci obcych państw gotowi są popełnić morderstwo, a nawet gorsze rzeczy. I teraz w jego rękach jest taka jedna sprawa, której przeniknięcie i odkrycie rządowi zapewniłoby uznanie i bogactwo temu, kto by tego dokazał. Rokow i Paulwicz - są to rosyjscy szpiedzy. Nie zawahają się przed niczym, aby tajemnicę tę posiadać. Skandal na parowcu - ja mam na myśli aferę karcianą - miał na celu wymusić na moim mężu wyjawienie tej tajemnicy, którą chcą zdobyć. Gdyby nie oczyścił się z zarzutu oszustwa w grze, kariera jego byłaby zwichnięta. Musiałby porzucić ministerstwo wojny. Zamknięte byłyby przed nim drzwi znajomych. Chcieli mieć w swym ręku tę groźbę - posiadanie papierów, które im są potrzebne, miało się stać ich udziałem za cenę przyznania się z ich strony, że hrabia padł ofiarą intrygi nieprzyjaciół, którzy godzili na jego dobre imię. Pan udaremnił ich plan. Wtedy obmyślili, że moja reputacja miała być okupiona wydaniem papierów.

Kiedy Paulwicz był w mojej kabinie, wytłumaczył mi, o co im chodzi. Jeżeli zgodzę się na wydanie im tajemnicy, obiecywał dać mi spokój, w przeciwnym razie Rokow, który pozostał na korytarzu, miał donieść oficerowi okrętowemu, że ja przyjmowałam w swojej kabinie obcego mężczyznę w czasie nieobecności męża. Groził, że będzie o tym

rozповідаł każdemu, kogo spotka na statku, a po przybyciu do portu miał o tym dać znać reporterom. - Czy nie było to straszne? Lecz mnie było wiadome coś o panu Paulwiczu, co przyprawiłoby go o szubienicę, gdyby rzecz stała się znana policji petersburskiej. Powiedziałam mu, że nie odważy się wykonać swego planu i wtedy pochyliwszy się, chciałam mu szepnąć do ucha pewne imię. Posłyszawszy je - tu wstrząsnęła palcami - rzucił się do mego gardła jak szaleniec. Udusiłby mnie, gdyby nie pan.

- Dzikie bestie! - odezwał się Tarzan.

- Gorszi są od bestii, mój przyjacielu - rzekła. - To są diabły wcielone. Boję się o pana, ponieważ naraził się pan na ich nienawiść. Radzę panu, miej się zawsze na baczności.

Proszę mi to przyobiecować, przez wzgląd na mnie, gdyż cierpiałabym wieczne wyrzuty, gdyby miał pan ucierpieć wskutek usługi, jaką mi pan wyświadczył.

- Nie boję się tych ludzi - odpowiedział Tarzan. - Przeżyłem gorszych wrogów niż Rokow i Paulwicz. Spostrzegł, że nie wiedziała nic o tym, co się stało na ulicy Maule i nic o tym sam nie mówił, nie chcąc jej niepokoić.

- Dlaczego państwo nie oddadzą tych łotrów w ręce władzy, dla swego bezpieczeństwa?

- ciągnął dalej. - Rozprawiliby się z nimi szybko.

Wahała się chwilę zanim usłyszał odpowiedź.

- Są po temu dwie przyczyny - rzekła w końcu. - Jedna powstrzymuje hrabiego od wykonania. Druga, dla której obawiam się oskarżyć ich, jest to moja przyczyna, nie znana nikomu prócz mnie i Rokowa. Dziwne mi to - i tu zatrzymała się, wpatrując się uważnie w jego twarz przez czas dłuższy.

- Co pani jest dziwne? - zapytał z uśmiechem.

- Dziwię się sama sobie, dlaczego czuję potrzebę wyznania przed panem tej rzeczy, której nie ważyłam się powiedzieć nawet swemu mężowi. Wydaje mi się, że pan by zrozumiał i że pan umiałby wskazać właściwą drogę. Zdaje mi się, że pan nie sądziłby mnie zbyt surowo.

- Wydaje mi się, że nie byłby ze mnie dobry sędzia, proszę pani - odpowiedział Tarzan -

gdyż w wypadku, gdyby pani winna była morderstwa, oświadczyłbym, że ofiara powinna być wdzięczną za swój los z rąk pani.

- Ach, nie - broniła się - nie ma nic tak okropnego. Lecz pozwól mi pan najpierw powiedzieć o przyczynie, która wstrzymuje hrabiego od oskarżenia tych ludzi. Potem, jeżeli starczy mi odwagi, powiem właściwą przyczynę, dlaczego ja nie ośmielałam się tego uczynić. Pierwsza przyczyna to to, że Mikołaj Rokow jest moim bratem. Jesteśmy Rosjanami.

Mikołaj był zawsze, jak tylko mogę wspomnieć, człowiekiem złym. Wypędzony został z rosyjskiej armii, gdzie był kapitanem. Wydarzył się raz skandal z jego powodu, po pewnym czasie o wydarzeniach zapomniano częściowo i ojciec mój uzyskał dla niego stanowisko w tajnej służbie.

Wiele wielkich zbrodni zarzucano Mikołajowi, lecz zawsze zdołał wywinąć się od kary. W

ostatnim czasie dopiął tego przez kłamliwe oskarżenie swych ofiar o zdradę przeciwko carowi, a policja rosyjska, zawsze bardzo pochopna do prześladowania ludzi za przestępstwa tego rodzaju, akceptowała to, co on wymyślił i uwolniła go od kary.

23

- Czy zbrodnie, jakie zamierzał popełnić przeciwko pani i jej małżonkowi, nie są dostatecznym powodem, by stracił wszelkie prawa, jakie wypływają ze związku pokrewieństwa? - zapytał Tarzan.

- To, że pani jest jego siostrą, nie powstrzymało go od usiłowań, by okryć niesławą pani honor. Nie jest mu pani nic winna.

- Lecz istnieje jeszcze ta druga przyczyna. Chociaż nie jestem obowiązana do zachowania dla niego uczuć przyjaznych, pomimo to, że jest moim bratem, nie tak łatwo jest mi poradzić sobie ze strachem, jaki mam przed nim, z powodu pewnego wydarzenia w moim życiu, które jest mu znane. Opowiem panu wszystko, nie robiąc tajemnicy -

ciągnęła dalej po pewnej przerwie - gdyż czuję, że potrzebą mego serca jest powiedzieć to panu wcześniej lub później. Wychowałam się w klasztorze. W czasie pobytu w klasztorze spotkałam człowieka, który, wydawało mi się, zasługiwał na szacunek. Nie znałam ludzi, a o miłości niewiele wiedziałam. Przywidziało się mej głupiej głowie, że go kochałam, a na usilne jego prośby uciekłam z nim z klasztoru. Mieliśmy się pobrać.

Przebyłam z nim zaledwie trzy godziny, przez cały czas w dzień, na stacji kolejowej i w pociągu. Kiedy przybyliśmy na miejsce, gdzie miał się odbyć nasz ślub, podeszło dwu oficerów, gdyśmy wysiedli z wagonu i zaarrestowali go. Aresztowali i mnie, lecz gdy opowiedziałam wszystko o sobie, nie zatrzymali mnie, lecz odesłali z powrotem do klasztoru pod opiekę starszych. Okazało się, że człowiek, który starał się o mnie, nie zasługiwał wcale na szacunek, lecz był dezercerem z armii i miał powody chronić się przed sądami cywilnymi. Ciążyły na nim przestępstwa, popełnione prawie we wszystkich krajach Europy. Sprawa została zatuszowana przez władze klasztorne. Nawet rodzice moi o tym się nie dowiedzieli. Lecz Mikołaj spotkał się później z tym człowiekiem i dowiedział się o całej historii. Teraz grozi mi, że powie o wszystkim hrabiemu, jeżeli nie będę spełniała tego, co on mi każe.

Tarzan zaczął się śmiać. - Jest pani wciąż małą dziewczynką. Historia, którą mi pani opowiedziała, nie może być ujmą dla pani reputacji i pani wiedziałyby o tym, gdyby pani nie miała właśnie serca małej dziewczynki. Dziś zaraz niech pani rozmówi się ze swym mężem i opowie mu wszystko, jak pani mnie opowiedziała. Zaręczam, że śmiać się będzie z pani strachów i natychmiast zrobi, co należy, aby zamknąć tego gagatka, brata pani w więzieniu, gdzie powinien być.

- Chciałabym zdobyć się na odwagę - rzekła - ale nie śmiem. Wcześniej doświadczyłam, że mężczyźni należy się obawiać. Z początku własny ojciec, potem Mikołaj, a później ojcowie klasztoru. Prawie wszystkie moje znajome obawiają się swych mężów - i ja się boję mojego.

- Sądzę, że nie powinno tak być, aby kobiety miały się obawiać mężczyzn - rzekł Tarzan z wyrazem zdziwienia na twarzy. Znam lepiej dzikie stworzenia puszczy i tam częściej bywa coś zupełnie innego, za wyjątkiem ludzi czarnych, lecz oni według mego zdania pod wielu względami stoją niżej niż zwierzęta. Nie, ja nie rozumiem, dlaczego kobiety świata cywilizowanego miałyby się obawiać mężczyzn, tych istot, które są stworzone, by dały im obronę. Przykra byłaby mi myśl, że jakakolwiek kobieta czuje wobec mnie strach.

- Nie zdaje mi się, żeby jaka kobieta miała odczuwać strach wobec pana, mój przyjacielu

- rzekła łagodnie Olga de Coude. Znam pana dopiero od bardzo niedawna, a jednak, chociaż to może się wydać naiwne, pan jest jedynym człowiekiem, którego, zdaje mi się, 24

nigdy obawiać się nie będę - co jest dziwne, gdyż ma pan wielką siłę. Podziwiałam łatwość, z jaką pan rozprawił się z Mikołajem i Paulwiczem owego wieczoru w mej kabinie. Było to godne podziwu.

Gdy Tarzan zegnał się z hrabiną w kilka chwil później, zdziwił go trochę silny uścisk jej dłoni przy rozstaniu i usilne nastawanie na obietnicę, że odwiedzi ją nazajutrz.

Przez całą resztę dnia miał w pamięci obraz na wpół przysłoniętych oczu i doskonale skrojonych ust, które uśmiechały się do niego, gdy stał przed nią, mówiąc do widzenia.

Olga de Coude była bardzo piękną kobietą, a Tarzan z małym bardzo osamotnionym człowiekiem, mającym serce potrzebujące sztuki lekarskiej, a doktorem dla niego mogła być tylko kobieta.

Gdy hrabina powróciła do pokoju po odejściu Tarzana, spotkała się oko w oko z Mikołajem Rokowem.

- Odkąd tu jesteś? - zawołała, cofając się przed nim, przerażona.

- Byłem już tu, zanim twój kochanek przybył - odpowiedział z brzydkim wejrzeniem.

- Hola - wyrzekła tonem rozkazującym. - Jak śmiesz tak mówić do mnie - swej własnej siostry!

- Jeżeli nie jest, droga siostrzo, twoim kochankiem, to przepraszam. Lecz nie twoja to wina, jeżeli nim nie jest. Gdyby posiadał on jedną dziesiątą tej znajomości kobiet, jaką ja mam, znalazłabyś się w jego objęciach w jednej chwili. To skończony głupiec, Olgo.

Każde twoje słowo było przecież wyraźnym przynęcaniem, a on nie miał na tyle w głowie oleju, żeby to zrozumieć.

Kobieta zasłoniła uszy rękoma.

- Nie chcę słuchać. Jesteś bardzo zepsutym człowiekiem, że mówisz takie rzeczy.

Grozisz mi ustawicznie, lecz wiesz, że jestem uczciwą kobietą. Jutro nie będziesz śmiał

dokuczać mi, gdyż powiem wszystko Raulowi. Zrozumie mnie, a wtedy, panie Mikołaju, trzeba będzie, mieć się na baczności.

- Nie powiesz mu ani słowa - rzekł Rokow. - Trzymam tę sprawę w ręku, a przy pomocy jednego ze służących, którego pomoc mam zapewnioną, nie zabraknie mi żadnych szczegółów, popartych przysięgą świadków, gdy przyjdzie czas, by oznajmić wszystko mężowi. Dawniejsza sprawa posłużyła mi dobrze - teraz mamy coś pewnego, dotykającego, na czym można budować Olgo. Sprawa widoczna - a ty jesteś kobietą, której zawierono. - Tu nędznik zaczął się śmiać.

I stało się, że hrabina nie powiedziała nic swemu mężowi. Sytuacja pogorszyła się.

Dawniej uczuwała niewyraźną obawę, teraz uczuła prawdziwy strach. Prawdopodobnie niespokojne sumienie powiększało ten strach stokrotnie.

ROZDZIAŁ V

NIEUDANY SPISEK

Przez miesiąc następny Tarzan bywał częstym, a zawsze mile witanym gościem w domu pięknej hrabiny de Coude. Często spotykał tam inne osoby należące do małego grona, przyjmowanego przez hrabinę na popołudniowej herbatce. Częściej Olga wymyślała sprawy, które dawały jej możliwość przebywania godzinki z Tarzanem sam na sam.

Czas pewien niepokoiła się tym, co powiedział Mikołaj. Nie miała na myśli nic innego prócz utrzymywania przyjaźni z tym wielkim, młodym człowiekiem, lecz pod wpływem sugestii, wywołanej złośliwym odezwaniami się brata, często pojawiały się w jej umyśle rozważania o dziwnej sile, która ciągnęła ją do szarookiego cudzoziemca. Nie chciała w nim się zakochać ani nie pragnęła jego miłości. Hrabina była znacznie młodsza od swego męża i nie zdając sobie dobrze z tego sprawy, pragnęła bezpiecznej przyjaźni z kimś bliższym jej wiekiem. Osoba lat dwudziestu nie umie wymieniać zwierzeń z osobą lat czterdziestu. Tarzan był tylko o dwa lata od niej starszy. Czowała, że potrafi ją zrozumieć.

Przy tym był elegancki, rycerski i zasługiwał na szacunek. Czowała się z nim swobodnie.

Instynktownie od pierwszego poznania się z nim, czowała, że może mu ufać.

Z oddalenia Rokow śledził tę rosnącą zażyłość ze złośliwą radością. Kiedy dowiedział

się, że Tarzanowi było wiadome jego szpiegowskie rzemiosło, do uczucia nienawiści względem człowieka-małpy przyłączyła się jeszcze wielka obawa, że Tarzan go wyda.

Oczekiwał z niecierpliwością chwili dogodnej do zadania mistrzowskiego ciosu. Chciał na zawsze uwolnić się od Tarzana, a jednocześnie zaspokoić swoją żądzę zemsty za poniżenie i porażki, jakich od niego doznał.

Tarzan czuł się teraz bardziej zadowolony z życia niż kiedykolwiek od czasu, jak spokój i cisza jego dżungli zakłócone zostały przez przybycie towarzystwa Porterów.

Utrzymywanie znajomości z przyjaciółmi Olgi było dla niego miłe, a przyjaźń, jaka zakwitła między piękną hrabiną i nim samym, była źródłem ciągłej radości. Koła i rozpędzała jego ponure myśli i była balsamem dla rozdartego serca.

Od czasu do czasu d'Arnot towarzyszył mu w odwiedzinach u hrabiostwa, gdyż znał od dawna hrabinę Olgę i hrabiego. Czasami hrabia był obecny, lecz różnorodne sprawy, wynikające z jego urzędowego stanowiska i nigdy nie kończące się wymagania polityki zazwyczaj nie pozwalały mu wracać do domu przed późnym wieczorem.

Rokow szpiegował wciąż Tarzana, chcąc pochwycić chwilę, kiedy nawiedzi pałac hrabiostwa de Coude w nocy, lecz oczekiwania jego nie spełniały się. Niejednokrotnie Tarzan odprowadzał hrabinę do domu po teatrze, lecz zawsze żegnał się u przedsionka, ku wielkiemu niezadowoleniu kochanego braciszka.

Przekonawszy się, że nie można było pochwycić Tarzana na jakimś złym czynie, popełnionym z własnej jego woli, Rokow i Paulwicz uradzili wykonać plan, który miał

wciągnąć człowieka-małpę w sytuację kompromitującą, gdzie można by udowodnić wiarołomstwo przy pomocy świadków.

Czas pewien przepatrywali uważnie gazety i śledzili ruchy hrabiego i Tarzana. W końcu znaleźli, czego im było potrzeba. W porannej gazecie wyczytali ogłoszenie, że poseł

niemiecki urządza dyplomatyczne przyjęcie. Imię de Coude'a wymienione było na liście zaproszonych gości. Jeżeli przyjmie zaproszenie, nie mógł wrócić do domu wcześniej jak po północy.

Wieczorem w dniu bankietu Paulwicz oczekiwał na ulicy przed rezydencją niemieckiego posła w miejscu, gdzie mógł widzieć twarz każdego przybywającego gościa. Oczekiwał

niedługo, kiedy spostrzegł, że de Coude wysiadł z auta i przeszedł obok niego. To wystarczyło. Paulwicz pośpieszył z powrotem do domu, gdzie czekał nań Rokow. Gdy było już po jedenastej, Paulwicz ujął słuchawkę telefonu. Wywołał pewien numer.

26

- Czy mieszkanie porucznika d'Arnota? - rzucił pytanie, kiedy został połączony.

- Jest wiadomość dla pana Tarzana, niech będzie łaskaw podejść do telefonu.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Pan Tarzan?

- Tu mówi Franciszek, służący hrabiny de Coude. Być może pan przypomina mnie sobie? - Mam panu zakomunikować pilną wiadomość w imieniu hrabiny. Prosi ona, aby pan pośpiesznie raczył przybyć - chce się poradzić, ma kłopot. Nie, nie wiem. Czy mam powiedzieć hrabinie, że pan wkrótce się stawi? Dziękuję. Niech Bóg ma pana w swej opiece. - Paulwicz powiesił słuchawkę i zaczął się uśmiechać do Rokowa.

- Trzydzieści minut potrzebuje na przybycie. Jeżeli w piętnaście minut będziesz w domu niemieckiego posła, de Coude przybędzie do domu za trzy kwadransy. Całe powodzenie zależy od tego, czy głupiec ten zabawi piętnaście minut po przekonaniu się, że zażartowano z niego. Lecz jeżeli mnie moje przeczucia nie mylą, Olga nie zechce puścić go tak prędko. Masz tu pismo do hrabiego. Śpiesz się!

Paulwicz bez straty czasu przybył do pałacu niemieckiego posła. U drzwi wręczył list służącemu. To do hrabiego de Coude, list bardzo pilny. Trzeba go doręczyć natychmiast -

mówiąc to Paulwicz wsunął srebrną monetę w wyciągniętą dłoń służącego. Po czym powrócił do swej karety.

W chwilę później de Coude, przeprosiwszy swego gospodarza, rozerwał kopertę. Po przeczytaniu twarz mu zbladła i ręce drżały. Oto, co wyczytał:

Jaśnie Wielmożny Hrabia de Coude

Ktoś, kto pragnie ocalić honor pańskiego nazwiska, zawiadamia pana tą kartą, że świętość pańskiego domowego ogniska w tej chwili jest zagrożona.

Pewien człowiek, który od miesięcy już był stałym gościem w czasie nieobecności pana w domu, spędza teraz czas z żoną pańską. Jeżeli nie tracąc czasu udasz się pan do buduaru hrabiny, znajdziesz ich oboje.

Przyjacieli.

Kiedy upłynęło dwadzieścia minut po rozmowie Paulwicza z Tarzanem, Rokow kazał się połączyć z prywatnym numerem hrabiny Olgi. Jej panna służąca odezwała się przy telefonie, który znajdował się w buduarze hrabiny.

- Lecz pani już udała się na spoczynek - rzekła, odpowiadając na żądanie Rokowa, aby mógł się rozmówić z hrabiną.

- Jest pilna wiadomość dla hrabiny, którą jej tylko mogę zakomunikować, - odpowiedział

Rokow. Proszę powiedzieć, że musi wstać, przyodziać się i podejść do telefonu.

Zadzwoń znowu za pięć minut. - Po czym powiesił słuchawkę. W chwilę później wszedł

Paulwicz.

- Hrabia otrzymał wiadomość? - zapytał Rokow.

- Powinien być teraz w drodze do domu - odpowiedział Paulwicz.

- Pięknie! Moja pani siedzi zapewne w swojej sypialni, w wielkim negliżu. Za krótką chwilę Jakub przyprowadzi do niej pana Tarzana, nie anonsując go. Wyjaśnienie zabierze trochę czasu. Olga wyglądać będzie bardzo ponętnie w cienkim jak pajęczyna 27

nocnym stroju i sukni, która zaledwie w połowie okrywa jej wdzięki. Olga będzie zdziwiona, lecz nie będzie się gniewała.

Jeżeli Tarzan posiada choć jedną kroplę tętniącej krwi, hrabia za jakiś kwadrans natrafi na wcale piękną scenę miłosną. Zdaje mi się, że obmyśliliśmy rzecz całą bajecznie, kochany Aleksy. Chodźmy wypić za zdrowie pana Tarzana niezrównanego absyntu marki Plancon. Nie zapominajmy, że hrabia de Coude jest jednym z najlepszych fehmistrzów w Paryżu, a co do celności strzałów jest stanowczo pierwszym w całej Francji.

Kiedy Tarzan zjawił się w pałacu Olgi, Jakub już oczekiwał na niego w przedsionku.

- Szanowny pan pozwoli tędy - rzekł i poprowadził go na górę po szerokich marmurowych schodach. Po chwili otworzył drzwi i usunąwszy ciężką draperię, wpuścił

Tarzana z oznakami unżoności do słabo oświetlonego apartamentu hrabiny. Po czym znikł.

Naprzeciwko sobie Tarzan ujrzał Olgę siedzącą przed małym biurkiem, na którym stał

aparatu telefonicznego. Uderzyła zniecierpliwiona w politurowaną powierzchnię biurka. Nie słyszała jego wejścia.

- Olgo - przemówił - co się stało złego?

Odwróciła się do niego z okrzykiem wyrażającym zaniepokojenie.

- Janie! - zawołała. - Co tu robisz? Kto cię wpuścił? Co to ma znaczyć?

Tarzan stał jak rażony piorunem, lecz od razu zrozumiał część prawdy.

- A więc nie posyłałaś po mnie, Olgo?

- Ja miałam posyłać do pana o tej porze? Na Boga, Janie, czy myślisz, że postradałam zmysły?

- Franciszek telefonował, żebym przyszedł zaraz, że pani ma jakiś kłopot i chce mnie widzieć.

- Franciszek? Co za Franciszek?

- Mówił, że należy do służby domu. Mówił, że powinienem go sobie przypominać.

- Nie ma nikogo wśród mojej służby o tym imieniu. Ktoś zażartował sobie z ciebie, Janie -

i Olga zaczęła się śmiać.

- Obawiam się, że jest to bardzo złowieszczy "żart" - odparł.

- Jest w nim coś więcej niż żartobliwość.

- Co ty mówisz? Nie sądzisz przecie, że...

- Gdzie jest hrabia? - przerwał.

- Na przyjęciu u niemieckiego ambasadora.

- To jest nowy krok szanownego brata pani. Jutro hrabia o tym będzie wiedział. Zacznie rozpytywać służbę. Wszystko będzie wskazywało na to - co Rokow chce, aby hrabia pomyślał.

- Ach, łotr! - wykrzyknęła Olga. Powstała z siedzenia i podeszła blisko do miejsca, gdzie stał, i spoglądała mu w twarz. Była przerażona. W jej oczach widać było wyraz taki, jaki myśliwiec spostrzega w oczach biednej, przestraszonej łani - widać było zdziwienie, pytanie. Drżała i szukając oparcia podniosła ręce ku jego szerokim ramionom. - Co tu robić, Janie? - wymówiła szeptem. - To straszne. Jutro cały Paryż będzie o tym czytał w gazetach - on o to się postara.

Jej spojrzenie, jej postawa, jej słowa wyrażały odwieczne odwoływanie się bezbronnej kobiety do swego naturalnego obrońcy - mężczyzny. Tarzan ujął silną dłoń jedną z rozpalonych drobnych

rączek, jakie miał przy piersi. Był to ruch zupełnie mimowolny i również mimowolnym był instynkt opiekuńczy, za którego głosem obrońca otoczył ręką kibić kobiety.

Podziałało to jak przepływ prądu elektrycznego. Nigdy przedtem nie miał jej tak blisko siebie. Poczawszy winę, spojrzeli sobie nagle w oczy i Olga okazała się słabą w takiej chwili, kiedy powinna była okazać się silną, gdyż przytuliła się do ramion Tarzana i objęła go rękoma za szyję. Cóż miał robić Tarzan? Wziął drżącą postać w swoje potężne ramiona i okrył gorące usta pocałunkami.

Raul de Coude po przeczytaniu zawiadomienia, doręczonego mu przez woźnego z ambasady, pośpiesznie przeprosił swego gospodarza, że nie może dłużej pozostać.

Nigdy później nie mógł sobie przypomnieć, co mówił na swe wytłumaczenie. Wszystko w pamięci jego znikło i nic nie pamiętał z tego, co się działo aż do chwili, gdy stanął na progu swego domu. Wtedy wrócił mu spokój i zaczął się posuwać w ciszy i ostrożnie. W

sposób niewyjaśniony Jakub otworzył przed nim drzwi, zanim doszedł połowy schodów.

Nie uderzyło go to wtedy jako coś niezwykłego, choć później to pamiętał.

W ciszy przeszedł na palcach po schodach na górę i wzdłuż galerii do drzwi prowadzących do buduaru żony. W rękę trzymał ciężką laskę, w sercu miał pragnienie zemsty.

Olga pierwsza go spostrzegła. Z okrzykiem przerażenia wyrwała się z rąk Tarzana, a człowiek-małpa miał właśnie tyle czasu, by odeprzeć ręką straszny cios, jaki de Coude wymierzył, godząc w jego głowę. Raz, dwa, trzy, ciężka laska opadała z szybkością błyskawicy, a każdy cios wywoływał przeobrażenie się człowieka-małpy w istotę o instynktach pierwotnych.

Wydając głuchy, gardłowy warkot małpy samca, poskoczył ku Francuzowi. Gruba laska wyrwana została z ręki i połamana jak gdyby to była zapalka. Odrzuciwszy laskę na bok, rozjuszone zwierzę rzuciło się do gardła swego przeciwnika.

Olga de Coude przez kilka najbliższych chwil stała, patrząc z przerażeniem na scenę, jaka wynikła, po czym poskoczyła do miejsca, gdzie Tarzan dusił jej męża, potrząsając nim jak jannik mógłby potrząsać szczurem.

Gwałtownie zaczęła szarpać Tarzana za ręce. - Matko Cudowna! - wołała. - Zabijasz go, zabijasz go! Ach, Janie, co robisz, mordujesz mi męża!

Tarzan nie słyszał nic z wściekłości. Nagle rzucił ciało na podłogę i opierając nogę na odwróconej piersi wznosił swą głowę. A wtedy w komnatach pałacu hrabiostwa de Coude zabrzmiał okropny okrzyk zwycięski małpy nad trupem zabitego wroga. Od piwnic do facjaty straszny okrzyk przeraził uszy służby, wywołując bladeść na twarzach i drżenie.

Kobieta upadła na kolana obok ciała swego męża i zaczęła się modlić.

Powoli czerwony tuman rozwiął się sprzed oczu Tarzana. Rzeczy zaczęły nabierać swego kształtu-

zaczął odnajdywać w sobie cywilizowanego człowieka. Oczy jego padły na postać klęczącej kobiety.
- Olgo - odezwał się. Spojrzała na niego, sądząc, że ujrzy w jego oczach opętanie morderstwa, ujrzała natomiast wyraz smutku i żalu.

29

- Ach, Janie! - wykrzyknęła. - Patrz, cóżś uczynił. To był mój mąż. Ja go kochałam, a tyś go zabił.

Bardzo ostrożnie Tarzan uniósł zwisającą postać hrabiego de Coude i zaniósł ciało na kanapę. Potem przyłożył ucho do piersi hrabiego.

- Podaj wódki, Olgo - rzekł.

Przyniosła butelkę i oboje wylali trochę płynu w jego usta. Słabe westchnienie dało się słyszeć z pobielających ust. Odwrócił głowę i jęknął.

- Będzie żył - rzekł Tarzan. - Dzięki Bogu!

- Dlaczegoś to zrobił, Janie? - zapytała.

- Nie wiem. Uderzył mnie, co przyprawiło mnie o szaleństwo. Widziałem to samo u małą mojego plemienia. Nie opowiadałem ci, Olgo, historii mego życia. Lepiej by było, gdyby ci dzieje moje były znane - może to by się nie przytrafiło. Ojca swego nigdy nie widziałem.

Matką moją, jaką znałem, była dzika mała. Do lat piętnastu nie widziałem na oczy żadnej istoty ludzkiej. Mając lat dwadzieścia ujrzałem po raz pierwszy białego człowieka.

Nie dawniej jak rok temu byłem nagim drapieżnym zwierzęciem w afrykańskiej dżungli.

Nie sądź mnie zbyt surowo. Dwa lata - to czas zbyt krótki dla dokonania w indywiduum tej zmiany, jaką nieskończone szeregi wieków wytworzyły w białej rasie.

- Wcale ciebie nie winię; Janie. Ja zawiniłam. Musisz teraz odejść nie powinien on ciebie tu zastać, gdy odzyska przytomność. Żegnaj. Ze schyloną głową, ze smutkiem w sercu, opuścił Tarzan pałac hrabiego de Coude.

Gdy się znalazł na ulicy, zaczął rozmyślać i po pewnym czasie powziął decyzję. W

dwadzieścia minut potem wchodził na komisariat, znajdujący się w pobliżu ulicy Maule.

Tu odnalazł jednego z oficerów policji z oddziału, z którym przed kilku tygodniami miał

zajście. Oficer był bardzo rad, że mógł powitać tego, kto go wtedy tak mocno poturbował.

Zamieniwszy kilka słów powitania, Tarzan zapytał, czy znane mu jest nazwisko Mikołaja Rokowa lub Aleksego Paulwicza.

- Słyszałem nieraz, panie Tarzanie. Obaj są notowani w policji, a chociaż obecnie nie mają żadnej sprawy, uważamy za stosowne na wszelki przypadek mieć wiadomości, gdzie można by ich odnaleźć. Tę samą zresztą ostrożność zachowujemy względem każdego kryminalisty. Dlaczego się pan pyta?

- Znam ich - odrzekł Tarzan. - Chciałbym widzieć pana Rokowa z powodu pewnej sprawy. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan zechciał wskazać jego adres.

W kilka minut potem Tarzan pożegnał oficera policji i mając w kieszeni notatkę z odnotowanym pewnym adresem w gorszej części miasta, skierował się szybkimi krokami ku najbliższej stacji.

Rokow i Paulwicz powrócili już do domu i zajęci byli rozmową o możliwych skutkach wywołanych przez nich wydarzeń. Dali znać telefonicznie do biur dwu porannych dzienników i oczekiwali właśnie wizyty reporterów, aby im zakomunikować szczegóły skandalu, który miał poruszyć wyższe sfery towarzystwa paryskiego dnia następnego.

Ciężkie kroki dały się słyszeć na schodach. - Ach, ci reporterzy zwijają się szybko - zawołał Rokow, a usłyszawszy uderzenie w drzwi ich pokoju dodał: "proszę wejść".

Uprzejmy uśmiech powitania zamarł na twarzy Rosjanina, kiedy spostrzegł surowe, szare oczy gościa.

30

- Do pioruna! - wykrzyknął wstając. - Co pana tu sprowadza?

- Proszę sięść! - rzekł Tarzan tak cichym głosem, że zaledwie można było odróżniać wyrazy, lecz tonem, który sprawił, że Rokow usiadł, a Paulwicz siedział nieruchomo.

- Wiecie, co mnie tu sprowadza - ciągnął dalej Tarzan tym samym przyciszonym głosem.

- Należałoby ci odebrać życie, lecz ponieważ jesteś bratem Olgi de Coude, nie zrobię tego - jak na teraz.

- Chcę pozostawić wam życie. O Paulwiczu mówić nie będę. Jest tylko głupim, nędznym narzędziem, a więc zabijać go nie będę, póki i tobie życie daruję. Zanim jednak opuszczę ten pokój, pozostawiając was przy życiu, musicie zrobić dwie rzeczy. Pierwszą jest, że napiszecie szczegółowe wyznanie w sprawie zorganizowania ostatniego spisku i podpiszecie się pod dokumentem. Drugą rzeczą jest, że złożycie mi obietnicę pod karą śmierci, że nie pozwolicie, aby choćby słówko o tej sprawie przedostało się do gazet.

Jeżeli nie uczynicie tego obaj, żaden z was nie pozostanie przy życiu, zanim wyjdę z tego pokoju. Czy rozumiecie? - A nie czekając na odpowiedź, dodał - Śpieszcie się, atrament stoi przed wami, jest papier i pióro.

Rokow przybrał minę pogardliwą, usiłując nadrabianiem okazać, że mało zważa na groźby Tarzana. Za chwilę poczuł stalowe palce człowieka-mały na gardle, a Paulwicz, który próbował wymknąć

się z pokoju wzleciał w górę, uniesiony ręką Tarzana, i upadł

bez czucia w kącik. Kiedy twarz Rokowa zaczęła czernieć w rękach Tarzana, Tarzan zwolnił uścisk i usadził Rokowa z powrotem na krzesło. Po pewnym czasie krztuszenia się Rokow siadł, spoglądając ponurym wzrokiem na człowieka stojącego przed nim.

Teraz Paulwicz przyszedł do siebie i na rozkaz Tarzana przysiadł się z trudnością do stołu.

- A teraz piszcie - rzekł człowiek-małpa. - Jeżeli zmuszony będę zabrać się do was po raz wtóry, nie będę zbyt delikatny.

Rokow ujął pióro i zaczął pisać.

- Uważaj, abyś nie opuścił żadnego szczegółu i pamiętaj wskazywać nazwiska - ostrzegał Tarzan.

Dało się słyszeć stukanie w drzwi. - Proszę wejść, - rzekł Tarzan.

Ruchliwy młody człowiek wszedł. - Przychodzę z redakcji dziennika "Matin" - oświadczył.

- Pan Rokow ma mi coś do zakomunikowania.

- Jest pan w błędzie - rzekł Tarzan. - Nie masz pan nic do opublikowania, jeżeli się nie mylę, kochany Mikołaju?

Rokow wejrzał z brzydkim uśmiechem sponad papieru, na którym pisał.

- Nie - warknął - nie mam nic do opublikowania - obecnie.

- Ani nigdy potem, mój drogi - reporter nie zauważył przy tych słowach złego błysku w oczach człowieka-małpy, lecz Mikołaj dostrzegł.

- Ani nigdy później mieć nie będę - powtórzył pośpiesznie.

- Bardzo żałujemy, że pan się fatygował - rzekł Tarzan, zwracając się do reportera. -

Żegnam pana. - Wymówiwszy to, Tarzan odprowadził ruchliwego młodego człowieka do drzwi, które za nim zamknął.

W godzinę później Tarzan, mając w kieszeni dość obszerny rękopis, wychodził z drzwi mieszkania Rokowa.

- Gdybym ja był na pana miejscu - rzekł - opuściłbym Francję, gdyż wcześniej czy później znajdę powód do zadania wam śmierci, który w żaden sposób nie będzie mógł

skompromitować pańskiej siostry.

ROZDZIAŁ VI

POJEDYNEK

D'Arnot spał, kiedy Tarzan powrócił do ich mieszkania po wyjściu od Rokowa. Tarzan nie chciał go budzić, lecz następnego rana opowiedział wydarzenia poprzedniej nocy, nie opuszczając żadnego szczegółu.

- Co ja narobiłem - mówił kończąc. - Hrabia i hrabina, oboje byli moimi przyjaciółmi. Jak ja odwzajemniłem się im za przyjaźń. O mało co nie zamordowałem hrabiego. Rzuciłem piętno na imię dobrej kobiety. Prawdopodobnie zniszczyłem ich spokój domowy.

- Czy kochasz Olgę de Coude? - zapytał d'Arnot.

- Gdybym nie był tego zupełnie pewny, że ona nie kocha mnie, nie mógłbym dać odpowiedzi na twoje pytanie, Pawle; lecz nie popełniając nielojalności względem niej, zapewniam cię, że ja jej nie kocham ani ona mnie. Na chwilę ulegliśmy oboje nagłemu oszołomieniu - nie była to miłość - i nie stałoby się nic złego, rozstalibyśmy się zaraz, nawet gdyby de Coude nie powrócił. Jak ci wiadomo, mało znam kobiety. Olga jest bardzo piękna. Jej urokowi, przysłoniętemu światłu i pociągającemu otoczeniu, odwołaniu się bezbronnej o opiekę może nie uległby człowiek więcej niż ja cywilizowany, lecz moja kultura jest bardzo powierzchowna - nie sięga głębiej niż moje suknie.

Paryż nie jest odpowiednim dla mnie miejscem. Będę wciąż wpadał w coraz poważniejsze potrzaski. Przykre są te ograniczenia, które wymyślone zostały przez ludzi.

Wciąż czuję, że brak mi swobody. Nie mogę tego znieść, mój przyjacielu, i dlatego sędzę, że powinienem wrócić do mojej dżungli i żyć jak Bóg chciał, żebym żył, skoro mnie tam umieścił.

- Nie bierz tego tak bardzo do serca, Janie - odpowiedział d'Arnot. - Wywiązałeś się z trudnej sytuacji lepiej, niżby potrafił niejeden z "cywilizowanych" ludzi w podobnych warunkach. Co się | tyczy twego wyjazdu z Paryża, to sędzę, że Raul de Coude, jak należy oczekiwać, będzie miał o tym coś do powiedzenia.

I nie był d'Arnot w błędzie. W tydzień potem o jedenastej godzinie rano oznajmiono wizytę pana Flauberta, gdy d'Arnot i Tarzan siedzieli przy śniadaniu. Pan Flaubert był to bardzo ugrzeczniony jegomość. Nie szczędząc ukłonów oznajmił, że przychodzi w imieniu hrabiego de Coude wyzwać pana Tarzana na pojedynek i uprzejmie prosił, aby pan Tarzan był łaskaw prosić kogoś ze swych przyjaciół, by w najbliższym czasie, o godzinie jaką uzna za dogodną, zgłosił się do niego, do pana Flauberta, ażeby, umówić się co do szczegółów ku zadowoleniu wszystkich osób zainteresowanych.

Pan Tarzan oświadczył, że z największą chęcią oddaje całkowicie swe sprawy w ręce swego przyjaciela, porucznika d'Arnota. Umówiono się więc, że d'Arnot miał złożyć wizytę panu Flaubertowi o drugiej po . południu i ugrzeczniony pan Flaubert, nie szczędząc ukłonów, pożegnał ich.

Gdy znaleźli się znów sami, d'Arnot popatrzył pytająco na Tarzana.

32

- A więc? - rzekł.

- Do popełnionych już przeze mnie grzechów mam teraz dodać jeszcze morderstwo albo dać się zabić - rzekł Tarzan. :- Szybko posuwam się naprzód po drodze mych cywilizowanych braci.

- Jaką broń wybierzesz? - zapytał d'Arnot. - Mówią, że de Coude jest mistrzem fechtunku i wspaniale strzela.

- Chciałbym wybrać zatrute strzały na dwadzieścia kroków lub włócznie przy takim samym dystansie - rzekł ze śmiechem Tarzan. - Niech będą pistolety, Pawle.

- Zastrzeli cię, Janie.

- Nie wątpię - odrzekł Tarzan. - Muszę kiedyś umrzeć.

- Lepiej wybierzmy szpady - rzekł d'Arnot. - Zadowolili się zadaniem ci rany, o ranę śmiertelną będzie trudniej.

- Wybieram pistolety - rzekł Tarzan tonem stanowczym. D'Arnot próbował wpłynąć na zmianę decyzji, lecz na próżno. Miały więc być pistolety.

D'Arnot powrócił z konferencji z panem Flaubertem zaraz po czwartej.

- Wszystko umówione - rzekł. - Szczegóły ułożone. Jutro rano, o brzasku dnia - jest takie ustrome miejsce przy drodze, niedaleko Etamps. Dla jakichś tam osobistych powodów pan Flaubert wybrał to miejsce. Ja nie sprzeciwiłem się.

- Dobrze - brzmiała odpowiedź Tarzana. Nie wracał już do tej sprawy wcale, nawet pośrednio. W nocy napisał kilka listów przed udaniem się na spoczynek. Zapieczętował

je i napisał na listach adresy, włożył je wszystkie do jednej koperty zaadresowanej do d'Arnota. Przy rozbieraniu się, jak słyszał d'Arnot, nucił sobie jakąś piosenkę kabaretową.

Francuz zaklął pod wąsem. Był bardzo strapiony, gdyż nie miał wątpliwości, że gdy słońce wzejdzie następnego poranka, spoglądać będzie na trupa Tarzana. Sprawiało mu to przykrość, gdy widział, że Tarzan tak mało się całą sprawą przejmował.

- Uważam, że ranna godzina jest bardzo niecywilizowanie wybrana na wzajemne zabijanie się - przemówił człowiek-mała, kiedy nazajutrz przy szarym świetle poranka musiał wstawać z wygodnego łóża. Spał dobrze i dlatego zdawało mu się, że zaledwie dotknął poduszki, a już służący z uszanowaniem obudził go. Uwaga ta zwrócona była do d'Arnota, który zupełnie ubrany stał w progu sypialni.

D'Arnot nie spał prawie wcale przez całą noc. Był zdenerwowany i w drażliwym humorze.

- Zdaje mi się, żeś spał jak dziecko całą noc - rzekł. Tarzan zaśmiał się. - Z tonu twego widzę, Pawle, że masz o to do mnie pretensję. Co miałem innego robić?

- Ach, nic - odrzekł d'Arnot, uśmiechając się. - Lecz całą sprawę traktujesz z taką piekielną obojętnością - to doprowadza mnie do rozpacz. Mógłby kto przypuszczać, że wybierasz się na partię strzelania do tarczy, a nie na spotkanie jednego z najlepszych strzelców Francji.

Tarzan wzruszył ramionami. - Muszę odpokutować za wielką winę, Pawle. Jedną z ważnych okoliczności tej pokuty jest celność oka mego przeciwnika. Dlaczegoż więc miałbym być niezadowolony? Czyż mi nie powiedziałeś, że hrabia de Coude wybomie strzela?

- Mówisz, że masz nadzieję zgiąć od kuli? - wykrzyknął d'Arnot przerażony.

33

- Nie powiem, że mam taką nadzieję. Lecz musisz się zgodzić, że mam niewiele powodów do przypuszczenia, że nie będę zastrzelony.

Gdyby d'Arnot wiedział, co snuło się po głowie Tarzana - co sobie postanowił prawie od pierwszej posłyszanej wiadomości, że de Coude wezwie go do rozprawy honorowej -

byłby jeszcze bardziej przestraszony.

W milczeniu wsiedli do wielkiego auta d'Arnota, w milczeniu przebywali pospiesznie ciemną drogę, prowadzącą do Etamps. Każdy pogrążony był w swych myślach. D'Arnot był posepny, gdyż kochał prawdziwie Tarzana. Wielka przyjaźń, jaka zrodziła się pomiędzy tymi mężczyznami, których wychowanie i życie było tak bardzo różne, spotęgowała się przez osobiste obcowanie, gdyż obaj żywili jednakowe ideały dzielności, osobistej odwagi i honoru. Rozumieli się dobrze i każdy z nich był dumny z łączącej ich przyjaźni.

Tarzan zagłębił się we wspomnienia przeszłości, miłe wspomnienia szczęśliwych czasów dawnego utraconego życia w dżungli. Przypomniawszy sobie długie godziny z dzieciństwa, które spędził siedząc z podkurczonymi nogami na stole w chacie swego ojca, pochylony nad którąś z zachwycających książek z obrazkami, z których bez obcej pomocy odnajdywał tajemnicę drukowanych wyrazów o wiele wcześniej, nim usłyszał dźwięki ludzkiej mowy. Uśmiech zadowolenia opromienił łagodnym blaskiem surową jego twarz, gdy pomyślał o tym dniu nad dni, który spędził sam na sam z Janiną Porter w głębi pierwotnego boru.

Jego wspomnienia przerwało zatrzymanie się wozu - przybyli na miejsce. Umysł Tarzana powrócił do spraw chwili. Wiedział, że groziła mu śmierć, lecz nie odczuwał obawy śmierci. Dla mieszkańca dzikiej dżungli śmierć jest rzeczą tak zwykłą. Pierwsze prawo natury każe pierwotnym istotom zachowywać swe życie - walczyć w jego obronie, lecz nie uczy ich obawiać się śmierci.

D'Arnot i Tarzan przybyli pierwsi na plac rozprawy honorowej. W chwilę później przybyli de Coude, pan Flaubert i trzeci pan. Był to doktor. Przedstawiono go d'Arnotowi i Tarzanowi.

D'Arnot i pan Flaubert rozmawiali szeptem przez czas krótki. Hrabia de Coude i Tarzan stali oddzielnie na przeciwległych krańcach

Oto sekundanci wezwali ich. D'Arnot i pan Flaubert, obaj zbadali pistolety. Dwaj ludzie, którzy za chwilę mieli stanąć przeciwko sobie stali w milczeniu, podczas kiedy pan Flaubert ogłaszał warunki obowiązujące w pojedynku.

Mieli stanąć przy sobie, odwróceniem plecami. Na znak, dany przez pana Flauberta, mieli postąpić w przeciwległym kierunku, trzymając zwieszony pistolet przy boku. Po zrobieniu dziesięciu kroków d'Arnot miał dać ostateczny sygnał - wtedy mieli obrócić się i strzelać według woli aż któryś padnie, lub do wystrzelenia trzech umówionych naboju.

W czasie przemówienia pana Flauberta Tarzan wyjął papierosa z papierośnicy i zapalił.

De Coude był personifikacją chłodu - przecież był najlepszym strzelcem we Francji.

Pan Flaubert skinął głową d'Arnotowi i każdy z nich doprowadził swego mocodawcę na właściwe miejsce.

- Czyście gotowi, panowie? - zapytał pan Flaubert.

- W zupełności - odrzekł de Coude.

34

Tarzan skinął głową potakująco. Pan Flaubert dał sygnał. On i d'Arnot usunęli się na kilka kroków, aby zejść z linii ognia, gdy pojedynkujący rozchodzili się powolnym krokiem.

Sześć! Siedem! Osiem! Łzy zabłyśły w oczach d'Arnota. Bardzo się przywiązał do Tarzana. Dziewięć! Jeszcze krok i biedny porucznik dał sygnał, który był mu tak przykry.

Brzmiał mu w uszach jak wyrok śmierci dla najlepszego przyjaciela.

Szybko de Coude odwrócił się i wypalił. Tarzan trochę się wstrząsnął. Pistolet chwiało się u jego boku. De Coude zawahał się chwilę, jak gdyby oczekując na to, że przeciwnik powali się na ziemię. Francuz zbyt doświadczonego był mistrzem, żeby mógł wątpić o celności swego strzału. Wciąż jeszcze Tarzan nie podnosił pistoletu. De Coude wystrzelił

po raz drugi, lecz postawa człowieka-małpy - najzupełniejsza obojętność widoczna w całej niedbałej swobodzie zachowania się olbrzyma, a nawet nie zakłócone puszczenie obłoków dymu z papierosa mieszały najcelniejszego strzelca Francji. Ostatnim razem nie widać było wstrząśnięcia w postaci Tarzana, a jednak i teraz de Coude był pewny, że trafił.

Nagle pojął przyczynę zachowania się Tarzana - przeciwnik jego chłodno wystawił się na te straszne próby w nadziei, że nie otrzyma rany, która powaliłaby go na ziemię, z trzech strzałów de Coude'a. Wtedy będzie miał czas dobrze wycelować w hrabiego i z całą rozwagą zastrzelić go, na chłodno, z

zimną krwią. Lekki dreszcz przebiegł po plecach Francuza. Było to diabelskie - okropne. Co za istotę miał przed sobą, która mogła stać spokojnie, otrzymawszy dwie kule i oczekując trzeciej?

Dlatego de Coude starannie wycelował broń, lecz spokój go opuścił i tym razem wyraźnie chybił. Ani razu dotąd Tarzan nie podniósł ręki, w której trzymał pistolet.

Przez chwilę obaj stali, patrząc sobie prosto w oczy. Na twarzy Tarzana widać było patetyczny wyraz zawodu. Na twarzy de Coude'a zjawiono się odbicie przestachu, nawet przerażenia.

Nie mógł zapanować nad sobą.

- Matko Niebieska! Strzelaj pan! - wykrzyknął.

Tarzan jednak nie podniósł w górę pistoletu. Natomiast postąpił ku hrabiemu, a gdy d'Arnot i pan Flaubert, źle sobie tłumacząc jego zamiar, chcieli wpaść pomiędzy nich, wznosił lewą rękę na znak ostrzeżenia.

- Nie bójcie się - rzekł do nich - nie zrobię mu krzywdy. Było to wbrew wszelkim zwyczajom, lecz zatrzymali się. Tarzan posunął się dalej, aż zbliżył się tuż do de Coude'a.

- Pistolet pana musi być coś nie w porządku - rzekł. - Albo pan jest zdenerwowany. Bierz pan mój i próbuj znowu - i Tarzan podał swój pistolet, obrócony kolbą, zdziwionemu hrabiemu.

- Boże mój! - zawołał hrabia. - Czyś pan oszalał?

- Nie, mój przyjacielu, lecz ja zasłużyłem na śmierć. Jest to jedyny sposób, w jaki mogę odpokutować za krzywdę, wyrządzoną uczciwej kobiecie. Bierz mój pistolet i zrób, jak mówię.

- Byłoby to popełnienie morderstwa - odpowiedział de Coude. - Lecz jaką krzywdę wyrządził pan mej żonie? Przysięgała się, że...

35

- Nie to miałem na myśli - rzekł Tarzan spiesznie. - Widział pan wszystko, co między nami zaszło. Lecz to wystarczyło, by rzucić cień na jej imię i zniszczyć szczęście człowieka, ku któremu nie miałem uczucia nieprzyjaźni. Ja jeden zawiniłem i teraz miałem nadzieję zginąć za to. Zawód to dla mnie, że pan nie strzela tak celnie, jak mi mówiono.

- Powiedziałeś pan, że cała wina była po pana stronie? - zapytał chciwie de Coude.

- Całą winę przyjmuję na siebie. Żona pańska nic nie zawiniła. Ona kocha jedynie pana.

Przewinienie, jakiego pan był świadkiem, z mojej było winy. Przybycie moje do pałacu nie wypłynęło ani z mojej chęci, ani z chęci hrabiny de Coude. Oto dokument, który udowodni to stanowczo - i Tarzan wyciągnął z kieszeni oświadczenie, które Rokow napisał i stwierdził swym podpisem.

De Coude wziął dokument do ręki i przeczytał. D'Arnot i pan Flaubert zbliżyli się. Byli zainteresowanymi widzami tego dziwnego zakończenia dziwnego pojedynku. Nikt nie przemówił słowa, póki de Coude nie skończył czytać. Gdy odczytał wszystko, spojrzął na Tarzana i przemówił:

- Pan jest dzielny i rycerskim człowiekiem. Dziękuję Bogu, że nie zabiłem pana.

De Coude był Francuzem. Francuzi są narodem impulsywnym. Zarzucił ręce na szyję Tarzana i uściskał go. Pan Flaubert uściskał d'Arnota. Nikt nie uściskał doktora. Dlatego, może przez urazę, zażądał on, aby mu pozwolono opatrzyć rany Tarzana.

- Pan ten dostał co najmniej jeden strzał - rzekł - a prawdopodobnie wszystkie trzy.

- Dwa - odrzekł Tarzan. - Pierwszy - w lewe ramię, a drugi w lewy bok - są to rany powierzchowne, jak sądzę. Lecz doktor nalegał, aby położył się na murawę i dał opatrzyć rany. Rany zostały przemyte i wylew krwi powstrzymany.

Rezultatem pojedynku było to, że wszyscy razem wrócili do Paryża autem d'Arnota jako najlepsi przyjaciele. De Coude tak się uradował podwójnym potwierdzeniem niewinności żony, że nie czuł wcale urazy do Tarzana. Co prawda Tarzan wziął na siebie więcej winy, niż ta część, która mu przypadła, lecz jeżeli trochę skłamał, można mu wybaczyć, gdyż kłamał w obronie kobiety i kłamał jak uczciwy człowiek.

Człowiek-małpa przeleżał w łóżku kilka dni. Zapewniał, że to nie ma sensu i jest niepotrzebne, lecz doktor i d'Arnot tak wzięli jego rany do serca, że ustąpił naleganiom, aby ich zadowolić, chociaż leczenie wydawało mu się śmieszne.

- To śmieszne - mówił do d'Arnota - leżeć w łóżku z powodu ukłucia igłą. Kiedy Bolgani, król goryłów, poszarpał mi ciało prawie na kawałki, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, czy miałem piękne miękkie łóżko do wylegiwania się? Nie, jedynie wilgotną, gnijącą trawę dżungli. Ukryty pod przyjacielskim krzakiem leżałem dni i tygodnie, mając tylko Kalę, która mnie piastowała, która odpędzała owady od mych ran i broniła od drapieżnych zwierząt. Gdy żądałem wody, przynosiła mi ją w swych własnych ustach - to był jedyny znany jej sposób noszenia wody. Nie było tam sterylizowanej gazy, nie było antyseptycznych bandaży - były tam tylko rzeczy, które wprawiłyby kochanego doktora w szalony gniew. A jednak wydobrzałem - wydobrzałem, aby wylegiwać się na łóżku z powodu drobnego zadrapania, którego mieszkaniiec dżungli nawet by nie zauważył, chyba, żeby trafiło mu się na końcu nosa.

36

Czas leczenia wkrótce się skończył i Tarzan zaczął wychodzić. De Coude wstępował

często, a gdy dowiedział się, że Tarzan pragnie mieć zajęcie, przyobiecał, że postara się o wynalezienie dlań miejsca,.

Pewnego dnia, którego doktor pozwolił mu wyjść już z domu, otrzymał Tarzan zawiadomienie od hrabiego, aby się stawił w biurze urzędowym ministerstwa tegoż popołudnia.

De Coude przywitał go wesoło i winał mu szczerze, że już opuścił łóżko. Ani jeden, ani drugi, od dnia owej rozprawy, nie wspomnił już pojedynku i jego powodów.

- Zdaje mi się, że znalazłem zajęcie odpowiadające panu - rzekł hrabia. - Jest to stanowisko zaufane i odpowiedzialne, wymagające dużej odwagi i dzielności. Nie mogę znaleźć nikogo odpowiedniejszego niż pan na to właśnie stanowisko, mój drogi Tarzanie.

Z obowiązku będziesz musiał odbywać dalekie podróże, a z czasem może cię ono doprowadzi do czegoś lepszego być może w służbie dyplomatycznej.

- Początkowo, i na czas tylko krótki, będziesz pan pełnił obowiązki specjalnego agenta w ministerstwie wojny. Proszę, chodźmy, przedstawię pana temu, kto będzie pana szefem.

Wy tłumaczy panu jego obowiązki lepiej, niż ja to mogę zrobić, a wtedy będziesz pan mógł osądzić, czy chcesz je przyjąć.

De Coude osobiście towarzyszył Tarzanowi do biura generała Rochere'a, naczelnika wydziału, do którego miał należeć Tarzan, jeżeli przyjmie propozycję. Tam go hrabia pozostawił, opisawszy w gorących wyrazach generałowi wielkie przymioty, jakie posiadał

Tarzan, które czyniły go odpowiednim na stanowisko, które miał zająć.

W pół godziny później Tarzan opuścił biura urzędu, otrzymawszy nominację na pierwsze swe w życiu stanowisko. Nazajutrz miał wrócić po dalsze instrukcje, chociaż generał

Rochere oznajmił, że Tarzan może się szykować do opuszczenia Paryża już dnia następnego na czas nieograniczony.

Z uczuciem radosnej dumy pośpieszył Tarzan do domu, by zanieść tę dobrą wiadomość d'Arnotowi. Będzie wreszcie miał jakieś znaczenie w świecie. Miał zarabiać pieniądze, a co najlepsze - podróżować i rozglądać się po świecie.

Nie wchodząc jeszcze do gabinetu d'Arnota wykrzykiwał radosną nowinę. D'Arnot nie okazał takiego entuzjazmu.

- Zdaje się, sprawia ci to radość, że będziesz mógł porzucić Paryż i że nie zobaczymy się przez szereg miesięcy, być może. Tarzanie, jesteś najniewdzięczniejszą istotą! - mówił

d'Arnot, śmiejąc się.

- Nie, Pawle. Ja jestem małym dzieckiem. Mam nową zabawkę i zajęty jestem nią strasznie.

W taki sposób doszło do tego, że następnego dnia Tarzan opuścił Paryż, udając się do Marsylii i Oranu.

ROZDZIAŁ VII

TANCERKA Z SIDI AISSA

Pierwsza misja Tarzana nie zapowiadała mu licznych wrażeń ani nie była szczególnie ważna. Był pewien porucznik spahisów*, przeciwko któremu rząd miał w ręku poszlaki, 37

że prowadził zdradzieckie konszachty z innym wielkim państwem europejskim. Ten porucznik Gernois, stacjonujący obecnie z garnizonem w Sidibel-Abbes, w ostatnim czasie delegowany był do sztabu generalnego, gdzie posiadał w czasie swej służby pewne wiadomości, bardzo ważne pod względem wojskowym. Władze podejrzewały go, że te ważne wiadomości chciał dostarczyć innemu wielkiemu mocarstwu.

Podejrzenie miało swe źródło w kilku słowach rzuconych w chwili zazdrości przez pewną sławną paryżankę. Sztaby generalne są bardzo wrażliwe, gdy chodzi o ich tajemnice, a zdradajest sprawą tak wielkiego znaczenia, że nawet luźne podejrzenia nie mogą być lekceważone. Dlatego Tarzan został wysłany i przybył do Algieru w charakterze amerykańskiego myśliwego i podróżnika, aby mieć baczne oko na porucznika Gernois.

Cieszył się niezmiernie nadzieją ponownego oglądania swej ukochanej Afryki, lecz te północne okolice tak odmiennie wyglądały od ojczyznej podzwrotnikowej dżungli, że nie doznał wcale miłego wrażenia, że wrócił do ojczyzny.

W Oranie spędził dzień, zwiedzając wąskie, kręte uliczki dzielnicy arabskiej i przyglądając się dziwnym, nowym dla jego oka widokom.

Następnego dnia stanął w Sidi-bel-Abbes, gdzie przedstawił swe papiery władzom cywilnym i wojskowym - w papierach tych nie było wzmianki o właściwym celu jego misji.

Tarzan znał na tyle język angielski, że mógł uchodzić wśród Arabów i Francuzów za Amerykanina i to wystarczało. Kiedy spotkał się z Anglikiem, mówił po francusku, aby się nie zdradzić, a od czasu do czasu przemawiał po angielsku do cudzoziemców, którzy rozumieli ten język, lecz nie byli zdolni zauważyć tych drobnych niedokładności w akcencie i w sposobie wymawiania, jakie cechowały jego mowę.

Tu zapoznał się z wielu francuskimi oficerami i wkrótce stał się ich ulubieńcem.

Zaznajomił się i z porucznikiem Gernois, człowiekiem lat około czterdziestu, który mało utrzymywał towarzyskich stosunków ze swymi kolegami i który wydał mu się człowiekiem zamkniętym w sobie, hipochondrycznego usposobienia.

W ciągu miesiąca nie wydarzyło się nic ważnego. Porucznika Gernois nikt nie odwiedzał, a w czasie okolicznościowych wizyt w mieście nie' komunikował się z nikim, kto nawet w najbujniejszej imaginacji mógłby uchodzić za tajnego agenta obcego państwa. Tarzan zaczął wierzyć, że koniec końców pogłoski były prawdopodobnie fałszywe, kiedy nagle porucznik Gernois otrzymał rozkaz udania się do Bu Saadu w małej Saharze, daleko na południe.

Trzej oficerowie i oddział spahisów mieli zmienić załogę innego oddziału, który tam się znajdował.

Szczęśliwym trafem jeden z tych oficerów, kapitan Gerard, był bardzo dobrym znajomym Tarzana, kiedy więc człowiek-małpa wyraził życzenie skorzystania z okazji i prosił, aby mógł im towarzyszyć do Bu Saada, gdzie spodziewał się znaleźć okazję do polowania, nie wywołało to żadnych podejrzeń.

W Buiru oddział wysiadł z wagonów. Resztę podróży trzeba było odbywać w siodle.

Kiedy Tarzan w Buiru wypatrywał dla siebie wierzchowca, ujrzał przelotnie człowieka w europejskim stroju, przypatrującego się mu z sieni miejscowej kawiarni, lecz w chwili gdy Tarzan na niego spojrzał, człowiek ten cofnął się i wszedł do małej, niskiej, glinianej chaty. Tarzan miał wrażenie, że w twarzy i postaci tego człowieka było coś mu znanego, dawniej widzianego, lecz na tym poprzestał i więcej o spotkaniu nie myślał.

38

Marsz do Aumale był męczący dla Tarzana, którego całe doświadczenie w jeździe konnej ograniczało się do lekcji jazdy konnej w paryskiej ujeżdżalni. Wskutek zmęczenia zaraz po przybyciu do hotelu Grossal udał się do łóżka, chcąc wypocząć. Oficerowie i oddział zajęli swe kwatery wojskowe.

Chociaż Tarzan następnego rana wstał wcześniej, oddział spahisów wyruszył w drogę, gdy on był jeszcze przy śniadaniu. Pośpiesznie kończąc swe śniadanie, aby żołnierze nie wyprzedzili go zbyt, spojrzał przez drzwi, dzielące jadalnię od kantoru.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył stojącego tam porucznika Gernois, rozmawiającego z tym właśnie cudzoziemcem, którego widział poprzedniego dnia w Buiru w kawiarni.

Wiedział, że był to ten sam człowiek, gdyż uderzało go w nim jakieś podobieństwo znajomej postaci, chociaż stał ku niemu plecami.

Kiedy przyglądał się obu, porucznik Gernois spojrzał i spostrzegł badawczy wyraz na twarzy Tarzana. Obcy człowiek mówił coś szeptem, lecz francuski oficer przerwał mu natychmiast i obaj zaraz wyszli i zniknęli z oczu Tarzana.

Było to pierwsze, wzbudzające podejrzliwość wydarzenie, którego Tarzan był świadkiem, w działalności porucznika Gernois. Przekonany był jednak, że ci dwaj ludzie opuścili kawiarnię właśnie dlatego, że Gernois spostrzegł skierowane na nich oczy Tarzana, prócz tego nie opuszczało go wrażenie, że dostrzegał w cudzoziemcu coś sobie znanego, wszystko to umocniło w Tarzanie przypuszczenie, że pochwycił w końcu coś, co zasługiwało na uwagę.

Zaraz potem Tarzan wszedł do kantoru, lecz ci ludzie już wyszli i nie odnalazł ich nigdzie w mieście, chociaż pod pretekstem zakupów zajeżdżał do wielu sklepów, zanim udał się w dalszą podróż za oddziałem, który go teraz znacznie wyprzedził. Nie złączył się z nim aż po południu, po przybyciu do Sidi Aissa, gdzie żołnierze zatrzymali się na godzinny wypoczynek. Tu spotkał znów porucznika Gernois, lecz cudzoziemca nie było nawet śladu.

Był to dzień targowy w Sidi Aissa. Niezliczone karawany wielbłądów, przybywających z pustyni, tłumy kłócących się Arabów na targu zrodziły w Tarzanie wielką chęć do pozostania tu cały dzień, by przyjrzeć się tym synom pustyni. Stało się więc to, że po południu oddział spahisów odjechał w kierunku Bu Saada bez niego. Cały czas aż do zmierzchu Tarzan spędził chodząc po targu w towarzystwie młodego Araba, niejakiego Abdula, którego mu zalecił właściciel zajazdu, jako wiernego służącego i tłumacza.

Tu Tarzan kupił sobie lepszego wierzchowca niż ten, jakiego wyszukał sobie w Buirra i zawiąawszy rozmowę z poważnym Arabem, właścicielem konia, dowiedział się, że był

to Kadur ben Saden, szejka plemienia z pustym zamieszkującego niedaleko Dżelfy. Przez Abdula Tarzan zaprosił swego nowego znajomego na wspólny obiad. Gdy we trójkę przechodzili przez tłumy ludzi kupujących, wielbłądów, osłów i koni, wypełniających plac targowy, wśród zmieszanej wieży Babel dźwięków, Abdul pochwycił za rękaw Tarzana.

- Spójrz, panie, za siebie - i obrócił się, wskazując na postać, która ukryła się za wielbłądem, kiedy Tarzan się obejrzał. - Człowiek ten siedł za nami cały czas - ciągnął

dalej Abdul.

- Spostrzegłem tylko figurę Araba w ciemnoniebieskim burnusie i białym turbanie -. rzekł

Tarzan. - Czy to ten?

39

- Tak. Podejrzewam go, gdyż jest to ktoś obcy i widocznie jest tylko zajęty śledzeniem nas, czego nie robiłby żaden Arab, który jest uczciwy, a prócz tego zakrywa on dolną część swej twarzy, a patrzy tylko jego oczy. Musi to być zły człowiek, w przeciwnym razie zatrudniałby swój czas jakim uczciwym zajęciem.

- Widocznie jest na fałszywym tropie, Abdulu - odpowiedział Tarzan - gdyż nikt tu nie może mieć do mnie pretensji. Po raz pierwszy zwiedzam wasz kraj i nikt mnie tu nie zna.

Wkrótce spostrzeże swój błąd i przestanie za nami chodzić.

- A jeżeli on ma na celu grabież? - odpowiedział Abdul.

- Jeżeli tak, to nie mamy nic lepszego do zrobienia, jak wyczekać, aż spróbuje na nas napaść, - rzekł ze śmiechem Tarzan - zapewniam cię, że odechce mu się grabieży, skoro jesteśmy uprzedzeni. - Rzekłszy to, Tarzan przestał myśleć o Arabie, chociaż przeznaczone mu było przypomnieć sobie to zajście przed upływem kilku godzin, wśród zupełnie nieprzewidywanych okoliczności.

Kadur-ben-Saden po dobrym obiedzie żegnał się ze swym gospodarzem. Zapewniając z godnością o przyjaźni, zaprosił Tarzana, by go odwiedził w jego posiadłościach, gdzie żarliwy myśliwy mógł znaleźć antylopy, jelenie, dziki, pantery i lwy w dostatecznej ilości.

Rozstawszy się z Kadurem ben Sadenem, człowiek-mała z Abdulem udali się znów na ulice Sidi Aissy. Uwagę Tarzana zajęły hałaśliwe dźwięki, wychodzące z otwartych drzwi jednej z licznych kawiarni mauretańskich. Była godzina po ósmej i taniec szedł w najlepsze, gdy Tarzan wszedł. Sala przepełniona była tłumem Arabów. Wszyscy palili fajki i pili gęstą, gorącą kawę.

Tarzan i Abdul usiedli w środku pokoju, chociaż z powodu okropnego hałasu wywoływanego przez muzykantów uderzających w kotły i grających na trąbach miejsce bajdziej oddalone byłoby odpowiedniejsze dla lubiącego spokój Tarzana. Tańczyła miłej postaci Uled-Nail, a ta ujrzawszy europejski strój Tarzana i przewidując hojny datek, rzuciła swoją jedwabną chusteczkę na jego ramiona, za co spodziewała się dostać franka.

Kiedy na jej miejsce zjawiała się inna jasnooka tancerka, Abdul spostrzegł, że owa pierwsza rozmawiała z dwoma Arabami w końcu sali, w pobliżu bocznych drzwi, wychodzących na wewnętrzne podwórze, otoczone galerią, wzdłuż której znajdowały się pokoje tancerki kawiarni.

Z początku mało zwracał na to uwagi, spostrzegł jednak, spozierając spod oka, że jeden z tych ludzi skinął w ich kierunku, a dziewczyna obróciła się i rzuciła przelotnym okiem na Tarzana. Po czym Arabowie zniknęli, wychodząc przez drzwi w ciemności podwórza.

Kiedy znowu przyszła kolej na pierwszą tancerkę do popisów, unosiła się wciąż w pobliżu Tarzana i dla Tarzana miała najśłodsze uśmiechy. Z nachmurzonymi minami spoglądali smagli, ciemnoocy synowie pustyni na dorodnego Europejczyka, lecz ani uśmiechy, ani rzucane złe spojrzenia nie robiły na nim żadnego dającego się zauważyć wrażenia. Po raz drugi tancerka zarzuciła mu na ramiona swą chustkę i znowu dostała franka.

Wkładając monetę u czoła, według zwyczaju, schyliła się nisko ku Tarzanowi i wyszeptala szybko do ucha:

- Jest tu dwu ludzi na podwórzu - rzekła łamaną francuzczyzną - którzy zamyślają coś złego przeciwko panu. Początkowo obiecałam im wywabić pana ku nim, lecz był pan dla 40

mnie uprzejmy, nie chcę tego uczynić. Uchodź szybko, zanim spostrzegą, że ich zwiodłam. Zdaje mi się, że są to bardzo niedobrzy ludzie.

Tarzan podziękował dziewczynie,, zapewniając ją, że będzie uważał. Ukończywszy taniec, odeszła i przez małe drzwi wyszła na podwórze. Tarzan jednak nie opuścił

kawiarni, jak nalegała.

Przez następne pół godziny nie zaszło nic niezwykłego, potem jednak wszedł do kawiarni z ulicy jakiś Arab o chmurnej twarzy. Stanął przy Tarzanie i zaczął głośno czynić ubliżające Europejczykowi uwagi, ponieważ jednak mówił w swym języku, Tarzan zupełnie był nieświadom ich treści, póki Abdul nie objaśnił mu ich znaczenia.

- Ten człowiek szuka zwady - ostrzegł Abdul. - Nie jest sam. W rzeczy samej, w razie awantury, prawie wszyscy tu będą przeciwko panu. Lepiej w spokoju wyjść.

- Zapytaj się go, czego chce - wydał rozkaz Tarzan.

- Mówi, że "pies chrześcijański" obraził Uled-Nail, która do niego należy. On szuka zwady, panie.

- Powiedz mu, że ja nie obraziłem ani jego, ani żadnej Uled-Nail i że życzę sobie, ażeby poszedł precz i zostawił mnie w spokoju. Nie chcę z nim kłótni, a on nie ma powodu do zwady.

- Mówi - odrzekł Abdul po zakomunikowaniu powyższych słów Arabowi - że nie tylko pan jest psem, jest pan synem psa i że pańska matka była hieną, a przy tym, że pan łże.

Uwagę osób, znajdujących się w pobliżu, zwróciła na siebie ta sprzeczką, a szyderczy śmiech, jaki się rozległ po tym potoku obelżywych wyrazów, świadczył o usposobieniu większości słuchaczy.

Tarzan nie życzył sobie, aby z niego się śmiano, nie podobały się mu również epitety, jakie do niego zastosował Arab, nie okazał jednak gniewu, powstając ze swego miejsca.

Półśmiech pojawił się na jego ustach, lecz nagle potężny cios uderzył w twarz szydzącego Araba, skierowany strasznymi muskułami człowieka-małpy.

W chwili, kiedy człowiek upadł, pół tuzina dzikich synów równiny skoczyło do pokoju z ukrycia, gdzie widocznie oczekiwali na swoją ofiarę, na ulicy przed kawiarnią. Z

okrzykami: "śmierć niewiernemu!" i "precz z psem chrześcijańskim!" rzucili się wprost na Tarzana.

Pewna liczba młodych Arabów spośród słuchaczy poskoczyła, aby przyłączyć się do natarcia na nie uzbrojonego białego człowieka. Tarzan i Abdul zostali zepchnięci w głąb pokoju przez samą liczbę napastników. Młody Arab dochował wierności swemu panu i wyciągnąwszy nóż stał u jego boku.

Zadając okropne ciosy, człowiek-małpa obalał z nóg każdego, kto się nawinał pod jego potężne ręce. Walczył ze spokojem, nie mówiąc słowa, a na jego ustach widać było taki sam półśmiech, jak wtedy, gdy się podniósł, by ukarać łżącego go Araba. Zdawało się rzeczą niemożliwą, ażeby on i Abdul mogli ująć z życiem przed nawałą groźnie wzniesionych szabel i noży, lecz mnogość napastników była im najlepszą osłoną. Tak skłębiony i zbity był wrzeszczący, wykrzykujący przekleństwa tłum, że nikt z nacierających nie mógł użyć skutecznie oręża i nikt z Arabów nie ośmielał się użyć broni palnej z obawy postrzelenia kogoś ze swych współrodaków.

41

W końcu udało się Tarzanowi pochwycić w ręce jednego z najbardziej uporczywych napastników. Szybko skręciwszy mu rękę, wytrącił mu broń, a potem trzymając go przed sobą jak tarczę, zaczął się cofać powoli, mając przy sobie Abdula, ku drzwiczkom, prowadzącym na dziedziniec. Na progu zatrzymał się chwilę i wzniosłszy opierającego się Araba ponad swą głowę, rzucił go jak pocisk wprost w twarze tłoczących się ludzi.

Wtedy Tarzan i Abdul wyszli na ciemny dziedziniec. Przestraszone Uled-Naile kuliły się w górze na schodach prowadzących do ich pokoi. Na dziedziniec padało tylko światło z kiepskich świec, które każda z nich przylepiała do odrzwi, aby zwrócić uwagę przechodniów.

Jak tylko Tarzan z Abdulem opuścili salę, zagrzmiął wystrzał rewolwerowy, skierowany w nich, z ciemności, okrywających schody, a gdy obrócili się ku nowemu wrogowi, dwie postacie z owiniętymi twarzami wypadły z boku, strzelając po drodze. Tarzan poskoczył, by zetrzeć się z tymi dwoma nowymi napastnikami. W mgnieniu oka jeden z nich leżał

powalony w błocie podwórza bezbronny i wydając jęki z powodu skręconej ręki. Nóż Abdula przeciął życie drugiego w chwili, gdy rewolwer jego, przyłożony do czoła wiernego Araba, nie wypalił.

Rozwścieczona banda wytoczyła się teraz na dziedziniec kawiarni, ścigając swą ofiarę.

Uled-Naile pogasiły świece na znak dany przez jedną z nich i teraz na dziedziniec przedostawało się słabe światło jedynie z odemkniętych, lecz zatłoczonych drzwi kawiarni. Tarzan pochwycił szablę z rąk człowieka, który zginął pod nożem Abdula i oczekiwał napadu ludzi poszukujących ich w ciemności.

Nagle poczuł dotknięcie delikatnej ręki na ramieniu i usłyszał kobiecy szept - Prędko, panie, tędy. Chodź za mną.

- Chodź, Abdulu - rzekł Tarzan cichym głosem do chłopca - nie spotka nas tam nic gorszego niż tu.

Kobieta zawróciła i poprowadziła ich po wąskich schodach na górę, gdzie była jej kwatery. Tarzan szedł tuż za nią. Widział złote i srebrne bransoletki na rękach, łańcuszki złotych monet, zwisające z jej włosów i jaskrawe suknie. Domyślił się, że była to jedna z Uled-Naile i czuł instynktownie, że była to ta sama, która przedtem tegoż wieczoru już go ostrzegła przed napaścią.

Gdy weszli na górę, dochodziły ich gniewne głosy tłumu przeszukującego dziedziniec na dole.

- Wkrótce zaczną i tu szukać - wyszeptała dziewczyna. - Musisz się ukryć, gdyż, chociaż walczysz jak gdyby w tobie były siły wielu ludzi, zamordują cię w końcu. Spiesznie, skocz z tamtego okna na ulicę. Zanim się spostrzegą, że nie ma cię na dziedzińcu, będziesz bezpieczny w swoim hotelu.

Lecz właśnie wtedy, kiedy nie przebrzmiały jeszcze jej słowa, kilkoro ludzi zaczęło wchodzić po schodach, u których szczytu stał Tarzan. Jeden z szukających wydał nagle okrzyk. Odkryto ich. Szybko tłum skierował się na schody. Pierwszy z napastujących poskoczył szybko naprzód, lecz w górze spotkał się z cięciem szabli, którego nie oczekiwał - ofiara nie miała przedtem broni.

Z okrzykiem człowiek spadł w dół na tych, którzy następowali. Jak kręgle potoczyli się po schodach. Stara, wadliwa budowla nie wytrzymała niezwykłego ciężaru. Schody zawaliły

się z trzaskiem pod Arabami, a na górze, na małej platformie, pozostali Tarzan, Abdul i dziewczyna.

- Chodźcie! - zawołała Uled-Naile. - Dosięgną nas na innych schodach, przez pokój sąsiadujący z moim. Nie mamy chwili czasu do stracenia.

Kiedy weszli do pokoju, Abdul usłyszał krzyk z dziedzińca i przetłumaczył, o co chodziło.

Krzyczano, aby pospieszyć na ulicę i odciąć odwrót z tej strony.

- Teraz jesteśmy zgubieni - rzekła dziewczyna z prostotą.

- Jak to, kto, my? - zapytał Tarzan.

- Tak, panie - odpowiedziała - i mnie także zabiją. Czyż nie pomagałam wam?

To zmieniało sprawę. Dotychczas Tarzan z przyjemnością brał udział w podniecającym i niebezpiecznym starciu. Nie powstało mu w głowie, że Abdul lub dziewczę mogli być w niebezpieczeństwie i dlatego cofał się tylko o tyle, aby uniknąć śmierci samemu. Nie miał

zamiaru szukać ratunku w ucieczce, póki nie zobaczy, że grozi mu niechybna śmierć, gdyby chciał pozostać.

Gdyby chodziło o niego samego tylko, mógłby skoczyć w środek tego zbitego tłumu i walcząc zajadłe na sposób Numy, lwa, mógł wszystkich tak przerazić, że ucieczka byłaby zupełnie łatwa. Teraz musiał pomyśleć i o tych dwu przyjaznych mu istotach.

Podszedł do okna, które wychodziło na ulicę. Za chwilę nadejdą tam wrogowie. Słyszał, że tłum już wchodzi po innych schodach do sąsiedniego pokoju - będą u najbliższych drzwi za krótką chwilę. Stał nogą na parapecie okna i wychylił się na zewnątrz, nie patrząc jednak w dół.

Powyżej, na odległość ręki, widać było niski dach budynku. Zawołał na dziewczynę.

Podeszła i stanęła obok niego. Otoczył ją silną ręką i uniósł na swe plecy.

- Zaczekaj tu, aż podam ci rękę z góry - rzekł do Abdula. - Tymczasem przesunij wszystko, cokolwiek się da ku drzwiom, byj e zatarasować - może to ich powstrzymać przez dłuższy czas. Przystąpił do wąskiego okna, unosząc dziewczynę na plecach. -

Trzymaj się mocno - ostrzegł. W chwilę później wspiał się na dach w górę ze swobodą i zwinnością małpy. Postawiwszy dziewczynę, wychylił się poza brzeg dachu, wołając po cichu na Abdula. Młodzieniec podbiegł do okna.

- Podaj mi rękę - wyszeptał. Ludzie w sąsiednim pokoju dobijali się do drzwi. Nagle z trzaskiem wyleciały drzwi rozłupane w kawałki, lecz w tymże momencie Abdul został

uniesiony jak piórko na dach. Stało się to w sam czas, gdyż w tejże chwili ludzie wpadli do pokoju, który tamci opuścili, a kilkunastu innych, okrążywszy węgiel domu, podbiegło na to miejsce na ulicy, gdzie wychodziło okno pokoju.

ROZDZIAŁ VIII

BITWA NA PUSTYNI

Kiedy we troje siedzieli na dachu, usłyszeli gniewne przekleństwa Arabów w pokoju poniżej. Abdul

tłumaczył, co usłyszał, Tarzanowi.

- Wymyślają teraz tym, co są na dole na ulicy - rzekł Abdul - za to, że pozwolili nam umknąć tak łatwo. Ci na dole mówią, że nikt nie uszedł tą drogą- że jesteśmy wciąż w domu i że to oni, ci na górze, chcą ich okłamać, żeśmy umknęli, ponieważ brak im 43

odwagi, aby na nas natrzeć. Za chwilę rozpocznie się między nimi bójka, jeżeli będą się tak kłócili.

W końcu ci, co pozostawali w budynku, dali pokój poszukiwaniom i powrócili do kawiarni.

Kilku pozostało na ulicy, paląc i rozmawiając.

Tarzan przemówił do dziewczyny, dziękując jej, że poświęciła się dla niego, obcego jej człowieka.

- Poczułam sympatii dla pana - rzekła z prostotą. - Niepodobny pan był do zwykłych gości kawiarni. Mówił pan grzecznie - podarował mi pan franka, nie dodając obelgi.

- Co będziesz robiła teraz? - zapytał. - Nie możesz powrócić do kawiarni. Nie wiem, czy będziesz bezpieczna, pozostając w Sidi-Aissa?

- Jutro całe zajście będzie zapomniane - odpowiedziała. - Bardzo bym jednak pragnęła, żebym nie potrzebowała nigdy powracać ani do tej, ani do żadnej innej kawiarni. Nie z własnej woli tam byłam, byłam jako jeniec.

- Jako jeniec! - wykrzyknął Tarzan niedowierzająco.

- Jako niewolnica - to właściwsze wyrażenie - odpowiedziała. - Pochwycono mnie jako łup z duaru mego ojca. Przywieźli mnie tu i sprzedali Arabowi, który ma kawiarnię.

Prawie dwa lata nie widziałam swoich. Żyją daleko na południu. Nigdy nie przyjeżdżają do Sidi-Aissa.

- Chciałabyś powrócić do swoich? - zapytał Tarzan. - Jeżeli tak, to obiecuję doprowadzić cię bezpiecznie aż do Bu Saada, jeżeli nie dalej. Tam bez wątplenia będziemy mogli uzyskać od komendanta, że odeśle cię do domu.

- Ach, panie - zawołała -jakżeż będę mogła ci się odwdzięczyć! Nie mogę uwierzyć, że istotnie chcesz to dla mnie biednej uczynić. Mój ojciec mógłby jednak okazać wdzięczność i odwdzięczyć się. Czyż nie jest on wielkim szeikiem? Nazywa się Kadur ben Saden.

- Kadur ben Saden! - wykrzyknął Tarzan. - Co mówisz, Kadur ben Saden tej nocy właśnie jest w Sidi-Aissa. Jedliśmy wspólnie obiad kilka zaledwie godzin temu.

- Ojciec mój w Sidi-Aissa? - zawołała zdziwiona dziewczyna.

- Allachowi niech będzie chwała, jestem ocalona. :- Sza! - ostrzegł Abdul. - Słuchajcie.

Z dołu dochodził dźwięk głosów, dających się rozróżnić wśród ciszy nocnej. Tarzan nie mógł zrozumieć wyrazów, lecz Abdul tłumaczył.

- Odeszli teraz - przemówiła dziewczyna. - Pana chcą mieć w rękach. Jeden z nich powiedział, że cudzoziemiec, który przyobiecał pieniądze za pańską głowę, zatrzymał się w domu Akmeda din Sulefa i ma zwichniętą rękę, że przyobiecał on wypłacić jeszcze większe wynagrodzenie tym, którzy urządzą na pana zasadzkę na drodze do Bu Saada i pozbawią pana życia.

- To ten, kto chodził za panem dziś na targu - zawołał Abdul.

- Widziałem go dziś w kawiarni, a z nim był drugi, to oni wyszli na dziedziniec po rozmowie z tą oto dziewczyną. Oni to rozpoczęli napaść i strzelali do nas, gdyśmy wyszli z kawiarni. Dlaczego zawzięli się ciebie zabić, panie?

- Nie wiem - odpowiedział Tarzan, po czym pomyślawszy dodał: - Chyba że... - lecz nie skończył swej myśli, gdyż to, co mu przyszło do głowy, chociaż w sposób racjonalny mogło tłumaczyć tajemnicę, wydało mu się zupełnie nieprawdopodobne.

44

Ludzie z ulicy odeszli. Dziedziniec i kawiarnia opróżniły się. Ostrożnie Tarzan spuścił się na parapet okna. Pokój był pusty. Powrócił na dach i spuścił Abdula, a potem dziewczynę na ręce oczekującego Araba.

Z okna Abdul wyskoczył z niewielkiej wysokości na ulicę, a Tarzan, wzięwszy dziewczę za rękę, zeskoczył, jak czynił to w tylu innych razach z ciężarem na rękę. Dziewczę wydało słaby okrzyk niepokoju, lecz Tarzan stanął na ziemi bardzo lekko i pozwolił jej stanąć na nogach.

Przycisnęła się do niego na chwilę.

- Jak silny jest pan i jak dzielny - zawołała. - El adrea, czarny lew, nie jest mocniejszy.

- Chciałbym spotkać tego waszego el adrea - rzekł. - Wiele o nim słyszałem opowiadań.

- Jeżeli przyjedzie pan do duaru mego ojca, zobaczy go pan - rzekła. - Zamieszkuje cypel gór na północ od nas i nocą schodzi w dół na grabież ojcowskiego duaru. Jednym uderzeniem swej potężnej łapy miażdży czerep wołu i biada zapóźnionemu podróżnikowi, który spotka się z el adrea po nocy.

Bez żadnych dalszych złych przygód dotarli do hotelu. Rozespany gospodarz nie chciał

początkowo żadną miarą zająć się poszukiwaniem Kadura ben Sadena i chciał czekać do następnego rana, lecz sztuka złota nadała inny obrót sprawie, tak że w kilka minut później wybrał się służący z hotelu, by obejść mniejsze zajazdy dla krajowców, gdzie -

jak można było przypuszczać - szejk z pustyni mógłby znaleźć dobrane dla siebie towarzystwo. Tarzan uważał za rzecz konieczną odnaleźć ojca dziewczyny jeszcze tej nocy, obawiał się bowiem, że starzec mógł wyruszyć w drogę powrotną zaraz nazajutrz zbyt wcześnie rano.

Po półgodzinnym niespełna oczekiwaniu powrócił goniec z Kadurem ben Sadenem.

Stary szejek wszedł do pokoju, a na jego dumnej twarzy widać było wyraz pytania.

- Pan był tak łaskaw... - rozpoczął, a przy tych słowach oczy jego ujrzały dziewczynę. Z

wyciągniętymi rękoma pośpieszył ku niej. - Moja córka! - zawołał. - Allah jest miłosierny! -

i łzy zasłoniły wzrok starego wojaka.

Kiedy Kadur ben Saden usłyszał opowieść o uprowadzeniu swej córki i o jej odbiciu, wyciągnął rękę do Tarzana.

- Wszystko, co należy do Kadura ben Saden, jest twoje, mój przyjacielu, a nawet życie -

rzekł z wielką prostotą, lecz Tarzan wiedział, że nie były to ciche słowa.

Zadecydowano, że chociaż trojgu z nich wypadnie jechać po nieprzespanej nocy, to jednak najlepiej będzie wyruszyć wczesnym rankiem i starać się przebyć całą drogę do Bu Saada w jeden dzień. Dla mężczyzn była to rzecz stosunkowo nietrudna, lecz dla dziewczyny była to bez wątpienia bardzo uciążliwa podróż.

Ona jednak najbardziej nalegała na natychmiastowy wyjazd, gdyż pragnęła jak najprędzej powrócić do rodziny i przyjaciół, których nie widziała przez dwa lata.

Tarzanowi wydało się, że prawie oka nie zmrużył, a już go obudzono. W godzinę później całe towarzystwo było w drodze na południe ku Bu Saada. Kilka mil angielskich droga była dobra i posuwali się szybko naprzód, nagle jednak zniknęła twarda ziemia, a rozpoczął się piaszczysty grunt pustyni, w którym konie zapadały się za każdym krokiem po pęciny. Prócz Tarzana, Abdula, szejka i jego córki, brali udział w podróży czterej mieszkańcy pustyni z plemienia szejka, którzy towarzyszyli mu w podróży do Sidi-Aissa.

45

Będąc tedy w sile siedmiu strzelb, nie obawiali się napaści za dnia, a gdyby wszystko poszło pomyślnie, mieli nadzieję dotrzeć do Bu Saada przed zapadnięciem nocy.

Dął silny wiatr, zawiewając tumany piasku. Usta Tarzana wyschły, skóra na wargach popękała. Niewiele było do oglądania w otaczającej go okolicy, kraj naokoło nie był

nęcający - widział rozległe obszary dzikiego kraju, niewielkie jałowe pagórki nakryte czubami nędznych krzewin. Daleko w południowej stronie wznosiły się ciemne zarysy gór Sahara Atlasu. Jak niepodobny był ten widok, pomyślał Tarzan, do tej wspaniałej Afryki, którą znał z czasów dzieciństwa.

Abdul, bacznym na wszystko, oglądał się wciąż za siebie, obserwował również drogę przed sobą. Na wierzchołku każdego pagórka, na który wjeżdżali, zatrzymywał konia, obracał się, by rozejrzeć się

badawczo po całej okolicy, pozostawionej w tyle. W końcu rozglądanie się pozwoliło mu coś dostrzec.

- Patrzcie! - zawołał. - Widzę sześciu jeźdźców na koniach za nami.

- Bez wątpienia są to pańscy przyjaciele z ostatniego wieczora, - zauważył ben Saden sucho, zwracając się do Tarzana.

- Właśnie - odpowiedział człowiek-małpa. - Przykro mi, że moja osoba narazi na niebezpieczeństwo waszą podróż. W najbliższej wiosce zatrzymam się, by rozpytać się tych panów, a wy pojedziecie dalej. Nie ma potrzeby, abym stanął w Bu Saada dziś w nocy, a wy powinniście jechać w pokoju.

- Jeżeli się zatrzymasz i my się zatrzymamy - rzekł Kadur ben Saden. - Tyle mam tylko do powiedzenia, że dopóki bezpieczeństwo twoje i twoich przyjaciół nie jest zapewnione, a nieprzyjaciel nie porzucił twego śladu, pozostaniemy z tobą.

Tarzan skinął tylko głową. Nie lubił wiele mówić i być może z tej przyczyny, jak również z innych Kadur ben Saden upodobał sobie go, gdyż Arab przede wszystkim pogardza gadatliwym człowiekiem.

Przez całą resztę dnia Abdul od czasu do czasu dostrzegał jeźdźców posuwających się w tyle. Trzymali się wciąż w tej samej odległości. W czasie dorywczych odpoczynków i dłuższego postoju w południe nie podchodzili bliżej.

- Czekają zmroku - rzekł Kadur ben Saden.

Zmrok zapadł, nim dojechali do Bu Saada. Ostatnim razem, kiedy Abdul mógł jeszcze dojrzeć ponure, białe odziane postacie, posuwające się za nimi w ślad, zanim zapadające ciemności uniemożliwiły rozróżnianie przedmiotów, widział wyraźnie, że te postacie ludzi szybko skracają przestrzeń dzielącą ich od ofiar, które mieli na celu.

Zakomunikował o tym szeptem Tarzanowi, gdyż nie chciał niepokoić dziewczyny.

Człowiek-małpa zatrzymał się z nim z tyłu.

- Pojedziesz naprzód wraz z innymi, Abdulu - rzekł Tarzan. - To jest moja rozprawa.

Zaczekam na ichmościów przy najbliższym dogodnym miejscu i porozmawiam z nimi.

- Abdul pozostanie przy twoim boku - odrzekł młody Arab i żadne groźby ani rozkazy nie poskutkowały, by odmienił swe postanowienie.

- Dobrze więc - odrzekł Tarzan. - Tu oto jest takie dogodne miejsce, jakiego nam trzeba.

Widzę tu skały na wierzchołku tego pagórka. Ukryjemy się tam i policzymy się z nimi, gdy się pojawią.

Zatrzymali swe konie i zsiadli na ziemię. Jadący na przedzie wyprzedzili ich daleko, nie widać ich było w ciemności. W oddali świeciły się już ognie Bu Saada. Tarzan zdjął

strzelbę i poprawił rewolwer w olstrach*. Kazał Abdulowi cofnąć się z końmi za skały, aby miały osłonę w razie strzałów. Młody Arab udał, że spełnia dany mu rozkaz, lecz skoro przywiązał w sposób pewny zwierzęta do niskich krzewin, popełził z powrotem i położył

się na brzuchu o kilka kroków z tyłu za Tarzanem.

Człowiek-małpa stanął w wyniosłej postawie i czekał na środku drogi. Nie czekał długo. Z

ciemności poniżej rozległ się tętent cwałujących koni, a zaraz potem rozróżnił

poruszające się kontury jaśniejszego koloru, odbite od zbitych ciemności nocnych.

- Stój - krzyknął - bo będziemy strzelać.

Białe postacie zatrzymały się nagle. Przez chwilę panowała cisza. Potem słychać było słowa narady i tajemniczy jeźdźcy rozproszyli się jak duchy we wszystkich kierunkach.

Znów cicha pustynia rozciągała się naokół, była to jednak złowroga cisza, niosąca ze sobą coś złego.

Abdul ukląkł na kolano. Tarzan nasłuchiwał wyćwiczonym w dżungli uchem i dosłyszał

chrzęst koni przebywających piasek ze wschodu, zachodu, północy i południa. Byli otoczeni. Rozległ się wystrzał z tej strony, w którą patrzył, kula gwizdnęła w powietrzu ponad jego głową. Tarzan wystrzelił w kierunku ognia nieprzyjacielskich strzelb.

Zaraz potem bezdźwięczna pustynia rozległa się szybko po sobie następującymi wystrzałami ze wszystkich strzelb. Abdul i Tarzan strzelali tylko do pojawiających się ogni

- nie mogli dojrzeć swych wrogów. Stało się teraz widoczne, że napastnicy okrążali ich stanowisko, posuwając się coraz bliżej, aż zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że mieli przed sobą tylko bardzo małą liczbę obrońców.

Jeden z nich zbliżył się za blisko, gdyż Tarzan nawykł do patrzenia w puszczy wśród najciemniejszej nocy. Rozległ się okrzyk bólu i jedno siodło było próżne.

- Wieczór nam sprzyja, Abdulu - rzekł Tarzan, lekko śmiejąc się.

Wciąż jednak siły były bardzo nierówne, a kiedy pięciu pozostałych jeźdźców zrobiło koło i na dany znak z impetem natarło, zdawało się, że będzie krótki koniec bitwy. Tarzan i Abdul, obaj pobiegli ukryć się za skałami, mając wroga przed sobą. Słychać było szalony pobrzęk galopujących podków, grzmot wystrzałów z obu stron i Arabowie po pewnym czasie cofnęli się, by ponowić manewr, było ich jednak teraz już tylko czterech.

Przez chwilę nie dochodził żaden dźwięk z otaczających ciemności. Tarzan nie był

pewien, czy Arabowie, spostrzegłszy swe straty, dali pokój bitwie czy też oddalili się, by nieco opodać zacząć się na nich, gdy pojedą do Bu Saada. Niedługo miał wątpliwości, gdyż znowu z tejże strony zbliżał się atak. Zaledwie jednak pierwsza strzelba przemówiła, gdy kilkanaście wystrzałów rozbrzmiało z tyłu poza Arabami. Słychać było okrzyki nowych ludzi, biorących udział w walce i uderzenia kopyt licznych koni zbliżających się od drogi do Bu Saada.

Arabowie nie czekali, by rozpoznać, kim byli przybywający ludzie. Wystrzeliwszy salwę, objechali stanowisko, gdzie bronili się Tarzan i Abdul, i zniknęli w głębiach po drodze do Sidi-Aissa. W chwilę później nadbiegli Kadur ben Saden i jego ludzie.

Stary szejek uradował się wielce, widząc, że ani Tarzan, ani Abdul nie byli nawet draśnięci.

Nawet koniom nic się nie stało. Zaczęto szukać tych dwojga ludzi, których dosięgły 47

strzały Tarzana, a gdy spostrzeżono, że obaj byli zabici, pozostawiono ich na miejscu, gdzie padli. - Dlaczego nie powiedział nam pan, że zamierzał pan uczynić zasadzkę na tych ludzi? - przemówił szejek urażonym tonem. - Moglibyśmy porazić ich wszystkich, gdyby nas siedmiu wzięło udział w spotkaniu.

Nie skończyłoby się to tak wtedy - odrzekł Tarzan - gdybyśmy pojechali w stronę Bu Saada, natarliby na nas i wszyscy byliby w tę sprawę wplątani. Zatrzymaliśmy się tu z Abdulem dla rozprawy z nimi, aby nie przekładać własnej zwady na cudze plecy. A przy tym w towarzystwie z nami jechała wasza córka. Nie chciałem, by z mojej przyczyny była narażona niepotrzebnie na strzały sześciu ludzi.

Kadur ben Saden wzruszył ramionami. Nie podobało mu się to, że ominęła go bitwa.

Potyczka ta, stoczona tuż pod Bu Saada, ściągnęła na miejsce oddział żołnierzy. Tarzan i jego kompania spotkali ten oddział przed samym miastem. Dowodzący oficer zatrzymał

ich, pytając o znaczenie strzałów.

- Była to banda maruderów - odrzekł Kadur ben Saden. - Napadli dwu z naszych, którzy pozostali w tyle, lecz gdyśmy zawrócili, zaraz się rozproszyli. Pozostawili dwu zabitych.

Nikt z moich został zraniony.

Wyjaśnienie to zadowoliło oficera. Wypytał się o imiona spotkanych, oficer nakazał

swym ludziom udać się na miejsce potyczki, by zabrać ciała zabitych w celu stwierdzenia tożsamości osób, jeżeli będzie to możliwe.

W dwa dni później Kadur ben Saden, wraz z córką i towarzyszami, odjechał na południe przez przesmyk górski poza Bu Saada, udając się do swego domu na pustyni. Szejek usilnie prosił Tarzana, by mu towarzyszył, a dziewczyna dołączyła swe prośby do prośb ojca, jednakże obowiązki Tarzana, chociaż nie mógł tego Sadenowi wyjaśnić, były bardzo naglące, szczególnie po wydarzeniach

ostatnich dni, nie mógł więc myśleć o opuszczeniu swego stanowiska ani na chwilę. Obiecał jednak wybrać się później, jeżeli będzie to w jego mocy, i musieli poprzestać na tej obietnicy.

W ciągu dwu tych dni Tarzan spędził prawie cały czas z Kadurem ben Sadenem i jego córką. Zainteresował się bardzo tym plemieniem surowych i pełnych godności wojowników, i chętnie gotów był skorzystać z nadarzającej się sposobności, by dzięki ich przyjaźni zapoznać się z ich życiem i obyczajami. Zaczął nawet rozumieć ich język pod opieką ciemnookiej dziewczyny. Z prawdziwym żalem rozstawał się z nimi. Zatrzymał

swego konia u bramy do przesmyku, dokąd ich odprowadził, spoglądając za nimi tak długo, jak długo mógł ich dojrzeć.

To byli ludzie, którzy przypadli mu do serca! Ich wolne, surowe życie, pełne przygód i znojów, podobało mu się bardziej niż życie wśród zniewieściałej cywilizacji wielkich miast, które zwiedził. To było życie wyższe nawet ponad życie w dżungli, gdyż mógł tu

korzystać z towarzystwa Judzkiego - towarzystwa ludzi, których mógł szanować i czcić, a przy tym mógł przebywać na łonie dzikiej natury, którą ukochał. W głowie jego pojawiła się myśl, żeby po ukończeniu swej misji zrzec się stanowiska i powrócić, by tu spędzić reszkę swych dni wśród plemienia Kadura ben Sadena.

Zawrócił konia i odjechał wolno do Bu Saada.

Front hotelu Małej Sahary, gdzie Tarzan się zatrzymał w Bu Saada, zajmował kantor, dwa pokoje jadalne i kuchnia. Sale jadalne stykały się z kantorem, a jedna z nich 48

przeznaczona była dla oficerów garnizonu. Stojąc w kantorze, można było widzieć, co się działo w każdym z pokoi jadalnych.

Tarzan po wyprawieniu w drogę Kadura ben Sadena i jego towarzystwa wszedł do kantoru. Było to wczesnym rankiem, gdyż Kadur ben Saden chciał daleko ujechać za dnia, zdarzyło się więc, że gdy Tarzan powrócił, goście byli jeszcze zajęci śniadaniem.

Kiedy Tarzan rzucił dorywcze spojrzenie na oficerską salę jadalną, dostrzegł coś, co kazało mu spojrzeć z uwagą przed siebie. Siedział tam porucznik Gernois, a na oczach Tarzana zbliżył się do porucznika biało odziany Arab i skłoniwszy się, zaszeptał coś do uszu porucznika. Po czym wyszedł z hotelu przez inne drzwi.

Rzecz sama w sobie nie miała znaczenia, lecz gdy człowiek ten pochylił się, mówiąc do oficera, Tarzan dostrzegł coś, co się ukazało pod odchylnym przypadkowo burnusem -

człowiek ten nosił lewą rękę na temblaku.

ROZDZIAŁ IX

NUMA "EL ADREA"

Tego samego dnia, kiedy Kadur ben Saden odjechał na południe, wóz pocztowy przybywający z północy przywiózł Tarzanowi list od d'Arnota wysłany z Sidi-bel-Abbes.

List odnowił starą ranę, o której Tarzan chciał zapomnieć. Tarzan rad był jednak temu, że d'Arnot list napisał, gdyż jedna z poruszonych w nim spraw nigdy nie przestawała go interesować. Oto treść listu:

Kochany Janie! Od tego czasu, kiedy po raz ostatni do ciebie pisałem, odwiedziłem Londyn w sprawach urzędowych. Byłem tam tylko trzy dni. Zaraz pierwszego spotkałem dawnego twego przyjaciela - zupełnie niespodziewanie- na ulicy Henrietty. Nie zgadłbyś nigdy, kogo. Nie kogo innego, jak pana Philandra. Naprawdę. Nigdy byś nie uwierzył. Ale nie na tym koniec.

Zaprosił mnie, bym zaszedł z nim do hotelu, a tam znalazłem inne osoby - profesora Archimedesza Portera, pannę Porter i tę wielką Murzynkę, służącą panny Porter, Esmeraldę, jak sobie możesz przypomnieć. W czasie moich odwiedzin wszedł i Clayton.

Mają się pobrać wkrótce albo raczej w najbliższym czasie, gdyż zdaje mi się, że każdego dnia można oczekiwać oznajmienia o ślubie. Z powodu żałoby po jego ojcu ma to być zupełnie cicha ceremonia - zaproszeni będą tylko najbliżsi krewni.

Podczas mojej rozmowy z panem Philandrem starszy był w usposobieniu skłonny do zwierzeń. Mówił, że panna Porter już trzykrotnie odkładała dzień zaślubin z powodu różnych okoliczności. Zwierzał się, że jak mu się zdaje, panna Porter wcale nie okazuje pośpiechu, by wyjść za mąż za Clayтона, lecz że ostatecznie ślub teraz ma się odbyć.

Ma się rozumieć, wszyscy dowiadywali się o ciebie. Uszanowałem twoją wolę co do twego istotnego pochodzenia i mówiłem im tylko o twoich sprawach obecnych.

Szczególnie panna Porter okazywała wielkie zainteresowanie tym, co mogłem jej powiedzieć o tobie i zadała mi masę pytań. Obawiam się, że może trochę nie po rycersku miałem przyjemność w tym, aby jej odmalować twe pragnienie i decyzję powrotu kiedyś do ojczystych borów. Później żałowałem tego, gdyż zdaje się sprawiło jej 49

prawdziwą przykrość uprzytomnienie sobie tych okropnych niebezpieczeństw, do jakich chciałbyś powrócić. - A jednak - rzekła - nie wiem co mam powiedzieć. Są ludzkie przeznaczenia jeszcze bardziej nieszczęśliwe niż te nieszczęścia, jakie przedstawia ponura i straszna puszcza dla pana Tarzana. Koniec końców będzie miał sumienie wolne od poczucia winy. A może mieć tam chwile spokoju i wytchnienia i widoki niesłychanej piękności. Może panu wyda się to dziwne, że mówię to, doświadczywszy tak strasznych przygód w tym okropnym lesie, jednak powiem, że czasami pragnęłabym tam powrócić, gdyż czuję, że najszczęśliwsze chwile mego życia tam spędziłam. - Gdy to mówiła, na twarzy jej odbił się niewysłowiony smutek i odczuwałem, że ona wie o tym, że ja znam jej tajemnicę, i że taką drogę obrała, żeby przesłać ci ostatnie czułe poselstwo, pochodzące z serca, które wciąż cził twą pamięć, chociaż jego właścicielka należy już do innego.

Kiedy była mowa o tobie, Clayton okazywał zdenerwowanie i czuł się widocznie źle. Miał

wyraz twarzy zmęczony i udręczony. Wypytywał się jednak o ciebie z wielkim zainteresowaniem i bardzo przyjacielsko. Nie umiem powiedzieć, czy zna prawdę. Z

Claytonem przyszedł Tennigton. Łączy ich wielka przyjaźń, jak ci wiadomo. Zamierza on znów udać się na nową ze swych nigdy nie kończących się wycieczek na własnym jachcie i namawiał przy mnie całe towarzystwo, by mu towarzyszyło. Próbował nawet i mnie skusić do wzięcia udziału. Chce tym razem opłynąć naokoło brzegi Afryki.

Powiedziałem mu, że jego piękne cacko pewnego pięknego dnia zaprowadzi jego i towarzyszące mu grono przyjaciół na dno morza, jeżeli nie wybije sobie z głowy, że jego jacht to nie parowiec oceaniczny, ani statek wojenny. Powróciłem do Paryża przedwczoraj i wczoraj spotkałem hrabiego i hrabinę de Coude na wyścigach. Zapytywali o ciebie. De Coude zdaje się prawdziwie cię pokochał. Nie widać, żeby zachował

najmniejszą choćby urazę. Olga jest równie piękną jak zawsze była, lecz trochę straciła na ożywieniu. Zdaje mi się, że znajomość z tobą była dla niej lekcją, która jej odda dobre usługi w całym dalszym życiu. Szczęście to było dla niej i dla hrabiego również, że trafiła na ciebie, a nie na kogoś innego, bardziej zepsutego. Gdybyś istotnie zajął się Olgą, sądzę, że nie byłoby ratunku dla niej ani dla ciebie.

Kazała mi przekazać ci, że Mikołaj opuścił Francję. Zapłaciła mu za wyjazd i za pozostawanie z dala dwadzieścia tysięcy franków. Rada jest z tego, że udało się jej pozbyć Mikołaja, nim spróbował spełnić groźbę, którą niedawno wyraził, że zastrzeli cię przy pierwszej sposobności. Powiedziała, że przykra byłaby jej myśl o tym, że ręce twoje winne są krwi jej brata, gdyż bardzo cię lubi i mówiła to bez ogródek wobec hrabiego.

Zdaje się, że nawet na chwilę nie powstała w jej głowie myśl, że spotkanie twoje z jej bratem mogłoby się inaczej skończyć. Hrabia co do tego zupełnie się z nią zgadzał.

Dodał, że trzeba by było zebrać chyba pułk Rokowów, by mogli cię zabić. Ma on wielki respekt dla twojej dzielności.

Mam rozkaz powrotu na okręt. Za dwa dni okręt wyrusza z Hawru na morze z zapieczętowanymi rozkazami. Jeżeli wysłesz do mnie list z adresem okrętu, dojdzie do mnie. Napiszę znów, gdy znajdę nową sposobność.

Szczerze przyjazny

Paweł d'Arnot

50

- Zdaje mi się - rzekł Tarzan półgłosem - że Olga na próżno wyrzuciła dwadzieścia tysięcy franków.

Po kilkakroć przeczytał sobie tę część listu, w której d'Arnot przytaczał rozmowę z Janiną Porter. Przyjemność, jaką mu sprawiały te czytane słowa, była mało realna, lecz lepsze było coś niż nic.

Następne trzy tygodnie przeszły bez żadnych przygód. Kilka razy Tarzan widział

tajemniczego Araba, a raz widział, że tenże zamieniał słowa z porucznikiem Gernois.

Spelżył jednak na niczym wszelkie wysiłki wyszpiewowania i wyśledzenia mieszkania Araba, o którym Tarzan chciał się dowiedzieć.

Gernois, który nigdy nie był serdeczny, trzymał się jeszcze bardziej z dala od Tarzana po wydarzeniu w jadalni hotelu w Aumale. Zachowanie jego w kilku wypadkach, w których się z sobą zetknęli, było stanowczo wrogie.

Chcąc zachować pozory, Tarzan, który miał uchodzić za myśliwego polującego dla przyjemności, spędzał dużo czasu na polowaniu w pobliżu Bu Saada. Całe dni spędzał

u podnóża pagórków, udając, że szuka gazeli, lecz gdy mu się kilka razy zdarzyło podejść blisko do tych pięknych zwierząt, zawsze pozwalał im umknąć i nie brał nawet wtedy do ręki broni. Człowiek-małpa nie uznawał zabawy w mordowanie najniewinniejszych i zupełnie bezbronnych stworzeń boskich dla samej przyjemności zabijania.

W rzeczy samej Tarzan nigdy nie zabijał "dla przyjemności" i zabijanie nie było dlań przyjemnością. Uznawał radość w walce o równych siłach - zwycięstwo wprawiało go w uniesienie zachwytu. Uprawiał przebiegłe i skuteczne polowanie dla zdobycia pożywienia, w którym stawiał na równą kartę swoją zręczność i siłę przeciwko zręczności i sile innej istoty, lecz nie pomyślał nigdy, by wybrawszy się z miasta po spożyciu dobrego posiłku strzelać łagodnookie, śliczne gazy - to było czymś bardziej nawet okrutnym niż morderstwo spełnione z rozmysłem i zimną krwią. Tego Tarzan nie chciał, i dlatego polował samotny, aby nikt nie odkrył, że na polowanie wychodził tylko dla zachowania pozorów.

I razu jednego, zapewne właśnie dlatego, że jeździł na polowanie sam jeden, o mało co nie postradał życia. Przejeżdżał wolno mały wąwóz, gdy nagle poza nim rozległ się wystrzał i kula przebiła korkowy hełm, jaki nosił. Chociaż zaraz zawrócił i cwałem przebiegł na szczyt wąwozu, nie mógł dostrzec śladu swego wroga ani żadnego człowieka aż do Bu Saada.

- Tak - mówił do samego siebie - rozważając to, co się stało

- Olga naprawdę wyrzuciła na próżno dwadzieścia tysięcy franków. Tego wieczoru był gościem u kapitana Gerarda na obiedzie.

- Nie był pan zbyt szczęśliwy na dzisiejszym polowaniu- zapytał oficer.

- A nie - odrzekł Tarzan - zwierzyzna tu jest płochliwa, a nie mam zamiłowania do strzelania do ptactwa lub antylop. Chciałbym przenieść się dalej na południe, by popróbować polowania na algierskie lwy.

- Dobrze się składa! - zawołał kapitan. - Jutro wyruszamy do Dżelfy. Będziemy panu towarzyszyli do tej miejscowości. Porucznik Gernois i ja oraz stu ludzi otrzymaliśmy rozkaz przetrząśnięcia na

południu okolicy, w której maruderzy dali się we znaki. Być 51

może trafi się sposobność zapolowania na lwy wspólnie - co pan na to powie? Tarzan był

zachwycony i nie wahał się powiedzieć o tym, lecz kapitan byłby zdziwiony, gdyby wiedział, jaka była istotna przyczyna radości Tarzana. Gernois siedział naprzeciw człowieka- małpy. Temu zaproszenie kapitana widocznie nie sprawiło przyjemności.

- Polowanie na lwy więcej daje wzruszeń niż strzelanina do gazeli - zauważył kapitan Gerard - i jest bardziej niebezpieczne.

- Nawet strzelanina do gazeli przedstawia pewne niebezpieczeństwa - odpowiedział

Tarzan. - Szczególniej, jeżeli kto poluje samotnie. Przekonałem się o tym dziś i przekonałem się również, że chociaż gazela jest najbardziej bojaźliwym ze stworzeń, nie jest najbardziej tchórzliwym.

Powiedziawszy to, rzucił tylko przelotnie wejrzenie na Gernois, ponieważ nie życzył

sobie, aby człowiek ten wiedział, że jest w podejrzeniu lub pod badawczym okiem, chociaż mógł sobie myśleć, co chce. Wrażenie jednak wypowiedzianej przez niego uwagi na poruczniku Gernois mogło w pewien sposób stwierdzać jego związek z pewnymi wydarzeniami ostatniej chwili. Tarzan ujrzał, że ciemnoczerwona fala krwi podniosła się od szyi Gernois. To mu wystarczyło i szybko zmienił przedmiot rozmowy.

Kiedy nazajutrz rano kolumna wyjeżdżała z Bu Saada na południe, kilku Arabów przyłączyło się do niej, zamykając pochód.

- Nie stanowią oni części ekspedycji - odrzekł Gerard w odpowiedzi na pytanie Tarzana. -

Przyłączyli się tylko do nas, aby mieć towarzystwo w drodze.

Tarzan poznał już na tyle charakter Arabów, od czasu jak był w Algierii, że zdawał sobie z tego sprawę, iż nie był to powód istotny, ponieważ Arabowie zwykle nie lubią obcego towarzystwa, a szczególnie towarzystwa francuskich żołnierzy. Wydało mu się to podejrzane i postanowił sobie mieć baczne oko na mały oddziałek, który postępował w ślady kolumny w odległości mniej więcej ćwierci angielskiej mili. Nie przybliżali się jednak, nawet w czasie postojów tak blisko, aby mógł dobrze im się przyjrzeć.

Był przekonany, że byli to najęci zbójcy, idący za nim w ślad i prawie był pewny, że była w tym ręka Rokowa. Nie mógł zdecydować, czy chodziło Rokowowi, by "pomścić fakt, że w wielu wypadkach pokrzyżował jego plany lub poniżył go, czy też nowa zasadzka miała jakiś związek z jego misją i sprawą Gernois. Jeżeli to ostatnie przypuszczenie było słuszne, a to wydawało się prawdopodobne, po przekonaniu się, że Gernois powziął

względem niego podejrzenie, to miał do zwalczania dwu bardzo możliwych wrogów. W

pustynnych okolicach Algierii, które przejeżdżali, nie mogło zabraknąć sposobności do odebrania

życia wrogowi po cichu, nie wywołując podejrzeń.

Po dwudniowym obozowaniu w Dżelfie kolumna skierowała się w kierunku południowo-zachodnim, skąd doniesiono, że maruderzy grasują w tych stronach, grabiąc duary położone u stóp gór.

Mały oddziałek Arabów, którzy towarzyszyli im z Bu Saada, rozproszył się zaraz tegoż wieczoru, którego wydany był rozkaz do przygotowania się do wymarszu z Dżelfy nazajutrz. Tarzan pytał się ludzi, lecz nikt nie umiał powiedzieć, dlaczego odjechali i w jakim kierunku poszli. Nie podobało mu się to wszystko, szczególnie wobec tego faktu, że spostrzegł Gernois w rozmowie z jednym z Arabów w jakieś pół godziny po wydaniu przez kapitana Gerarda instrukcji co do proponowanych ruchów. Tylko Gernois i Tarzan 52

wiedzieli, w jakim kierunku kolumna ma się posunąć. Żołnierzom powiedziano tylko, żeby się przyszykowali do zwinięcia obozu wczesnym rankiem następnego dnia. Tarzan zaczął podejrzewać, że Gernois odkrył Arabom cel i kierunek marszu.

Ku wieczorowi rozbili obóz w małej oazie, gdzie był duar szejka, którego stada skradziono, a pastuchów pozabijano. Arabowie wynurzyli się ze swych skórzanych namiotów i otoczyli żołnierzy, zadając liczne pytania w języku miejscowym, gdyż sami żołnierze rekrutowali się z tubylców. Tarzan, który w tym czasie, dzięki pomocy Abdula, nabył pewnej znajomości arabskiego języka, zaczął wypytywać się jednego ze spotkanych młodych Arabów z otoczenia szejka, w tym czasie, kiedy sam szejk udał się na rozmowę z kapitanem Gerardem.

Nie, nie widział on oddziału sześciu jeźdźców jadących z Dżelfy. Były jeszcze inne oazy rozrzucone w okolicy - być może udali się w tamte strony. W górach, powyżej, kręcili się maruderzy, dojeżdżali w małych oddziałkach na północ do Bu Saada, a nawet aż do Aumale lub Buira. Być może, że była to garstka kilku maruderów powracających do swej bandy z wycieczki organizowanej dla przyjemności do któregoś z tych miast.

Rano nazajutrz kapitan Gerard podzielił' swój oddział na dwa. Porucznikowi Gernois oddał dowództwo nad jednym z nich, a sam zatrzymał dowództwo nad drugim. Oddziały te miały przetrząsnąć góry po obu bokach równiny.

- A z jakim oddziałem pojedzie pan Tarzan? - zapytał kapitan. - A może pan nie życzy sobie brać udziału w polowaniu na maruderów?

- Ach, bardzo chętnie udam się z wami - pośpieszył dać odpowiedź Tarzan. Zamyślił się, szukając, jak wytłumaczyć, że chce się przyłączyć do grupy porucznika Gernois.

Zakłopotanie jego trwało krótko. Usunięte zostało w sposób zupełnie przez niego nieoczekiwany. Sam Gernois przemówił.

- Jeżeli pan kapitan zgodzi się na ten raz jeden wyrzec się miłego towarzystwa pana Tarzana, uważałbym za prawdziwy zaszczyt dla siebie, gdyby pan Tarzan zechciał jechać ze mną - rzekł, a w tonie jego mowy nie brak było serdeczności. W rzeczy samej Tarzan pomyślał, że porucznik w odezwaniu swoim przesadził trochę, lecz pomimo to był

przyjemnie zdziwiony i uradowany i pośpieszył wyrazić swoją radość z uczynionej mu propozycji.

Stało się więc tak, że porucznik Gernois i Tarzan wyjechali, jadąc obok siebie na czele małego oddziałku spahisów. Serdeczność porucznika była krótkotrwała. Skoro tylko stracili z oczu kapitana Gerarda i jego ludzi, Gernois zasklepił się znowu w posepnym milczeniu. Droga stawała się coraz trudniejsza. Wznosiła się wciąż wyżej ku górom, w które wjechali szeregami około południa, przez wąwóz. Gernois kazał oddziałowi zatrzymać się obok małego strumyka na południowy odpoczynek. Ludzie szykowali się do dalszej drogi, zjedli skromny posiłek i uzupełnili swoje tornistry.

Po godzinnym spoczynku wyruszyli dalej wzdłuż wąwozu i wkroczyli na małą dolinę, z której rozchodziły się w różnych kierunkach skaliste czeluście. Tu zatrzymali się, a Gernois stojąc w środku zagłębienia terenu, rozejrzał się uważnie po otaczających wzgórzach.

- Tu się rozstaniemy - rzekł. - Po kilkunastu pojedzie zbadać każdą z tych czeluści - po czym zaczął wyznaczać oddziały i dawać instrukcję sierżantom, którzy mieli tymi 53

oddziałkami dowodzić. Skończywszy to, zwrócił się do Tarzana. - Pan zaś zechce tu pozostać aż do naszego powrotu.

Tarzan zaprotestował, lecz oficer przerwał mu.

- Może wypadnie stoczyć walkę - rzekł - a w czasie bitwy wojsko nie może być obciążone obecnością osób cywilnych, nie walczących.

- Lecz poruczniku - tłumaczył Tarzan - ja jestem gotów, i z największą chęcią to uczynię, poddać się pod dowództwo którego z twoich sierżantów lub kaprali i walczyć będę w szeregu wedle rozkazów. Po to wziąłem udział w wyprawie.

- Tak sądzę - odpowiedział Gernois z drwiącym uśmiechem, którego nie próbował nawet ukryć. I dodał ostro: - Jesteś pan pod moimi rozkazami, a mój rozkaz jest, aby pan tu pozostał do naszego powrotu. Na tym koniec. Mówiąc to, odwrócił się i spiąwszy konia ostrogami oddalił się na czele swych ludzi. W chwilę później Tarzan pozostał sam wśród pustynnej twierdzy górskiej.

Słońce paliło upalnie, poszukał więc osłony pod pobliskim drzewem, spętał swego konia i siadłszy na ziemi, zaczął palić papierosy. W duszy oburzony był na Gernois za żart, którego był ofiarą. Mizerna głupia zemsta, pomyślał Tarzan, lecz nagle przyszło mu na myśl, że niedorzecznością byłoby przypuszczać, żeby porucznik Gernois chciał mu się narażać wyrządzeniem tak marnej przykrości. Musiało w tym wszystkim tkwić coś poważniejszego. Z tą myślą podniósł się i obejrzał swój karabin. Zajrzał do środka i przekonał się, że magazyn był naładowany. Obejrzał swój rewolwer. Po tych wstępnych środkach ostrożności zaczął rozglądać się po otaczających go wzgórzach i bramach wąwozów - zdecydowany był, że nie da się zaskoczyć znienacka.

Słońce schylało się coraz niżej, a wciąż nie widać było powracających żołnierzy. W końcu nad doliną zapadł zmrok. Tarzan zbyt był dumny, aby miał wracać do obozu, nie pozostawiając oddziałkom dostatecznego czasu do powrotu w dolinę, którą uważał za umówione miejsce ponownego zgromadzenia się i spotkania. Z nastaniem nocy poczuł

się bezpieczniejszy przed napaścią, gdyż ciemności nocy były mu dobrze znane.

Wiedział, że nikt nie potrafi podejść go tak ostrożnie, by nie usłyszały przybliżenia jego bystre i czułe uszy, służyły mu też oczy, gdyż widział dobrze i w nocy, i węch, gdyby zbliżali się z wiatrem, ostrzegłby go na daleki dystans.

Poczuł się więc bezpieczny i tak złudzony poczuciem bezpieczeństwa zasnął, oparty o drzewo.

Musiał spać kilka godzin, gdyż kiedy zbudzony został nagle chrapaniem i rzucaniem się przerażonego konia, księżyc oświecał z wysoka dolinę, a tuż przed nim, o dziesięć kroków, stało zwierzę, które było przyczyną przerażenia jego wierzchowca.

Stał przed nim wspaniały, majestatyczny Numa el adrea, czarny lew, z wyciągniętym zgrabnym ogonem, którym bił o ziemię, i z wlepionymi w swą ofiarę ognistymi ślepiami.

Dreszcz radości przebiegł po nerwach Tarzana. Było to jakby spotkanie starego znajomego po latach rozstania. Przez chwilę siedział bez ruchu, rozkoszując się wspaniałym widokiem tego króla pustyni.

Numa przykucnął do skoku. Powoli Tarzan przyłożył strzelbę do ramienia. Nigdy dotąd w życiu nie zabił ze strzelby większego zwierza - dotąd posługiwał się w walce włócznią, 54

zatrutymi strzałami, linką, nożem albo gołymi rękami. Wolałby mieć pod ręką swe strzały i nóż - czuł instynktownie, że z nimi byłby pewniejszy siebie.

Numa leżał cały wyciągnięty na ziemi, wystawiając tylko swój łeb. Tarzan wolałby strzelać trochę z boku, gdyż wiedział, jakie straszne spustoszenie może zrobić lew raniony, jeżeli żyje dwie minuty lub nawet jedną minutę po postrzale. Koń stał za Tarzanem drżąc całym ciałem z przestachu. Człowiek-mała postąpił ostrożnie o jeden krok na stronę -

Numa wodził za nim oczami. Zrobił jeszcze jeden krok i znów jeszcze jeden. Numa nie ruszył się. Tarzan mógł celować dobrze pomiędzy oczy i ucho.

Palec pociągnął za kurek i w czasie wystrzału Numa skoczył. W tejże chwili przerażony koń rzucił się w bok usiłując umknąć; pęta się porwały i koń pocwałował wzdłuż wąwozu w kierunku pustyni.

Nikt ze zwykłych ludzi nie zdołałby uniknąć strasznych pazurów, kiedy Numa zrobił skok na taki mały dystans, lecz Tarzan nie był zwykłym człowiekiem. Od najwcześniejszego dzieciństwa mięśnie jego, wyćwiczone przez straszne warunki walki o byt, nawykły do wykonywania ruchów tak szybkich jak myśl. Szybki był w skoku el adrea, lecz Tarzan z mała usunął się i wielka bestia padła na drzewo w miejscu, gdzie oczekiwała spotkać delikatne ciało człowieka, gdy tymczasem Tarzan, uskoczywszy o kilka kroków na prawo, wpakował mu drugą kulę, po której zwierzę rwąc pazurami ziemię i rycząc, zważyło się na bok.

Jeszcze dwa razy Tarzan wystrzelił, dając strzały raz za razem. El adrea legł i przestał

ryczeć. Nie był to teraz pan Tarzan; był to Tarzan z mała, który oparł stopę na cielsku zabitego zwierzęcia i wzniosłszy twarz do pełnego księżyca, wydał potężny okrzyk, dziki i przeraźliwy okrzyk

swego gatunku, na znak spełnionego zabójstwa. A dzikie istoty w górach zatrzymywały się podczas swego polowania i drżały ze strachu, słysząc ten nowy straszny okrzyk, a tam na pustyni, synowie pustyni wychodzili ze swych skórzanych namiotów, rozglądali się po górach, rozmyślając, co za nowa plaga nadciągnęła na spustoszenie ich stad. O pół mili od doliny, gdzie stał Tarzan, kilka biało odzianych postaci, uzbrojonych w długie groźne strzelby zatrzymało się, słysząc okrzyk, spoglądali na siebie z wyrazem pytania w oczach. Gdy okrzyk nie powtórzył się, zaczęli skradać się ku dolinie.

Tarzan był teraz pewny, że Gernois nie miał zamiaru powracać po niego, lecz nie mógł

zgłębić celu, który kazał oficerowi porzucić go, .a jednak pozostawić mu możliwość powrotu do obozu. Po stracie konia uznał, że głupstwem byłoby pozostać dłużej w górach i wyruszył w kierunku pustyni.

Właśnie kiedy wkroczył do wąwozu, pierwsza z biało odzianych postaci wynurzyła się w dolinie z przeciwnej strony. Przez chwilę rozglądali się po dolinie, kryjąc się za głązy, lecz kiedy spostrzegli, że była pusta, posunęli się naprzód. Dochodząc do drzewa, ujrzeni rozciągnięte po jednej stronie cielsko lwa, el adrea. Z przytłumionymi okrzykami obstąpili trupa. W chwilę później spieszenie poszli dalej wzdłuż wąwozu, którym posuwał się Tarzan, wyprzedzając ich na niewielką odległość. Szli ostrożnie i cicho, chowając się za zasłony, jak ludzie, którzy ścigają człowieka.

ROZDZIAŁ X

55

PRZEZ DOLINĘ CIENI

Tarzan, idąc przez dziki wąwóz przy blasku jasnego afrykańskiego księżyca, przypomniał sobie czasy dżungli. Osamotnienie i dzika swoboda napełniały mu serce siłą żywotną.

Znów poczuł się Tarzanem z małp - każdy nerw ożywił się ku obronie przeciwko możliwej napaści jakiegoś wroga - posuwał się lekką stopą, z głową wzniesioną, z dumnym poczuciem swej siły.

Nocne odgłosy z gór były mu nowe, zapadały jednak w uszy jak delikatny sen dawno zapomnianej miłości. Niektóre intuicyjnie rozpoznawał - oto odgłos jeden, który był mu dobrze znany - odległe chrząkanie Szity, lamparta, lecz odgłos zakończył się dziwnym tonem żalobliwym, co wprawiło go w niepewność. Istotnie był to głos pantery.

Oto nowy odgłos - delikatny, ukradkowy - wpadł mu wyraźnie w ucho między innymi.

Żadne ludzkie uszy, prócz uszu Tarzana, nie wyróżniłyby go. Z początku nie mógł się zorientować, lecz w końcu zrozumiał, że był to odgłos bosych nóg pewnej liczby stąpających istot ludzkich. Szli za nim i zbliżali się ku niemu spokojnie. Ścigano go.

Jak błyskawica oświeciła go myśl, tłumacząca zagadkę, dlaczego Gernois porzucił go w tej drobnej dolinie. Plany jednak popsuły się - ludzie przychodzili za późno. Bliżej i bliżej słychać było kroki. Tarzan zatrzymał się i zwrócił się twarzą ku nadchodzącym, trzymając nastawioną broń w rękę. Spozstrzegł zarysy białego burnusa. Zawołał po francusku, pytając, czego chcą od niego. Odpowiedzią

był wystrzał z długiej strzelby, a wraz z odgłosem wystrzału Tarzan z małą padł na ziemię.

Arabowie nie zaraz poskończyli. Zaczekali, aby się upewnić, że ich ofiara nie wstanie.

Potem wynurzyli się szybko z ukrycia i pochylili nad nim. Wkrótce stało się widoczne, że Tarzan nie był zabity. Jeden z ludzi przyłożył lufę swej strzelby do tyłu głowy Tarzana, by skończyć z nim, lecz inny odsunął go na bok. - Jeżeli dostarczymy go żywego, nagroda będzie większa - wytłumaczył towarzyszowi.

Związali mu ręce i nogi. Czterech Arabów wzięło go na ramiona. Rozpoczął się marsz powrotny ku pustyni. Kiedy wyszli z gór, skierowali się ku południowi, a ze wschodem słońca dotarli do miejsca, gdzie pozostawili swe konie pod opieką dwu towarzyszy.

Stąd już posuwali się prędzej. Tarzan, który odzyskał przytomność, był przywiązany do luźnego konia, widocznie w tym celu przyprowadzonego. Rana jego była tylko drobnym draśnięciem, które zdarło skórę na jego skroni. Wylew krwi się wstrzymał, lecz twarz i ubranie, uwalane były obeschłą i ściętą krwią. Nie przemówił ani słowa od chwili, gdy wpadł w ręce tych Arabów i oni nie zwracali się do niego z niczym prócz kilku słów rozkazu, gdy dosiedli koni.

Przez sześć godzin jechali szybko spaloną pustynią, nie wstępując do oaz, które leżały po drodze. Koło południa przybyli do duaru składającego się z mniej więcej dwudziestu namiotów. Tu się zatrzymali, a gdy jeden z Arabów zwalniał sznury plecione z trawy alfa, którymi Tarzan był przywiązany do konia, otoczył ich tłum mężczyzn, kobiet i dzieci.

Niektórzy z plemienia, a w szczególności kobiety, okazywały radość, mogąc znieważać jeńca, niektóre posunęły się nawet do tego, że zaczęły rzucać w niego kamieniami i bić go kijami, aż w końcu ukazał się stary szejik i przepędził tłum.

56

- Ali ben Ahmed mówił mi - rzekł - że ten człowiek był samotny w pustyni i zabił lwa el adrea. Jaką sprawę ma z nim cudzoziemiec, który nas po niego wysłał, nie wiem; co on robi z tym człowiekiem, kiedy mu go wydamy, to nie moja sprawa, lecz więzień nasz jest widać dzielny człowiekiem i póki jest w naszych rękach, niech będzie traktowany ze czcią należną temu, kto upolował sam nocą pana z wielką głową - i zabił go.

Tarzan słyszał o poważaniu, w jakim Arabowie mieli tych, którzy zabili lwa i był rad, że dzięki szczęśliwemu trafowi był uwolniony od przykrych męczarni. Wkrótce potem zaprowadzono go do namiotu z kozich skór w górnej stronie duaru. Tu go nakarmiono, a później dobrze związanego ułożono na dywanie miejscowej roboty i pozostawiono samego.

Widział straż przed drzwiami swego kruchej więzienia, lecz kiedy spróbował rozerwać silne więzy, którymi był skrupowany, zrozumiał, że wszelkie szczególne ostrożności ze strony tych, co go pojмали, były zbyt skuteczne, gdyż nawet jego olbrzymie mięśnie nie mogły poradzić tym licznym sznurom.

Przed samym zmierzchem kilku ludzi zbliżyło się do namiotu, gdzie leżał, i weszło do środka. Wszyscy byli w ubraniu arabskim, lecz kiedy jeden z nich podszedł do Tarzana i kiedy odsunęły się fałdy materii, która okrywała dolną część jego oblicza, człowiek-małpa ujrzał pełne złości rysy twarzy Mikołaja Rokowa. Na pokrytych włosami; wargach pojawił się obrzydliwy uśmiech.

- Ach, pan Tarzan - rzekł - mam prawdziwą przyjemność, widząc pana. Lecz dlaczego nie wstajesz, by pozdrowić swego gościa?

- Po czym klnąc brzydko zawołał: - Wstawaj psie! - i zamachnąwszy się silnie nogą kopnął gwałtownie Tarzana w bok. - A oto, jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze raz - mówił

kopiąc Tarzana w boki i w twarz.

- Jedno kopnięcie za każdą zniewagę, jakiej od ciebie doznałem. Człowiek-małpa nie odpowiadał - nie raczył nawet patrzeć na Rosjanina, po pierwszym wejrzeniu, kiedy go poznał. W końcu szejk, który stał w milczeniu i był świadkiem nikczemnej napaści, wdał

się w sprawę.

- Stój! - zawołał rozkazująco. - Możesz go zabić, jeśli chcesz, lecz nie dozwolę, aby dzielny człowiek na moich oczach znosił takie niegodziwości. Bierze mnie nawet ochota puścić go wolno, aby zobaczyć jak długo będziesz mógł wtedy kopać go.

. Groźba ta położyła od razu koniec napastniczej brutalności Rokowa. Nie miał wcale chęci oglądania Tarzana po zdjęciu z niego więzów gdy się znajdował w pobliżu tych potężnych rąk.

- Pięknie - odrzekł do Araba - zaraz z nim skończę.

- Ale nie w obrębie mego duaru - odpowiedział szejk. - Stąd wyjdzie cało. Co zrobisz z nim na pustyni - to nie moja rzecz, lecz nie chcę, by plemię moje było odpowiedzialne za krew Francuza z powodu kłótni z innym obcym człowiekiem. Przyślą tu żołnierzy i pomordują wielu z naszych, spalą nasze namioty i zabiorą stada.

- Jak chcesz, niech będzie - odezwał się Rokow. - Zabiorę go ze sobą z duaru i skończę z nim.

57

- Zabierzesz go ze sobą na odległość jednego dnia jazdy od mej wioski - rzekł szejk twardym głosem - i kilku z mych dzieci pojedzie z tobą dla przypilnowania, abyś nie był

nieposłuszny - w przeciwnym razie znajdzie się dwu zabitych Francuzów na pustyni.

Rokow wzruszył ramionami. - Jeżeli tak, to będę zmuszony poczekać tu do jutra - dziś jest już ciemno.

- Jak chcesz -- rzekł szejk. - Lecz w godzinę po nastaniu brzasku dnia chcę, by nie było cię więcej w moim duarze. Nie chcę patrzeć na niewiernych, a tym bardziej na nikczemnych.

Rokow chciał dać jakąś odpowiedź, lecz powstrzymał się, gdyż widział, że niewiele brakowało, ażeby stary szejk wystąpił przeciwko niemu. Razem wyszli z namiotu.

Wychodząc Rokow nie mógł zapanować nad pokusą dorzucenia Tarzanowi na pożegnanie drwiących słów.

- Dobranoc, mój panie - rzekł - i nie zapomnij dobrze się pomodlić, gdyż jutro śmierć cię spotka w takich męczarniach, że nie będziesz się mógł modlić, lecz będziesz bluźnił.

Nikt się tym nie kłopotał, by przynieść Tarzanowi po południu jedzenia lub wody, cierpiał

tedy bardzo z pragnienia. Nie wiedział, czy warto prosić straż o wodę, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi na kilkakrotnie powtórzoną prośbę, przekonał się, że nie było warto.

Posłyszał głos lwa, ryczącego gdzieś daleko w górach. O ile bezpieczniej czuć się może człowiek, pomyślał sobie, tam, gdzie grasują drapieżne zwierzęta, niż tam, gdzie grasują ludzie. Nigdy w ciągu wszystkich lat spędzonych w dżungli nie był śledzony z taką zawziętością, jak w ciągu ostatnich miesięcy swojego życia wśród ludzi cywilizowanych. I nigdy nie groziła mu tak bliska śmierć.

Znów rozległ się ryk lwa. Rozległ się trochę bliżej. W Tarzanie odezwała się chęć do dania odpowiedzi okrzykiem zwycięskim swojego gatunku. Swego gatunku? Prawie już zupełnie zapomniał, że był człowiekiem, a nie małpą. Napreżył swe więzy. O Boże, gdyby udało mu się tylko zbliżyć je do mocnych zębów. Owiała nim fala wściekłości, gdy Jego usiłowania odzyskania wolności spotkało niepowodzenie.

Numa ryczał teraz prawie bez ustanku. Jasne było, że udaje się na Pustynię, na polowanie. Był to ryk głodnego lwa. Tarzan pozazdrościł mu, gdyż lew był wolny. Nikt nie zwiąże go sznurami i nie zarżnie ja^ barana. To głównie doprowadzało do wściekłości człowieka -małpę. Ni obawiał się śmierci - oczekiwało go poniżenie przed śmiercią, be możliwości walki o życie. '

Musi być teraz około południa, pomyślał Tarzan. Miał jeszcze przed sobą sporo godzin życia. Być może potrafi zabrać ze sobą i Rokowa w daleką drogę. Słyszał teraz dzikiego pana pustyni zupełnie blisko. Być może lew obierał sobie na pokarm sztuki bydła, znajdującego w duarze.

Długą chwilę panowało milczenie, potem doświadczone uszy Tarzaj na posłyszały odgłos posuwającego się ukradkiem ciała. Dochodziło od strony namiotu, zwróconej ku górom -

tylnej. Słysząc było go bliżej| Czekał, nasłuchując z zapartym oddechem. Przez chwilę panowała cisza na zewnątrz, taka straszna cisza, że Tarzan zdziwił się, że nie słyszy oddechu zwierzęcia, które powinno było znajdować się tuż u tylne ściany j ego namiotu.

Znów słysząc. Znowu się porusza. Czołga się bliżej. Tarzan zwraca głowę w kierunku dochodzącego go odgłosu. W namiocie jest zupełnie ciemno. Powoli tylna ściana 58

namiotu podnosi się, ustępując głowie i plecóm ciała, które w półcieniu wydaje się zupełnie ciemne. Dalej rozpościera się widok oświetlonej gwiazdami pustyni.

Uśmiech igra na ustach Tarzana. A więc Rokow oszuka się. Jak wściekły będzie!! Śmierć jego będzie bardziej litościwa niż śmierć, jakiej oczekiwał z rąk Rosjanina.

Teraz tylna ściana namiotu opada znów na swe miejsce i wszystko pogrąża się w ciemności - nie widać, kto zbliża się środkiem namiotu. Słyszy, że ktoś podkrada się zupełnie blisko ku niemu - oto jest tuż przy nim. Zamyka oczy i oczekuje na uderzenie potężnej łapy. Na odwróconej swej twarzy czuje delikatne dotknięcie miękkiej dłoni szukającej w ciemności i głos dziewczęcy wymawia jego imię ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Tak, to jestem ja - daje odpowiedź. - Lecz na nieba kto ty i jesteś?

- Uled-Nail z Sidi Aissa - słysząc odpowiedź. Mówiąc, pracowała niszcząc jego więzy.

Zimna stal noża zadrasnęła jego ciało w kilku miejscach. Jeszcze chwila i był wolny.

- Chodź! - szepnęła.

Na czworakach udał się za nią tą drogą, którą przyszła. Pełzając nisko przy samej ziemi, doszła aż do drobnej kępki krzaków. Tam zatrzymała się, aż on się z nią zrównał.

Chwilę spoglądał na nią, zanim przemówił.

- Nie mogę zrozumieć - rzekł w końcu. - Skąd się tu wzięłaś?

Skąd się dowiedziałaś, że ja byłem jeńcem w tym namiocie? Jak to się stało, żeś mnie uratowała?

Uśmiechnęła się. - Przybyłam dziś z daleka - rzekła - i mamy daleką przed sobą drogę, zanim wywinie się z niebezpieczeństwa. Chodź. Powiem ci wszystko podczas drogi.

Razem wstali i skierowali się przez pustynię w kierunku gór.

- Nie byłam pewna, czy uda mi się dotrzeć do ciebie - rzekła w końcu. - "El adrea"

wyruszył z legowiska dziś, a gdym pozostawiła już konie, zdaje mi się, że zwrócił mnie i szedł za mną - byłam w okropnym strachu.

- Jaka z ciebie dzielna dziewczyna - rzekł. - Ryzykowałaś życie dla cudzoziemca -

niewiernego?

Wyprostowała się i stanęła w dumnej postawie. - Jestem córką szejka Kadura ben Sadena - odpowiedziała. - Nie byłabym godną mego ojca, gdybym nie była gotowa narazić swe życie dla ocalenia człowieka, który ocalił moje życie, wtedy gdy sądził, że jestem tylko tancerką.

- Z tym wszystkim - powiedział z naciskiem Tarzan - jesteś bardzo dzielną dziewczyną.

Lecz jak się dowiedziałaś, że ja byłem u nich jeńcem?

- Ahmed din Taieb, który jest mym krewnym ze strony ojca, odwiedził swych znajomych należących do plemienia, które cię pojmało. Był on na miejscu, kiedy cię sprowadzono.

Powróciwszy do domu, opowiadał o Francuzie potężnej postawy, którego pojmał Ali ben Ahmed dla drugiego Francuza, pragnącego zabić tamtego. Z opisu domyśliłam się, że to o ciebie chodziło. Ojca nie było w domu. Próbowałam namówić ludzi, by odbili cię, lecz nie chcieli się zgodzić, mówiąc: - Niech niewierni mordują się pomiędzy sobą, ile im się Podoba. Nie nasza to sprawa. Jeżeli udaremnimy plany Ali ben Ahmeda, rozniecimy ogień walki wśród swoich.

59

- Dlatego, gdy się ściemniło, przybyłam sama, konno, prowadząc drugiego konia dla ciebie. Stoją spętane niedaleko stąd. Gdy poranek nastanie, powinniśmy stanąć w duarze mego ojca. I ojciec zapewne już tam będzie - niech więc przychodzą i spróbują odebrać z rąk Kadura ben Sadena jego przyjaciela.

Przez czas pewien szli w milczeniu.

- Konie powinny być tu gdzieś niedaleko - rzekła. - Nie wiem dlaczego ich tu nie spostrzegam.

W chwilę później stanęła, wydając cichy okrzyk przygnębienia.

- Znikły! - zawołała. - Przywiązałam je w tym miejscu.

- Tarzan schylił się, by zbadać grunt. Zobaczył, że duży krzak wyrwany był z korzeniami.

Poza tym znalazł inne jeszcze ślady. Skrzywił się w uśmiechu powstając i zwrócił się do dziewczyny.

- Był tu el adrea. Widzę to po śladach, choć sędzę, że konie umknęły. Wyrwawszy się, ocaliły się łatwo na równinie.

Nie pozostawało nic innego, jak przebywać dalszą drogę piechotą. Droga prowadziła przez rozpadliny górskie, lecz dziewczyna знаła ją tak dobrze, jak twarz własnej matki.

Szli spokojnym krokiem. Tarzan trzymał się trochę z tyłu za dziewczyną, aby mogła wybierać drogę. Idąc rozmawiali, przystając od czasu do czasu, by przekonać się, czy nie słychać pogoni.

Nastała piękna księżycowa noc. Powietrze było ostre i orzeźwiające. Poza nimi rozciągała się bezgraniczna pustynia, na której tu i tam rozrzucone były oazy. Na żółtym piasku odbijały się wyraźne zarysy palm daktylowych, rosnących na kawałku żyznego gruntu, skąd przybywali, i kolisko skórzanych namiotów - widziadło rajy na urojonym morzu. Przed nimi wznosiły się ponure, milczące góry. Krew zatętniła w żyłach Tarzana.

To było życie! Spojrzał na dziewczynę kroczącą u jego boku - córkę pustyni, stąpającą przez obumarły świat wraz z synem puszczy. Poweselał przy tej myśli. Chciałby mieć siostrę i żeby ta siostra była podobna do tego dziewczęcia. Jakim dzielnym opiekunem byłby wtedy!

Weszli teraz w góry i posuwali się wolniej, gdyż droga była bardziej stroma i skalista.

Przez czas pewien szli w milczeniu. Dziewczę myślało, czy uda się im dostać do duaru ojca przed pogonią. Tarzan pragnął, aby ta podróż trwała wiecznie. Gdyby dziewczyna była mężczyzną, byłoby to możliwe. Tęsknił za przyjacielem, który by kochał to wolne dzikie życie, jak on je kochał. Nauczył się cenić przyjaźń i polubił towarzystwo, nieszczęściem jego jednak było, że większość tych ludzi, których poznał, wolała świeżą, czystą bieliznę i kluby niż nagość i dżunglę. Trudno mu było to zrozumieć, lecz było zupełnie widoczne, że taki był ich wybór.

Oboje minęli właśnie wysunięte skalne urwisko, obok którego prowadziła ich droga, gdy nagle musieli się zatrzymać. Tuż przed nimi, na środku ścieżki stał Numa el adrea, czarny lew. Zielone ślepia patrzyły złowrogo, świeciły obnażone zęby, ze złością uderzał

po swych ciemnych bokach ogonem. Ujrzawszy ich, zaryczał straszonym, przerażającym rykiem zgłodniałego lwa, który w dodatku był gniewny.

- Daj mi swój nóż - rzekł Tarzan do dziewczyny, wyciągając rękę. Wsunęła rękojeść broni w jego nastawioną dłoń. Chwyciwszy nóż, odsunął ją na bok, za siebie. - Spiesz na 60

pustynię, jak tylko możesz najprędzej. Jeżeli posłyszysz moje wołanie, będziesz wiedziała, że wszystko skończyło się dobrze i możesz wracać.

- To nie zda się na nic - odrzekła z rezygnacją. - Tu nas spotka koniec.

- Rób, jak mówię - rzekł głosem rozkazującym. - Prędko! Szykuje się do napaści. -

Dziewczyna odstąpiła parę kroków i stanęła w oczekiwaniu tego, co, jak wiedziała, musiało nastąpić.

Lew posuwał się ku Tarzanowi powoli z opuszczonym ku ziemi pyskiem, podobny do szykującego się do walki byka: Ogon teraz wyciągnął i poruszał nim z wielkiego podniecenia.

Człowiek-małpa oczekiwał, przykucnąwszy, w ręku jego błyszczał w świetle księżyca długi nóż arabski. Poza nim stała postać dziewczęcia, bez ruchu, jak rzeźbiona figura.

Stała, przechyliwszy się trochę naprzód, z odemkniętymi ustami, szeroko otwartymi oczyma. Odczuwała jedynie podziw dla człowieka, który śmiał stanąć, mając tylko drobny nóż, do walki z panem o wielkiej głowie. Człowiek z jej plemienia byłby padł na kolana, zatapiając się w modlitwie i ginąłby bez walki, rozszarpany tymi strasznymi kłami. Bądź

co bądź, rezultatu nie da się odwrócić, lecz nie mogła powstrzymać poczucia podziwu, patrząc na bohaterską postać stojącą przed nią. Nie dostrzegła bynajmniej drżenia ani wahania w olbrzymiej postaci - postawę miał równie groźną i wyzywającą jak sam el adrea.

Lew przybliżył się zupełnie blisko - dzieliło ich kilka kroków zaledwie - przykucnął i skoczył, wydając ogłuszający ryk.

ROZDZIAŁ XI

JAN CALDWELL Z LONDYNU

Rzucając się naprzód z szeroko rozpostartymi pazurami i obnażoną paszczką, Numa el adrea sądził, że znajdzie w tym małym człowieku łatwą ofiarę, jak to mu się już kilkanaście razy zdarzyło z ludźmi, którzy zginęli w jego łapach. W jego oczach człowiek był niezgrabną, nie umiejącą się ruszać, bezbronną istotą - nie miał przed nim respektu.

Tym razem przekonał się, że ma do czynienia z istotą równie zwinną i szybką w ruchach jak on. Kiedy jego potężne cielsko spadło na miejsce, gdzie znajdował się człowiek, jego już tam nie było.

Obserwująca dziewczyna przejęta była podziwem nad zwinnością, z jaką przykucnięty człowiek uniknął wielkich pazurów. A teraz oto, na Allacha! rzucił się na grzbiet lwa, nim zwierzę zdążyło się odwrócić i pochwycił go za grzywę. Lew wspiał się na swych tylnych łapach jak koń staje dęba - Tarzan wiedział, że lew tak uczyni i był na to przygotowany.

Ramię olbrzyma otoczyło czarnogrzywiastą paszczkę i raz, dwa, kilkanaście razy, ostrze noża zagłębiło się w ciemny bok zwierzęcia poza lewą łopatką.

Szalone były skoki Numpy - straszne ryki wściekłości i bólu - lecz olbrzym przywarty do jego pleców nie dał się zrzucić ani nie dał się pochwycić kłom lub pazurom przez ten krótki czas, jaki pozostał do życia panu o wielkiej głowie.

Nie wcześniej Tarzan zwolnił uścisk rąk i powstał, aż kiedy lew padł bez życia. Wtedy córka pustyni stała się świadkiem czegoś, co ją przeraziło nawet więcej niż spotkanie z el 61

adrea. Człowiek postawił stopę na trupie i wzniosłszy swą piękną twarz do księżyca, wydał okrzyk bardziej przeraźliwy niż wszystko, co słyszały jej uszy.

Z przytłumionym okrzykiem strachu odsunęła się - pomyślała bowiem, że wskutek straszliwego napięcia sił w czasie spotkania z lwem postradał zmysły. Kiedy ostatnie odbite echa tego dzikiego triumfalnego okrzyku zamarły w oddali, człowiek-małpa opuścił

oczy i spostrzegł dziewczynę.

Natychmiast twarz jego oświecił przyjazny uśmiech, co dostatecznie świadczyło, że był

przy zdrowych zmysłach. Dziewczyna odetchnęła swobodnie, odpowiadając również uśmiechem.

- Co za człowiek z ciebie? - rzekła. - To, czegoś dokonał, to rzecz niesłychana. Jeszcze nie mogę uwierzyć, że jest możliwe, aby jeden człowiek, uzbrojony tylko w nóż, mógł

stoczyć walkę z el adrea i zwyciężyć go, nie poniosłszy żadnego szwanku - zwyciężyć go jakkolwiek. A ten krzyk - nie był ludzki. Dlaczego taki krzyk wydałeś? Tarzan poczerwieniał. - ponieważ czasem zapominam - rzekł - że jestem cywilizowanym człowiekiem. Kiedy w walce zabijam, jestem jakby inną istotą. - Nie usiłował tłumaczyć jej tego bliżej, gdyż zawsze zdawało mu się, że kobieta musi

uczuć wstręt wobec kogoś, kto był tak bliskim drapieżnego zwierzęcia.

Razem odbywali dalszą podróż. Słońce przesunęło się jedną godzinę poza południe, kiedy wyszli na pustynię rozciągającą się za górami. Tu odnaleźli konie pasące się przy małym strumyku. Przybyły tu w drodze powrotnej do domu, a nie mając więcej powodu do strachu, pasły się nad wodą.

Łatwo dały się pochwyć. Wtedy Tarzan i dziewczyna wsiedli i wjechali na pustynię, kierując się ku domowi szejka Kadura ben Sadena. Nie widać było śladu pogoni i około godziny dziewiętej przybyli na miejsce. Szejk powrócił właśnie przed chwilą. Przejęty był

żalem z powodu nieobecności córki, gdyż obawiał się, że porwali ją znowu maruderzy.

Zgromadziwszy oddział z pięćdziesięciu ludzi, siadł już na konia, by udać się na poszukiwania, gdy tych dwoje wjechało do duaru. Radość jego z bezpiecznego powrotu córki nie miała granic. Uczuwał niezmierną wdzięczność dla Tarzana za jej obronę przed niebezpieczeństwem podróży w czasie nocy i był uradowany tym, że córka zdążyła ocalić człowieka, który przedtem ocalił jej życie.

Kadur ben Saden nie zaniedbał oddać Tarzanowi wszystkich należnych honorów na dowód swej czci i przyjaźni. Kiedy dziewczyna opowiedziała o zabiciu lwa, otoczył

Tarzana tłum Arabów, oddających mu cześć prawie bałwochwalczą - była to pewna droga do /dobycia ich podziwu i szacunku.

Stary szejk nalegał, aby Tarzan pozostał na zawsze z nimi jako gość. Wyraził nawet chęć adoptowania go na członka plemienia. W umyśle człowieka-małpy przez czas pewien tkwiło na wespół sformowane postanowienie przyjęcia propozycji i pozostania na zawsze wśród tego wolnego ludu, który był przezeń rozumiany i który zdawał się go rozumieć.

Przyjaźń powzięta do dziewczyny, którą bardzo polubił, przemawiała w nim mocno za zdecydowaniem tej sprawy pozytywnie.

Gdyby była mężczyzną, rozumował, nie byłby się wahał, gdyż pozyskałby istotę przyjazną, według swego serca, w której towarzystwie mógłby robić wycieczki do woli.

Tak jednak, jak było w istocie, byli zależni od praw konwencjonalnych, które wśród 62

dzikich nomadów pustyni są nawet jeszcze ściślej zachowywane niż wśród ich cywilizowanych braci i sióstr. A w niedługim czasie wyjdzie za mąż za któregoś z tych śniadych wojowników i skończy się ich przyjaźń. Nie przystał więc na propozycję szejka, pozostał jednakże w charakterze gościa u nich przez cały tydzień.

Gdy odjeżdżał, odprowadził go do Bu Saada Kadur ben Saden wraz z pięćdziesięcioma biało odzianymi wojownikami. Podczas siadania na koń w duarze Kadur ben Sadena w dniu odjazdu dziewczyna zjawiała się, by pożegnać się z Tarzanem.

Modliłam się p to, abyś pozostał z nami - rzekła z prostotą, gdy schyliwszy się z siodła podał jej rękę na pożegnanie - a teraz będę się modlić, abyś do nas powrócił.

W jej pięknych oczach odbił się wyraz zadumy, a w kącie ust bolesne skrzywienie.

Tarzan był wzruszony.

- Kto to wie? - rzekł i odjechał, doganiając Arabów.

Nie dojeżdżając do Bu Saada, pożegnał się z Kadurem ben Sadenem i jego ludźmi, gdyż istniały powody, dla których życzył sobie, aby jego przybycie do miasta odbyło się w możliwej tajemnicy. Kiedy przedstawił je szejkowi, ten pochwalił to postanowienie.

Arabowie mieli wkroczyć do Bu Saada przed nim, nie rozgłaszając wiadomości o jego przybyciu. Później miał przyjechać Tarzan i udać się wprost do jakiegoś mało znanego miejscowego zajazdu.

W ten sposób postępując, przybywszy o zmroku, nie był widziany przez nikogo znajomego i dostał się do zajazdu nie zauważony. Po spożyciu obiadu z Kadurem ben Sadenem, jako swym gościem, udał się bocznymi ulicami do swego dawnego hotelu i wszedłszy przez tylne drzwi, kazał prosić właściciela, który widocznie był zdziwiony, widząc go żywym.

Tak, były listy do pana, zaraz je przyniesie. Nie, nie wspomni on nikomu o powrocie.

Powrócił wkrótce z paczką listów. W jednym znalazł się rozkaz od szefa, by skończył swą obecną pracę i pospieszył do Cape Town na Przylądku Dobrej Nadziei pierwszym parowcem, jaki się trafi. Oczekiwać go tam będą dalsze instrukcje, które otrzyma z rąk innego agenta, którego imię i adres były wskazane. To było wszystko - wyrażone krótko i jasno. Tarzan zaczął się szykować, by opuścić Bu Saada wczesnym rankiem dnia następnego. Potem udał się do garnizonu, by zobaczyć się z kapitanem Gerardem, który jak mu powiedziano w hotelu, powrócił dnia poprzedniego ze swoim oddziałem.

Znalazł kapitana na kwaterze. Ten uradował się bardzo, widząc niespodzianie Tarzana zdrowego i całego.

- Niepokoiłem się bardzo o pana, kiedy porucznik Gernois powrócił i dał znać, że nie znalazł pana na miejscu, które pan wybrał, by tam pozostać, gdy oddział objeżdżał góry.

Przez dni kilka przeszukiwaliśmy wąwozy. Później przysłała wiadomość, że pan zginął, rozszarpany przez lwa. Na dowód tego przyniesiono pańską broń. Koń pana powrócił do obozu na drugi dzień po zniknięciu pana. Nie, mogliśmy mieć wątpliwości. Porucznik Gernois był bardzo strapiony - przyjął całą winę na siebie. On to nalegał, by sam mógł

zająć się zarządzeniem poszukiwań. On to odnalazł Araba, posiadającego pańską strzelbę. Uraduje się, gdy się dowie, że panu nic się nie stało.

- Niewątpliwie - odrzekł Tarzan ze złośliwym uśmiechem.

- Jest teraz w mieście, czy mam po niego posłać? - ciągnął dalej kapitan Gerard -

powiem o powrocie pana, skoro tylko wróci.

Tarzan opowiedział kapitanowi, że zbłądził w drodze i w końcu zaszedł do duaru Kadura ben Sadena, który odprowadził go z powrotem do Bu Saada. Pożegnał się zaraz z pocziwym kapitanem i pospieszył znów do miasta. W miejscowym zajeździe dowiedział

się od Kadura ben Sadena bardzo interesującej wiadomości. Mówił on o białym człowieku, z czarną brodą, który stale przebierał się za Araba. Przez pewien czas człowiek ten nosił na temblaku zwichniętą rękę. W ostatnim czasie nie było go w Bu Saada, lecz teraz powrócił, i Tarzanowi wskazano miejsce jego ukrycia. Tam się udał.

Przedostał się przez wąskie, śmierdzące uliczki, czarne jak piekło, a później wszedł na chwiejące się schody, u których szczytu były zamknięte drzwi i nie oszklone okno. Okno było wysoko w dachu glinianej chaty. Tarzan stanął przy progu. Uniósł się, aby zajrzeć do środka. Pokój był oświetlony, a przy stole siedział Rokow i Gernois. Gernois mówił:

- Rokow, czart w tobie siedzi! Prześladowałeś mnie, aż utraciłem przez ciebie ostatnie resztki honoru. Przymusiłeś mnie do popełnienia morderstwa, gdyż krew tego Tarzana jest na moich rękach. Gdyby nie to, że ten drugi pomiot szatański, Paulwicz, był

poinformowany również o mojej tajemnicy, zadusiłbym cię tu teraz gołymi rękami.

Rokow wybuchnął śmiechem. - Nie uczynisz tego, mój kochany poruczniku - rzekł. - Z

chwilą, gdy pojawi się wiadomość, że ja zginąłem, zabity przez mordercę, drogi Aleksy zakomunikuje ministrowi wojny kompletne dowody całej tej sprawy, którą pan tak żarliwie pragnie trzymać w tajemnicy, no i zaskarży pana o zabójstwo. Daj pokój, miej rozum.

Jestem najlepszym twoim przyjacielem. Czy nie osłaniałem twego honoru, jak gdyby chodziło o mój własny?

Gernois uśmiechnął się drwiąco i splunął, wymawiając przekleństwo.

- Jeszcze otrzymam jedną sumkę - mówił dalej Rokow - i te papiery, które chcę mieć, a masz pan moje słowo honoru, że nie zażądam od pana ani jednego więcej centa, ani dalszych informacji.

- Dla jasnej przyczyny- warknął Gernois - to, czego teraz się domagasz, zabierze mi ostatniego centa i ostatnią tajemnicę wojskową, jaką posiadam. Tyś powinien mi zapłacić za informację, nie zabierać jej wraz z moimi pieniędzmi.

- Płacę panu, zachowując milczenie o rzeczach mi wiadomych - odpowiedział Rokow. -

Lecz kończmy. Chcesz pan, czy nie? Daję panu trzy minuty do namysłu. Jeżeli nie zgodzisz się, dziś prześlę dowódcy słowo, które sprawi twoje pohańbienie, jakie stało się udziałem Dreyfusa, z tą tylko różnicą, że Dreyfus na nie nie zasłużył.

Gernois chwilę siedział ze schyloną głową. W końcu wstał. Wyciągnął dwa papiery z bluzy.

- Masz - rzekł beznadziejnie. - Przyniosłem je, gdyż wiedziałem, że nie znajdzie się inne wyjście. - Wyciągnął je, podając Rosjaninowi.

Okrutna twarz Rokowa zajaśniała złośliwą radością. Pochwycił papiery.

- Robisz dobrze, Gernois - rzekł. - Nie będę cię więcej kłopotał, chyba że . nagromadzisz znowu pieniędzy lub będziesz miał jaką wiadomość - i zaśmiał się złośliwie.

- Nigdy to nie nastąpi, psie jeden! - zasyczał Gernois. - Kiedy jeszcze raz będę miał z tobą to czynienia, zastrzelę cię. O mało co nie zrobiłem tego teraz. Całą godzinę 64

siedziałem nad tymi dwoma dokumentami, leżącymi przede mną na stole, nim tu przyszedłem - a obok mnie naszykowałem nabity rewolwer. Ważyłem, co mam ze sobą zabrać. Następnym razem wybór będzie dla mnie łatwiejszy, gdyż już to zdecydowałem.

Niewiele brakowało do twej śmierci, Rokow. Nie kuś losu po raz drugi.

Gernois powstał, chcąc odejść. Tarzan ledwie miał czas zejść poniżej i ukryć się w ciemnościach, trochę opodal drzwi. I tak nie był pewien, czy uda mu się pozostać niewidzianym. Miejsce było bardzo szczupłe i chociaż przywarł do ściany jak najdalej, stał jednak zaledwie na stopę od drzwi. Zaraz potem drzwi się otworzyły i Gernois wyszedł, a Rokow szedł za nim. Żaden z nich nie przemówił słowa. Gernois zeszedł

może o trzy stopnie po schodach, gdy zatrzymał się i na wpół się obrócił, jak gdyby chciał wracać.

Tarzan widział, że spotkanie staje się nieuniknione... Rokow stał wciąż na progu, oddalony od niego na stopę, lecz spoglądał w przeciwnym kierunku, ku porucznikowi.

Oficer widocznie odmienił swą decyzję i zaczął zstępować znów w dół. Tarzan postyszał

westchnienie ulgi z piersi Rokowa. Zaraz potem Rosjanin wszedł z powrotem do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Tarzan zczekał, dając porucznikowi czas na oddalenie się, po czym pchnął drzwi, otworzył i wszedł do pokoju. Stał nad Rokowem, zanim tenże zdołał wstać z krzesła, gdzie siedział, przeglądając papiery, które Gernois mu wręczył. Gdy dostrzegł twarz człowieka- małpy, jego własna twarz zsiniała.

- Pan tu! - rzekł dysząc.

- Jestem - odrzekł Tarzan.

- Czego pan chce? - przemówił cichym głosem Rokow, gdyż wejrzenie w oczy małpy-człowieka przeraziło go. - Przybywasz, by mi odebrać życie? Nie będziesz śmiał.

Stracisz swą głowę. Nie będziesz śmiał zabić mnie.

- Mogę cię zabić, Rokow - odpowiedział Tarzan - ponieważ nikt nie wie, że ty się tu znajdujesz, albo że ja tu jestem, a Paulwicz powie im, że to Gernois cię zabił. Słyszałem, jak o tym mówiłeś porucznikowi. Lecz to nie ma na mnie wpływu. Nie dbam o to, kto może wiedzieć, że ja ciebie zabiłem. Przyjemność, jaką sprawiłoby mi odebranie ci życia, zrównoważy wszelką karę, na jaką mogą mnie skazać. Jesteś najnikczemniejszym nędznikiem, o jakim słyszałem. Powinieneś zginąć. Twoja śmierć sprawi mi przyjemność.

I Tarzan przystąpił do Rokowa.

Nerwy Rokowa nie mogły dłużej wytrzymać. Z piskiem chciał skoczyć do sąsiedniego pokoju, lecz człowiek-małpa chwycił go za plecy, zanim zdążył wykonać swój skok.

Żelazne palce dostały się do gardła Rokowa - nędznik piszczał jak klute prosię, aż Tarzan zdławił mu oddech. Potem człowiek-małpa pociągnął go z sobą, wciąż dusząc.

Rosjanin próbował opierać się, lecz na próżno - był jak małe dziecko w potężnych rękach Tarzana z małp.

Tarzan posadził go w krzesło i uprzedzając niebezpieczeństwo zaduszenia zwolnił

trzymane gardło z uścisku. Kiedy ustał napad kaszlu, Tarzan znów przemówił.

- Dałem ci przedsmak śmierci - rzekł. - Nie zabiję cię jednak tym razem. Oszczędzę ci życia w imię dobrotliwej kobiety, której wielkim nieszczęściem było, że jest córką tej samej matki, która ci dała życie. Daruję ci życie dla niej, ale na ten raz tylko. Gdybym się 65

dowiedział, żeś kiedykolwiek jeszcze ośmielił się wyrządzić jaką krzywdę jej lub jej małżonkowi - lub dokuczyć mnie - gdybym usłyszał, żeś powrócił do Francji lub jakiej francuskiej posiadłości, nie spocznę, póki nie upoluję ciebie i nie dokończę duszenia, które dziś zacząłem. - Potem skierował się do stołu, na którym leżały jeszcze owe dwa dokumenty. Kiedy zabrał je, Rokow westchnął z trwogą.

Tarzan obejrzał zarówno czek, jak i drugi papier. Zadziwił się, widząc, jakie były tam wiadomości. Rokow przeczytał połowę, lecz Tarzan wiedział, że nikt nie potrafi spamiętać wybitnych faktów i cyfr tam zawartych, które miały istotną wartość dla wroga Francji.

- Ten papier będzie interesujący dla szefa sztabu - rzekł, wsuwając go do kieszeni.

Rokow jęknął. Nie śmiał przeklinać głośno.

Nazajutrz Tarzan odjechał, zdążając na północ ku Buir i Algierowi. Kiedy przejeżdżał

koło hotelu, porucznik Gernois stał na werandzie. Gdy spostrzegł Tarzana, zbladł jak ściana. Tarzan byłby rad, gdyby to spotkanie nie przydarzyło się, nie mógł go jednak uniknąć. Skłonił się porucznikowi, mijając dom. Odruchowo Gernois oddał ukłon, lecz jego strwożone, szeroko rozwarte oczy śledziły jeźdźca pełne przerażenia. Jak gdyby trup spoglądał na ducha, który się ukazał.

W Sidi Aissa Tarzan spotkał pewnego oficera francuskiego, z którym zawarł znajomość w czasie

ostatniego pobytu w mieście.

- Wyjechał pan z Bu Saada wczesnym rankiem? - zapytał oficer. - Nie słyszał więc pan pewnie o biednym Gernois.

- Był to ostatni człowiek, którego widziałem, odjeżdżając - odrzekł Tarzan. - Cóż się z nim stało?

- Nie żyje. Zastrzelił się o ósmej godzinie rano.

W dwa dni później Tarzan dojechał do Algieru. Tu dowiedział się, że będzie musiał

zaczekać dwa dni na okręt odjeżdżający do Cape Town. Czas ten poświęcił pisaniu szczegółowego raportu ze swej misji. Tajnych dowodów, które zabrał Rokowowi, nie załączył, gdyż nie odważył się rozstawać się z nimi aż do otrzymania polecenia do wręczenia ich innemu urzędnikowi lub do czasu swego powrotu do Paryża.

Gdy Tarzan wstępował na okręt, po skończeniu się niezwykle nudnego czekania, dwaj ludzie przyglądali mu się z górnego pokładu. Obaj byli elegancko ubrani i czysto wygoleni. Wyższy miał przyprószone włosy, lecz brwi miał czarne. Później tego dnia zdarzyło się, że spotkali Tarzana na pokładzie, lecz ponieważ w owej chwili jeden z nich zwrócił pośpiesznie uwagę drugiego na coś znajdującego się na morzu, głowy mieli odwrócone, gdy Tarzan przechodził, tak iż nie zauważył rysów ich twarzy. W rzeczy samej, nie zwrócił na nich wcale uwagi.

Spełniając instrukcje swego zwierzchnika, Tarzan zapisał się, biorąc bilet przejazdu, pod przybranym nazwiskiem jako Jan Caldwell z Londynu. Nie rozumiał konieczności takiego kroku i długo nad tym rozmyślał. Nie wiedział, jaką rolę ma odegrać w Cape Town.

- Dzięki niebu - myślał - wolny jestem od Rokowa. Zaczął mi się przykrzyć. Czy istotnie stałem się tak cywilizowany, że chorować będę na nerwy? Mógłby mnie o taką chorobę przyprawić, gdyż walczy podstępnie. Nigdy nie można wiedzieć, w jaki sposób skieruje swój cios. To jakby Numa, lew, namówił Tantora, słonia i Histę, węża, do połączenia swych usiłowań w celu odebrania mi życia. Nigdy w takim razie nie mógłbym wiedzieć, w 66

jakiej chwili i czyjej mam oczekiwać napaści. Ale zwierzęta są bardziej rycerskie niż człowiek - nie zniżają się do nikczemnej intrygi.

Przy obiedzie tego wieczoru Tarzanowi wypadło miejsce obok młodej osoby, siedzącej po lewej ręce kapitana. Kapitan przedstawił go.

Panna Strong! Kiedyś już chyba słyszał to nazwisko. Było mu jakoś znane. Wkrótce matka panny dała mu klucz do rozwiązania tej zagadki, nazywając ją po imieniu - Hazel.

Hazel Strong! Jakie wspomnienia poruszyło to imię. List to, pisany do niej, pisany śliczną ręką Janiny Porter, dostarczył mu pierwszych wiadomości o kobiecie, którą kochał. Jak dobrze przypominał sobie tę noc, w którą skradł ów list ze stołu chaty swego dawno zmarłego ojca, gdzie Janina Porter siedziała, pisząc go do późnego wieczora, a on znajdował się opodal skryty w ciemnościach. Jak przerażona byłaby tej nocy, gdyby wiedziała, że dzika bestia puszczy śledziła każdy ruch jej pióra,

przykucnięta w cieniach nocy.

Była to więc Hazel Strong - najserdeczniejsza przyjaciółka Janiny Porter.

ROZDZIAŁ XII

PRZEPLÝWAJĄCE OKRETY

Powróćmy do czasów dawniejszych o kilka miesięcy, do małej, wystawionej na wiatry platformy stacji kolejowej w północnym Wiskonsin. Dym pożaru lasów zawisł nad okolicą, dokucza on oczom grona sześciu osób, oczekujących nadejścia pociągu, który ma ich zabrać na południe.

Profesor Archimedes Porter, z rękoma założonymi pod kłapy surduta, spaceruje tam i z powrotem pod baczny okiem wiernego sekretarza, pana Samuela Philandra. Już dwa razy w ciągu ostatnich dwu minut przeszedł, w zamyśleniu, nie zdając sobie z tego sprawy, relsy w kierunku pobliskich błot, lecz niestrudzony pan Philander zawracał go, ocalając tym samym.

Janina Porter, córka profesora, rozmawia z przymusem i bez ożywienia z Williamem Cecylem Glaytonem i Tarzanem z małp. W małej poczekalni, dopiero co przed chwilą, nastąpiło wyznanie miłości i akt wyrzeczenia się, które zniweczyły szczęście dwojga osób spośród obecnych, lecz Williama Cecyla Claytona, lorda Greystoke nie było w ich liczbie.

Poza panną Porter wyłaniała się postać opiekuńczej Esmeraldy. Była uszczęśliwiona, gdyż wracała do swego ukochanego Marylandu. Dostrzegła już słabo przez chmurę dymu przysłonięte światło zbliżającej się lokomotywy. Mężczyźni zaczęli zbierać ręczne bagaże. Nagle Clayton zawołał.

- Na Jowisza! Zapomniałem swego palta w poczekalni - i szybko pobiegł, by je przynieść.

- Bądź zdrowa, Janino - wymówił Tarzan, wyciągając dłoń.

- Niech cię Bóg ma w swej opiece.

- Bądź zdrow - odpowiedziała dziewczyna cichym głosem.

- Spróbuj mnie zapomnieć, nie, nie chcę. Nie mogłabym znieść myśli, że zapomniałeś o mnie.

67

- Nie ma o to obawy, droga moja - odrzekł. - Dałyby nieba łaskawe, żebym zapomniał.

Byłoby mi o wiele łatwiej żyć niż teraz, pamiętając o tym, że rzeczy mogłyby ułożyć się inaczej. Będiesz jednak szczęśliwa, na pewno, powinnaś być szczęśliwa. Proszę powiedzieć innym, że postanowiłem jechać autem do Nowego Jorku - nie mogę się zdobyć na to, by pożegnać Claytona. Chcę na zawsze zachować dla niego przyjaźń, lecz obawiam się, że jestem jeszcze w zbyt wielkiej mierze dzikim zwierzęciem, abym dochował wiary człowiekowi, który stanął pomiędzy mną i osobą, która jedna, jedyna z całego świata jest mi potrzebna.

Gdy Clayton znalazł się w poczekalni, by zabrać swe palto, spostrzegł leżący na podłodze blankiet depeszy, odwrócony pismem do dołu. Schyliwszy się, podniósł go sądząc, że może to być depesza mająca znaczenie, którą ktoś upuścił. Spojrzał na nią w pośpiechu, a przeczytawszy wyrazy zapomniał od razu i o swym palcie, i o zbliżającym się pociągu - wszystko znikło prócz tej kartki żółtawego papieru, którą trzymał w ręku.

Przeczytał ją dwukrotnie, zanim mógł dobrze zrozumieć całe straszne znaczenie, jakie miała dla niego.

Gdy podnosił tę kartę, był w swoim mniemaniu angielskim panem, dumnym i bogatym właścicielem obszernych włości - w chwilę później przeczytał ją i wiedział, że jest człowiekiem bez tytułu i biedakiem, nie posiadającym ani grosza. Był to telegram wysłany przez d'Arnota do Tarzana. Słowa były następujące:

Odbicia palców dowodzą, że jesteś Greystoke. Gratuluję.

D'Arnot.

Zachnął się, jak gdyby otrzymał śmiertelne pchnięcie. Właśnie wtedy usłyszał wołania by się spieszył - pociąg zatrzymał się przed małym peronem. Jak lunatyk wziął na rękę palto. Przyszła mu myśl, że powie im wszystkim o znalezionej depeszy, gdy będą w wagonie. I wybiegł na peron właśnie w chwili, kiedy lokomotywa zaświstała dwukrotnie na ostateczny sygnał ostrzegawczy przed ruszeniem w drogę. Inni stali już w wagonie, wyglądając z platformy pulmanowskiego wagonu i nawołując, by się spieszył. Pięć minut upłynęło, zanim rozsiedli się na swych miejscach i dopiero wtedy Clayton zauważył, że Tarzana z nimi nie było.

- Gdzie jest Tarzan? - zapytał Janinę Porter. - Siadł do innego wagonu?

- Nie - odpowiedziała. - W ostatniej chwili zdecydował się jechać autem z powrotem do Nowego Jorku. Chciał się więcej rozejrzeć po ziemi amerykańskiej, niż jest to możliwe z okien wagonu. Wraca do Francji, jak panu wiadomo.

Clayton nie odpowiadał. Próbował znaleźć właściwe wyrazy, które by wytłumaczyły Janinie Porter nieszczęście, jakie spotkało jego - i ją. Nie wiedział jak oddziała na nią ta wiadomość. Czy zechce poślubić go, aby zostać tylko nie utytułowaną panią Clayton?

Nagle uświadomił sobie okropne poświęcenie, jakie jedno z nich, ona lub on, musi ponieść. Później zjawilo się pytanie: czy Tarzan będzie dochodził swych praw? Człowiek-małpa znał treść depeszy, a jednak spokojnie wyparł się pokrewieństwa! Mówił, że Kala, małpa, była jego matką! Czy powiedział to przez miłość do Janiny Porter?

68

Nie było innego wytłumaczenia, które byłoby logiczne. A jeżeli wyparł się tego, o czym mówiła depesza, czy nie słuszne było przypuszczać, że nigdy nie będzie poszukiwał

swych praw? Jeżeli tak, to jakie miał prawo krzyżować zamiary, unicestwić poświęcenie się tego

dziwnego człowieka? Jeżeli Tarzan z małżonką mógł tak postąpić, by uchronić Janinę Porter od nieszczęścia, to dlaczego on, któremu oddawała się w opiekę na całą przyszłość, miał wystawiać na szwank jej losy?

I rozumował w ten sposób dalej, aż rój sofizmatów, nasuniętych przez egoizm, usunął

pierwszy szlachetny poryw pchający do wyjawienia prawdy i pozostawienia tytułów i dóbr prawemu ich właścicielowi. Do końca jednak jazdy kolejną i przez wiele dni następnych był w markotnym usposobieniu i nie mógł pozbierać myśli. Chwilami nachodziła go myśl, że być może Tarzan kiedyś w następstwie pożałuje swej wielkoduszności i zażąda zwrotu tego, co mu się prawnie należało.

W kilka dni po przybyciu do Baltimore Clayton poruszył w rozmowie z Janiną Porter projekt zaślubin w niedługim czasie.

- Co pan nazywa "w niedługim czasie?" - zapytała.

- W ciągu kilku najbliższych dni. Muszę wracać do Anglii i chciałbym powrócić wraz z tobą, pani.

- Nie mogę ukończyć przygotowań w tak krótkim czasie - odpowiedziała Janina Porter. -

Zabierze mi to miesiąc, co najmniej.

Ucieszyła się, gdyż miała nadzieję, że sprawy, które powoływały Clayтона do Anglii, odciągną jej ślub jeszcze na dłuższy termin. Źle wybrała, lecz była zdecydowana odegrać swą rolę do samego końca. Jednakże jeżeli była możliwość zdobycia .czasowej ulgi, czuła, że ma prawo skorzystać z niej. Odpowiedź Clayтона zmieszała jej myśli.

- Dobrze więc, Janino - rzekł. - Oczekiwałem, że da się zrobić inaczej, lecz odłożę mój odjazd na miesiąc, potem będziemy mogli pojechać razem.

Kiedy jednak miesiąc zbliżał się do końca, panna Porter wynalazła jakiś inny powód do odłożenia ślubu, aż w końcu, straciwszy odwagę i pełen wątpliwości, musiał Clayton odjechać sam do Anglii.

Listy, jakie zamienili między sobą, nie doprowadziły Clayтона do spełnienia jego pragnień, aż w końcu zwrócił się wprost do profesora Portera i prosił go o wstawiennictwo. Starsuszek zawsze był przychylny temu związkowi. Pochodząc z południa, przywiązywał przesadne znaczenie do posiadania tytułu, który miał bardzo niewielkie, a raczej wcale nie miał znaczenia w oczach córki.

Clayton usilnie prosił, aby profesor przyjął j ego zaproszenie i przyjechał do Londynu.

Zaproszenie obejmowało całą bliższą rodzinę profesora- pana Philandra, Esmeraldę.

Anglik rozumował, że kiedy Janina przyjedzie i zostaną zerwane węzły wiążące ją z otoczeniem domowym w Ameryce, nie będzie już tak obawiała się kroku, który od tak dawna wahała się uczynić.

Po otrzymaniu listu Clayтона profesor Porter tegoż wieczora oświadczył, że za tydzień wybiorą się do Londynu.

Jednakże, kiedy Janina Porter przybyła do Londynu, nie można było sobie z nią poradzić, tak samo, gdy była w Baltimore. Odnajdywała coraz inne wymówki, a kiedy w końcu lord Tennigton zaprosił całe towarzystwo do wzięcia udziału w podróży na jego 69

własnym jachcie naokoło Afryki, przyjęła tę propozycję z najwyższą radością, a jednocześnie stanowczo odmówiła zgody na ślub, zanim wróci z powrotem do Londynu.

Wobec tego, że podróż miała zająć z rok, gdyż zamierzano zatrzymywać się dowolną ilość czasu w miejscowościach wzbudzających zainteresowanie, Clayton w myśli przeklinał Tennigtona za podsuniecie myśli tej tak dziwacznej wycieczki.

Według planu lorda Tennigtona jacht miał popłynąć przez Morze Śródziemne i Morze Czerwone na Ocean Indyjski, a później wzdłuż wschodniego brzegu Afryki, przy czym mieli się zatrzymywać w każdym porcie, w którym było cokolwiek godnego widzenia.

Pewnego dnia dwa statki przepłynęły Cieśninę Gibraltarską. Mniejszy, zgrabny biały jacht spieszył na wschód. Na pokładzie unosił młodą pannę, przypatrującą się smutnymi oczyma naszymi naszyjnikowi, ozdobionemu drogimi kamieniami, który przesuwała w rękach w zamyśleniu. Myśli jej bujały daleko w ciemnej, liściastej twierdzy podzwrotnikowej dżungli

- a serce uderzało w takt myślom.

Myślała o tym, czy ten, kto dał jej to piękne cacko, które miało nieskończenie większe dla niego znaczenie niż jego wartość, powrócił do swych dzikich borów.

A na pokładzie większego statku, pasażerskiego parowca, zdążającego ku zachodowi, siedział pewien mężczyzna i w rozmowie z inną młodą osobą robił różne przypuszczenia o tym, kto może jechać na tym pięknym statku, szybującym tak zgrabnie poprzez łagodne fale spokojnego morza.

Kiedy statki się minęły, mężczyzna nawiązał znowu rozmowę, przerwana pojawieniem się jachtu.

- Tak - rzekł - lubię bardzo Amerykę, a to ma się rozumieć znaczy, że lubię Amerykanów?

gdyż kraj jest taki, jakim go robią jego mieszkańcy. Spotkałem tam bardzo miłych ludzi, gdym tam był. Wspomnę jedną rodzinę z rodzinnego miasta pani, panno Strong, którą bardzo polubiłem - rodzinę profesora Portera wraz z córką Janiną.

- Janina Porter! - zawołała panna. - Mówisz pan, że znasz pan Janinę Porter? Jak to się składa, przecież to najlepsza moja przyjaciółka, jaką mam na świecie. Wychowałyśmy się razem - znamy się obie od wieków.

- Czyż tak! - odpowiedział uśmiechając się. - Trudno byłoby to przypuścić temu, kto poznał panią i ją.

- Określę więc to bliżej - odpowiedziała śmiejąc się. - Znamy się od bardzo dawna, przez wszystkie lata jej i mojego życia. Na serio, kochamy się jak siostry, a obecnie, gdy ją mam utracić, mam prawdziwe strapienie.

- Mają pani utracić? - odezwał się żywo Tarzan. - Jak to, co pani chce powiedzieć? Ach, tak, rozumiem. Ma pani na myśli, że po wyjściu za mąż zamieszka ona w Anglii i będzie ją pani widywać rzadko albo i wcale.

- Tak - odpowiedziała panna - a najsmutniejszą rzeczą w całej sprawie jest to, że ma poślubić nie tego, kogo kocha. To straszne. Wychodzi za mąż z poczucia obowiązku!

Sądzę, że jest to zupełnie fałszywy krok i mówiłam jej to. Mam tak zdecydowaną opinię w tym względzie, że chociaż poza bliższą rodziną ja miałam być jedyną obcą osobą zaproszoną na obrzęd zaślubin, nie chciałam przyjąć zaproszenia, gdyż nie chciałam być świadkiem tak okropnego mamidła. Lecz Janina Porter jest zdecydowana. Ma przekonanie, że spełnia czyta szlachetny, nakazany przez poczucie honoru i nic na 70

świecie nie mogłoby jej odwieść od wyjścia za mąż za lorda Greystoke, chyba że sam Greystoke ją zwolni ze słowa lub śmierć.

- Żal mi jej - rzekł Tarzan.

- A mnie żal jest człowieka, którego ona kocha - rzekła panna - gdyż wiem, że ją kocha.

Nigdy go nie widziałam, lecz z tego, co od Janiny słyszałam, wnoszę, że musi to być osoba godna podziwu. Urodził się podobno w puszczy afrykańskiej i został wychowany wśród dzikich małp antropoidalnych. Nie widział w życiu ani jednego białego człowieka aż do chwili, kiedy zbuntowana załoga okrętu porzuciła na brzegu profesora Portera i jego towarzystwo, właśnie przed progiem jego niewielkiej chaty. Ocalił ich od napaści dzikich zwierząt i dokonał mnóstwa najcudowniejszych czynów, a dla ukoronowania wszystkiego zakochał się w Janinie, a ona w nim, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy naprawdę aż do chwili, kiedy dała słowo lordowi Greystoke.

- To szczególne - wyrzekł Tarzan, siląc się znaleźć szybko pretekst do zmiany tematu rozmowy. Chętnie słuchał opowiadania Hazel Strong o Janinie, lecz gdy o nim była mowa, poczuł zniechęcenie i zakłopotanie. Wkrótce doznał ulgi, gdy matka panny przyłączyła się do nich i rozmowa stała się ogólna.

Następne kilka dni przeszły bez żadnych wydarzeń. Morze było spokojne. Niebo było jasne. Parowiec przecinał fale spokojnie, zmierzając ku południowi bez przerwy. Tarzan co dnia spędzał chwilę czasu z panną Strong i jej matką. Zabawiali się na pokładzie, czytając, rozmawiając lub robiąc zdjęcia fotograficzne aparatem panny Strong. po zachodzie słońca rozchodzili się.

Pewnego dnia Tarzan zaszedł pannę Strong w czasie jej rozmowy z obcym mężczyzną, którego nie zauważył poprzednio na pokładzie. Kiedy podszedł do nich, mężczyzna skłonił się pannie i miał zamiar odejść.

- Niech pan zaczeka, panie Turan - rzekła panna Strong - musi pan poznać pana Caldwell. Jesteśmy towarzyszami podróży i trzeba się zaznajomić.

Obaj panowie podali sobie ręce. Kiedy Tarzan spojrział na pana

Turana, uderzyła go dziwna znajomość wyrazu jego twarzy.

- Jestem pewien, że gdzieś już pana spotkałem - rzekł Tarzan - chociaż nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach.

Pan Turan jak gdyby zaniepokoił się.

- Nie wiem, panie - odrzekł. - Być może. I mnie się tak czasami zdawało, gdym spotykał osoby mi nieznane.

- Pan Turan tłumaczył mi rozmaite tajemnice nawigacji - dodała panna Strong.

Tarzan zwracał małą uwagę na rozmowę, jaka dalej się toczyła - usiłował przypomnieć sobie, gdzie widział przedtem pana Turana. Miał wrażenie, że było to wśród jakichś szczególnych okoliczności. - Słońce zaczęło padać wprost na nich i panna Strong poprosiła pana Turana, aby przesunął jej fotel dalej w cień. Tarzan przyglądał się wtedy z boku i zauważył niezgrabność ruchów przy przesuwaniu fotela - lewy napiętek był

nieruchomy. Ten klucz do rozwiązania zagadki wystarczał - powiązanie wspomnień dokonało reszty.

Pan Turan próbował znaleźć wymówkę, by pożegnać się. Przerwanie rozmowy przy zmianie miejsca dało mu po temu sposobność. Złożywszy głęboki ukłon pannie Strong i 71

skłoniwszy się Tarzanowi, chciał się oddalić. - Jedną chwilkę - rzekł Tarzan. - Jeżeli panna Strong pozwoli, będę panu towarzyszył. Powrócę zaraz.

Na twarzy pana Turana widoczne było zaniepokojenie. Kiedy obaj zniknęli z oczu panny Strong, Tarzan zatrzymał się i kładąc ciężką rękę na ramieniu Turana, spytał:

- Co ty tu robisz, Rokow i czego chcesz?

- Opuszczam Francję, jak obiecałem uczynić - odpowiedział Rokow kwaśnym tonem.

- Widzę - rzekł Tarzan - lecz znam cię zbyt dobrze, abym mógł przypuścić, że to zrządził

czysty przypadek, iż jedziemy jednym okrętem. Nawet, gdybym chciał temu wierzyć, to przebranie się twoje wyprowadziłoby mnie z tego błędu.

- Cóż z tego - odpowiedział Rokow, wzruszywszy ramionami. - Nie wiem, jaki zamierzasz zrobić z poznania mnie użytek. Okręt ten płynie pod flagą angielską. Ja mam równe z panem prawo znajdować się na jego pokładzie, a z tego faktu, że pan zapisał się w książce okrętowej pod przybranym nazwiskiem, mogę nawet sądzić, że ja mam lepsze prawo.

- Nie będziemy o tym rozprawiali, Rokow. Chciałem ci tylko powiedzieć, że musisz trzymać się z dala od panny Strong - to jest uczciwa kobieta.

Rokow spłoszył.

- Jeżeli mnie nie posłuchasz, wrzucę cię do morza, - ciągnął dalej Tarzan. - Nie zapominaj, że szukam tylko pretekstu. Przy tych słowach obrócił się na pięcie, pozostawiając Rokowa drżącego pod wpływem stłumionej wściekłości.

Tarzan nie widział więcej Rokowa przez kilka dni, lecz tymczasem Rokow nie próżnował.

W swym pokoju palił tytoń i miotał przekleństwa, grożąc straszną zemstą.

- Wrzuciłbym go do morza jeszcze dziś - wykrzykiwał - gdybym miał pewność, że nie ma tych papierów przy sobie. Nie mogę narażać się na wrzucenie ich do oceanu wraz nim.

Gdybyś ty nie był takim głupim niedołęgą, Aleksy, znalazłbyś sposób, by wejść do jego pokoju i poszukać tych dokumentów.

Paulwicz uśmiechnął się. - Ty uchodzisz za kierownika w naszej spółce, kochany Mikołaju - odrzekł. - Dlaczegoż nie wynajdziesz sposobu, jak przeszukać pokój Caldwell'a, co?

W dwie godziny później fortuna była dla nich łaskawa, gdyż Paulwicz, który wciąż szpiegował, zobaczył, że Tarzan opuścił swój pokój, nie zamykając go na klucz. W pięć minut potem Rokow stanął w miejscu, z którego mógł dać ostrzegawczy znak, w razie gdyby Tarzan wracał, a Paulwicz wprawnie przeszukiwał bagaże człowieka- małpy.

Już miał dać pokój wszystkiemu w rozpaczy, kiedy spostrzegł ubranie, które właśnie przed chwilą Tarzan zdjął. W chwilę później trzymał w ręku kopertę z urzędową pieczęcią. Rzut oka na zawartość wywołał szeroki uśmiech zadowolenia na twarzy Rosjanina.

Kiedy Paulwicz opuścił pokój, nawet sam Tarzan nie umiałby powiedzieć, czy jakkolwiek przedmiot był poruszony w czasie jego nieobecności. Paulwicz był mistrzem na obranym przez siebie polu działalności.

Kiedy Paulwicz doręczył pakiet Rokowowi w tajemnicy, Rokow zadzwonił na służącego i obstalował butelkę szampana.

- Musimy ten fakt uświetnić, drogi Aleksy - rzekł.

72

- To był szczęśliwy traf, Mikołaju - objaśniał Paulwicz. - Najwidoczniej nosił zawsze te papiery przy sobie - zupełnie przypadkowo zapomniał przełożyć je, zmieniając ubranie.

Licho jednak wie, co może się zdarzyć, gdy dostrzeże swą zgubę. Obawiam się, że zaraz domyśli się, że to twoja sprawka. Wiedząc, że jesteś na pokładzie, od razu na ciebie będzie miał podejrzenie.

- Nie będzie to miało żadnego znaczenia, kogo on będzie podejrzewał, gdy dzisiejsza noc minie - rzekł Rokow ze skrzywieniem twarzy.

Po odejściu panny Strong do swej kajuty Tarzan tej nocy stał oparty o balustradę i przyglądał się dalekiemu morzu. Robił to zawsze, gdy był na okręcie - czasami wystawał

tak godzinami. A ci, którzy śledzili każdy jego ruch od chwili, gdy wstąpił na pokład w Algierze, wiedzieli, że taki był jego zwyczaj.

I tej nocy właśnie ich oczy pilnowały go. Oto ostatni pasażer, używający późnego spaceru, opuścił pokład. Była widna noc, lecz nie było księżyca i wszystkie przedmioty na pokładzie spoczywały w zmroku.

Z cieniów kabiny dwie postacie zaczęły się skradać z tyłu ku Tarzanowi. Obijanie się fal o boki statku, stuk motoru, dudnienie maszyn zagłuszały kompletnie ciche stąpanie obu.

Podeszli zupełnie blisko. Schylili się. Jeden podniósł rękę, opuścił ją, jak gdyby liczył na sekundy - raz - dwa - trzy. Jak jeden mąż rzucili się na ofiarę. Każdy pochwycił za nogę i zanim Tarzan, chociaż był szybki w ruchach jak błyskawica, zdążył się odwrócić dla ratunku, zrzucony został przez barierkę w wody Atlantyku.

Hazel Strong wyglądała przez ciemne okienko kajuty na ciemne morze. Nagle coś mignęło przed jej oczami, spadając z pokładu. Spadło tak szybko w ciemne fale, że nie mogła zauważyć, co to takiego było - czy to był człowiek, tego nie mogła powiedzieć.

Nasłuchiwała, czy nie usłyszy z góry okrzyku, okrzyku sprawiającego zawsze przykre wrażenie - "człowiek za burtą" - lecz nic nie usłyszała. Milczenie panowało na górze statku, milczenie - na morzu, na dole.

Panna Strong pomyślała, że widocznie widziała pakę śmieci wyrzuconą przez kogoś z załogi i za chwilę udała się na spoczynek.

ROZDZIAŁ XIII

ROZBICIE SIĘ JACHTU "LADY ALICE"

Nazajutrz przy śniadaniu miejsce Tarzana było puste. Pannę Strong zdziwiło to trochę, gdyż pan Caldwell starał się zaczekać, aby jeść śniadanie wspólnie z nią i z jej matką.

Gdy później usiadła na pokładzie, zatrzymał się przy niej pan Turan, by zamienić kilka miłych słówek. Był w wybornym humorze - był wyjątkowo rozmowny i grzeczny. Gdy odszedł, panna Strong pomyślała o nim, że jest to człowiek bardzo miły.

Dzień ciągnął się nudnie. Brakowało jej towarzystwa Caldwell'a - było w jego zachowaniu coś, co usposobiło pannę Strong dobrze do niego od samego pierwszego poznania, opowiadał tak zajmująco o miejscowościach, które zwiedził, ludziach i ich obyczajach, o dzikich zwierzętach, a zawsze miał ten zabawny zwyczaj robienia uderzających porównań dzikich zwierząt i ludzi cywilizowanych, co wskazywało, że znał wybornie życie zwierząt i miał bystry, chociaż trochę ostry, sąd o ludziach.

Kiedy po południu pan Turan podszedł znowu, by pogawędzić z nią, ucieszyła się tą rozrywką, urozmaicającą monotonię. Lecz zaczęła się naprawdę niepokoić przedłużającą się nieobecnością Caldwell. W jakiś niewytłumaczony sposób nieobecność ta wiązała się w jej myśli z upadkiem jakiegoś przedmiotu w morze, który widziała poprzedniej nocy przez okienko kajuty. Zaczęła o tym mówić z panem Turanem. Czy nie widział on dziś pana Caldwell? Nie. Nie widział. A dlaczego?

- Nie byłam na śniadaniu o zwykłej porze i nie widziałam go wcale w ciągu całego dnia od wczoraj - odpowiedziała panna.

Pan Turan okazał wielkie zainteresowanie.

- Nie miałem przyjemności znać pana Caldwell bliżej - rzekł.

- Wydawał mi się jednak człowiekiem bardzo szacownym. Być może nie czuje się zdrowy i pozostał u siebie? Nie byłoby w tym nic szczególnego.

- Zapewne. - odpowiedziała dziewczyna. - Nie byłoby w tym nic dziwnego, lecz w jakiś nie dający się wytłumaczyć sposób mam czysto kobiece przeczucie, może niemądre, że panu Caldwellowi coś się stało. Mam uczucie niesłychanie dziwne - jak gdybym wiedziała, że nie ma go już na pokładzie okrętu.

Pan Turan zaśmiał się wesoło. - Co pani mówi, panno Strong - rzekł - a gdzieżby on w takim razie był? Nie zbliżaliśmy się do brzegów od szeregu dni.

- Wiem, że to jest śmieszne uczucie - potakiwała. - Lecz nie będę pana tym więcej kłopotowała, spróbuję sama się dowiedzieć, gdzie jest pan Caldwell - i zwróciła się do przechodzącego służącego.

- Będzie to rzeczą trudniejszą, niż możesz przypuszczać, moja panno - pomyślał w duchu Turan, a głośno dodał. - Zapewne, trzeba się dowiedzieć.

- Proszę powiedzieć panu Caldwellowi - rzekła panna Strong do służącego - że znajomi niepokoją się jego przeciągającą się nieobecnością.

- Lubi pani towarzystwo pana Caldwell? - zapytał Turan.

- Mnie się podoba wyśmienicie - odpowiedziała panna Strong, a mama nie może się bez niego obejść. Jest on z tych ludzi, z którymi można się czuć bardzo swobodnie - wszyscy muszą mieć zaufanie do pana Caldwell.

Po chwili wrócił służący i doniósł, że Caldwell nie ma w jego pokoju.

- Nie znajduję go, proszę pani, i - zawahał się mówiąc - powiedziano mi, że nie było go i w nocy. Sądzę, że należy o tym donieść kapitanowi.

- Ma się rozumieć - wykrzyknęła panna Strong. - Sama pójdę zaraz z wami do kapitana.

To okropne! Wiem, że stało się coś strasznego. Przecucia moje nie zwiodyły mnie.

W chwilę potem zgłosili się do kapitana, przestraszona panna i widocznie wzruszony służący. Kapitan wysłuchał ich w milczeniu, a wyraz zaniepokojenia odbił się na jego twarzy, gdy służący oświadczył, że szukał zagubionego pasażera wszędzie, gdzie można było przypuszczać, że da się go odnaleźć i nie znalazł.

- A pani jest pewna, że widziała pani, jak coś spadło do wody ostatniej nocy? - zapytał.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego - odpowiedziała panna Strong. - Nie mogę twierdzić, że był to człowiek, nie słyszałam krzyku. Mogło to być to, co przypuszczałam, paka śmieci. Lecz jeżeli pana Caldwell nie ma na pokładzie, to będę zawsze miała przekonanie, że to był on, że jego widziałam przez okienko.

74

Kapitan nakazał bezzwłocznie przeszukać dokładnie cały okręt od dziobu do końca - nie pomijając żadnego kątki i zakamarka. Panna Strong oczekiwała w kajucie kapitana na rezultat poszukiwań. Kapitan zadał j ej wiele pytań, lecz nie mogła o zagubionym powiedzieć nic więcej, prócz tego, co widziała w czasie ich krótkiej znajomości na okręcie. Teraz dopiero spostrzegła, jak mało w istocie pan Caldwell powiedział jej o sobie albo o swej przeszłości. -To, że urodził się w Afryce, a wychowany był w Paryżu - to było wszystko, co wiedziała, a tych kilka szczegółów dowiedziała się wskutek wyrażonego przez nią zdziwienia, że pan Caldwell, będąc Anglikiem, mówi z tak wyraźnym francuskim akcentem.

- Czy wspomniał kiedy o swych nieprzyjaciołach? - pytał kapitan.

- Nigdy.

- Czy znał on kogo spośród innych pasażerów?

- W ten tylko sposób jak i poznał mnie - wskutek zetknięcia się w charakterze współpasażerów.

- A czy, według pani, był to człowiek, który pił nadmiernie?

- Zdaje mi się, że wcale nie pił trunków, a bez żadnej wątpliwości nie pił na pół godziny przedtem, kiedy widziałam, że coś spadło w morze - odpowiedziała - gdyż byłam z nim razem cały ten czas na pokładzie.

- Bardzo to dziwne - rzekł kapitan. - Niepodobny był do człowieka cierpiącego na konwulsje lub coś w tym rodzaju. A nawet gdyby chorował, to jest mało prawdopodobne, nawet w razie, gdyby uległ atakowi w czasie, gdy oparty był o barierkę - żeby upadł przez barierkę w morze, powinien upaść raczej wewnątrz, na pokład. Jeżeli nie ma go na pokładzie, ktoś zrzucił go z pokładu - a to, że pani nie słyszała krzyku, rodzi przypuszczenie, że utracił życie przed zrzuceniem, że został zamordowany.

Panna Strong wzdrygnęła się na te słowa z przerażenia. Cała godzina upłynęła, zanim oficer okrętowy zjawił się, by zawiadomić o rezultacie poszukiwań.

- Pana Caldwell'a nie ma na statku - raportował.

- Wydaje mi się, że jest w tym coś bardziej poważnego niż wypadek, panie Brently - rzekł

kapitan. - Niech pan osobiście bardzo dokładnie przeszuka rzeczy pana Caldwell'a w celu przekonania się, czy nie znajdzie się jakieś wyjaśnienie motywu do samobójstwa lub zbrodni, proszę zbadać rzecz gruntownie.

- Rozumiem, panie kapitanie! - odpowiedział Brently i wyszedł, by rozpocząć śledztwo.

Hazel Strong czuła się przygnębiona. Przez dwa dni nie wychodziła ze swej kabiny, a gdy w końcu zdecydowała się wyjść na pokład, była bardzo mizerna i blada, a pod oczami miała wielkie, ciemne obwódki. Czy na jawie, czy we śnie ciągle się jej wydawało, że widzi spadające, szybko, w milczeniu, ciało ludzkie w ponure, zimne morze.

Zaraz po jej pierwszym ponownym pojawieniu się na pokładzie po tragedii Turan podszedł do niej i wymownie wyraził jej swe współczucie.

- Naprawdę, to straszne, proszę pani - rzekł. - Nie mogę o tym zapomnieć.

- Ani ja - rzekła panna Strong zgnębionym głosem. - Ciągłe mnie myśl prześladowuje, że mogłam go ocalić, gdybym wszczęła alarm.

- Nie ma co robić sobie wymówek, panno Strong - mówił z powagą Turan. - Nie było w tym żadnej pani winy. Każdy inny na pani miejscu zrobiłby to samo co pani. Któż mógł

75

przypuszczać, że kiedy coś wpadło w morze z okrętu, to musiał być człowiek. A rezultat byłby taki sam, gdyby pani podjęła natychmiast alarm. Czas pewien nie uwierzono by pani słowom sądząc, że są to kobiece halucynacje. Gdyby pani pomimo wszystko nalegała, byłoby już za późno ocalić go, zanim okręt zatrzymałby się, a łodzie zostały opuszczone i podплыnęły kilka kilometrów po przebytej drodze na miejsce niepewne, gdzie wydarzył się wypadek. Nie, nie ma pani racji, robiąc sobie wyrzuty. Pani zrobiła dla pana Caldwell'a więcej niż ktokolwiek z nas, pani jedna spostrzegła jego nieobecność. Na pani naleganie rozpoczęto śledztwo.

Panna Strong czuła wdzięczność za te uprzejme, zachęcające słowa. Turan przebywał w jej towarzystwie często - prawie przez całą resztę podróży - przyzwyczała się do niego i polubiła. Pan Turan dowiedział się, że piękna panna Strong z Baltimore była Amerykanką, dziedziczką dużej fortuny, rozporządzającą sobą. Roztaczały się przed nim widoki takie, że zapierało mu dech, gdy o nich przemysliwał, a ponieważ przeważną część czasu spędzał na snuciu takich myśli, dziwne było, że w ogóle mógł oddychać.

Po zniknięciu Tarzana Turan zamierzał opuścić okręt w pierwszym porcie, gdzie zawiną.

Czyż nie posiadał w swej kieszeni tych papierów, dla których zdobycia wsiadł na ten właśnie okręt? Nic nie mogło zatrzymać go dłużej. Należało jak najspieszniej wracać do Europy, aby pierwszym

ekspresem dojechać do Piotrogradu.

Lecz teraz pojawiła się inna myśl i szybko usuwała w cień zamiary pierwotne. Ta fortuna amerykańska nie była do pogardzenia, a jej właścicielka nabierała szczególnej ponęty.

- Sapristi! sprawi ona wrażenie w Piotrogradzie. I on również, przy pomocy jej dziedzicznego majątku.

Kiedy Turan wydał w wyobraźni kilka milionów dolarów, wydało mu się, że tego rodzaju zatrudnienie tak mu dogadzało, iż zdecydował się odbywać podróż dalej do Cape Town, a tam przekonał się nagle, że ma bardzo pilne sprawy, które każą mu zatrzymać się pewien czas.

Panna Strong powiedziała mu, że zamiarem jej i jej matki było odwiedzenie tam wuja.

Jeszcze nie zdecydowały się, jak długo potrwa ich pobyt, prawdopodobnie zatrzymają się kilka miesięcy.

Uradowała się, dowiedziawszy się, że i pan Turan miał zamiar pozostać przez pewien czas w Cape Town.

- Sądzę, że będziemy mogli nie przerywać naszej znajomości - rzekła. - Niech pan nas odwiedzi, skoro tylko jakoś się urządzimy.

Pan Turan był bardzo uradowany tą wiadomością, i zaraz wyraził to słowami. Na pani Strong nie zrobił bynajmniej tak dodatniego wrażenia jak na córce.

- Nie wiem dlaczego, ale wcale nie mam do niego zaufania, - rzekła raz pewnego do córki, gdy o nim mówiły. - Wydaje się bardzo eleganckim panem pod każdym względem, lecz niekiedy spostrzegam coś w jego oczach... takie przemijające wrażenie, które trudno mi określić, lecz kiedy je widzę, wywołuje we mnie bardzo niemiłe uczucie.

- Zaiste - odezwał się pan Turan - bardzo dobrze się składa. Ja również jestem zmuszony wracać i w taki sposób będę miał zaszczyt towarzyszyć paniom.

76

- To pięknie z pana strony, panie Turan - odpowiedziała pani Strong. - Będziemy rade, mogąc korzystać z pana usłużności. - Lecz w głębi serca życzyła sobie rozstania z panem Turanem. Dlaczego tak było, nie umiałyby powiedzieć.

- Na Jowisza! - dał się słyszeć głos lorda Tennigtona w chwilę później. - Znakomity pomysł.

- Tak, Tennigtonie, zapewne - dorzucił swoje Clayton. - Musi! to być znakomity pomysł, jeżeli w twojej zrodził się głowie, lecz o co chodzi? Chcesz jechać do Chin, wstępując po drodze na biegun1 południowy?

- Ach, Claytonie - odpowiedział Tennigton - nie masz racji odzywać się tak do mnie z powodu, że nie

ty jesteś autorem pomysłu wycieczki - nie podobało ci się wszystko od pierwszej chwili, w której odjechaliśmy.

- Nie, mój drogi - ciągnął dalej - to pomysł znakomity, wszyscy to potwierdzą, aby zabrać ze sobą panią Strong, pannę Hazel i Turana również, jeżeli zechce jechać, i dowieźć do Anglii na jachcie. Czy to nie wybome?

- Wybacz mi, Tenni, przyjacielu - odezwał się Clayton. - Rzeczywiście, to wyboma myśl -

nigdy bym cię nie podejrzewał, że o to ci chodzi. Myśl bardzo oryginalna, czy jesteś pewien, że od ciebie pochodzi?

- A pojedziemy pierwszego dnia następnego tygodnia lub później w czasie dla pań dogodnym, pani Strong - zakończył kordialny Anglik, jak gdyby rzecz była postanowiona prócz określenia tylko daty odjazdu.

- Dziękujemy, lordzie Tennigton, nie dał nam pan nawet możliwości podziękować za zaprosiny, nie mówiąc już o tym, że nie mogłyśmy nic powiedzieć, czy będziemy mogły przyjąć pańską wielkoduszną propozycję. - rzekła pani Strong.

- Dlaczego nie, ma się rozumieć, panie pojedą - odpowiedział Tennigton. - Pojedziemy równie szybko jak statek pasażerski i będzie paniom zupełnie wygodnie, a koniec końców wszyscy chcemy mieć towarzystwo i nie zgodzimy się usłyszeć odmowy jako odpowiedzi.

Postanowiono więc wyruszyć w następny poniedziałek.

W dwa dni po odpłynięciu od brzegu dziewczęta siedziały w kabinie Hazel, przeglądając odbitki, które wykonała w Cape Town. Były tam wszystkie zdjęcia, które zrobiła od czasu opuszczenia brzegów Ameryki. Obie panie były bardzo zajęte oglądaniem, Janina rzucała najrozmaitsze pytania, a Hazel dawała całe potoki komentarzy i objaśnień rozmaitych widoków krajów i ludzi.

- A tu - rzekła nagle - tu mam fotografię człowieka, którego znasz. Szkoda biedaka. Tyle razy miałam chęć zapytać cię o niego, lecz nigdy nie zdobyłam się na to, gdy byłyśmy razem. - Trzymała małą fotografię w ten sposób, że nie można było dojrzeć twarzy na fotografii.

- Nazywał się Jan Caldwell - mówiła dalej Hazel. - Przypominasz go sobie? Mówił, że spotkał cię w Ameryce. Jest Anglikiem.

- Nie przypominam sobie takiego nazwiska - odrzekła Janina.

- Pokaż mi fotografię.

- Biedak zginął, spadłszy w morze w czasie naszej podróży wzdłuż brzegów - rzekła i podała fotografię Janinie.

- Zginął... Co ty mówisz, Hazel - zginął, utopił się spadłszy w morze! Powiedz, że żartujesz! - I zanim zdziwiona panna Strong zdołała pochwycić Janinę Porter, ta osunęła się na ziemię zemdlona.

Gdy Hazel udało się przywrócić przyjaciółkę do przytomności, spoglądała na nią czas jakiś, zanim przemówiły do siebie.

- Ja nie wiedziałam, Janino - rzekła Hazel, wolno wymawiając słowa - że pan Caldwell był ci tak bliski, że jego śmierć mogła cię tak dotknąć.

- Jan Caldwell? - zapytała Janina Porter. - Czy naprawdę nie wiesz, kim jest ten mężczyzna?

- Owszem, Janino: Wiem bardzo dobrze, kto to był - jego nazwisko Jan Caldwell, pochodził z Londynu.

- Ach, Hazel, chciałabym uwierzyć, że to był Jan Caldwell - odezwała się z jękiem Janina Porter. - Chciałabym uwierzyć, lecz te rysy tak głęboko są wyryte w mej pamięci i w mym sercu, że odróżniłabym je wszędzie spośród tysiąca innych, które mogłyby się wydawać komu innemu identyczne.

- Co tym mówisz, Janino? - zawołała Hazel naprawdę mocno zaniepokojona. - Któż to jest? Jak ci się zdaje?

- Mnie się nie zdaje. Ja wiem z pewnością, że to jest Tarzan.

- Co mówisz, Janino?

- Nie jestem w błędzie. Czy jesteś pewna, że zginął? Czy to rzecz stwierdzona?

- Przykro mi powiedzieć, że tak, moja droga - rzekła Hazel smutnie. - I ja chciałabym, żebyś się łudziła, lecz obecnie przypominam sobie mnóstwo drobnych rzeczy stwierdzających słusność twych słów. Nie zwróciłam na nie uwagi, dopóki sądziłam, że był to Jan Caldwell. Mówił, że urodził się w Afryce, a kształcił się w Paryżu.

- Tak, to jest prawda - wyszeptała cicho Janina Porter.

- Oficer okrętowy, który przeglądał bagaż, nie znalazł nic, co stwierdzałoby osobistość Jana Caldwell'a pochodzącego z Londynu. W istocie wszystko, co miał, pochodziło z Francji i było kupione w Paryżu. Jedyne znaki to "T" samo lub "J. C. T." Sądziliśmy, że podróżował, nie podając całego nazwiska, lecz tylko imię i pierwszą połowę nazwiska, stąd litery J. C., wyrażające Jan Caldwell.

- Tarzan z małą przybrał nazwisko Jan C. Tarzan - rzekła Janina tym samym monotonnym głosem. - Lecz zginął! To okropne! Zginął sam w tym strasznym oceanie. To nie do uwierzenia, żeby to dzielne serce mogło przestać uderzać, żeby te potężne mięśnie miały na zawsze pozostać nieruchome, zimne! Żeby on, uosobienie ruchliwego życia, i zdrowia, i męskiej siły, miał się stać ofiarą śliskich płazów i ryb... - Nie mogła dalej mówić i z westchnieniem ukryła głowę w rękach i z płaczem osunęła się na podłogę.

Całe dni panna Porter była chora i nie chciała widzieć nikogo prócz Hazel i wiernej Esmeraldy. Kiedy w końcu wyszła na pokład, wszystkich uderzyła wielka zmiana, jaka w niej zaszła. Nie była to już ruchliwa, żywa, piękna Amerykanka, czarująca i zachwycająca wszystkich, którzy się do niej zbliżyli. Była bardzo cichym dziewczętakiem -

mającym na twarzy wyraz beznadziejnej tęsknoty, której nikt, prócz Hazel, nie umiałby wytłumaczyć.

78

Wszyscy z całego towarzystwa dokładali wszelkich starań, by ją rozweselić i zabawić, lecz na próżno. Czasami zresztą lord Tennigton potrafił wywołać słaby uśmiech na jej ustach, lecz najczęściej przesiadywała z szeroko otwartymi oczyma, wyglądając na dalekie morze.

Wraz z chorobą panny Porter jedno nieszczęście za drugim spotykało jacht. Najpierw popsuła się maszyna i dwa dni płynęli bez steru, gdy maszynę reperowano. Potem nagle wybuchła wichura, która zmiotła z pokładu prawie wszystko, co się dało unieść. Potem dwaj marynarze pobili się, a rezultat był taki, że jeden został niebezpiecznie ranny nożem, a drugiego trzeba było zakuć w kajdany. Na domiar złego starszy majtek spadł w morze w nocy i utopił się, zanim zdołano przyjść z pomocą. Jacht krążył na miejscu zatonięcia przez dziesięć godzin, lecz nie dostrzeżono żadnego śladu zatopionego człowieka.

Wszyscy ludzie z załogi i towarzystwa sposepniali i czuli się przygnębieni po tym szeregu przykrych wypadków. Wszyscy obawiali się, że stanie się coś jeszcze gorszego, a szczególnie dało się to powiedzieć o marynarzach, którzy przypominali sobie najrozmaitsze straszne znaki i ostrzeżenia, które wydarzyły się w czasie poprzedniej drogi, które obecnie tłumaczyli sobie jako zwiastuny jakiejś ponurej i strasznej oczekującej ich tragedii.

I ludzie, kraczący na nieszczęście, niedługo nań czekali. W następną noc po utopieniu się starszego majtka mały jacht nagle otrzymał rysę od dziobu do tyłu statku. O godzinie pierwszej w nocy uderzyli o skałę, a uderzenie było tak silne, że wszyscy śpiący, zarówno ludzie z załogi, jak i pasażerowie, powypadali ze swych łóżek. Zadrżały serca małej załogi. Statek przechylił się na bok, maszyny stanęły. Przez chwilę jacht zawisł z pokładem przechylonym pod kątem 45 stopni - - potem z tępym dźwiękiem rozłupującego się drzewa obsunął się znów w morze i naprostował.

Natychmiast mężczyźni wybiegli na pokład, a za nimi panie. Chociaż noc była chmurna, nie było silnego wiatru i morze było spokojne, i przy niepewnym świetle widać było czarną masę pływającą, zagłębioną w wodzie.

- Szczątki rozbitego okrętu - wytłumaczył krótko oficer dyżuru-

Mechanik maszyn wybiegł na pokład, poszukując kapitana.

- Po zerwaniu tej łąty na cylindrze, którąśmy nałożyli - raportował - woda wdiera się szybko do środka.

Jeszcze w chwilę wybiegł marynarz z dołu.

- Boże! - zawołał. - Całe dno rozdarte. Może się statek unosić nad wodą dwadzieścia minut.

- Milczeć! - wykrzyknął Tennigton. - Panie, proszę zejść na dół i zebrać swe rzeczy. Może nie jest jeszcze tak źle, lecz trzeba będzie się na łodzi. Lepiej być przygotowanym.

Nie tracić czasu, proszę. Kapitanie Jerrold, niech pan pośle doświadczonego człowieka na dół, by określił dokładnie uszkodzenie. Tymczasem zajmijmy się złożeniem zapasów do łodzi.

Spokojny, nie podniesiony głos właściciela jachtu dodał otuchy całemu towarzystwu i w chwilę później wszyscy wzięli się do roboty, którą wskazał. Kiedy panie powróciły na pokład, skończono nąprędce ładowanie zapasów na łodzi, a zaraz potem pojawił się 79

oficer, który schodził na dół, by złożyć raport. Nie trzeba było właściwie wysłuchiwać jego opinii, gdyż wszyscy w zbitej garstce ludzi na pokładzie już wiedzieli, że nadszedł koniec jachtu "Lady Alice".

- Cóż więc? - rzekł kapitan, gdy oficer zawahał się.

- Nie chcę trwożyć pań - rzekł - lecz jacht nie utrzyma się dłużej nad kilkanaście minut, według mnie. Wybita jest w dnie dziura, przez którą przedostałaby się cała krowa.

Przez pięć minut "Lady Alice" szybko przechylała się. Już tył statku wznosił się wysoko w górę i utrzymanie się na pokładzie stawało się bardzo trudne. Jacht miał cztery łodzie i te zostały napełnione i spuszczone bezpiecznie. Kiedy odbili szybko od rozbitego małego statku, Janina Porter obróciła się, by spojrzeć na jacht po raz ostatni. Wtedy dał się słyszeć głośny łomot pękających belek, złowieszcze dudnienie i tłuczenie się z głębi okrętu - maszyny straciły oparcie i zapadały się w dół, łamiąc przedziały i oparcia - tył

statku wznosił się szybko w górę. Przez chwilę jakby wszystko stanęło - widać było pionową kolumnę wystającą z łona oceanu, a w chwilę później jacht zagłębił się szybko dziobem nąprzód w otchłaniach fal.

Siedzący w jednej z łodzi dzielny lord Tennigton otarł łzę z oka - nie żał mu było pieniędzy idących na dno, lecz umiłowanego przyjaciela, który był mu drogi.

W końcu przeszła druga noc i podzwrotnikowe słońce rzuciło promienie na przewalające się fale. Janina Porter zapadła w sen... jaskrawe światło, padające jej na twarz, obudziło ją. Obejrzała się wokoło. W łodzi wraz z nią było trzech marynarzy z załogi, Clayton i pan Turan. Zaczęła się rozglądać za innymi łodziami, lecz jak daleko mogło sięgnąć jej oko, nie było widać nic, co by przerywało straszną jednostajność powierzchni fal - byli sami w małej łódce na szerokim łonie Atlantyku.

ROZDZIAŁ XIV

POWRÓT DO PIERWOTNEJ DŻUNGLI

Pierwszym wysiłkiem Tarzana, gdy znalazł się w wodzie, było oddalić się jak nąprędzej od okrętu i

od niebezpieczeństwa, zagrażającego od kół rozpędowych. Domyślił się, kto był sprawcą jego obecnego położenia i unosząc się na powierzchni morza łagodnym ruchem rąk, czuł się głównie strapiony tym, że tak łatwo dał odnieść nad sobą zwycięstwo Rokowowi.

Pewien czas spoglądał na oddalające się i szybko niknące światła parowca, i nawet nie przyszło mu na myśl wołać o pomoc. Nigdy w życiu nie wołał o pomoc, nie było więc w tym nic dziwnego, że teraz o tym nie pomyślał. Zawsze polegał w niebezpieczeństwie na swojej dzielności i pomysłowości, a od czasów Kali nie było też nikogo, kto by chciał się odezwać na wołanie o pomoc. Kiedy myśl taka przyszła mu do głowy, było już za późno.

Istniały pewne szanse prawdopodobieństwa, wprawdzie bardzo słabe, pomyślał Tarzan, że zdarzy się okręt po drodze, który go wyłowi, a była też możliwość, że dopłynie do brzegu. Łącząc te możliwe szanse, Tarzan zdecydował posuwać się powoli w kierunku brzegów - być może jakiś okręt znajdzie się bliżej, niż mógł przypuszczać.

Uderzenia jego rąk były długie i powolne - nie obawiał się, że siła jego potężnych mięśni łatwo się wyczerpie. Kierując się według gwiazd płynął ku wschodowi i 80

wkrótce poczuł, że buty, które miał na nogach, zawadzają mu, usunął je więc. Zrzucił też dolne ubranie, chętnie zdjąłby i surdut, lecz chciał ocalić cenne papiery, które znajdowały się w kieszeni. Chcąc się upewnić, że miał je faktycznie, wsunął rękę do kieszeni, by je dotknąć, lecz ku swemu zdumieniu przekonał się, że ich tam nie było.

Zrozumiał, że nie sama chęć zemsty kierowała Rokowem przed wrzuceniem go w morze, Rokow zdołał zawładnąć papierami, które Tarzan odebrał mu w Bu Saada.

Człowiek-małpa zaklął z cicha i teraz odrzucił na fale Atlantyku surdut i koszulę. Wkrótce pozbył się reszty ubrania i płynął dalej swobodnie na wschód, nie skrępowany już w ruchach ubraniami.

Pierwszy brzask jutrzeńki gasił jaskrawość gwiazd, świecących mu ponad głową, gdy Tarzan spostrzegł na swej drodze ciemne zarysy czarnej masy, wynurzającej się z morza. Kilka silnych uderzeń rąk zbliżyło go do dostrzeżonego przedmiotu - było to dno rozbitego okrętu, omywane falami. Tarzan wdrapał się na nie, zamierzając zatrzymać się tam przynajmniej do wschodu słońca. Nie chciał spędzać czasu bezczynnie, narażając się na głód i pragnienie. Jeżeli sążone mu było zginąć, wołał ginąć, pozostając czynnym do ostatka, robiąc usiłowania ocalenia życia, choć nikła była nadzieja, aby były uwieńczone powodzeniem.

Morze było spokojne, a fale kołysały szczątkami okrętu lekkim ruchem, zapewniającym spokój pływakowi, który nie spał od dwudziestu godzin. Tarzan skulił się na mokrych deskach i wkrótce usnął.

Pałące promienie słońca przebudziły go przed południem. Poczł pragnienie, które zaczęło mu coraz silniej dokuczać. Zaraz jednak wszelkie dolegliwości przytłumiło uczucie radości z odkrycia prawie w tej samej chwili dwu rzeczy. Pierwszą było, że przy dnie okrętu płynęły jeszcze pewne inne części okrętu, a wśród nich z wywróconym dnem do góry była łódka. Drugą rzeczą, jaką spostrzegł, były rysujące się w znacznym oddaleniu na horyzoncie ku wschodowi brzegi.

Tarzan skoczył do wody i dopłynął do łodzi. Chłodna woda oceanu odświeżyła go jakby haust wody. Miał więc siłę do przeciągnięcia łodzi i po wielu potężnych wysiłkach zdołał

wciągnąć łódkę na dno statku. Tu ustawił łódkę jak należy, zbadał ją, po czym okazało się, że była nie uszkodzona. Wkrótce łódź tę opuścił na wodę obok statku, i wybrawszy sobie kilka kawałków desek, które mogły mu służyć jako wiosła, szybko popłynął ku odległemu brzegowi.

W godzinach popołudniowych zbliżył się na tyle, że mógł rozróżnić przedmioty na lądzie i rozeznaczyć kontury linii nadbrzeżnej. Przed nim znajdowała się niewielka zatoka. Zarosły drzewami cypel ku północy wydał mu się jakby dobrze znany. Czy było możliwe, że losy sprowadziły go z powrotem do jego własnej ukochanej dżungli! Kiedy nos czółna znalazł

się w przesmyku zatoki ostatnie wątpliwości rozwiały się. Oto przed nim, na tamtym brzegu, w cieniu pierwotnego lasu, stała jego własna chata pobudowana przed jego urodzeniem ręką dawno zmarłego Jana Claytona, lorda Greystoke, jego ojca.

Silnymi ruchami Tarzan szybko posuwał łódkę ku brzegowi. Skoro tylko łódź dotknęła ziemi, Tarzan wyskoczył na brzeg. Serce biło mu jak młot z radości i wielkiego wzruszenia na widok dawno znanych przedmiotów, ukazujących się jego oczom - chaty, małego strumyka, gęstej dżungli, czarnego, nieprzeniknionego boru. Miriady ptaków 81

jaskrawo upierzonych unosiły się w powietrzu, wspaniałe podzwrotnikowe kwiaty zwieszały się w girlandach z olbrzymich drzew.

Tarzan powrócił do swego rodzinnego kraju. Aby cały świat o tym zawiadomić, zarzucił w tył głowę i wydał dziki okrzyk swego plemienia. Przez chwilę cisza panowała w dżungli -

potem odezwał się ponury stłumiony odzew - był to poryk Numy lwa, a z dalszej odległości nie dość wyraźny straszny okrzyk małpy.

Zaraz potem Tarzan skierował się do strumyka i zaspokoił pragnienie. Następnie podszedł do chaty. Drzwi były zamknięte, jak pozostawił je, opuszczając te strony z d'Arnotem. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Nic tu nie było naruszone: stał jak dawniej stół, łóżko i mała kołyska, zbita przez ojca - półki i kredens, tak jak stały przez lat dwadzieścia trzy z górą - jak zostawił je przed blisko dwu laty. Nasyciwszy oczy, Tarzan pomyślał o zaspokojeniu głodu - uczucie głodu kazało mu szukać pokarmu. W chacie nie było nic do jedzenia, nie było również broni. Tylko na ścianie wisiała jedna z jego dawnych linek. Była już w wielu miejscach nadpęknięta, odłożył ją więc dawniej na bok, mając lepsze. Tarzan pomyślał, że przydałby mu się nóż. Cóż? Tarzan nie miał

wątpliwości, że zanim drugie słońce zajdzie, zdobędzie i nóż, i włócznię, i łuk, i strzały -

do tego pomoże mu linka, a tymczasem pomoże mu w zdobyciu pokarmu. Zwinął ją starannie i zarzuciwszy na plecy, wyszedł z chaty i zamknął za sobą drzwi.

Tuż za chatą roztaczała się dżungla i w nią zagłębił się Tarzan, bez szelestu, baczny na wszystko - powróciły czasy, kiedy był dzikim zwierzęciem, poszukującym swego pokarmu. Czas pewien

posuwał się, idąc po ziemi, lecz w końcu, nie dostrzegając żadnych śladów świadczących o bliskości zwierzyny, którą mógłby upolować, zaczął

odbywać drogę, czepiając się gałęzi drzew. Pierwszy zawrotny ruch z drzewa na drzewo obudził w nim ponownie całą dawniejszą radosną rzeźkość. Zapomniane zostały próżne żale i tępy ból serca. Teraz miał życie. Teraz odnalazł istotną szczęśliwość z używania zupełnej swobody. Kto zechciałby wrócić do dusznych, zepsutych miast ludzi cywilizowanych, mogąc korzystać ze spokoju i wolności, jaką zapewniały bezbrzeżne obszary wielkiej puszczy. Jego te miasta nie nęciły.

Kiedy jeszcze było widno, Tarzan przybył do miejsca, do którego zwierzęta schodziły się pić wodę, na brzegu rzeczki płynącej w puszczy. Był tu bród, i od nieskończonego czasu zwierzęta leśne przychodziły w to miejsce do poidła. Tutaj nocną porą zawsze można było spotkać albo Saborę albo Numę, przykucnięte pod zasłoną gęstych liści okolicznej dżungli, czatujące na antylopę lub kozła jako na swoją strawę. Tu przychodził Horta, dzik, do wody, i tu przybył Tarzan, by coś upolować, ponieważ był bardzo głodny.

Zasiadł na niskiej gałęzi ponad traktem. Czekał z godzinę. Ciemniało. Trochę w bok od brodu usłyszał dochodzący z największej gęstwiny słaby odgłos stąpających mięsistych łap i ocieranie się wielkiego cielska o wysoko wyrosłe trawy i splątane rośliny. Nikt prócz Tarzana odgłosu tego nie usłyszałby, lecz człowiek-małpa usłyszał i wytłumaczył sobie jego znaczenie - to był Numa, lew, przybyły w tym samym co i on celu. Oblicze Tarzana rozjaśniło się uśmiechem.

Oto usłyszał, że jakieś zwierzę zbliżało się ostrożnie, idąc wzdłuż traktu, do wodopoju.

Za chwilę wynurzyło się - był to Horta, dzik. Ujrzał przed sobą wybome smakowite mięso

- i ślinka zwilżyła mu usta. Trawy, gdzie znajdował się lew, stały cicho bez najmniejszego 82

ruchu - złowieszczo cicho. Horta przeszedł pod Tarzanem, jeszcze kilka kroków, aż znalazł się w promieniu skoku Numy.

Tarzan mógł wyobrazić sobie, jak zabłyśły oczy starego Numy, jak wciągał już w siebie dech, by wydać przeraźliwy ryk ścinający krew w żyłach ofiary na tę krótką chwilę, oddzielającą skok od zatopienia strasznych kłów w pękające kości.

Kiedy jednak Numa szykował się do skoku, cienka linka przemknęła w powietrzu z niskich gałęzi sąsiedniego drzewa. Pętlica zakręciła się około grzbietu Horty. Dało się słyszeć wystraszone chrząknięcie, kwik, po czym Numa dostrzegł, że jego ofiara pociągnięta została w tył po drodze, a gdy Numa podskoczył, Horta dzik wznosił się w górę na drzewo tam, gdzie nie sięgały pazury lwa, a z drzewa ukazała się twarz, spoglądająca na niego z drwiącym uśmiechem.

Wtedy Numa zaryczał. Rozzłoszczony, groźny, wygłodzony przechadzał się tam i z powrotem pod drwiącym z niego człowiekiem- małpą. Oto zatrzymał się i podniósłszy się na tylnych łapach, oparł się o pień drzewa ukrywającego jego wroga, zaczął ostrzyć potężne pazury o korę, oddzierając wielkie kawały, które obnażały znajdujące się pod spodem białe drzewo.

Tymczasem Tarzan uniósł w górę opierającego się Hortę i oparł o sąsiednią gałąź.

Żyłaste ręce dokonały dzieła rozpoczętego przez duszącą pętlicę. Człowiek-małpa nie miał noża, lecz przyroda wyposażyła go w narzędzia do wydarcia dla siebie pożywienia z drgającego boku ofiary. Błyszczące zęby zanurzyły się w soczyste mięso, a rozwścieczony lew spoglądał z dołu, jak ktoś inny w górze używał obiadu, który -jak mu się zdawało - należał do niego.

Ściemniło się zupełnie, gdy Tarzan najadł się do syta. Co to był za smaczny obiad! Nie mógł on naprawdę przywyknąć do popsutego mięsa, jakie ludzie cywilizowani podawali mu i w głębi serca zawsze tkwiło pragnienie uraczenia się ciepłym mięsem świeżo upolowanej ofiary i czerwoną krwią w obfitej ilości.

Otarł zakrwawione ręce o kiść liści, przerzucił resztę cielska dzika przez plecy i udał się w drogę powrotną, czepiając się drzew, ku swej chacie, a w tymże czasie Janina Porter i William Cecyl Clayton powstali ze swych miejsc po spożyciu wspańskiego obiadu na pokładzie Lady Alice, o tysiąc mil na wschód, na Oceanie Indyjskim.

Spodem, pod Tarzanem, wędrował Numa, lew, i kiedy człowiek-małpa raczył spojrzeć ku dołowi, dostrzegł złośliwe zielone oczy, ścigające go w ciemności. Numa nie ryczał -

posuwał się ukradkiem jak cień wielkiego kota. Pomimo to ani jedno jego stąpienie nie uszło czułych uszu człowieka-małpy.

Tarzan zaczął przemyśliwać, czy lew zechce iść za nim aż do chaty. Tego sobie nie życzył, gdyż to zmusiłoby go do spędzenia nocy na rozwidleniu drzewa, a wolał

stokrotnie łoże z traw wewnątrz chaty. Wiedział jednak o jednym drzewie, mającym stosunkowo dogodny konary, gdyby konieczność zmusiła go do spędzenia nocy poza chatą. Niejeden raz w dawniejszych czasach wielkie drapieżne zwierzę odprowadzało go, ścigając do domu i był w ten sposób zmuszony do szukania osłony na tym drzewie, aż zmiana usposobienia zwierzęcia lub wschodzące słońce nie odpędziło wroga.

Teraz jednak Numa dał za wygraną. Zaryczał kilkakrotnie ścinającym krew w żyłach rykiem i zawrócił gniewny, by poszukać innego, łatwiejszego do zdobycia obiadu. Tarzan 83

powrócił więc do swej chaty spokojnie i wkrótce odpoczywał skulony na zmurszałych resztkach tego, co dawniej było dogodnym łożem z traw. Tak łatwo więc pan Jan C.

Tarzan porzucił cienką skórę sztucznej cywilizacji i zagłębił się, doznając uczucia szczęścia i zadowolenia, w głęboki sen dzikiego zwierzęcia, nakarmionego do syta. A jednak jeden wyraz "tak", wymówiony przez usta kobiece, wystarczyłby, aby go związać na zawsze z tym innym życiem i odsunąć od niego myśl o pędzeniu w dalszym ciągu takiej dzikiej egzystencji.

Tarzan przespał aż do południa dnia następnego, gdyż był bardzo znużony pracą i wysiłkiem w ciągu długiej nocy i dnia spędzonego na oceanie oraz walką w dżungli, która kazała mu prężyć mięśnie, których nie używał prawie przez blisko dwa lata. Po przebudzeniu się pośpieszył do strumyka, by się

napić. Potem wszedł do morza i przez kwadrans używał kąpieli. Później powrócił do chaty, zjadł śniadanie z mięsa dzika. Po śniadaniu zakopał resztę cielska w miękkiej ziemi w pobliżu chaty, by mieć je na wieczór.

Znowu wziął linkę i znikł w dżungli. Teraz celem jego polowania była szlachetniejsza ofiara, człowiek, chociaż, gdybyśmy zapytali go o jego zdanie, Tarzan wymieniłby kilkunastu innych mieszkańców dżungli, których uważał za wyższych pod względem szlachetności nad człowieka. Dziś Tarzan wybrał się na poszukiwanie broni. Nie wiedział, czy kobiety i dzieci pozostały w wiosce Mbongi po tym, jak karna ekspedycja z francuskiego krążownika wycięła w pień wszystkich wojowników, mszcząc się za mniemaną śmierć d'Arnota. Miał nadzieję, że odnajdzie w wiosce wojowników, gdyż gdyby wioska była opuszczona, nie wiadomo, jak długo mogły trwać jego poszukiwania.

Człowiek-małpa szybko przebył lasy i ku południowi zbliżył się do wioski. Zawiodły go jednak oczekiwania, uprawne pola zarosła dżungla, a pokryte strzechami chaty stały w ruinie. Nie widać było ani śladu człowieka. Z pół godziny chodził wśród rumowisk w nadziei, że może uda mu się odnaleźć jakąś broń zapomnianą, lecz poszukiwania były bezowocne. Wyruszył więc znów w dalszą drogę, kierując się wzdłuż strumienia płynącego z południowego wschodu. Wiedział, że w pobliżu świeżej wody najprawdopodobniej potrafi odnaleźć jakieś ludzkie siedliska.

Odbywając podróż, polował jak polował w dawnych czasach z członkami swego plemienia, jak Kala nauczyła go polować, przewracał przegniłe pnie, szukając smacznych padalców, wdzierając się na wierzchołki drzew, by obrabować gniazdo ptasie lub skacząc ze zwinnością kota na jakąś drobną zwierzynę. Inne jeszcze rzeczy służyły mu za pożywienie, lecz im mniej szczegółowo wymienimy listę jego potraw - tym lepiej.

Tarzan powrócił do stanu dzikości, był znowu małpą, dzikim, brutalnym antropoidalnym zwierzęciem, jakim urósł pod okiem Kali i jakim był przez pierwsze dwadzieścia lat swego życia. Od czasu do czasu uśmiech zjawiał się na jego ustach, gdy wspominał

któregoś z przyjaciół, który właśnie w tejże chwili siedział, być może, nie doznając żadnego niepokoju, w wieczornym stroju na sali któregoś z klubów, gdzie zbiera się dobrane towarzystwo, tak właśnie jak siadywał Tarzan przed kilku zaledwie miesiącami.

Lecz nagle myśli jego przybierały inny obrót, stawał wryty jak kamień, gdy łagodny powiew wiatru donosił do jego czułych nozdrzy zapach jakiejś nowej ofiary lub niebezpiecznego wroga.

84

Tego dnia nocował daleko od swej chaty, wymoszczony bezpiecznie w rozwidlających się gałęziach olbrzymiego drzewa, unosząc się na sto stóp nad ziemią. Przed snem najadł

się dobrze - tym razem na kolację miał mięso Bary, daniela, który padł ofiarą jego szybkiej pętlicy.

Wczesną porą następnego rana udał się w dalszą drogę, trzymając się wciąż biegu rzeki.

Trzy dni trwały poszukiwania, aż dotarł do tych okolic dżungli, gdzie nie był nigdy przedtem. Od czasu do czasu na pagórkach las stawał się rzadszy i w dalekiej odległości przez drzewa dostrzegał zwały potężnych gór i Szerokie równiny, rozścielające się przed nimi. Tu, na otwartych przestrzeniach była liczna zwierzyna - niezliczone stada antylop i zebra. Tarzan był zachwycony tym widokiem, powziął zamiar dłużej pozostać w tym nowym dla niego świecie.

Rankiem czwartego dnia podróży nozdrza jego uderzył nagle słabo dochodzący nowy zapach. Był to zapach człowieka, znajdującego się jednak w znacznej odległości.

Uradowało go to wielce. Zaostrzyły się w nim wszystkie zmysły, z wielką przebiegłością zaczął się szybko posuwać bardzo ostrożnie przez drzewa, pod wiatr, w kierunku swej ofiary. Dotarł do niej, spotkawszy samotnego wojownika, kroczącego spokojnie przez las.

Tarzan posuwał się tuż za nim, wypatrując wolniejszej przestrzeni, gdzie mógłby rzucić swą linkę. Gdy tak śledził nie spodziewającego się niczego złego człowieka, nasunęły mu się nowe myśli, myśli zrodzone z wysubtelniających wpływów cywilizacji i jej okrucieństw. Pomyślał, że człowiek cywilizowany prawie nigdy nie odbiera życia bliźniemu, nie mając jakiegoś pretekstu, choćby ten pretekst był mało znaczny. Co prawda Tarzan pragnął posiadać broń i ozdoby tego człowieka, lecz czyż zachodziła konieczna potrzeba popełnienia zabójstwa, by je zdobyć?

Im więcej o tym myślał, tym przykrzejsza stała mu się myśl odbierania życia istocie ludzkiej bez potrzeby. Traf chciał, że właśnie kiedy Tarzan usiłował dojść do decyzji, jak ma postąpić, zbliżyli się do małej polanki, w końcu której roztaczała się okolona palisadą wioska | podobnych do uli chat.

Gdy wojownik wynurzał się z lasu, Tarzan dostrzegł płową głowę, przesuwaną się cicho przez zbitą masę traw ich śladem - był to Numa, lew. Ten również śledził człowieka.

Skoro tylko Tarzan zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo groziło tubylcowi - zmienił się stanowczo jego stosunek do upatrzonej ofiary - stał się człowiekiem stojącym w obronie bliźniego wobec wspólnego wroga.

Numa zamierzył się do skoku, nie pozostawało czasu do rozważania rozmaitych sposobów postępowania lub do zastanawiania się nad możliwymi skutkami. Prawie w jednej chwili nastąpił cały szereg faktów - lew wyskoczył ze swego ukrycia ku posuwającemu się człowiekowi, Tarzan wydał okrzyk ostrzegawczy, czarny obrócił się i ujrzał natychmiast Numę, powstrzymanego w skoku przez lekko splecioną linkę, której koniec z pętlicą spadł, zręcznie rzucony, na jego grzbiet.

Człowiek-małpa działał z takim pośpiechem, że nie zdążył przyszykować się do oparcia się wielkiemu ciężarowi cielska Numy, a chociaż udało mu się linką powstrzymać ruch zwierzęcia, zanim jego pazury sięgnęły ciała czarnego człowieka, sam nie mógł się utrzymać na miejscu i spadł na ziemię, nie dalej jak na sześć kroków od rozwścieczonego zwierzęcia. Błyskawicznie Numa zwrócił się przeciwko swemu wrogowi 85

i w owej chwili bezbronny Tarzan znalazł się w większym niż kiedykolwiek przedtem niebezpieczeństwie życia. Lecz czarny pośpieszył na pomoc. Zrozumiawszy bez chwili namysłu, że zawdzięcza swe życie dziwnemu białemu człowiekowi, ujrzał, że cud chyba może ocalić jego

zbawcę od tych okrutnych żółtych kłów, które o mało co nie rozszarpały jego własnego ciała.

Zaledwie o tym wszystkim pomyślał, dłoń uzbrojona włócznią zrobiła ruch w tył, a w chwilę później podała się naprzód, wyrzucona całą siłą żyłastych mięśni poruszających się pod błyszczącą hebanową skórą. Celnie wymierzony pocisk z żelaznym grotem przebił cielsko Numy od prawej pachwiny aż do lewego ramienia. Ze strasznym rykiem wściekłości i bólu zwierzę zwróciło się znowu ku czarnemu. Postąpił

kilka kroków, lecz ponownie linka Tarzana zmusiła go do zatrzymania się - zawrócił

więc znowu ku Tarzanowi, lecz w tejże chwili poczuł dojmujący ból od zaostrej strzały, wbitej na pół swej długości w jego drżące ciało. Znowu stanął, a korzystając z tej chwili, Tarzan obiegł dwukrotnie około pnia dużego drzewa, okręcając linkę i zawiązując mocno jej koniec.

Czarny zrozumiał cel tego ruchu, okazując to uśmiechem. Tarzan jednak wiedział, że trzeba prędko z lwem skończyć, zanim jego potężne zęby nie odnajdą i nie porwą słabej linki, która go krępowała. W jednej chwili poskoczył ku czarnemu i wyciągnął długi nóż z pochwy wiszącej mu u boku. Skinął na wojownika, by nie przestawał strzelać z łuku do wielkiego zwierzęcia, a sam podsunął się z nożem. Gdy jeden zadawał mu męki z jednej strony, drugi skradał się ostrożnie z drugiej. Numa był wściekły. Napełnił powietrze odgłosem wściekłych ryków, pisków i okropnych jęków, a jednocześnie podniósł się na tylnych łapach, usiłował pochwycić to jednego, to znowu drugiego dręczyciela.

W końcu zwinny człowiek-małpa znalazł chwilę dogodną i rzucił się na lewy bok zwierzęcia z tyłu na jego grzbiet. Ręka olbrzyma otoczyła płową gardziel, a długie ostrze kierowane pewną dłonią przebiło serce lwa. Wtedy Tarzan powstał. Czarny i biały człowiek spojrzeli sobie w oczy ponad cielskiem zabitego lwa. Czarny uczynił znak pokoju i przyjaźni, a Tarzan dał również przyjazną odpowiedź.

ROZDZIAŁ XV

WŚRÓD DZIKICH

Hałas bitwy z Numą wywołał podnieconą horde dzikich z pobliskiej wioski. W kilka minut po zabiciu Numy czarni wojownicy, wydając okrzyki, otoczyli dwóch ludzi ruchliwym kołem. Tysiące pytań głużyło dawane odpowiedzi.

Później nadciągnęły kobiety, zbliżyły się dzieci - podniecone, zaciekawione, a na widok Tarzana jeszcze bardziej zainteresowane. Czarny człowiek zdołał w końcu opowiedzieć, co się stało, a gdy skończył, mężczyźni i kobiety z wioski na wyścigi starali się okazać szacunek dziwnej istocie, która ocaliła życie człowiekowi z ich plemienia, walcząc gołymi rękami z okrutnym Numą.

W końcu poprowadzili go do wioski, gdzie znieśli mu podarki z ptactwa, kóz i gotowanego mięsa. Kiedy wskazał ręką na broń, przynieśli mu włócznię, tarczę, strzały i 86

łuk. Przyjaciel ze stoczony walki ofiarował mu nóż, którym zabił lwa. Cokolwiek było w wiosce, mógłby otrzymać, gdyby zażądał.

O ile lepsze było to, co się stało, niż morderstwo i rabunek w celu zaspokojenia potrzeb.

Jak niewiele brakowało, żeby popełnił zabójstwo tego człowieka, którego nigdy przedtem nie widział, a który teraz okazywał jak tylko umiał przyjaźń i dobre uczucie swemu zbawcy, z rąk którego o mało co nie zginął. Tarzana przejął wstyd. Postanowił na przyszłość, że zanim zamorduje człowieka, będzie się starał przedtem przekonać, czy człowiek na to zasługuje.

Myśli te przywiodły mu na pamięć Rokowa.

Chciałby spotkać się z tym człowiekiem na krótką chwilę sam na sam w ciemnej puszczy.

Ten człowiek zasługiwał na to, by poniósł śmierć.

A gdyby mógł widzieć, jak Rokow w owym czasie dokładał wszelkich starań, by pozyskać łaskę i uczucie pięknej panny Strong, pragnienie jego, by wymierzyć temu człowiekowi karę, na jaką zasługiwał, wzmogłoby się jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pierwsza noc, jaką Tarzan spędził wśród dzikich, poświęcona była uczcie na jego cześć.

Myśliwi przynieśli antylopę i zebkę jako trofea swej zręczności, zużyto też dużo słabego piwa. W czasie tańców naokoło rozpalonych ogni Tarzan podziwiał kształtność ich postaci i regularność rysów - nie widać było wcale płaskich nosów i grubych obwisłych warg, charakterystycznych cech dzikich z Zachodniego Brzegu. W chwili spoczynku twarze mężczyzn były inteligentne, pełne godności, twarze kobiet - pociągające.

Podczas tańców człowiek-małpa zauważył, że niektórzy z mężczyzn i wiele spośród kobiet nosiło ozdoby ze złota, głównie kółka na nogach i rękach dużej wagi, widocznie kute z jednolitego metalu.

Kiedy wyraził życzenie obejrzenia tych ozdób, właściciel zdjął je z siebie i za pomocą znaków nalegał, by Tarzan przyjął je jako podarek. Dokładne zbadanie cacka przekonało Tarzana, że rzecz była zrobiona z dziewiczego złota. Był zdziwiony swym odkryciem, gdyż po raz pierwszy zdarzyło mu się widzieć ozdoby ze złota wśród dzikich ludów Afryki, prócz takich drobiazgów, jakie na wybrzeżu można było kupić lub ukraść z rąk Europejczyków. Próbował dowiedzieć się, skąd brali złoto, lecz nie mógł swego pytania wyrazić w ich języku w sposób dla nich zrozumiały.

Kiedy skończyły się tańce, Tarzan wyraził zamiar opuszczenia ich, lecz oni prawie błagali go, by przyjął gościnę i wskazali mu oddzielną chatę, którą ich naczelnik przeznaczył na jego wyłączny użytek. Usiłował wytłumaczyć, że powróci do nich nazajutrz, lecz nie mogli go zrozumieć. Gdy w końcu oddalił się w kierunku wrót wioski, okazywali wielkie zdziwienie, nie wiedząc co zamierza robić.

Tarzan jednak wiedział dobrze, o co mu chodziło. W przeszłości dowiedział się, że robactwo i drobne zwierzątka są stałą zarazą wszystkich tubylczych wiosek, a chociaż nie był zbyt wybredny w tych sprawach, wolał jednak świeże powietrze i kołyszące się drzewa niż stęchły zapach chaty.

Mieszkańcy wioski towarzyszyli mu do miejsca, w którym wznosiło się ogromne drzewo ponad ostrokołem. Tu Tarzan podskoczył ku zwieszającej się gałęzi, a gdy zniknął wśród gęstych górnych

podziwu i zadziwienia. Całe pół godziny wołali na niego, by powrócił. Nie otrzymując jednak odpowiedzi, dali pokój i udali się do swych chat na spoczynek na matach.

Tarzan oddalił się na niewielką odległość w głąb lasu, aż znalazł drzewo odpowiadające jego pierwotnym potrzebom i skuliwszy się w kabłak, zapadł od razu w głęboki sen.

Rano następnego dnia znalazł się na ulicy wioski tak niespodzianie, jak zniknął

poprzedniego wieczora. Przez chwilę mieszkańcy byli zdziwieni i wystraszeni, gdy jednak poznali swego gościa, pozdrowili go okrzykami wesela i śmiechem. Tego dnia przyłączył

się do wielkiej wyprawy myśliwskiej w okoliczne doliny, a w czasie polowania biały człowiek dał tyle dowodów zręczności w obchodzeniu się z ich bronią, że w rezultacie poszanowanie i podziw, jakie dla niego powzięli, jeszcze bardziej wzrosły.

Całe tygodnie Tarzan przebył ze swymi dzikimi przyjaciółmi, polując na bawoły, antylopy i zebry dla ich mięsa i na słonie dla kości słoniowej. Szybko nauczył się języka, poznał

zwyczaje i obowiązki ich dzikiego, pierwotnego, plemiennego życia. Wiedział, że nie byli ludożercami i że patrzyli z pogardą na plemiona, które pożerały ludzi.

Busuli, wojownik, którego ścigał do wioski, opowiedział mu podania plemienne - jak dawno, bardzo dawno jego lud przybył z dalekiej północy, że niegdyś byli wielkim i potężnym plemieniem, jak Arabowie, polujący na niewolników, którzy sprawili wśród nich śmiertcionośnymi strzelbami takie spustoszenie, że plemię straciło znaczenie. Ocalały tylko resztki dawnej liczebności i potęgi.

- Polowali na nas, jak się poluje na dzikie zwierzęta - mówił Busuli. - Nie znali litości.

Szukali albo niewolników, albo kości słoniowej, lecz zwykle chodziło im i o niewolników, i o kość słoniową. Mężczyzn naszych zabijali, a kobiety pędzili jak owce. Walczyliśmy z nimi przez długie lata, lecz nasze strzały i włócznie nie wystarczały wobec ich kijów, które wyrzucały ogień i ołów, i niosły śmierć na dystans wiele razy większy niż ten, na jaki najsilniejszy nasz wojownik mógł wystrzelić strzałę. W końcu w owym czasie, kiedy mój ojciec był jeszcze młodzieńcem, znowu pojawili się Arabowie, lecz nasi odkryli ich, gdy byli jeszcze daleko, a wtedy Czowambi, ówczesny wódz, nakazał j naszemu plemieniu zabrać, co było można i udać się za nim, mówiąc, że powiedzie ich daleko w stronę południową na miejsce, dokąd nie przyjdą arabscy najeźdźcy. - Zrobiono, co nakazał, zabierając wszystko wraz z licznymi kłami kości słoniowej. Miesiące całe byli w drodze, znosząc niewymowne trudy i niedostatek, gdyż znaczna, część drogi prowadziła przez gęstą dżunglę i wielkie góry, aż w końcu przybyli na to tu miejsce. Było ono najdogodniejsze, rozesłani wysłańcy nie znaleźli lepszego.

- I najeźdźcy nie odwiedzili was już więcej? - zapytał Tarzan.

- Niespełna rok temu niewielki oddział Arabów i Manjemów dotarł do nas, lecz przepędziliśmy ich,

zabijając wielu z nich. Dzień za dniem szliśmy za nimi w ślad, ścigając ich jak dzikie zwierzęta i chwytając jednego po drugim, aż pozostała ich niewielka garstka, lecz ci nam umknęli.

Mówiąc to Busuli obracał w palcach naramiennik z ciężkiego złota, świecący na błyszczącej skórze jego lewej ręki. Oczy Tarzana spoczęły na tej ozdobie, choć myśli były gdzie indziej. Teraz przypomniał to pytanie, które chciał zadać pierwszego dnia, kiedy przybył do plemienia, pytanie, którego wtedy nie umiał im wypowiedzieć. W ciągu tych ostatnich tygodni zapomniał o tak mało znaczącej rzeczy, jaką było złoto, gdyż stał

88

się prawdziwie pierwotnym człowiekiem, nie myślącym o niczym innym, prócz spraw narzucających się bezpośrednio. Lecz nagle widok złota obudził w nim pojęcia ucywilizowanego człowieka i zjawiała się w nim żądza posiadania bogactw. Tego się nauczył z krótkiej znajomości potrzeb człowieka cywilizowanego. Wiedział on, że posiadanie złota dawało potęgę i zapewniało korzystanie z przyjemności. Wskazał na ozdobę.

- Skąd wziął się złoty metal, Busuli? - zapytał. Czarny wskazał w kierunku południowo-wschodnim.

- W odległości marszu przez czas jednej odmiany księżyca stąd, a może trochę dalej -

odrzekł.

- Czyś tam był? - pytał Tarzan.

- Nie, lecz niektórzy członkowie naszego plemienia byli tam w dawnych latach, kiedy mój ojciec był młody. Jeden z oddziałów, który w dalszej okolicy przeszukiwał kraj w celu odnalezienia dogodnych siedlisk dla plemienia, natrafił na dziwny lud noszący wiele ozdób z złotego metalu. Ich włócznie miały ostrza nabijane złotem, zarówno jak strzały, lud ten używał do gotowania potraw naczyń z jednolitego metalu, podobnego do mego naramiennika.

Mieszkali w dużej wiosce, w chatkach zbudowanych z kamieni otoczonych wysoką ścianą.

.Żyli tam ludzie złośliwi, rzucający się napastniczo na naszych wojowników, nie zapytawszy się, co ich sprowadza. Nasi byli w niewielkiej liczbie, lecz nie stracili ducha i bronili się na wierzchołku niewielkiej skalistej góry, aż napastnicy ku zachodowi słońca odeszli do swego złego miasta. Wtedy nasi wojownicy spuścili się na dół z góry i zdjawszy liczne ozdoby z ciał poległych, odeszli z tej doliny i nikt z nas więcej tam nie poszedł.

Są to źli ludzie - ani biali, tacy jak wy, ani czarni, tacy jak ja, lecz pokryci włosami jak Bolgani, goryl. Istotnie są to niegodziwi ludzie i Czowambi był rad, że opuścił ich kraj.

- A czy nie pozostał nikt przy życiu z tych, którzy byli u nich z Czowambi i widzieli tych dziwnych ludzi i ich zadziwiające miasto? - pytał dalej Tarzan.

- Waziri, nasz dowódca, był w tej wyprawie - odrzekł Busuli. Był wtedy bardzo młody, lecz towarzyszył Czowambi, który był jego ojcem.

Tegoż wieczoru Tarzan wypytał się Waziri w tejże sprawie i Waziri, który był już starcem, powiedział mu, że miasto owo leżało w oddaleniu dalekiej drogi, lecz że droga ta nie była zbyt trudna. Przypominał sobie wszystko dobrze.

- Dziesięć dni szliśmy wzdłuż rzeki, która przepływa obok naszej wioski. Ku źródłom rzeki posuwaliśmy się, aż doszliśmy do niewielkiego źródelka położonego wysoko na zboczu wielkiego pasma górskiego. To źródło daje początek naszej rzece. Następnego dnia przebyliśmy wierzchołek wzgórza, a po drugiej stronie przybyliśmy do małego ruczaju, wzdłuż którego brzegów idąc, weszliśmy w wielki las. Przez kilkanaście dni posuwaliśmy się krętymi brzegami tej rzeczki, która przemieniła się w dalszym swym biegu w rzekę, aż doszliśmy do wielkiej rzeki, do której pierwsza wlewała swe wody. Rzeka ta przerzynała pośrodku wielką dolinę.

Potem szliśmy wzdłuż tej wielkiej rzeki ku jej źródłom, mając nadzieję, że dojdziemy do bardziej równinnego kraju. Po dwudziestu dniach drogi od czasu przekroczenia gór u 89

oddalenia się od naszego kraju doszliśmy do nowego pasma wzgórz. Po ich zboczach szliśmy dalej, trzymając się kierunku wielkiej rzeki, która teraz zmniejszyła się do normalnej rzeczki, aż dotarliśmy do niewielkiej pieczary w pobliżu wierzchołka góry. Ta pieczara rodziła rzekę.

Przypominam sobie, żeśmy tam nocowali i że było bardzo zimno, gdyż góry były bardzo wysokie. Nazajutrz postanowiliśmy wspiąć się na sam szczyt gór, ażeby zobaczyć, jak wygląda kraj po drugiej stronie. O ile by się okazało, że nie jest lepszy niż te okolice, które przebyliśmy, mieliśmy powrócić do naszej wioski i donieść, że mieszkańcy nie znajdą lepszego miejsca do osiedlenia się niż to, które już zajęli. Wspięliśmy się więc po stokach skalistych zwałów aż do samego szczytu i tu z płaskiego wierzchołka ujrzeliśmy w niewielkiej odległości pod nami wąską, i zapadłą dolinę. Na przeciwległej od nas stronie stały wielkie budowle kamienne, z których wiele było zniszczonych i zrujnowanych.

Reszta opowiadania Waziri zgadzała się z tym, co już powiedział Busuli.

- Chciałbym pójść tam i oglądać to dziwne miasto - rzekł Tarzan - i uzyskać pewną ilość tego złotego metalu od mieszkańców.

- Daleka to droga - odpowiedział Waziri - a ja jestem stary, lecz jeżeli zechcesz zaczekać, aż skończy się pora deszczów i rzeki opadną, zgromadzę pewną liczbę wojowników i udamy się tam.

Tarzan musiał poprzestać na tej obietnicy, chociaż wolałby wyruszyć zaraz - niecierpliwy był jak dziecko. W istocie Tarzan miał naturę dziecka, był człowiekiem pierwotnym, co w pewnym znaczeniu na jedno wychodzi.

W kilka dni później powrócił z południa do wioski mały oddziałek myśliwych i zawiadomił, że duże stado słońi znajdowało się w niewielkiej odległości. Z drzew, na które się wspięli, udało się im obejrzeć dobrze całe stado składające się - według opisu - z kilku sztuk, posiadających wielkie kły, znacznej ilości krów, małych cieląt i dorosłych słońi, reprezentujących w sumie wielką ilość kości słoniowej, której zdobycie opłaciłoby się.

Resztę tego dnia i cały wieczór zajęły przygotowania do wielkich łowów: wyciągano włócznie, zapełniano sajdaki, próbowano łuki. A w czasie tych wszystkich zajęć czarownik wioskowy przechadzał się wśród zajętego pracą tłumu, rozdawał czary i rozmaite amulety mające uchronić ich właściciela od nieszczęśliwego wypadku i zapewnić mu dobre powodzenie na jutrzejszym polowaniu.

Ze świtem dnia następnego myśliwi wyruszyli. Było pięćdziesięciu czarnych wojowników z gładką skórą, a pośród nich zgrabnie i zwinnie jak młody leśny bożek kroczył Tarzan.

Jego jasna skóra odbijała dziwnie od mahoniowego koloru towarzyszy. Tylko kolor skóry wyróżniał go. Ozdoby, jakie nosił, i broń były takie same, jak te, które mieli tamci. Mówił

ich językiem, śmiał się i żartował tak jak oni, skakał i pokrzykiwał tak jak oni w krótkim tańcu poprzedzającym chwilę wymarszu - we wszystkich szczegółach był jednym z ich grona, dzikusiem wśród dzikusów. A gdyby postawił sobie pytanie, bez wątpienia miałby to przekonanie, że daleko więcej czuł się zbliżony i związany z tymi ludźmi i ich życiem aniżeli z paryskimi przyjaciółmi i ich zwyczajami, które z powodzeniem po małpiemu naśladował przez kilka miesięcy.

90

Pomyślał o d'Arnocie i wesoły grymas obnażył jego silne białe zęby, gdy wyobraził sobie, jaką minę zrobiłby elegancki Francuz, gdyby w jakiś sposób mógł go w takiej chwili ujrzeć. Biedny Paweł, wychwalał się, że wykorzenił ze swego przyjaciela wszelkie ślady dzikości! Jak prędko wszystko to znikło! - pomyślał Tarzan, lecz nie uważał, aby był to dla niego upadek - przeciwnie, litował się nad tymi biednymi istotami, które w Paryżu w nedorzecznym sukniach spędzały całe swe marne życie pod opieką policji i nic innego nie robili, tylko to, co było sztuczne i nudne.

Po dwu godzinach drogi dotarli do miejsca, w którego pobliżu widziano poprzedniego dnia słonie. Odtąd posuwali się już bardzo wolno, poszukując śladów tych wielkich zwierząt. W końcu odnaleźli wyraźną ścieżkę, którą stado przeszło kilka godzin temu.

Uszykowawszy się w szereg, szli tą ścieżką z jakieś pół godziny. Pierwszy Tarzan podniósł w górę rękę na znak, że zwierzęta były w pobliżu - rozwinięty zmysł węchu wskazał mu, że słonie były niedaleko. Czarni z początku nie chcieli wierzyć.

- Chodźcie ze mną - rzekł Tarzan - zobaczmy. - Ze zwinnością wiewiórki skoczył na drzewo i przebiegł do wierzchołka. Jeden z czarnych zrobił to samo tylko wolniej i z większym wysiłkiem. Kiedy znalazł się na wysokiej gałęzi obok człowieka-małpy, ten wskazał mi na południe i tam w odległości kilkuset jardów czarny człowiek dojrzał pewną liczbę potężnych czarnych grzbietów kołyszących się ponad wysoką trawą dżungli.

Wskazał kierunek strażnikom pozostałym dole, a na palcach określił liczbę zwierząt, które widział i zliczył.

Myśliwi natychmiast ruszyli ku słoniom. Czarny pospiesznie zszedł z drzewa i przyłączył

się do innych, a Tarzan na swój sposób skierował się w tymże kierunku, lecz drogą wśród liści i drzew.

Nie jest to dziecinna zabawa polowanie na słonie, gdy się rozporządza niedoskonałą bronią pierwotnego człowieka. Tarzan wiedział, że rzadko które plemię dzikich ważyło się występować do walki. Fakt, że jego plemię nie zawahało się urządzić polowania, napelniał go dumą - zaczynał się czuć członkiem tej małej społeczności.

Posuwając się cicho po drzewach, Tarzan widział wojowników czołgających się na dole, uszeregowanych w półkole, ku nie spłoszonym jeszcze słoniom. W końcu doszli do miejsca, skąd mogli już widzieć wielkie zwierzęta. Wybrali sobie duże sztuki z dużymi kłami i na dany sygnał pięćdziesięciu ludzi podniosło się z miejsc, gdzie byli ukryci, i rzuciło ciężkie wojenne włócznie w upatrzone zwierzęta. Ani jeden pocisk nie chybił. Po dwadzieścia pięć włócznie utkwiono w bokach każdego z olbrzymów. Jeden nie ruszył się już z miejsca, gdzie stał, w chwili, kiedy lawina włócznie trafiła go, ponieważ duże włócznie celnie wymierzone przebiły serce. Upadł na kolana, przewalając się na ziemię, bez walki.

Drugi słoń, stojący z głową zwróconą ku myśliwym, nie dał możliwości wymierzenia pocisków równie celnie. Chociaż wszystkie pociski trafiły go, żaden jednak nie przebił

serca. Przez chwilę olbrzym stał, trąbiąc z wściekłości i bólu, rzucając naokoło oczami, by dojrzeć sprawców bólu. Czarni usunęli się w dżunglę, zanim słaby wzrok potwora dojrzał kogokolwiek, lecz cofając się wywołali szmer. Szmer ten dosłyszał słoń i łamiąc po drodze krzaki i gałęzie rzucił się w kierunku, skąd go dochodził szelest.

91

Traf chciał, że w tym miejscu stał Busuli. Zwierzę doganiało go tak szybko, że mogło się wydawać, iż czarny stał w miejscu zamiast uciekać co sił od pewnej śmierci, która się zbliżała. Tarzan był świadkiem . wszystkiego, co się działo, z gałęzi pobliskiego drzewa.

Ujrawszy niebezpieczeństwo swego przyjaciela, podskoczył ku rozszalałemu zwierzęciu, usiłując wielkim krzykiem ściągnąć zwierzę ku sobie.

Na nic to się jednak nie zdało, gdyż było głuche i ślepe na wszystko, prócz tego jednego jedyne go człowieka wywołującego jego wściekłość, który na próżno usiłował się oddalić, biegnąc przednim. Tarzan widział, że chyba cud może ocalić życie Busuli i z taką samą obojętnością na swe własne bezpieczeństwo jak wtedy, gdy zamierzał upolować tego człowieka, rzucił się na drogę słonia, by ocalić teraz życie czarnego wojownika. Tarzan trzymał w dłoniach włócznie, a gdy Tantor był jeszcze od sześciu do ośmiu kroków za swoją ofiarą, żyłasty biały wojownik spadł jakby z nieba wprost przed słonia. Niezgrabnie słoń podał się cielskiem na prawo, chcąc skończyć z zuchwałym nieprzyjacielem, który ośmielił się stanąć pomiędzy nim a upatrzoną ofiarą. Nie liczył się jednak z błyskawiczną szybkością Tarzana, która wprawiała w ruch stalowe muskuły, z szybkością tak cudowną, że mogłaby udaremnić wysiłki kogoś posiadającego wzrok o wiele bystrzejszy niż słoń.

Zanim Tantor zdołał spostrzec, że nowy wróg uskoczył z drogi, już Tarzan wbił okutą żelazem dzidę

poza łopatkę wprost w serce. Kolosalnych rozmiarów twarłoskóre zwierzę padło bez życia u nóg człowieka-mały. Busuli nie widział, w jaki sposób ocalał, lecz Waziri, stary naczelnik, widział i kilku innych wojowników. Otoczyli Tarzana kołem i z zachwytem podziwiali jego zręczność, winszując mu zwycięstwa. Kiedy Tarzan skoczył

na potężne cielsko i wydał dziki okrzyk, którym oznajmił swe nowe zwycięstwo, czarni cofnęli się ze strachem, gdyż w ich uszach okrzyk ten brzmiał jak okrzyk Bolgani, którego obawiali się tak jak Numy, lwa. Z uczuciem obawy wiązało się jednak dziwne uczucie grozy przed tą istotą, której zaczęli przypisywać nadprzyrodzone siły. Kiedy później Tarzan opuścił głowę i uśmiechnął się do nich, powróciło zaufanie, jakie do niego żywili, aczkolwiek nie mogli zrozumieć tej dziwnej istoty, która przebiegała drzewa tak szybko jak Manu, a jednak czuła się na ziemi zupełnie pewnie, nie gorzej od nich, która była do nich zupełnie podobna, pomijając barwę skóry, a była jednak dziesięciokrotnie od nich silniejsza i mogła stawać z gołymi rękami do walki z najdzikszyimi potworami wielkiej dżungli.

Gdy reszta wojowników zgromadziła się na powrót, znowu rozpoczęto polowanie i śledzenie uciekającego stada. Posunęli się jednak za ledwie o jakie sto jardów, kiedy za nimi z dużej odległości echo przyniosło odgłos dziwnego huku.

Przez chwilę stali jakby skamieniali, przysłuchując się z wytężoną uwagą. Zaraz potem Tarzan odezwał się. - Strzały strzelb - rzekł. - Napadnięto wioskę.

- Śpieszmy! - zawołał Waziri. - Arabscy napastnicy powrócili, sprowadzając swych ludożerczych niewolników, aby posiąść nasze zapasy kości słoniowej i nasze kobiety.

ROZDZIAŁ XVI

ZDOBYWCY KOŚCI SŁONIOWEJ

92

Szybkim kłusem wojownicy Waziri biegli puszcza ku swej wiosce. Przez kilka chwil ostre odgłosy strzałów kazały im przyspieszyć kroku, potem słyhać było od czasu do czasu pojedynczy strzał, a w końcu wszystko ucichło. Nie był to znak mniej złowieszczy niż samo trzaskanie strzałów, gdyż cisza dawała się wytłumaczyć tylko w jeden sposób - że słaba załoga wioski uległa wobec znaczniejszych sił napastników.

Powracający myśliwi przebyli mniej więcej dwie trzecie przestrzeni dzielącej ich od wioski, gdy napotkali pierwszych zbiegów z liczby tych, co ocaleli od kuł i od pojmania.

Natrafili kilkanaście kobiet, dziewcząt i dzieci. Były tak przestraszone, że z trudnością mogły opowiedzieć Waziri, jakie nieszczęście spadło na jego wioskę.

- Jest ich tak dużo jak liści na drzewach - wykrzykiwała jedna z kobiet, chcąc opisać siłę wroga. - Wielu Arabów i niezliczona ilość Manjemów, wszyscy uzbrojeni w strzelby.

Podeszli blisko do wioski, zanim spostrzegliśmy się, a wtedy z okrzykiem napadli nas, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci. Kto z nas mógł, szukał ucieczki w dżungli, lecz większość poległa. Nie

wiem, czy brali jeńców - zdawało się, że chcieli nas wszystkich pozabijać. Manjemowie obrzucali nas wyzwiskami, wykrzykując, że pożą nas wszystkich, że najście było karą za to, że ludzie z naszego plemienia zabijali ich towarzyszy w ostatnim roku. Nie słyszałam wiele, uciekając jak najspieszniej.

Udano się w dalszą drogę ku wiosce, posuwając się wolniej i z większą ostrożnością.

Waziri wiedział, że pomoc była spóźniona, ich zadaniem była już tylko zemsta. Na przestrzeni dalszej mili spotkali z setką nowych zbiegów, a w tej liczbie sporo mężczyzn, którzy i wzmocnili siły oddziału.

Kilkunastu wojowników wysłano przodem na zwiady. Waziri pozostał z głównym oddziałem posuwającym się rozrzuconą linią, rozciągniętą półkolem w lesie. Przy boku Waziri szedł Tarzan.

Jeden z wywiadowców powrócił. Dotarł do wioski i widział ją z bliska.

- Są wewnątrz ostrokołu - wyszeptał.

- Dobrze- odezwał się Waziri. - Wpadniemy na nich i pozabijamy wszystkich - chciał dać rozkaz całej linii, by ludzie zatrzymali się na brzegu polany oczekując, aż rzuci się w kierunku wioski, wtedy wszyscy mieli iść za nim.

- Zaczekaj - odezwał się ostrzegawczo Tarzan. - Jeżeli wewnątrz ostrokołu znajduje się choćby pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych w strzelby będziemy odrzuceni i pobici. Pozwól mi, abym udał się po drzewach do wioski i obejrzał z góry, ilu ich jest i jakie będą możliwości naszego natarcia. Byłoby bezsensowne tracić choćby jednego człowieka, jeżeli nie ma żadnej nadziei zwycięstwa. Wydaje mi się, że możemy osiągnąć więcej przebiegłością niż siłą. Czy chcesz poczekać, Waziri?

- Dobrze - odrzekł stary wódz. - Idź!

Tarzan skoczył ku drzewom i zniknął, kierując się ku wiosce. Posuwał się z większą niż kiedykolwiek ostrożnością, gdyż wiedział, że ludzie mający strzelby mogą równie łatwo sięgnąć go na wierzchołkach drzew jak i na ziemi. A gdy Tarzan uważał za potrzebne posuwać się ukradkiem, żadna istota w całej dżungli nie potrafiłaby posuwać się od niego ciszej i ukryć się tak dobrze, jak on od widoku wroga.

W pięć minut przemknął się do wielkiego drzewa, którego gałęzie zwisały nad palisadą w jednym końcu wioski. Z tego dogodnego punktu spojrzął na dziką horde ludzi kręcącą się

w dole. Doliczył się pięćdziesięciu Arabów i zauważył, że było prawie pięciokrotnie więcej Manjemów. Ci pożerali jedzenie i pod nosem swych białych władców szykowali sobie ucztę, stanowiącą ukoronowanie wszystkiego w razie zwycięstwa, w którym ciała pobitych wrogów wpadną w ich okrutne ręce.

Człowiek-małpa zrozumiał, że natarcie w tych warunkach na dziką horde uzbrojoną w strzelby i osłoniętą ogrodzeniem wioski byłoby próżnym zamierzeniem. Powróciwszy więc do Waziri, radził

mu zaczekać, aż on obmyśli jakiś lepszy plan.

Wkrótce jednak, gdy jeden ze zbiegów opowiedział Waziri o okropnej śmierci żony, stary wojownik wpadł w taką wściekłość, że odrzucił wszelkie środki ostrożności i zapomniał o rozwadze. Zwoławszy do siebie wojowników, dał rozkaz do natarcia. Wywijając włóczniami z dzikim krzykiem mały oddział, liczący nie więcej jak stu ludzi, rzucił się na oślep ku wrotom wioski. Zanim przebiegli połowę polany, Arabowie rozpoczęli śmiercionośny ogień z osłon palisady.

Przy pierwszej salwie Waziri padł. Rozpęd atakujących osłabł. Nowa salwa znowu położyła trupem kilkunastu. Niewielu dotarło do zapartych wrót i zaraz tam zginęli, nie mając żadnej szansy na dostanie się do środka, a wtedy cały atak załamał się, pozostali przy życiu wojownicy ratowali się ucieczką w las.

Gdy zaczęli uciekać, napastnicy otworzyli wrota i wypadli za nimi, by ukończyć dzieło dnia tego całkowitym wyniszczeniem plemienia. Tarzan w liczbie ostatnich zawrócił z powrotem, biegnąc, z rozmysłem zwalniał od czasu do czasu, by wystrzelić dobrze wycelowaną strzałę w kogoś z nacierających.

Gdy się znaleźli w dżungli, mały zastęp czarnych był zdecydowany do wydania bitwy zbliżającej się hordzie, lecz Tarzan krzyknął, by się co prędzej rozproszyli trzymając się z dala od niebezpieczeństwa aż do czasu, kiedy będą mogli znowu się zgromadzić razem po zapadnięciu zmroku.

- Róbcie, jak mówię - nalegał - a poprowadzę was do zwycięstwa nad waszymi wrogami.

Rozejdźcie się po lesie, zbierzcie rozproszonych, a w nocy, jeżeli będziecie podejrzewać że jesteście śledzeni, przychodźcie bocznymi drogami do miejsca, gdzie dziś zabiliśmy słonia. Tam wyjaśnię wam swój plan, zobaczycie, że jest dobry. Byłoby beznadziejnie stawiać czoło przeważającej liczbie uzbrojonych w strzelby Arabów i Manjemów, wam, których jest garstka, a macie tylko proste uzbrojenie.

Przystali w końcu. - Jeżeli się sami rozproszycie - zawołał Tarzan w końcu - zmusicie również swych wrogów, którzy was ścigają, do rozproszenia się i może się zdarzyć, że zdołacie powalić niejednego Manjemę, strzelając z łuków spoza zasłony drzew.

Zaledwie zdołali zaszyć się w las, pierwsi napastnicy przebyli polanę i weszli do lasu w pościgu.

Tarzan biegł jakiś czas po ziemi, zanim wspiał się na drzewa. Uniósł się wysoko wśród konarów, gubiąc w ten sposób swój ślad, a później pośpieszył szybko z powrotem do wioski. Okazało się, że wszyscy, Arabowie i Manjemowie przyłączyli się do pościgu pozostawiając wioskę bez załogi, zostali tylko spętani jeńcy i jeden wartownik.

Wartownik stał przy otwartych wrotach, patrząc w las, tak iż nie mógł widzieć zwinnego olbrzyma, kiedy spuścił się na ziemię w drugim końcu wioski. Z naciągniętym łukiem małpa - człowiek podkradł się tuż do nie oczekującej niczego złego ofiary. Jeńcy 94

sposzregli go i z szeroko otwartymi oczami, z wyrazem nadziei sledzili ruchy swego zbawcy. Zatrzymal sie na dziesiec krokow od nic nie widzacego Manjemy. Cienciwa byla calkowicie naciagnieta, a bystre szare oko wycelowalo dokladnie strzale. Rozlegl sie nagle brzek, gdy opalone rece spuścily pocisk. Nie wydawszy zadnego okrzyku, czlowiek padl na twarz z sercem przebitym drewnianym pociskiem, który sterczal mu na stopę z czarnej piersi.

Teraz Tarzan zwrócił się ku kilkudziesięciu kobietom powiazanym za szyje w jeden wielki łańcuch niewolniczy. Nie pozostawalo mu dośc czasu, aby mógł zwolnić je z więzów.

Skinął więc tylko, by szły za nim, a pochwyciwszy strzelbę i pas z nabojami zabitego wartownika, wyprowadził uszczęśliwiony tłum poza wrota wioski do lasu przez polanę.

Szli wolno i pochód był uciążliwy, gdyż ludzie ci nie nawykli do łańcucha niewolniczego.

Często musiano się zatrzymywać, gdy ktoś z łańcucha potknął się i upadł, pociągając za sobą innych. Poza tym Tarzan uznał za konieczne wybrać okrężną drogę, aby uniknąć spotkania się z powracającymi napastnikami. Kierował się częściowo rozlegającymi się od czasu do czasu odgłosami wystrzałów wskazującymi, że horda Arabów wciąż nacierała na mieszkańców wioski. Wiedział, że o ile posłuchali jego rady, od strzałów niewielu polegnie, że straty mogą być tylko po stronie napastujących.

Po zmierzchu strzały ustały zupełnie i Tarzan mógł się domyśleć, że Arabowie powrócili do wioski. Nie mógł stłumić uśmiechu triumfu na myśl, jaka będzie ich wściekłość, gdy spostrzegą zabitego wartownika i przekonają się, że jeńcy zostali uprowadzeni. Tarzan miał ochotę zabrać pewną część wielkiego składu kości słoniowej, jaki był w wiosce tylko w tym celu, aby wrogowie mieli tym większy powód do gniewu. Wiedział jednak, że nie było to konieczne dla jej ocalenia, ponieważ obmyślił już plan, który nie pozwoli Arabom wywieźć z kraju ani jednego kła kości słoniowej. A byłoby okrutne obciążać niepotrzebnie te biedne, przemęczone kobiety jeszcze dodatkowym ciężarem kości słoniowej.

Po południu Tarzan z powolnie posuwającą się karawaną zbliżył się do miejsca, gdzie leżały zabite słonie. Już z daleka dostrzegli, że w tym miejscu krajowcy rozniecili ogromny ogień, w środku zbudowanej naprędce bomy*, żeby się ogrzać i odegnać lwy, które mogły się tu trafić.

Podszedłszy blisko do obozowiska, Tarzan zaczął dawać znak okrzykiem, że przybywają przyjaciele. Z wielką radością przyjęto zbliżający się oddział, kiedy czarni z bomy spostrzegli długi szereg spętanych przyjaciół i krewnych podchodzących do ognia.

Przypuszczali, że wszyscy zginęli, Tarzan również. Z wielkiej radości czarni spędziliby całą noc na ucztowaniu na cześć powrotu swych bliskich, gdyby Tarzan nie wymógł, aby wypali się ile można, w oczekiwaniu trudów, jakie ich czekały następnego dnia.

Sen nie był rzeczą łatwą, gdyż noc była okropna z powodu ustawicznych jęków i krzyków kobiet, które utraciły swych mężów i dzieci w czasie pogromu i walki dziennej. W końcu ostatecznie udało się Tarzanowi uciszyć je, tłumacząc, że krzyki mogą sprowadzić do ich kryjówek Arabów, którzy wszystkich pomordują.

Gdy nastał świt, Tarzan przedstawił swój plan wojenny czarnym. Wszyscy się nań zgodzili bez oporów, był to bowiem najbezpieczniej czy i najpewniejszy sposób pozbycia się nieproszonych gości i pomszczenia śmierci towarzyszy.

95

Najpierw wysłano na południe kobiety i dzieci pod osłoną około dwudziestu wojowników i młodzieży, aby usunąć je całkowicie ze strefy niebezpieczeństwa. Oddalającym się dano wskazówki, by zbudowali czasową osłonę i zabezpieczającą bomę z cierni, gdyż plan wojenny, który Tarzan obmyślił, mógł zająć wiele dni, a nawet tygodni, podczas których wojownicy nie mieli wracać do obozu.

W dwie godziny po wschodzie słońca otoczyli wioskę, ustawieni w krąg. W pewnych miejscach wojownicy zasiedli na wysokich gałęziach drzew, skąd można było widzieć ulicę wioski. Oto jeden z Manjemów wewnątrz wioski padł przebity strzałą. Nie słyhać było okrzyku ataku, żadnych okrzyków wojennych ani chełpliwego potrząsania dzidami, co J zwykle jest sygnałem czarnych do ataku - przybył tylko milczący poseł śmierci z milczącego lasu.

Arabowie i ich ludzie wpadli w wielką wściekłość z powodu tego niesłychanego wydarzenia. Pobiegli do wrót, chcąc wyrzucić straszną zemstę na zuchwalcu, który dopuścił się takiego czynu. Spostrzegli jednak, że nie wiedzą, gdzie mają szukać wroga.

Gdy tak stali, naradzając się, pokrzykując gniewnie i gestykulując, znowu jeden Arab padł cicho pośrodku nich na ziemię, a cienka strzała sterczała wbita w jego pierś.

Tarzan umieścił najzręczniejszych strzelców plemienia na pobliskich drzewach, dając rozkaz nie zdradzać się niczym, gdy wróg w ich stronę spoglądał. Wypuściwszy swego posła śmierci, czarny miał się ukrywać, za pnem upatrzonego drzewa i nie miał znowu brać na cel, aż inny wypatrujący okolicę towarzysz nie da mu znaku, że nikt w jego stronę nie patrzy.

Po trzykroć Arabowie wypadali na polankę w kierunku, skąd, jak sądzili, padały strzały, lecz za każdym razem nowa strzała przybywała z tyłu, aby zabrać kogoś z ich liczby.

Wtedy zawracali i kierowali się w nowym, kierunku. W końcu wybrali się, by przeszukać uważnie las, lecz czarni znikli przed nimi, nie dojrzeli więc ani śladu wroga.

Ponad nimi jednak pozostała dobrze ukryta w gęstych liściach potężnych drzew ciemna figura - był to Tarzan unoszący się wysoko jak cień śmierci. Oto jeden z Manjemów idących na przedzie zatarasował swym ciałem drogę towarzyszom, nikt nie widział, skąd przyszła śmierć i tak szybko, a w chwilę później ci, co szli w tyle, potknęli się o trupa swego towarzysza - nieuchronna strzała przebiła ich serca.

Tego rodzaju sposób wojowania w krótkim czasie wstrząsa nerwy białych ludzi, nie było więc w tym nic dziwnego, że Manjemowie wkrótce ulegli panicznemu strachowi. Kto się wysunął naprzód, strzała go dosięgała; kto szedł w tyle - nie pozostał żywym, kto oddalił

się na bok choćby na chwilę z oczu towarzyszy, nie wracał już - i zawsze, gdy napotkali trupy swych zabitych towarzyszy, znajdowali te straszne strzały wycelowane z dokładnością nadludzką wprost w serce ofiary. Najgorszy jednak ze wszystkiego był ten okropny szczegół, że ani razu w ciągu całego dnia nie dojrzeliby ani śladu, ani nie dosłyszeli najmniejszego odgłosu tego wroga, który wymierzał strzały.

Kiedy w końcu powrócili do wioski, nic nie zmieniło się na lepsze. Co pewien czas, w pewnych odstępach okropnego, doprowadzającego do szaleństwa oczekiwania, walił się człowiek na ziemię, zabity. Czarni zwrócili się do swych białych władców z prośbą, by opuścili to straszne miejsce, lecz Arabowie obawiali się rozpocząć pochód przez okropne wrogie lasy, obsadzone przez nieprzyjaciół, w obladowaniu, unosząc zapasy 96

kości słoniowej, które znaleźli w wiosce, a jeszcze bardziej przykro im było rozstawać się z zapasami, pozostawiając je na miejscu.

Wreszcie cała ekspedycja znalazła osłonę w pokrytych strzechami chatach - tu, w końcu, będą mogli czuć się bezpieczni od strzał. Tarzan siedząc na drzewie górującym nad wioską, zauważył tę chatę, do której udali się ważniejsi spośród Arabów i kołysząc się na wystającej gałęzi, rzucił siłą swych potężnych mięśni ciężką swą włócznię w ten dom, przebijając strzechę. Wycie bólu oznajmiło, że włócznia znalazła cel. To był strzał

pożegnalny, który miał ich przekonać, że nigdzie nie było dla nich miejsca bezpiecznego.

Potem Tarzan zawrócił do lasu, zebrał swych wojowników i oddalił się z nimi o milę na południe na spoczynek i aby mogli się posilić. Rozstawił placówki na drzewach nad drogą prowadzącą do wioski, lecz pościgu nie było.

Przeгляд sił wykazał, że nikt z żołnierzy nie zginął, nikt nawet nie odniósł rany, gdy tymczasem straty wroga według oceny czarnych wynosiły nie mniej niż dwudziestu ludzi, którzy zginęli od strzał. Taki rezultat wbił ich w dumę i nierozważnie chcieli zakończyć dzień jednym sławnym natarciem na wioskę, w czasie którego będą mogli, jak im się wydawało, pozabijać resztę wrogów. Wymyślali nawet rozmaite rodzaje męczarni, jakie zadadzą Manjemom, do których czuli szczególną nienawiść, gdy Tarzan zgniótł

wszystkie te plany.

- Poszaleliście! - zawołał. - Pokazałem wam jedyny sposób, w jaki można zwalczyć tych ludzi. W jeden dzień zabiliście dwudziestu, nie ponosząc żadnej straty w ludziach, gdy wczoraj, kiedyś; cię postępowali według swej własnej taktyki, którą chcecie ponownie; stosować, utraciliście co najmniej z tuzin, nie pozbawiwszy życia ani jednego Araba ani Manjemy. Będziecie prowadzić walkę w sposób taki, jaki wam wskazuję lub rzucę was zupełnie i wrócę do swego kraju.

Posłyszawszy tę groźbę, przestraszyli się i obiecali słuchać go skrupulatnie, jeżeli im obieca, że ich nie opuści.

- Pięknie tedy - rzekł Tarzan. - Powrócimy na noc do bomy. Chcę dać Arabom zaznać tego, czego

mogą oczekiwać, jeżeli zechcą pozostać w naszym kraju, lecz do tego nie potrzebuję niczyjej pomocy. Dajmy im teraz spokój. Jeżeli nie ucierpią przez resztę dnia, poczują uspokojenie, a powrót do strachu będzie dla nich bardziej dotkliwy, aniżeli gdybyśmy w dalszym ciągu nie dawali im spokoju całe popołudnie.

Odeszli więc z powrotem od obozowiska, gdzie nocowali poprzedniej nocy i roznieciwszy wielkie ognie przystąpili do posiłku i do opowiadania sobie wydarzeń dnia, do późnego wieczora. Tarzan przespał do północy, po czym wstał i zniknął w piekielnych ciemnościach lasu. W godzinę później przybył na brzeg polany przed wioską. Wewnątrz palisady paliło się ognisko. Człowiek-małpa przeczołgał się przez polanę, aż stanął przed zapartymi wrotami. Spoglądając przez szczeliny dojrzał samotnego wartownika siedzącego przed ogniem.

Tarzan podszedł spokojnie do drzewa stojącego w końcu ulicy. Wdrapał się po cichu na górę i założył strzałę na łuk. Przez kilka minut próbował wymierzyć dobrze w wartownika, lecz z powodu kołyszących się gałęzi i pełgającego ognia niebezpieczeństwo, że chybi, było zbyt wielkie, a jego plan wymagał, aby trafił wprost w serce strzałem powodującym koniecznie cichą, nagłą śmierć.

97

Przyniósł ze sobą, prócz łuku, strzał i linki, jeszcze strzelbę, jaką poprzedniego dnia zabrał drugiemu wartownikowi, którego wówczas zabił. Schowawszy to wszystko w odpowiednim miejscu na drzewie, zeskoczył lekko na ziemię wewnątrz ogrodzenia, uzbrojony jedynie w długi nóż. Plecy wartownika miał przed sobą. - Jak kot podkraść się Tarzan do drzemającego człowieka. Był już na dwa kroki od niego, jeszcze chwila a nóż zatopi się cicho w jego sercu.

Tarzan skulił się, szykując się do skoku, który jest najszybszym ; najpewniejszym sposobem ataku zwierząt - gdy wtem człowiek ostrzeżony jakby subtelnym uczuciem niebezpieczeństwa, podskoczył, stając na nogi i zwrócił się twarzą do Tarzana.

ROZDZIAŁ XVII

BIAŁY NACZELNIK PLEMIENIA

Gdy czarny Manjema ujrzał dziwne zjawisko, które wynurzyło się przed nim potrząsając nożem, wytrzeszczył oczy z przerażenia. Zapomniał o strzelbie, którą miał w rękę, zapomniał nawet krzyknąć - miał jedną tylko myśl: jak uciec przed tym przeraźliwie wyglądającym dzikim i człowiekiem, przed tym olbrzymem, na którego masywne wypukłe mięśnie i potężną pierś padało chwiejące się światło ogniska.

Lecz zanim zdołał się odwrócić, już Tarzan miał go w swych rękach, wtedy wartownik chciał krzyknąć o pomoc, lecz już było za późno. Mocna ręka chwyciła go za gardło i został przyduszony do ziemi., Opierał się póki sił starczyło, lecz na próżno. Z

zaciekłością buldoga dusiły go straszne palce. Szybko uchodziło zeń życie. Wytrzeszczył

oczy, wysunął język, twarz stała się przeraźliwie purpurowa - nastąpiło drżenie tężejących mięśni

i Manjemą zduszony znieruchomiał całkowicie.

Małpa -człowiek zarzucił sobie trupa przez plecy i zabrawszy jego strzelbę pobiegł cicho przez uśpioną ulicę ku drzewu, z którego zeskoczył z łatwością do opalisadowanej wioski. Uniósł trupa w górę, w płataninę liści.

Usadowiwszy go w odpowiednim miejscu na rozwidlonych gałęziach, zabrał najpierw pas z nabojami i te ozdoby, które mu się-podobały. Jego zwinne palce przesuwają się po ciele w poszukiwaniu rzeczy zdobycznych, które chciał mieć, a których z powodu ciemności nie mógł dojrzeć. Kiedy skończył to zajęcie, wziął strzelbę i wyszukał gałąź, skąd mógłby dokładnie widzieć chaty. Wymierzywszy starannie w podobną do ula budowle, w której, jak mu było wiadomo, znajdowali się starsi z Arabów, pociągnął za kurek. Natychmiast rozległ się jęk. Tarzan uśmiechnął się. Wiedział, że strzał był celny.

Po wystrzale przez chwilę w obozie panowała cisza, zaraz potem wynurzyli się z chat Manjemowie i Arabowie jak rój rozzłoszczonych szerszeni. W istocie przestraszeni byli

nawet większy niż złość. Wydarzenia dnia poprzedniego napełniły już strachem zarówno czarnych, jak białych, a teraz jeden nocny wystrzał obudził w ich przerażonych umysłach najstraszniejsze przypuszczenia.

Gdy spostrzegli, że wartownik znikł, strach ich nie zmniejszył się bynajmniej. Chcąc jak gdyby wesprzeć swą odwagę wojowniczymi czynami, zaczęli, palić z broni do zapartych wrót wioski, chociaż wroga nie było widać. Korzystając z ogłuszającego hałasu wystrzałów, Tarzan dał strzał w tłum znajdujący się pod nim.

98

Nikt nie rozróżnił tego wystrzału od grzechotania strzelb na ulicy, lecz ci, co stali zbici w tłum, spostrzegli jak jeden z ich grona powalił się nagle na ziemię. Kiedy pochylili się nad nim, ujrzeni że już nie żył. Zapanowała panika i trzeba było, aby Arabowie użyli całej swej brutalnej władzy do powstrzymania Manjemów od beładnej ucieczki do dżungli - od ucieczki gdziekolwiek, byle dalej od strasznej wioski.

Po pewnym czasie zaczęli się uspokajać. Gdy nie powtórzył się nowy wypadek tajemniczej śmierci, nabrali trochę otuchy. Był to jednak krótkotrwały odpoczynek, gdyż właśnie wtedy, kiedy sądzili, że nie będą już niepokojeni, Tarzan wydał przeraźliwy okrzyk, a gdy napastnicy spojrzeli w tym kierunku, skąd dochodził ich głos, człowiek-małpa, rozbijawszy trupa wartownika, nagle rzucił go całą siłą z góry na ich głowy.

Wyjąc z przerażenia tłum rozbiegł się we wszystkich kierunkach, uciekając od tej nowej strasznej istoty, która, jak im się zdawało, skoczyła na nich. W ich przerażonej wyobraźni ciało wartownika spadające z góry z rozpostartymi nogami i rękami przybrało kształty jakiegoś wielkiego drapieżnego zwierzęcia. Wielu czarnych opanowanych strachem przeskoczyło ogrodzenie, a inni, wysadziwszy słupy wrót, uciekli przez polanę do dżungli.

Przez pewien czas nikt nie ośmielił się podejść do istoty, która wzbudziła ich przerażenie, lecz Tarzan był pewien, że wkrótce to nastąpi. A gdy przekonają się, że był to trup zabitego wartownika, wiedział na pewno co uczynią, choć nie opanują swego strachu, i wiedząc o tym, znikł cicho kierując się ku południowi przez oświetloną światłem księżycy wierzchołki drzew w stronę obozowiska Waziri.

Oto jeden z Arabów zaczął się przyglądać i spostrzegł, że istota, która skoczyła na nich z drzewa, leżała bez ruchu tam, gdzie padła, na środku ulicy wioski. Ostrożnie podsunął

się i zobaczył, że było to ciało człowieka. W chwilę później stanął przy tym ciele, a zaraz potem rozpoznał, że był to trup Manjemy, który stał na straży u wrót.

Jego towarzysze szybko zgromadzili się naokoło przywołani krzykiem, a po chwili podnieconego porozumiewania się zrobili to, co Tarzan wyrozumował sobie, że uczynią.

Podniósłszy strzelby do ramion, zaczęli dawać salwę za salwą w drzewo, z którego zrzucony został trup. Gdyby Tarzan pozostał na drzewie, setka kul podziurawiłaby go jak sito.

Kiedy Arabowie i Manjemowie zobaczyli, że jedynymi oznakami popełnionego morderstwa na ciele towarzysza były olbrzymie odciski palców na nabrzmiałym gardle, przejął ich jeszcze większy strach i rozpacz. Przerazało ich to, że nie byli bezpieczni nocą nawet wewnątrz ogrodzonej wioski. Przechodziło to wszelkie pojęcie, że wróg mógł

dostać się do środka obozu i zamordować ich strażnika gołymi rękoma, wskutek tego przesądni Manjemowie zaczęli przypisywać swe niepowodzenie nadprzyrodzonym siłom.

A biali nie umieli wytłumaczyć tego, co się działo, lepiej.

Prawie pięćdziesięciu ludzi zbiegło i błąkało się w ciemnej dżungli. Reszta nie mogła nic powiedzieć o tym, kiedy ich nieposkromiony wróg na nowo rozpocznie na chłodno popełniać rzeź. Wojsko zamieniło się w bandę zrozwadzonych zbójów oczekujących bez zmrużenia oka świtu. Uzyskawszy obietnicę Arabów, że porzucą wioskę ze wschodem słońca dnia następnego i udadzą się w drogę powrotną do swego kraju, Manjemowie dali 99

się namówić do pozostania w wiosce jeszcze jakiś czas. Nawet obawa, jaką czuli wobec swych okrutnych panów, nie wystarczała, by opanowali przerażenie.

Gdy więc Tarzan i jego wojownicy powrócili do ataku następnego dnia, zobaczyli, że napastnicy przygotowali się do opuszczenia wioski. Manjemowie byli objuczeni skradzionymi zapasami kości słoniowej.

Zobaczywszy to, Tarzan uśmiechnął się z politowaniem, gdyż był pewien, że nie poniosą ich daleko. Potem ujrzał coś, co go zaniepokoiło - pewna liczba Manjemów zapalała pochodnie w resztkach ogniska obozowego. Mieli zamiar spalić wioskę.

Tarzan zasiadł na wysokim drzewie, odległym kilkaset jardów od ostrokołu. Przyłożywszy ręce do ust, zawołał po arabsku: "Nie palcie chat, bo pozabijamy was wszystkich! Nie palcie chat, bo

pozabijamy was wszystkich!"

Krzyknął kilka razy. Manjemowie zawahali się, a potem jeden z nich rzucił pochodnię w ogień. Inni widocznie chcieli zrobić to samo, lecz wtedy podskoczył ku nim jeden z Arabów z kijem, zapędzając ich ku chatom. Tarzan widział, że Arab dawał rozkazy, by podpalić strzechy domostw. Tarzan stanął w pełnej postawie na chwiejącej się gałęzi znajdującej się sto stóp powyżej ziemi, przyłożywszy strzelbę do ramienia wycelował

ostrożnie i dał ognia. Wraz z odgłosem wystrzału Arab nakazujący ludziom spalenie wioski padł na ziemię, a Manjemowie porzuciwszy główne, uciekli. Tarzan widział, jak uciekali w kierunku dżungli, a ich poprzedni władcy, przyklękawszy na ziemi, strzelali do nich.

Choć Arabowie byli niezwykle oburzeni niesubordynacją swych niewolników, jednakże doszli do wniosku, że rozsądniej będzie wyrzec się przyjemności spalenia wioski, która zgotowała im po raz wtóry tak przykre przyjęcie. Poprzysięgli sobie powrócić tu z taką siłą, która pozwoliłaby im obrócić w perzynę cały kraj wokoło, nie pozostawiając śladu życia ludzkiego.

Na próżno wypatrywali teraz tego, kto swym głosem odstraszył ludzi wyznaczonych do rzucenia główki na strzechy. Najbystrzejsze oczy nie mogły go wysledzić. Widzieli dym rozchodzący się z drzewa po wystrzale, kory poraził Araba, lecz chociaż niezwłocznie dano salwę w kierunku liści, nic nie wskazywało, że strzelanina ta miała jakiś skutek.

Zbyt przebiegły i doświadczony był Tarzan, aby miał paść ofiarą. Nie rozbrzmiało jeszcze echo wystrzału, a człowiek-małpa już był na dole i biegł po ziemi, aby dostać się na inne drzewo stojące w odległości jakichś stu jardów. Tu znowu znalazł sobie dogodne miejsce, skąd mógł obserwować przygotowania napastników. Przyszło mu do głowy, że może sobie z nich zażartować, odezwał się więc znowu, przyłożywszy rękę do ust:

- Porzućcie kość słoniową! - wołał. - Porzućcie kość słoniową!, - nieżywym na nic się nie zda kość słoniowa!

Niektórzy z Manjemów zatrzymali się, chcąc złożyć niesione brzemie, lecz tego było już za wiele chciwym Arabom. Wykrzykując przekleństwa i wydając okrzyki, wzięli na cel niosących i zagrozili natychmiastową śmiercią każdemu, kto ośmieli się rzucić niesiony ciężar. Mogli pogodzić się z myślą niepuszczenia z dymem wioski, lecz myśl o porzuceniu ogromnych bogactw, zawartych w kości słoniowej, przekraczała wszelką miarę. Lepiej ponieść śmierć, niż dopuścić do tego.

100

Wyszli więc z wioski plemienia Waziri, a plecy niewolników objuczone były haraczem z kości słoniowej w ilości godnej wielu królów. Skierowali się ku północnej stronie, ku swym siedliskom w dzikiej i nieznannej krainie leżącej poza Kongo, w największych głębiach Wielkiego Boru, a z boków, po każdej stronie, posuwał się niewidzialny, nieugięty wróg.

Pod kierownictwem Tarzana czarni wojownicy z plemienia Waziri ustawili się wzdłuż drogi po obu stronach w gęstych krzakach. Zajmowali placówki w znacznym oddaleniu jedna od drugiej, a gdy

kolumna przechodziła, pojedyncza strzała lub ciężka dzida, dobrze wymierzona, przesywała Manjemę lub Araba. Po pewnym czasie ludzie Tarzana rozpraszali się i zajmowali nowe stanowiska na przodzie. Nie uderzali aż do chwili, kiedy cel był dobrze upatrzony, a niebezpieczeństwo zdradzenia się równało się zeru. Strzały oraz dzidy padały rzadko i były nieliczne, lecz tak wytrwale i stale powtarzały się, i tak były celne, że posuwająca się powoli kolumna ciężko objuczonych napastników czuła się ciągle w panicznym strachu - strachu z powodu przebitego towarzysza, który padł przed chwilą, strachu wobec niepewności, kto padnie następny i kiedy.

Z największą trudnością udawało się Arabom powstrzymać swych ludzi od powtarzanych wielokrotnie usiłowań porzucenia niesionych ciężarów i ucieczki, na podobieństwo stada wystraszonych królików, w drodze na północ. Tak dzień chylił się ku schyłkowi, dzień ciężki jak straszna zmora dla napastników, a dla Waziri - dzień uciążliwy, lecz dzień, który przyniósł dobrą zapłatę. Na noc Arabowie zbudowali naprędce bome na małej polance nad brzegiem rzeczki i rozbili obóz. Od czasu do czasu w ciągu nocy rozlegał

się tuż nad ich głowami huk strzelby i jeden z dwunastu wartowników, których teraz wystawili, padał zabity. Sytuacja taka była nie do zniesienia, gdyż widzieli, że przy takiej okropnej taktyce wroga wyginą, padając jeden po drugim, nie zdoławszy zabić nawet jednego nieprzyjaciela. Jednak Arabowie podobni do białych z wytrwałej chciwości nie chcieli puścić z rąk zdobyczy, a gdy nastał ranek, zmusili sterroryzowanych Manjemów do podjęcia znów noszy i kazali im dalej iść, potykając się, przez dżunglę.

Przez trzy dni kolumna wytrzymała taki straszny pochód. Każdą godzinę znaczyła śmiertelna strzała lub okrutna dzida. Noce były straszne z powodu rozlegającego się huku niewidzialnej strzelby, która robiła z obowiązku wartowniczego pewny wyrok śmierci.

Z rana na czwarty dzień Arabowie musieli zastrzelić dwu czarnych, zanim zdołali zmusić pozostałych do podjęcia zniechęconej kości słoniowej. Gdy to się stało, rozległ się czysty i doniosły głos z puszczy: "Dziś umrzecie, Manjemowie, jeżeli nie porzucicie kości słoniowej. Rzućcie się na swych okrutnych panów i pozabijajcie ich. Macie strzelby, dlaczego z nich nie korzystacie? Pozabijajcie Arabów, a nie zrobimy wam nic złego.

Zaprowadzimy was z powrotem do naszej wioski, nakarmimy i wyprowadzimy z kraju bezpiecznie i spokojnie. Złóżcie nosze i napadnijcie na swych władców - pomożemy wam. Inaczej umrzecie!"

Gdy głos ścichł, napastnicy stanęli jakby skamieniali. Arabowie mierzyli okiem swych niewolników, a niewolnicy spoglądali jeden na drugiego - czekali tylko, by któryś dał

sygnał. Pozostało ze trzydziestu Arabów i około stu pięćdziesięciu czarnych. Wszyscy mieli broń - nawet ci, którzy zajęci byli jako tragarze, mieli przewieszane strzelby przez plecy.

Arabowie skupili się razem. Szejk zakomenderował rozpoczęcie marszu, a mówiąc, podniósł w górę strzelbę. W tejże chwili jeden z czarnych rzucił nosze i chwyciwszy karabin z pleców, dał strzał w grupę białych. Od razu obóz zamienił się w tłum rzucających przekleństwa, wyjących demonów

walczących za pomocą strzelb, pistoletów i noży. Arabowie stali zbici w jedną gromadę i bronili życia odważnie, lecz nie mogło być żadnej wątpliwości co do ostatecznego rezultatu walki. Deszcz ołowiu spadał na nich od własnych niewolników, a chmary strzał i dzid leciały z pobliskiej puszczy, wymierzone w nich jedynie. Po dziesięciu minutach od chwili, kiedy pierwszy tragarz rzucił nosze, padł

ostatni z Arabów.

Kiedy ustały wystrzały, Tarzan przemówił znowu do Manjemów:

- Zabierzcie kość słoniową i nieście z powrotem do naszej wioski, skąd ją ukradliście. Nie będziemy was napastowali.

Przez chwilę Manjemowie zawahali się. Nie mieli ochoty odrabiać uciążliwej trzydniowej drogi. Naradzali się po cichu i jeden z nich zwróciwszy się ku dżungli odezwał się do tego, kto przemawiał z gęstwiny.

- Jaką możemy mieć pewność, że nie pozabijacie nas, gdy znajdziemy się w waszej wiosce?

- Nie wiecie nic więcej - odrzekł Tarzan - prócz tego, że obiecaliśmy nie robić wam krzywdy, jeżeli odniesiecie nam nasze zapasy kości. Lecz wiecie to, że możemy powybić was wszystkich co do nogi, jeżeli nie zechcecie zwrócić nam tego, coście nam zabrali, jak wam rozkazujemy, a łatwiej to uczynimy, jeżeli będziecie nas gniewać, niż wtedy, jeżeli zastosujecie się do naszych życzeń.

- Kim jesteś, ty co przemawiasz językiem naszych władców Arabów? - zawołał

zabierający głos Manjema. - Chcemy cię ujrzeć, a wtedy damy odpowiedź.

Tarzan wystąpił z puszczy o kilkanaście kroków od nich. - Jestem, patrzcie! - rzekł. Gdy zobaczyli, że był to biały człowiek, przejęci byli strachem, gdyż nigdy dotąd nie widzieli białego występującego w charakterze członka plemienia dzikich, a na widok jego potężnych mięśni i olbrzymiej budowy ciała przejęci byli podziwem.

- Możecie mi zaufać. - rzekł Tarzan. - O ile posłuchacie tego, co mówię i nie zrobicie nic złego nikomu z mych ludzi, nie wyrządzimy wam żadnej krzywdy. Czy chcecie, zabrawszy kość słoniową, powrócić w spokoju do naszej wioski, czy też mamy was ścigać wzdłuż drogi na północ, jak to czyniliśmy w ciągu trzech dni?

Wspomnienie strasznych dni, świeże w ich pamięci, skłoniło ostatecznie Manjemów do powzięcia decyzji. Po krótkiej naradzie podnieśli znów nosze z kością słoniową i ruszyli w drogę powrotną do wioski plemienia Waziri.

W końcu trzeciego dnia weszli do bramy wioski, spotykani przez osoby, które przeżyły ostatnie wydarzenia. Tarzan wysłał do nich do obozu na południu posłańca w dniu, w którym napastnicy opuścili wioskę, z wieścią, że mogą bezpiecznie wracać.

Tarzan musiał użyć swej przewagi, jaką posiadał, i zdolności do przekonywania ludzi, chcąc

powstrzymać Waziri od rzucenia się na Manjemów z pięściami, pazurami i rozszarpania ich na kawały. Kiedy jednak wytłumaczył im, że zobowiązał się słowem, że nie poniosą szwanku, jeżeli odniosą kość słoniową z powrotem na miejsce, skąd ją zabrali, a prócz tego przypomniał, że zwycięstwo swoje w całości jemu zawdzięczają, 102

zastosowali się do jego żądań i zezwolili ludożercom pozostać w spokoju wewnątrz ogrodzenia.

Tej nocy wojownicy zebrali się na wielką naradę, by uświetnić zwycięstwo i obrać nowego wodza. Od czasu śmierci Waziri Tarzan dowodził wojownikami w bitwie, czasowe dowództwo oddane mu zostało bez słów. Nie było czasu na obieranie nowego wodza z ich grona i w rzeczy samej tak wyjątkowo pomyślnie wiodło im się pod dowództwem małpy -człowieka, że nie mieli chęci oddania najwyższej władzy komu innemu z obawy, aby nie utracili tego, co zyskali. Byli przecież świadkami tego, jakie skutki wynikły z niesłuchania rad dzikiego białego człowieka w chwili nieszczęsnego natarcia na rozkaz Waziri, w którym sam on postradał życie i nie trudno im było pogodzić się z myślą, że Tarzan będzie sprawował nad nimi władzę na stałe.

Główni wojownicy zasiedli wokół niewielkiego ogniska, by rozważyć wszelkie zasługi każdego, kogo można było podsuwać na następcę starego Waziri. Busuli przemówił

pierwszy.

- Od kiedy Waziri umarł, nie pozostawiwszy syna, znamy jednego tylko człowieka, który, jak wskazuje doświadczenie, godzien jest być naszym wodzem. Jeden jest tylko wśród nas człowiek, który dowiódł, że umie pomyślnie poprowadzić nas na strzelby białych ludzi i zapewnić nam łatwe zwycięstwo, nie tracąc ani jednego żołnierza. Jest tylko jeden taki człowiek, a jest nim człowiek biały, który dowodził nami w ostatnie dni. - Przy tych słowach Busuli podbiegł do stóp Tarzana i wzniosłszy dzidę, w postaci na wpół zgiętej zaczął z wolna wykonywać taniec naokoło, podśpiewując przy krokach: "Waziri, królu Waziri, Waziri, zabójco Arabów; Waziri, królu Waziri".

Kolejno, jeden po drugim, inni wojownicy wyrazili zgodę na wybór Tarzana na króla, przyłączając się do uroczystego tańca. Podeszły i kobiety, zasiadły u krawędzi koła, uderzając w tam-tamy, klaszcząc! w dłonie w takt tańczącym i przyłączając się do śpiewu wojowników. W środku koła siedział Tarzan z małp - Waziri, król Waziri, gdyż podobnie do swego poprzednika przyjmował za swoje imię plemienia.

Coraz szybsze stawały się kroki tańczących, coraz donośniej rozlegały się ich dzikie okrzyki. Kobiety podniosły się i przyłączyły się do ogólnego chóru, wykrzykując całą siłą swych piersi. Migały unoszone w górę włócznie, a gdy tańczący zatrzymali się i zaczęli uderzać tarczami o ubitą ziemię ulicy wioskowej, cały widok był bardzo pierwotny i dziki, jak gdyby cała scena odbywała się w ciemnym zaraniu życia ludzkiego przed nieskończonym szeregiem ubiegłych wieków.

Gdy podniecenie wzrosło, człowiek- małpa skoczył i przyłączył się do dzikiego obrządku.

W środku koła świecących czarnych ciał skakał i wykrzykiwał i potrząsał ciężką włócznią z takim samym zapomnieniem o całym otaczającym świecie, jakie opanowało jego dzikich towarzyszy. Zapomniane zostały wszelkie wspomnienia z życia cywilizowanego -

był całkowicie pierwotnym człowiekiem. Radował się wolnością dzikiego, wolnego życia, jakie ukochał, pełen dumy ze swej godności królewskiej wśród tych dzikich czarnych ludzi.

Ach, gdybyż Olga de Coude go widziała - czy poznałaby w nim elegancko ubranego, spokojnego młodzieńca, którego wytworna twarz i nieposzlakowane zachowanie się tak ją ujęły kilka miesięcy temu? A Janina Porter? Czy zachowałaby miłość dla tego dzikiego 103

wodz, wykonującego taniec w nagości ciała wśród swych nagich poddanych? A d'Arnot? Czy d'Arnot uwierzyłby, że był to ten sam człowiek, którego wprowadził do wyszukanych klubów paryskich? Co powiedzieliby równi mu panowie z Izby Lordów, gdyby ktoś wskazał im tego tańczącego olbrzyma w barbarzyńskim ubiorze na głowie, w ozdobach z metalu, i powiedział: "Otóż moi panowie, jest Jan Clayton, lord Greystoke".

W taki to sposób Tarzan z plemienia małp doszedł do piastowania . królewskiej godności wśród ludzi - powoli, lecz nie błędząc, szedł drogą ewolucji swych przodków. Czyż nie rozpoczął drogi od samych nizin?

ROZDZIAŁ XVIII

CIĄNIENIE LOSÓW O ŻYCIE

Po rozbiciu się statku Lady Alice pośród osób, które znajdowały się w łodzi, pierwsza obudziła się Janina Porter. Inni spali, siedząc lub leżąc w skurczonych pozycjach na dnie.

Kiedy Janina zrozumiała, że łódź ich odłączyła się od innych, przejął ją niepokój.

Poczucie kompletnego osamotnienia i opuszczenia, jakie budził w niej bezbrzeżny obszar pustego oceanu, było tak przygnębiające, że opuściła ją zupełnie nadzieja ocalenia. Sądziła, że są zgubieni - zgubieni ostatecznie, bez nadziei na pomoc.

Obudził się i Clayton.

Upłynęło parę minut, zanim zdołał jasno zrozumieć, gdzie się znajdował i przypomnieć sobie nieszczęśliwe rozbicie statku z dnia poprzedniego. W końcu zdumione jego oczy ujrzwały Janinę.

- Janino! - zawołał. - Dzięki Bogu, jesteśmy razem.

- Popatrz - odrzekła dziewczyna głuchym głosem, wskazując apatycznym ruchem ręki na niebo i puste wody, - jesteśmy sami jedni.

Clayton rozejrzał się po wodzie we wszystkich kierunkach.

- Gdzie oni mogą być? - wykrzyknął. - Nie mogli utonąć, gdyż morze było spokojne, a łodzie spuszczone na wodę, gdy jacht zatonął - widziałem je na własne oczy.

Obudził innych na łodzi i wyjaśnił im, w jakim znajdowali się położeniu.

- Dobrze się stało, że łodzie rozproszyły się, panie - przemówił jeden z marynarzy. -

Wszystkie łodzie zabrały zapasy żywności, nie są więc wzajemnie sobie potrzebne z tego powodu, a gdyby nadeszła burza nie mogłyby udzielić sobie pomocy nawet gdyby były razem, rzucone zaś w różnych punktach na oceanie dają większą szansę, że któraś z nich trafi na okręt, wtedy rozpoczną poszukiwania innych łodzi. Gdyby wszystkie łodzie trzymały się razem, byłaby tylko jedna szansa ocalenia, a tak można liczyć na cztery.

Wszyscy zrozumieli słuszność takiego wyjaśnienia i poczuli otuchę, radość jednak trwała krótko, gdyż kiedy zdecydowano się płynąć stale na wschód w kierunku kontynentu, okazało się, że marynarze przy dwu wiosłach, w które zaopatrzona była łódź, zasnęli i upuścili wiosła do morza, nie widać ich było nigdzie na wodzie.

Nastąpiły gniewne słowa i swary, marynarze o mało się nie pobili, aż Claytonowi udało się ich uspokoić, lecz za chwilę już pan Turan wywołał nową kłótnię, zrobiwszy brzydką

uwagę o głupocie wszystkich w ogóle Anglików, a w szczególności angielskich marynarzy.

- Dajcie spokój, towarzysze - odezwał się jeden z ludzi załogi, Tompkins, który nie brał

udziału w kłótni. - Kłótnia nic nie pomoże. Czy Spajder nie mówił, że wszyscy będziemy i tak ocaleni, po cóż więc się sprzeczać. Trzeba co zjeść, ja powiem.

- To nie jest zła myśl - rzekł Turan i zwracając się do trzeciego marynarza, Wilsona, dodał: - Podaj jedną z tych blaszanek z tyłu szalupy, przyjacielu.

- Możesz sam sobie wziąć - odpowiedział Wilson gniewnie. - Nie myślę służyć rozkazom obcego. Nie jest pan jeszcze kapitanem.

W rezultacie Clayton musiał sam wziąć blaszankę, a wtedy znowu wynikła sprzeczka, gdyż jeden z marynarzy zarzucił Clay tonowi i panu Turanowi, że się zmówili, by opanować zapasy, by zabrać dla siebie lwią ich część.

- Ktoś musi objąć komendę na statku - rzekła Janina Porter, przejęta obrzydzeniem z powodu przykrych sporów, jakie wydarzyły się już od samego początku przymusowego obcowania z tymi ludźmi, które mogło się przeciągnąć na dłuższy czas. - Jesteśmy sami, opuszczeni na wielkim Atlantyku w wątej łodzi, położenie nasze i tak jest straszne, po co dodawać jeszcze do niego przykrości i niebezpieczeństwa z powodu ciągłego wzajemnego dokuczania sobie i kłótni. Wy, mężczyźni, powinniście obrać dowódcę i służyć jego rozkazom we wszystkim. Obecnie zachodzi większa potrzeba zachowania posłuszeństwa tu na łodzi, niż na okręcie dobrze kierowanym.

Zanim wypowiedziała te słowa, sądziła, że nie zajdzie potrzeba wtrącania się w całą sprawę, gdyż wydawało się jej, że Clayton potrafi zapanować nad wszystkim, widziała jednak, że jak dotychczas, nie zanosilo się na to, aby on okazał więcej zdolności do opanowania sytuacji, chociaż przynajmniej nie dał powodu do pogorszenia położenia i okazał tyle ustępliwości, że oddał nawet marynarzom blaszankę, kiedy zaczęli oponować, aby on ją otworzył.

Słowa Janiny podziały na chwilę uspokajająco na ludzi. Zgodzono się w końcu, żeby dwie baryłki wody i cztery blaszanki konserw podzielić, połowa miała być oddana "na przód" łodzi trzem marynarzom, by zrobili z nimi co chcieli, a reszta - "na tył" szalupy trzem pasażerom.

Tak więc małe towarzystwo rozpadło się na dwa obozy. Gdy rozdzielono zapasy, wzięto się z obu stron do otwierania baryłek i do podziału pożywienia oraz wody. Marynarze pierwsi otworzyli jedną z blaszanek "z konserwami", a ich przekleństwa, świadczące o wściekłości i zawodzie, wywołały pytanie Clay tona, jaki był ich powód, co się stało?

- Co się stało? - zawołał Spajder. - To się stało, że grozi nam śmierć! Ta blaszanka zawiera maź!

Teraz Clayton i pan Turan z pośpiechem otworzyli jedną ze swych blaszanek i przekonali się o strasznej prawdzie, że również zawierała nie konserwy, lecz smarowidło.

Otworzono jedną po drugiej wszystkie cztery blaszanki, jakie były na łodzi. Kiedy spostrzegano zawartość w każdej, wycia złości oznajmiały posępną prawdę - że na łodzi nie było ani jednej uncji pożywienia.

105

- Co robić, zawołał Tompkins - dzięki Bogu, że mamy wodę. Łatwiej jest obejść się bez pożywienia niż bez wody. Możemy zjeść swe buty w najgorszym razie, a nie moglibyśmy ich użyć jako napoju.

Gdy Tompkins to mówił, Wilson prześwidrował dziurę w jednej z baryłek, a gdy Spajder podsunął blaszany kubek, przesunął baryłkę, by nalać trochę cennego płynu. Cienkie pasmo czarniawych, suchych cząstek przedostało się powoli przez mały otwór na dno kubka. Z jękiem Wilson opuścił baryłkę i przysiadł na miejscu, spoglądając na to, co ujrzał, zaniemówiwszy z przerażenia.

- Baryłki są z prochem - rzekł Spajder cichym głosem, zwracając się do towarzyszy w tyle łodzi. Tak też było, gdy wszystkie otworzono.

- Smarowidło i proch - wykrzyknął pan Turan. - Sapristi! Takiej pożywienie dla rozbitków!

Gdy przekonano się, że na szalupie nie było ani pożywienia, ani a wody, natychmiast wzmogło się u ludzi dotkliwe uczucie głodu i pragnienia, zaraz w pierwszym dniu tragicznych przygód zaczęły się | prawdziwe męki i doznali całej okropności swego położenia. _

Z biegiem czasu warunki stały się okropne. Rozbolałe oczy obserwowały w dzień i w nocy powierzchnię morza, aż osłabli i zmęczeni rozbitkowie padali wyczerpani z sił na dno łodzi i tam w rozgorączkowanych snach mieli chwilę wytchnienia z okropności, jakiej doznawali na jawie.

Marynarze, pod wpływem nie zaspokojonego dokuczliwego głodu, zjedli skórzane pasy, buty, skórzane podszewki swych czapek, chociaż Clayton i pan Turan starali się ich przekonać, że to tylko wzmoże cierpienia, jakie znosili.

W osłabieniu ciała i bez otuchy cała gromadka leżała pod bezli tosnym podzwrotnikowym słońcem, z wyschłymi ustami i obrzmiałymi językami, oczekując na przyjście śmierci, której zaczęli pożądać. _

Dotkliwe cierpienie w czasie pierwszych dni tych trzech pasażerów, :| którzy nie jedli nic, było głuche, lecz męczarnie marynarzy mogły .

wzbudzić litość, gdyż ich słabe i wygłodzone żołądki miały trawić kawałki połkniętej skóry.

Tompkins pierwszy zginął. Właśnie w tydzień od rozbicia się "Lady Alice" marynarz zmarł w okropnych konwulsjach.

Długie godziny widać było w łodzi jego wykrzywione rysy, aż Janina Porter nie mogła znieść dłużej takiego widoku.

- Czy nie można wyrzucić jego ciała do wody, Wiliamie? - zapytała.

Clayton podniósł się i chwiejnie podszedł do trupa. Dwaj pozostali marynarze spoglądali na niego z dziwnym posepnym światłem oczu w zapadłych orbitach. Na próżno Clayton usiłował przerzucić ciało przez burtę, siły nie dorównywały zadaniu.

- Podaj mi rękę, proszę - rzekł do Wilsona, który leżał rozciągnięty najbliżej.

- Po co chcesz go wyrzucać? - zapytał marynarz swarliwym tonem.

- Trzeba to zrobić, zanim zbyt osłabniemy - odpowiedział Clayton. - Będzie z nim okropnie jutro, po dniu wystawienia na to palące słońce.

- Lepiej zostaw go, jak jest - odburknął Wilson. - Może być nam potrzebny jeszcze przed jutrem.

Powoli sens słów marynarza stawał się zrozumiały Claytonowi. W końcu zrozumiał powody, dlaczego marynarz sprzeciwiał się wyrzuceniu trupa.

106

- Miłosierny Boże! - wyszeptał Clayton przerażony. - Nie chcesz...

- Dlaczego nie? - brzmiała odpowiedź. - My żyjemy, on trup, - dodał, wskazując palcem na trupa. - Nie dba o to.

- Pomóż, Turan - rzekł Clayton, zwracając się do Rosjanina. Zdarzy się nam na statku coś gorszego niż śmierć, jeżeli nie pozbędziemy się tego trupa przed nocą.

Wilson posunął się groźnie, aby przeszkodzić zamiarom. Lecz kiedy jego towarzysz Spajder przyłączył się do Claytona i Turana, dał spokój i usiadł, spoglądając na trupa okiem zgłodniałego człowieka, a wtedy połączonym wysiłkiem trzech ludzi udało się przetoczyć trupa z łodzi do wody.

Przez pozostałą resztę dnia Wilson przypatrywał się Claytonowi, a w jego oczach widać było szaleństwo. Wieczorem, kiedy słońce zapadało w morze, zaczął gadać do samego siebie, lecz nie

spuszczał oczu z Claytona.

Nawet gdy się ściemniło Clayton czuł wciąż ten straszny wzrok na sobie. Bał się zasnąć, a jednak był tak wyczerpany, że musiał wciąż robić wysiłki, aby zachować świadomość.

Po pewnym czasie, który wydał mu się wiecznością, wśród wielkich cierpień skłonił

głowę na burtę łodzi i zasnął. Jak długo trwał sen - nie wiedział. Obudziło go szurgotanie blisko obok niego. Księżyc wzeszedł, gdy otworzył nagle oczy, ujrzał Wilsona podkradającego się ku niemu z otwartymi ustami i wywieszonym obrzmiałym językiem.

Szum poruszeń obudził Janinę Porter.

Widząc okropną scenę, wydała przeciągły okrzyk trwogi, a w tejże, chwili marynarz przechylił, się naprzód i rzucił się na Claytona. Jak dzikie zwierzę chciał uchwycić zębami gardło swej ofiary, lecz Clayton, chociaż był osłabiony, znalazł dosyć sił, aby odepchnąć od siebie usta j szaleńca.

Na krzyk Janiny Porter przebudzili się Turan i Spajder. Widząc, jaki i był powód przestraszu Janiny, obaj przyczołgali się, na ratunek j Claytona i razem we trzech zdołali przemóc Wilsona i powalić go na dno łodzi. Przez kilka chwil leżał on, gadając coś i śmiejąc się, a potem, wydawszy okropny okrzyk, zanim ktokolwiek zdołał temu przeszkodzić, porwał się na nogi i skoczył do wody.

Wskutek wielkiego wyczerpania nerwowego po tym wypadku pozostali przy życiu leżeli, drżąc, w wielkim przygnębieniu. Spajder zaczął płakać, Janina Porter odmawiała modlitwę, Clayton cicho kłął, pan Turan siedział, rozmyślając, zwiesiwszy głowę na rękach. Jako wynik tych rozmyślań zjawiała się następnego rana następująca przemowa, jaką miał do Spajdera i do Claytona.

- Panowie, - rzekł Turan - widzicie, jaki los nas czeka, jeżeli nie będziemy ocaleni za dzień lub dwa. Że bardzo małe są nadzieje, dowodzi fakt, że w ciągu całego tego czasu, jaki pływalismy, nie dostrzegliśmy ani jednego żagla, ani najlżejszego śladu dymu na horyzoncie.

- Moglibyśmy mieć nadzieję na ocalenie, gdybyśmy mieli żywność, lecz bez żywności nie ma żadnej dla nas nadziei. Pozostaje więc nam do wyboru jedno z dwojga i musimy decydować się od razu. Albo wszyscy pomrzemy w najbliższych kilku dniach, albo jednego musimy poświęcić, aby reszcie zachować życie. Czy dobrze rozumiecie me słowa?

107

Janina Porter, gdy to posłyszała, przeraziła się. Gdyby propozycja wyszła od biednego, nierozumnego marynarza, może nie zdziwiłoby to jej tak bardzo. Lecz uszom swoim prawie nie mogła uwierzyć, że myśl taka wypowiedziana była przez człowieka, który uchodził za oświeconego, kulturalnego, człowieka z towarzystwa.

- Lepiej niech nas wszystkich śmierć spotka - rzekł Clayton.

- Niechaj o tej sprawie zadecyduje większość głosów - odparł pan Turan. - Ponieważ tylko jeden z nas ma paść ofiarą, będziemy rozstrzygać. Panna Porter nie ma tu głosu, gdyż jej nie grozi

niebezpieczeństwo.

- Jak mamy decydować, kto ma paść pierwszy? - zapytał Spajder.

- Zdecyduje o tym los - odrzekł pan Turan. - Mam pewną ilość monet frankowych w kieszeni. Obierzemy jedną noszącą pewną wybraną przez nas datę - kto wyciągnie spod sukna monetę z tą datą, padnie pierwszy

- Nie chcę brać udziału w takim diabelskim planie - burknął Clayton. - Jeszcze może ujrzymy ład albo okręt się pojawi, zanim przyjdzie nasz koniec.

- Zastosuje się pan do tego, co będzie uchwalone większością głosów albo będzie pan tym "pierwszym", bez użycia formalności ciągnięcia losów - rzekł z tonem pogroźki w głosie pan Turan. - Głosujmy zgodnie z postanowionymi warunkami. Ja oddaję swój głos za takim planem. A ty, Spajder, jak głosujesz?

- I ja również - odrzekł marynarz.

- Taka jest decyzja większości - oznajmił pan Turan. Nie traćmy czasu i ciągnijmy losy.

Szansę są dla wszystkich równe. Dla zachowania życia trojga osób jedna musi umrzeć o kilka godzin wcześniej.

I zaczął czynić przygotowania do loterii o śmierć, a Janina Porter, patrząc na to, czego była świadkiem, czuła przerażenie. Pan Turan rozpostarł swój płaszcz na dnie łodzi, a później spośród garści monet wybrał sześć sztuk frankowych. Dwaj inni mężczyźni, pochyliwszy się, przyglądali się, jak je wybierał. W końcu podał je wszystkie Claytonowi.

- Przypatrz się im dobrze - rzekł. - Najstarsza data na pieniądzu to rok 1875 i tylko jedna moneta ma tę datę.

Clayton i marynarz obejrzelik każdą sztukę, wydawało im się, że nie różniły się niczym, prócz daty. Nie stawiali żadnych zarzutów. Gdyby im było wiadomo, że poprzednia praktyka pana Turana jako karcianego oszusta rozwinięła jego zdolności dotyku do tego stopnia, że potrafił prawie rozróżniać karty samym dotknięciem palców, nie mieliby takiej pewności, że w loterii szansę wszystkich były jednakowe. Sztuka, nosząca datę 1875

była o włos cieńsza, niż inne monety, lecz ani Clayton, ani Spajder nie spostrzegliby tego bez pomocy mikrometru.

W jakim porządku ciągnąć będziemy losy? - rzekł pan Turan, wiedząc na zasadzie swego doświadczenia, że ludzie zazwyczaj wolą ciągnąć ostatni w loterii, w której chodzi o rzeczy przykre - zawsze jest przy tym szansa, że ktoś inny wyciągnie zły los wcześniej.

Pan Turan dla powodów sobie wiadomych wołał ciągnąć pierwszy, jeżeli wypadnie ciągnąć dwukrotnie.

Dlatego, gdy Spajder powiedział, że chce ciągnąć ostatni, łaskawie oznajmił, że będzie ciągnął pierwszy.

108

Jego ręka zagłębiła się pod płaszcz tylko na chwilę, lecz przez ten czas szybkie, zręczne palce dotknęły każdej sztuki monety, odnalazły i odsunęły na bok tę fatalną. Kiedy wyjął

rękę, trzymał franka z datą 1888; Potem ciągnął Clayton. Janina Porter, pochyliwszy się naprzód z wyrazem natężonej uwagi i strachu na twarzy, spoglądała, gdy ręka człowieka, którego miała poślubić, szukała pieniędzy pod płaszczem. Wyjął rękę, trzymając w dłoni monetę. Przez chwilę nie miał odwagi spojrzeć na pieniądz, a pan Turan, który przechylił

się, aby odczytać datę, wykrzyknął, że nie wyciągnął wyroku śmierci.

Janina Porter, drżąc na całym ciele, siedziała w łodzi, osłabiona. Czuła się źle, była odurzona zawrotem głowy. O ile Spajder nie wyciągnie sztuki, z rokiem 1875, będzie musiała być świadkiem tej okropności jeszcze raz.

Marynarz już opuścił rękę pod płaszcz. Wielkie krople potu ukazały się na jego czole.

Drzał jak w napadzie gorączki. Przeklinał swoją decyzję, by ciągnąć na ostatku. Teraz jego szansę ocalenia zmaleły do trzech, gdy Turan miał ich pięć, Clayton cztery.

Pan Turan okazywał wielką wyrozumiałość i cierpliwość, nie popędzając, wiedział

bowiem, że o jego skórę teraz nie chodziło, wszystko jedno, jaką monetę wyciągnie marynarz. Ten wyciągnął rękę, spojrział na monetę i zemdłał. Clayton i pan Turan nie śpiesząc się podnieśli monetę, która wypadła z rąk marynarza i leżała opodal. Nie była to moneta z rokiem 1875. Strach, jakiego Spajder doznał, wywarł takie wrażenie, jak gdyby wyciągnął fatalną sztukę.

Całe postępowanie wypadło powtórzyć. Jeszcze raz pan Turan wyciągnął sztukę obojętną. Janina Porter zamknęła oczy, gdy Clayton sięgnął pod płaszcz. Spajder pochyliwszy się spoglądał szeroko rozwartymi oczami na rękę, która miała zadecydować i o jego losie, gdyż cokolwiek wyciągnie Clayton, ostatnia pozostała sztuka była jego.

William Cecyl Clayton, lord Greystoke, wyjął teraz rękę spod płaszcza i ściskając mocno franka w dłoni tak, że nikt nie mógł go obejrzeć, spojrział na Janinę Porter. Nie miał

odwagi otworzyć dłoni.

- Śpiesz się - syknął Spajder. - Na Boga, daj spojrzeć.

Clayton rozwarł palce. Spajder pierwszy dojrzał datę i zanim ktokolwiek mógł opatrzyć się, co zamierzał uczynić, rzucił się przez krawędź łodzi i zniknął na zawsze w zielonych głębinach, rozpościerających się pod nią - moneta, którą wyciągnął Clayton, nie była z roku 1875.

Nerwowe podniecenie wyczerpało tak siły tych, którzy pozostali, że resztę dnia przeleżeli bez czucia i nie było mowy o tej sprawie przez kilka następnych dni. Były to dni straszne wzrastającego osłabienia i poczucia beznadziejności. W końcu pan Turan przyczołgał się do miejsca, gdzie leżał Clayton.

- Musimy ciągnąć losy jeszcze raz, zanim osłabniemy do tego stopnia, że nie będziemy mieli sił nawet do jedzenia - wyszeptał.

Clayton był w takim stanie, że nie był prawie panem swej woli. Janina Porter nie przemówiła od trzech dni. Wiedział, że umiera. Myśl ta była dlań okropna i miał nadzieję, że ofiara z Turana lub z niego samego być może wzmocni jej siły. Zgodził się więc natychmiast na propozycję Rosjanina.

Ciągnęli na tych samych co poprzednio warunkach, lecz wynik teraz mógł być tylko jeden

- Clayton wyciągnął monetę z rokiem 1875.

109

- Kiedy to będzie? - zapytał Turana.

Turan wyciągnął już scyzoryk z kieszeni i usiłował go otworzyć.

- Teraz zaraz - wyrzekł i jego chciwe oczy pały się widokiem Anglika.

- Czy nie możesz zaczekać, aż się ściemni? - zapytał Clayton. - Panna Porter nie powinna tego widzieć. Mieliliśmy się pobrać, jak panu wiadomo.

Przykrość zawodu odbiła się na twarzy Turana.

- Zgoda - odpowiedział wahające. - Do wieczora niedaleko. Czekałem tyle dni, mogę poczekać jeszcze kilka godzin.

- Dziękuję ci, przyjacielu - wyszeptał Clayton. - Przysiądę się obok niej i pozostanę przy niej aż do właściwej chwili. Chciałbym spędzić przy niej godzinę lub dwie przed śmiercią.

Kiedy Clayton zbliżył się do dziewczyny, ujrzał, że była bez czucia. Widział, że życie jej ulatywało i był rad, że nie będzie patrzyła ani nie będzie wiedziała o strasznej tragedii, jaka miała się stać. Ujął jej dłoń i przycisnął do swych popękanych, obrzmiałych warg.

Przez czas jakiś gładził wychudłą, wynędzniałą rękę, która kiedyś była piękną, foremną, białą ręką młodej pięknej damy z Baltimore.

Nie spostrzegł, kiedy się ściemniło. Przypomniawszy mu o tym głosi dochodzący z ciemności.

Rosjanin wzywał go do spełnienia przeznaczenia.

- Idę, panie Turan - pośpieszył odpowiedzieć.

Po trzykroć próbował obrócić się na rękach i nogach, aby poczołgać się po śmierć, lecz w czasie tych kilku ostatnich godzin tak osłabł, że nie mógł wrócić do Turana.

- Wypadnie panu podejść do mnie - odezwał się słabym głosem. - Nie mam dość sił, nie władam rękami ani nogami.

- Sapristi! - odezwał się Turan. - Chcesz oszukaństwem pozbawić mnie owoców wygranej.

Clayton posłyszał chrobotanie człowieka usiłującego poruszyć się w łodzi. W końcu dał

się słyszeć rozpaczliwy jęk. - Nie mam sił, by się przyczołgać -- doszedł go głos Turana. -

Już za późno. Oszukałeś mnie, ty nędzny psie angielski.

- Nie oszukałem pana - odpowiedział Clayton. - Robiłem wszelkie wysiłki, by podnieść się, spróbuję jeszcze raz. Jeżeli i pan spróbuje, być może doczołgamy się na pół drogi i pan weźmie swą "wygraną".

Ponownie Clayton użył wszystkich pozostałych mu sił i słyszał, jak Turan widocznie robił

to samo. W jakąś godzinę później Anglikowi udało się stanąć, opierając się na rękach i kolanach, lecz przy pierwszym wysiłku upadł bez sił na twarz.

W chwilę później usłyszał krzyk ulgi z ust pana Turana.

- Już idę - wyszeptał.

Znowu Clayton próbował posunąć się na spotkanie swego losu, lecz znowu upadł całym ciałem na dno łodzi i pomimo wszelkich wysiłków nie mógł wstać. Przy ostatnich usiłowaniach potoczył się na bok i leżał teraz na wznak, spoglądając w gwiazdy, a tymczasem obok słyszał coraz bliżej siebie pracowite posuwanie się i przerywany oddech Turana.

Wydało mu się, że musiała upłynąć godzina, jak leżał tak, oczekując, by Turan wynurzył

się z ciemności i zakończył jego męczarnie. Był już tuż blisko, lecz jego ponawiane 110

wysiłki, by się posunąć, przerywane były coraz dłuższymi pauzami, a przestrzeń przebyta przy każdym nowym posunięciu się była prawie niedostrzegalnie drobna.

W końcu zrozumiał, że Turan podsunął się tuż blisko. Usłyszał urywany śmiech, coś dotknęło jego twarzy i stracił świadomość.

ROZDZIAŁ XIX

ZŁOTE MIASTO

Tego dnia, w którym Tarzan został naczelnikiem plemiona Waziri, kobieta, którą kochał, spoczywała

prawie bez tchu na małej łodzi rzucanej na Atlantyku, o dwieście mil na zachód od jego wioski. Gdy on wykonywał obrzędowy taniec wśród swych nagich dzikich współtowarzyszy, a ogień paleniska oświecał jego ruchliwe mięśnie - uosobienie doskonałej budowy i fizycznej siły - kobieta, która go kochała, wybladła i wynędzniała, leżała w ostatnim odrętwieniu, poprzedzającym śmierć z głodu i pragnienia.

Cały następny tydzień po obdarzeniu Tarzana godnością królewską plemienia Waziri zajęło odprowadzenie Manjemów, którzy towarzyszyli arabskim napastnikom, do północnych granic plemienia zgodnie z obietnicą daną im przez Tarzana. Przed rozstaniem zażądał od nich zobowiązania, że nigdy w przyszłości nie będą uczestniczyć w wyprawach skierowanych przeciwko Waziri, a obietnicę taką nietrudno było od nich otrzymać. Doświadczywszy na sobie zręczności taktyki nowego wodza plemienia Waziri, nie mieli wcale ochoty do brania udziału w nowej wyprawie na ich ziemię.

Po powrocie do wioski prawie bezzwłocznie Tarzan rozpoczął przygotowania do poprowadzenia ekspedycji w poszukiwaniu zrujnowanego złotego miasta, które stary Waziri mu opisywał. Wybrał pięćdziesięciu najtęższych wojowników plemienia, biorąc takich tylko, którzy wyrazili ochotę do towarzyszenia mu w czekającej ich trudnej podróży i do wzięcia udziału w niebezpieczeństwach, jakie mogły ich spotkać w obcym, wrogim im kraju.

Bajeczne bogactwa wysławionego miasta tkwiły mu ciągle w pamięci od czasu, jak Waziri opowiedział mu dziwne przygody poprzednie ekspedycji, która natrafiła na ruiny.

Zamiłowanie do przygód było równie potężnym czynnikiem w tym przedsięwzięciu Tarzana, jał i zamiłowanie do złota. Zamiłowanie do złota odgrywało tu równie rolę, ponieważ wśród ludzi cywilizowanych poznał, jakie cuda może wywoływać ten, kto posiada magiczny żółty metal. Nie zastanawiał się nad tym, co będzie robił ze złotym bogactwem w ciemnych głębinach! dzikiej Afryki - wystarczała mu chęć posiadania władzy do robienia! cudów, chociażby nigdy nie miała zdarzyć się sposobność do skorzystania z tej władzy.

Tak więc pewnego wspaniałego podzwrotnikowego dnia Tarzali, wódz plemienia Waziri, wyruszył na czele pięćdziesięciu pięknie zbudowanych, hebanowe czarnych wojowników w poszukiwaniu przygód i bogactw. Poszli drogą, którą stary Waziri wskazał Tarzanowi.

Przez; wiele dni szli naprzód - w górę jednej rzeki, przez środek niziny oddzielającej ją od innej rzeki, w kierunku ujścia drugiej rzeki, w górę trzeciej, aż w końcu ku wieczorowi dwudziestego piątego dnia podróży stanęli obozem na zboczu góry, z której wierzchołka spodziewali się dojrzeć cudowne miasto bogactw.

111

Wcześniej wyruszywszy następnego ranka, pieli się w górę po prawie prostopadłych skałach tworzących ostatnią, lecz największą naturalną i przeszkodę dzielącą ich od miejsca, dokąd chcieli dotrzeć. Było prawie południe, kiedy Tarzan, idący na przedzie wąskiej linii wspinających się wojowników, wszedł na szczyt ostatniej skały i stanął na niewielkiej płaszczynie górskiego wierzchołka.

Po obu stronach piętrzyły się potężne szczyty, na tysiące stóp wznoszące się ponad, pasmo, przez które wchodzili na tajemną dolinę. Poza nimi rozciągała się zalesiona nizina, którą przebyli idąc tyle dni, a z przeciwnej strony widać było nieznaczne wzgórze znaczące granice ich własnego kraju.

Przed nimi roztaczał się widok, który zajął całą jego uwagę. Tu leżała opustoszała dolina

- płytka, wąska dolina z rozrzuconymi skarłałymi drzewami, pokryta w wielu miejscach dużymi kamieniami. Z jednej strony doliny widać było budowle, które zdawały się potężnym miastem. Wielkie mury, wyniosłe szczyty, wieże, minarety i kopuły odbijały czerwone i żółte kolory w słonecznym świetle. Tarzan był zbyt jeszcze daleko od miasta, aby mógł zauważyć ślady, zwalisk - miasto wydało mu się cudownym miastem wspaniałej piękności. W wyobraźni przedstawiał sobie, że jego szerokie ulice i potężne świątynie pełne są tłumów szczęśliwego i pracowitego ludu.

Przez godzinę nieliczna ekspedycja odpoczywała na wierzchołku góry, a później Tarzan poprowadził ludzi w dół, do doliny. Nie było widać wyraźnej drogi, lecz szli łatwiej niż przy wchodzeniu z przeciwnej strony góry. Znalazłszy się w dolinie, zaczęli się posuwać szybko, tak iż jeszcze za dnia dotarli do wznoszących się przed nimi murów starożytnego miasta.

Zewnętrzna ściana miała pięćdziesiąt stóp wysokości w tych miejscach, gdzie nie była zrujnowana, nigdzie jednak -jak mogli zauważyć - nie brakowało w górnej warstwie więcej jak dziesięć do dwudziestu stóp. Była to wciąż jeszcze forteca. Kilkakrotnie zdawało się Tarzanowi, że spostrzeża coś poruszającego się poza zrujnowanymi częściami murów przed nimi, jak gdyby jakieś istoty obserwowały ich zza osłon starodawnych wałów. Niejednokrotnie miał uczucie, że jakieś niewidzialne oczy śledziły go, lecz nie mógł być pewny, czy nie była to tylko gra wyobraźni.

Tej nocy obozowali pod murami miasta. Podczas nocy obudził ich przenikliwy krzyk, rozlegający się spoza wielkiej ściany. Był to okrzyk początkowo bardzo głośny, zniżał się stopniowo i zakończył szeregiem okropnych jęków. Okrzyk ten wywarł na czarnych dziwny skutek, posłyszawszy go, zdrętwieli ze strachu, upłynęła cała godzina, zanim obóz uspokoił się" potem i zasnął. Gdy nastał dzień, widoczne jeszcze były skutki tego głosu w zalęknionych spojrzeniach rzucanych ustawicznie przez czarnych na masywne i groźne budowle sterczące przed nimi. Tarzan musiał uciec się do słów zachęty i do stanowczych rozkazów, chcąc powstrzymać czarnych od natychmiastowego porzucenia całego przedsięwzięcia i spiesznego cofnięcia się poprzez doliny w góry, któredy poprzedniego dnia przybyli, wspinając się z trudem. W końcu posłuchali jego rozkazów, gdy im zagroził, że sam jeden wejdzie do miasta jeżeli nie zgodzą się mu towarzyszyć.

Przez piętnaście minut obchodzili mury, nie znajdując sposobu wejścia do środka. Potem przybyli do wąskiej rozpadliny szerokości dwudziestu cali. W niej wznosił się szereg 112

kamiennych schodów zapadłych od wielowiekowego użycia, a przejście kończyło się ostrym? zagięciem, na kilka jardów powyżej.

W tę wąską uliczkę wsunął się Tarzan, nachylając się bokiem, gdyż, była za wąska dla jego potężnych pleców. Za nim kroczyli czarni wojownicy. Przy zagięciu rozpadliny schody kończyły się, droga była , równa, lecz kręta i zaplątana w wężowych zagięciach, aż nagle rozszerzyła się w wąski podwórzec, za którym wznosił się mur wewnętrzny, równie wysoki jak zewnętrzny. Ta ściana

wewnętrzna obsadzona była niewielkimi okrągłymi wieżyczkami, a w równych odstępach na jej szczycie widać było sterczące głazy. Miejscami poopadały one i ściana waliła się, lecz te mury wewnętrzne w ogóle były w lepszym stanie niż mury zewnętrzne.

Nowe wąskie przejście prowadziło przez tę ścianę, a przebywszy je, Tarzan i jego wojownicy znaleźli się w szerokiej ulicy, w końcu której ciemniały, groźne z dala, walące się budowle zbudowane z głazów granitowych. Na zwaliskach wzdłuż budynków rosły drzewa i winograd wyrastał z pustych, wyzierających okien. Budowla, którą widzieli :s wprost przed sobą, wydawała się mniej niż inne zarosła i w daleko lepszym stanie. Była to wielka masa nasuniętych na siebie głazów pokrytych ogromną kopułą. Po obu bokach szerokiego wejścia stały szeregi wysokich kolumn, a na wierzchołku każdej kolumny widać było wielkiego, dziwnego ptaka, wyciosanego z twardego kamienia monolitów.

Kiedy człowiek-małpa i jego towarzysze stali tam, patrząc z niejednakowym stopniem podziwu na to starożytne miasto wznoszące się w środku zamieszkanego przez dzikie plemiona Afryki, niektórzy z nich dostrzegli jakieś ruchy wewnątrz budynku, na który spoglądali. W mroku, wewnątrz, zdawało się, ukazywały się jakieś ciemne cienie poruszających się postaci. Oko nie mogło nic dostrzec wyraźnie - tylko zjawiało się jakieś podejrzenie, że było życie i ruch, gdzie być go nie powinno, ponieważ wydawało się, że nie było miejsca na istoty żyjące w tym zaczarowanym umarłym mieście dawno zmarłej przeszłości.

Tarzan zaczął przypominać sobie, że czytał coś w bibliotekach paryskich o zagubionym plemienu białych ludzi, o których mówiły legendy krajowców jakoby zamieszkiwali wciąż w głębi Afryki. Stawiał sobie pytanie, czy nie miał przed oczami ruin cywilizacji, którą to dziwne plemię stworzyło w dzikim otoczeniu swych domowych siedlisk. Czyż było możliwe, że jeszcze dotychczas resztki tego zagubionego plemienia zamieszkiwały walące się w gruzy wspaniałe budowle, które należały do ich przodków? Znowu dostrzegł jakieś ukradkowe ruchy wewnątrz wielkiej świątyni stojącej przed nim.

- Chodźmy! - przemówił do swych ludzi. - Rzućmy okiem, co tkwi poza tymi walącymi się murami.

Jego ludzie nie mieli ochoty mu towarzyszyć, kiedy jednak zobaczyli, że odważnie wkroczył w groźny przedsięwzięcie, poszli za nim, trzymając się o kilka kroków z tyłu, jak grupa ludzi uosabiających strach i podrażnienie nerwowe. Jeden okrzyk, podobny do tego, jaki dał się słyszeć poprzedniej nocy, byłby wystarczający, aby z przerażenia uciekli w szalonym popłochu przez wąską rozpadlinę, która stanowiła drogę poprzez mury miasta ku zewnętrznemu światu.

Tarzan, wchodząc do budynku, poczuł wyraźnie, że śledziło go wiele oczu. Dało się słyszeć szuranie ciemnych postaci w mrokach pobliskiego korytarza i mógłby przysiąc, 113

że widział ludzką rękę cofającą się z ambrazury*, z której roztaczał się widok z góry na kopułę rotundę, w jakiej się znalazł.

Posadzkę komnaty tworzyły nie obrobione głazy, ściany z gładzonego granitu. Dziwne postacie hidzi i zwierząt były na nich wykute. W niektórych miejscach wmurowano w twarde ściany płytki złotego metalu.

Podszedłszy bliżej do jednej z takich płytek, przekonał się, że była ze złota i ozdobiło ją wiele znaków hieroglificznych. Poza tą pierwszą komnatą znajdowały się inne, a poza nimi budynek rozgałęział się, tworząc wielkie skrzydła. Tarzan minął wiele tych komnat, spostrzegając dowody bajecznego bogactwa pierwotnych budowniczych. W jednej komnacie było siedem kolumn ze szczerego złota, a w drugiej posadzka wyłożona drogocennym metalem. Przez cały czas tego badania czarni następowali zbitą kupą za nim, a dziwne postacie migwały po obu stronach, przed nimi i za nimi, lecz nigdy nie zbliżały się na tyle blisko, żeby mieli pewność, że nie są sami.

Nerwowość jednak coraz bardziej opanowywała czarnych. Zaczęli prosić Tarzana, by wrócił na światło dzienne. Oświadczyli, że taka wyprawa nie przyniesie nic dobrego, ponieważ ruiny nawiedzane były przez duchy zmarłych ludzi, którzy niegdyś zamieszkiwali miasto.

- Śledzą nas, królu - wyszeptał Busali. - Chcą nas zaprowadzić do najodleglejszych miejsc swej twierdzy, a wtedy napadną na nas i poszarpią nas w kawały zębami. Tak robią duchy. Wuj mojej matki, który jest wielkim czarownikiem, mówił mi nieraz o tym wszystkim.

Tarzan wybuchnął śmiechem. - Wybiegnijcie na światło dzienne, me dziatki - rzekł. -

Spotkamy się, gdy zbadam te zwaliska do dna i odnajdę złoto lub przekonam się, że go nie ma. Możemy przynajmniej zabrać płytki ze ścian, gdyż trudno nam poradzić sobie z kolumnami. Muszą tu być jednak wielkie składy wypełnione złotem, które możemy wynieść na plecach z łatwością. Pobiegnijcie teraz na świeże powietrze, gdzie możecie odetchnąć swobodnie.

Pewna ilość wojowników ruszyła nie zwlekając, posłuszna słowom wodza, lecz Busuli i wielu innych wahało się porzucić swego króla miotani uczuciem miłości i przywiązania oraz przesadną obawą wobec rzeczy nieznanych. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, stało się to, co rozstrzygnęło kwestię, nie pozostawiając możliwości dalszych dyskusji... W

otaczającej ich ciszy walącej się w gruzy świątyni rozległ się, tuż nad ich uszami ten sam przeraźliwy głos, który słyszeli poprzedniej nocy. Wydając przerażone okrzyki, czarni wojownicy strwożeni uciekli, biegnąc przez puste komnaty odwiecznego gmachu.

Za nimi pozostał Tarzan w tym miejscu, gdzie go porzucili. Cierpki uśmiech pojawił się na jego ustach. Oczekiwał wroga, który jak mu się zdawało, rzuci się na niego. Lecz znowu zapanowała cisza, czuć się dawał tylko słaby jakby odgłos bosych nóg stąpających w ciszy w pobliżu.

Wtedy Tarzan ruszył naprzód i udał się dalej w głąb świątyni. Przechodził z jednej komnaty do drugiej, aż doszedł do takiej, w której były mocne, zamknięte drzwi. Gdy podparł je plecami, by dostać się do wnętrza, znowu rozległ się ostrzegawczy głos, prawie tuż przy nim. Widocznie ostrzegano go, aby nie ważył się bezcześcić tej właśnie komnaty. Być też mogło, że tu właśnie znajdowały się ukryte nagromadzone skarby.

Bądź co bądź ten fakt, że dziwni, niewidzialni dozorczy tajemniczego miejsca mieli jakiś powód, by nie wchodził do tego pokoju, wzmógł stokrotnie chęć Tarzana, aby to zrobić i chociaż głos powtarzał

się bez przerwy, podpierał całą siłą drzwi, aż ustąpiły przed olbrzymią siłą i otwały się, skrzypiąc na drewnianych zawiasach.

Wewnątrz w komnacie było ciemno jak w grobie. Nie było w niej okna i nie przenikał tędy najmniejszy promień światła, a ponieważ sięgała głęboko, nawet otwarte drzwi nie dawały dosyć światła, by coś ujrzeć. Nastukując po podłodze swą włócznią, Tarzan wkroczył w piekielne ciemności. Nagle drzwi za nim zawarły się, a jednocześnie ze wszystkich stron z ciemności pochwyciły go ręce.

Człowiek-małpa rozpoczął walkę, okazując całą zapamiętałość w obronie własnego życia i herkulesową siłę. Jednakże chociaż czuł, że wymierzone przez niego ciosy trafiały w cel, a zęby zagłębiały się w miękkie ciało, wciąż na miejsce jednych odpartych rąk zjawiały się nowe ręce. W końcu powalili go na ziemię i powoli bardzo powoli wzięli nad nim górę liczbą. Związano mu ręce na plecach i nogi przymocowano do rąk.

Nie słyszał żadnego głosu prócz ciężkiego oddechu swych przeciwników i hałasu walki.

Nie wiedział, co za istoty zrobiły z niego jeńca, lecz z tego, że przez nie został związany widać było, że były to istoty ludzkie. Po pewnym czasie uniesiono go z podłogi i w połowie ciągnąc, w połowie popychając, wyprowadzono z ciemnej komnaty przez inne drzwi na wewnętrzny dziedziniec świątyni. Tu ujrzał tych co go pochwycili. Było ich ze stu

- przysadzistych, niewielkiego wzrostu ludzi z białymi brodami, pokrywającymi twarze i spadającymi na włochate piersi.

Włosy, gęste i zbite na wierzchołku czaszki, spadały im na ramiona. Wykrzywione nogi były krótkie i niezgrabne, ręce - długie i muskularne. U pasa mieli skóry lamparcie i lwie, a wielkie naszyjniki z pazurów tych zwierząt zwieszały się na piersiach. Masywne kółka z rodzimego złota były ozdobą ich rąk i nóg. Jako broń mieli ciężkie, sękate maczugi, a u pasów, podtrzymujących ich proste odzienie, każdy miał długi groźny nóż.

Ze wszystkich jednak znamion największe wrażenie na jeńcu zrobiło to, że skóra ich była biała - ani w kolorze, ani w rysach twarzy nie można było dostrzec żadnych cech negroidalnych. Niemniej ścięte czoła, złośliwe małe, blisko siebie osadzone oczy i żółte, wystające zęby nadawały im wygląd niemiły.

Podczas walki w czarnej komnacie i kiedy wyciągali Tarzana na wewnętrzny dziedziniec, nikt nie przemówił ani słowa, lecz teraz niektórzy z nich zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą, zamieniając krótkie, chrząkliwym głosem wypowiedziane wyrazy, w języku, który nie był znany Tarzanowi. Pozostawili go na kamiennej posadzce, a sami odeszli, krocząc na swych krótkich nogach do innej części świątyni za dziedzińcem.

Leżąc na wznak, Tarzan mógł widzieć, że świątynia wypełniała całkowicie miejsce w małym ogrodzeniu i że wyniosłe ściany świątyni wznosiły się wysoko ponad nim. W

górze widoczny był niewielki kawałek nieba, a w jednej stronie, przez otwór w ścianie, widział

liście, lecz czy drzewa rosły wewnątrz świątyni, czy poza nią, tego nie umiał

powiedzieć.

Naokół dziedzińca, od dołu do góry świątyni, szły rzędy ganków. Od czasu do czasu jeniec mógł dojrzeć świecące oczy, błyszczące spod bujnych, spadających włosów. Oczy te skierowane były na niego.

115

Tarzan lekko popróbował więzów, które go krępowały. Nie mógł się upewnić, lecz zdawało mu się, że były nie na tyle mocne, aby mogły się oprzeć sile jego potężnych mięśni, kiedy przyjdzie czas wydobyć się na wolność. Nie ważył się jednak poddać ich stanowczej próbie i oczekiwał dogodnej chwili, kiedy ciemność zapanuje i będzie mógł zauważyć, że nie ma szpiegujących oczu zwróconych na niego.

Leżał na dziedzińcu kilka godzin, nim pierwsze promienie słońca dostały się w głąb przez pionową przestrzeń. Jednocześnie ze wschodem słońca posłyszał uderzenia bosych nóg po otaczających go korytarzach, a w chwilę później ujrzał, że galerie zapełniły się przebiegłymi fizjonomiami, wnet kilkunastu ludzi weszło na dziedziniec.

Przez chwilę oczy wszystkich zwróciły się ku słońcu, po czym ci, co byli na krużgankach, oraz ci, co byli na dziedzińcu, jednym głosem rozpoczęli śpiewać dziwną pieśń. Ci, co stali bliżej Tarzana, zaczęli potem taniec w takt uroczystego śpiewu. Otaczali go kołem, posuwając się powoli, a w tańcu podobni byli do niezgrabnych, przesuających się niedźwiedzi. Przez cały czas nie spoglądali na niego, lecz mieli oczy zwrócone na słońce.

Przez dziesięć minut lub więcej śpiewali jednostajnym głosem i wykonywali te same ruchy, aż nagle, prawie jednocześnie wszyscy zwrócili się ku swej ofierze z wzniesionymi pałkami, wydając okropne okrzyki i wykrzywiając się straszliwie, rzucili się na niego.

W tej chwili zjawiała się pośród tej hordy chciwej krwi postać kobieca i laską, podobną do tych, jakie oni mieli, lecz zrobioną ze złota, odpędziła w tył nacierających.

ROZDZIAŁ XX

LA

Początkowo Tarzan myślał, że jakimś dziwnym zrządzeniem losów cudownie został

ocalony, kiedy jednak zastanowił się nad tym, z jaką łatwością udało się jednej kobiecie, samej, odpędzić kilkunastu mężczyzn podobnych do goryli i kiedy w chwilę później ujrzał, że ponownie rozpoczęli odprawiać wkoło niego swój taniec, a kobieta przemawiała do nich monotonnym śpiewnym głosem, wymawiając widocznie wyuczone, doszedł

do wniosku, że to, co się działo, stanowiło część ceremonii, w której on był główną postacią.

Po pewnym czasie kobieta wyciągnęła nóż zza pasa i skłoniwszy się nad Tarzanem rozcięła więzy jego nóg. Gdy potem mężczyźni przerwali tańce i zbliżyli się, ruchem ręki kazała mu wstać. Założywszy sznur, którym spętane były jego nogi, na plecy Tarzana, poprowadziła go przez dziedziniec, a mężczyźni szli w ślad dwójkami.

Przez kręte korytarze wiodła go, wciąż dalej i dalej, do odległych miejsc wnętrza świątyni, aż doszli do wielkiej komnaty, w środku której stał ołtarz. Wtedy Tarzan zaczął rozumieć dziwną ceremonię poprzedzającą wprowadzenie go do tego miejsca świętego.

Wpadł w ręce potomków starożytnych czcicieli słońca. Mniemane jego ocalenie przez wielką czcicielkę słońca było odegraniem roli należącej do ceremonii pogańskiej - słońce wejrzawszy na niego przez otwór w górnych sferach dziedzińca, zażądało go dla siebie na ofiarę, a kapłanka przybyła ze środkowych części świątyni, by go oswobodzić z kalających rąk ludzi świeckich i oddać płomiennemu bóstwu jako ofiarę ludzką.

116

Na poparcie słuszności swego przypuszczenia o znaczeniu ceremonii ujrzał brunatno-czerwone ślady zakrzepłej krwi na kamiennym ołtarzu i na posadzce tuż blisko siebie oraz czaszki ludzkie, wyglądające z niezliczonych zagłębień we wznoszących się nad nim ścianach.

Kapłanka poprowadziła Tarzana do stopni ołtarza. Górne krużganki znowu napełniły się ludźmi, a ze sklepionych drzwi we wschodniej części komnaty wytoczyła się powoli procesja kobiet. Za odzież miały, podobnie jak mężczyźni, tylko skóry dzikich zwierząt i pasy z nie wyprawionej skóry oraz złote łańcuchy. Na splotach czarnych włosów widać było ozdoby głowy, składające się z wielu kolistych i owalnych kawałków złota połączonych w ten sposób, że tworzyły metalowy kołpak, z którego po obu stronach głowy zwieszały się długie łańcuszki z owalnych kawałków złota, opadające do pasa.

Kobiety miały symetryczniejszą budowę ciała niż mężczyźni, a rysy ich twarzy były piękniejsze, kształt głów oraz duże, łagodne, czarne oczy świadczyły o większym stopniu inteligencji i wyrobieniu uczuć niż ten, jaki posiadali panowie i władcy.

Każda kapłanka trzymała w ręku dwa złote kubki. Kiedy ustawiły się w rząd po jednej stronie ołtarza, mężczyźni stanęli po drugiej naprzeciw i każdy wysuwając się naprzód wziął jeden kubek z rąk kapłanki stojącej przed nim. Rozpoczęto śpiew znowu, a w owej chwili z ciemnego przejścia spoza ołtarza wynurzyła się druga postać kobieca, przybywająca ze sklepionych pieczar znajdujących się pod komnatą.

Widocznie jest to wielka kapłanka, pomyślał Tarzan. Była to młoda kobieta z inteligentną, kształtną twarzą. Ozdoby jej były podobne do tych, jakie nosiły inne kobiety, tylko piękniej były wykończone, w wielu miejscach ginęły prawie pod osłoną masywnych, wykładanych drogimi kamieniami ozdób, a lamparcią skórę z jednej sztuki obejmował pas ze złotych pierścieni nabijanych niezliczoną ilością małych brylantów, tworzących dziwne rysunki.

Za pasem miała zatknięty długi nóż wysadzany drogimi kamieniami, w ręku niosła zamiast maczugi

rozdżkę.

Zbliżywszy się przed ołtarz, stanęła. Śpiew ustał. Kapłani i kapłanki uklękli przed nią, a ona podniósłszy nad nimi rozdżkę, wygłosiła długą, nużącą modlitwę. Głos miała łagodny i harmonijny. Tarzanowi nie mogło się pomieścić w głowie, że właścicielka tego głosu za krótką chwilę przemieni się, pod wpływem fanatycznej ekstazy gorliwość religijnej, w krwiożerczego kota, który trzymając w ręku ociekający krwią nóż, pierwszy pić będzie czerwoną, ciepłą krew ofiary z małej złotego kubka stojącego na ołtarzu.

Wypowiedziawszy słowa modlitwy, teraz dopiero rzuciła okiem Tarzana. Z widocznym zaciekawieniem przyjrzała mu się od stóp do głowy. Potem przemówiła do niego i zatrzymała się, jak gdyby oczekując odpowiedzi.

- Nie rozumiem waszego języka - odezwał się Tarzan. - Być! może będziemy mogli rozmówić się w jakim innym języku? - Widać jednak "było, że nie rozumiała jego słów, chociaż próbował mówić francusku, angielsku, arabsku, językiem Waziri, a w końcu Toman, : gwarą plemion zachodniego wybrzeża Afryki.

Potrząsnęła głową. Wydawało się, że w głosie jej odbiło się pewne; zakłopotanie, gdy skinęła na kapłanów, by odprawiali w dalszym ciągu obrządki. Powtórzył się znów pochód i niedorzeczny taniec, który ustał na skinienie kapłanki stojącej przez cały ten czas i spoglądającej uważnie na Tarzana.

117

Na dany przez nią znak kapłani rzucili się na Tarzana i unosząc go w górę, ułożyli na wznak na ołtarzu. Głowa zwisała z jednej krawędzi, a nogi z drugiej. Potem wszyscy ustawili się w dwa rzędy, trzymając małe złote kubki gotowe do przyjęcia cząstki żywej krwi ofiary, kiedy ofiarny nóż spełni swoje zadanie.

W szeregu kapłanów wynikł spór o pierwszeństwo miejsca. Ordynarny człowiek z wyrazem małej inteligencji goryla, nacechowanej na jego bestialskiej twarzy, usiłował

odsunąć na dalsze miejsce drugiego człowieka, niższego wzrostu, lecz ten odwołał się do wielkiej kapłanki, która dając krótki rozkaz chłodnym, stanowczym głosem, odesłała tamtego na sam koniec szeregu. Tarzan słyszał jego szemranie i słowa niezadowolenia, gdy oddalał się powoli na szary koniec.

Wtedy kapłanka, stanąwszy przed Tarzanem, rozpoczęła wymawiać jakąś inwokację i powoli podniosła do góry swój cienki, ostry nóż. Tarzanowi wydawało się, że całe wieki upłynęły, zanim nóż przestał się wznosić i zatrzymał się nad jego bezbronną piersią.

Nóż zaczął się opuszczać, z początku ruchem powolnym, lecz w miarę jak inkantacja stawała się prędsza - ruchem coraz prędszym.

Z końca szeregu wciąż dochodziło uszu Tarzana szemranie odpędzonego kapłana. Głos jego rozlegał

się coraz dobitniej. Najbliższa kapłanka odezwała się z naganą w ostrym tonie. Nóż jej był tuż nad piersią Tarzana, lecz zatrzymał się na chwilę, gdyż wielka kapłanka podniosła wzrok, by wyrazić swe niezadowolenie winowajcy tego świętokradczego zatargu.

Wynikło poruszenie w tym miejscu, gdzie spierano się, a gdy Tarzan zwrócił ku nim swą głowę, ujrzał, że ów ordynarny kapłan rzucił się na stojącą przed nim kapłankę i rozwalił

jej czerep jednym uderzeniem swej ciężkiej pałki. Potem nastąpiło to, czego Tarzan był

świadkiem setki razy wśród dzikich mieszkańców jego dżungli. Widział, jak wydarzyło się to Kerczakowi, Tublatowi i Terkozowi i kilkunastu innym rozrosłym małpom jego plemienia, a również i słoniowi, Tantorowi. Prawie ze wszystkimi samcami leśnymi zdarzało się to od czasu do czasu. Kapłan oszalał i w przystępstwie furii rzucił się na swych towarzyszy, zadając razy ciężką pałką.

Wydając wściekłe okrzyki, przebiegał z miejsca na miejsce, miotając okropne uderzenia swą bronią lub zatapiając żółte zęby w ciało nieszczęsnej, trafiającej się ofiary. Podczas tego zajścia kapłanka stała z zawieszonym w górze nad Tarzanem nożem, utopiwszy oczy z przerażeniem w maniaka, który szerzył śmierć i zniszczenie wśród jej czcicieli.

Pokój opróżnił się szybko, pozostali tylko zabici i umierający na podłodze, ofiara na ołtarzu, wielka kapłanka i szaleniec. Gdy przebiegłe oczy spostrzegły kapłankę, zaświeciły się żądzą. Powoli przysunął się do niej i przemówił. Ku wielkiemu zdziwieniu Tarzan usłyszał język, który rozumiał, najmniej mógł się spodziewać, że tym językiem można było się porozumieć z istotami ludzkimi - było to gardłowe szczekanie plemienia małp antropoidalnych, język jego rodzimy. Kapłanka odpowiedziała w tymże języku.

On groził - ona próbowała przemówić do jego rozumu, gdyż było widoczne, że nie myślał

wcale słuchać jej władzy. Był już tuż, podsuwając się z rękoma wyciągniętymi ku niej, obchodząc z boku ołtarz.

Tarzan zrobił wysiłek, by zerwać więzy, które krępowały mu ręce związane z tyłu.

Kapłanka tego nie widziała - zapomniała o swej ofierze przerażona niebezpieczeństwem, 118

jakie jej groziło. Kiedy brutal skoczył z boku Tarzana, by pochwycić swą ofiarę, Tarzan zrobił nadludzki wysiłek, by rozerwać swe pęta. Wskutek mocowania się spadł z ołtarza na kamienną posadzkę i potoczył się w stronę przeciwną tej gdzie stała kapłanka. Kiedy stanął na nogi, pęta opadły z uwolnionych rąk, a jednocześnie zobaczył, że znajdował się sam jeden w wnętrzu świątyni - wielka kapłanka i oszalały kapłan znikli.

Rozległ się wtedy przytłumiony jęk, dochodzący z czarnego otworu pieczar, znajdującego się poza ofiarnym ołtarzem, z którego ukazała się wielka kapłanka wchodząc do świątyni.

Nie myśląc wcale o własnym bezpieczeństwie ani o nadarzonej sposobności ucieczki, którą sprowadził zbieg przypadkowych okoliczności, Tarzan odezwał się na głos kobiety, wołającej ratunku. Jednym zręcznym skokiem znalazł się u rozwartego wejścia do podziemnej pieczary, a w

chwile później bieg na dół po kamiennych stopniach odwiecznie starych schodów, które wiodły nie wiadomo gdzie.

W słabym świetle, przenikającym tu z góry, ujrzał obszerną, nisko sklepioną salę, skąd drzwi prowadziły w głucho ciemności, lecz nie miał potrzeby sprawdzać nieznanej drogi, gdyż tuż przed sobą spostrzegł osoby, których poszukiwał - oszalały człowiek przewrócił

kapłankę na ziemię i dusił ją łapami, ta zaś usiłowała wymknąć się z rąk rozwścieczonego człowieka.

Gdy ciężka ręka Tarzana spadła na ramiona kapłana, porzucił on swą ofiarę i zwrócił się przeciwko jej zbawcy. Mając usta okryte pianą, oszalały czciciel słońca wystąpił do walki z siłą wzmożoną dziesięciokrotnie przez zapamiętałą wściekłość. W napadzie szału w człowieku tym zaszedł nagły nawrót do dawnego prawzoru dzikiego zwierzęcia.

Niepomny puginału, jaki tkwił mu u pasa - posługiwał się bronią, naturalną, jaką walczyli jego przodkowie.

Aczkolwiek dobrze władał bronią zębów i siłą rąk, okazało się jednak, że w tej dzikiej walce, do której nawrócił, znalazł przed sobą kogoś bardziej od siebie biegłego. Tarzan zwarł się z nim i wkrótce upadli obaj na ziemię, rwąc się i szarpiąc jak dwie małpy w walce. Tymczasem kapłanka oparła się o ścianę i z szeroko rozwartymi, przejętymi strachem oczami śledziła walkę warczących i przewalających się u jej stóp bestii.

W końcu ujrzała, że obcy przybysz wsparł zawartą dłoń na gardle swego przeciwnika i odchyliwszy w tył jego głowę, spuścił na nią grad uderzeń. W chwilę później odrzucił na bok martwe zwłoki i podniósłszy się z ziemi wstrząsnął się całym ciałem jak lew.

Oparłszy nogę na leżącym przed nim trupie wznosił swą głowę w zamiarze wydania okrzyku zwycięstwa według zwyczaju swego plemienia, lecz rozejrzawszy się na wejścia prowadzące do świątyni ludzkich ofiar, rozmyślił się. Kapłanka, która podczas walki tych dwu ludzi znieruchomiała pod wpływem strachu, zaczęła myśleć o tym, co się z nią stanie teraz, kiedy uwolniwszy się od pazurów szaleńca, wpadła w ręce człowieka, który przed chwilą miał zginąć pod jej nożem. Rozejrzała się wokoło, szukając sposobu ocalenia. Czarne czeluście, rozchodzącego się korytarza stały przed nią otworem tuż niedaleko, lecz kiedy chciała tamtędy uskoczyć, człowiek-małpa dojrzał ją i szybkim skokiem znalazł się u jej boku, wstrzymując ją ręką.

- Stój - wyrzekł Tarzan w języku plemienia Kerczaka. Kapłanka spojrzała nań z wyrazem zdziwienia.

- Kto ty jesteś - wyszeptała - który mówisz językiem pierwotnego człowieka?

119

- Jestem Tarzan z plemienia małp - odrzekł w języku istot antropoidalnych.

- Czego ode mnie chcesz? - mówiła dalej. - W jakim celu wybawiłeś mnie z rąk Tha!

- Czyż mogłem spokojnie patrzeć na zabójstwo kobiety? - tym półpytaniem odpowiedział

na jej pytanie.

- Lecz co zamierzasz zrobić teraz ze mną? - zapytała.

- Nic - odpowiedział - lecz ty możesz zrobić coś dla mnie - możesz mnie uwolnić z tego miejsca. - Wyrzekł te słowa, nie mając wcale wiary, że ona przychyli się do jego prośby.

Był przekonany, że gdyby kapłanka odzyskała możliwość zrobienia tego, co by chciała, ofiara odbyłaby się dalej do końca. Wiedział jednak również, że obecnie przeciwnicy spotkaliby w Tarzanie, nie spętanym i uzbrojonym w długi puginał, ofiarę daleko trudniejszą do zwalczenia niż przedtem.

Dziewczyna zatrzymała się przed nim, dłuższą chwilę, zanim przemówiła.

- Jesteś dziwnym człowiekiem - rzekła. - Jesteś takim człowiekiem, jakiego wymarzyłam sobie w swych marzeniach od lat dziecińczych. Jesteś takim człowiekiem, jakim zapewne byli przodkowie mego ludu - ludzie pełnej potęgi, którzy zbudowali to wielkie miasto w kraje barbarzyńców, aby wydobyć z otchłani ziemi bajeczne skarby, których opuścili swe odległe siedliska cywilizowane. Nie mogę zrozumieć, dlaczego pośpieszyłeś mi na pomoc, a teraz nie mogę zrozumieć dlaczego dostawszysy mnie w swą moc, nie myślisz o wywarciu zemsty i skazanie cię na śmierć od ciosów z moich własnych rąk.

- Sądzę - wyrzekł człowiek-małpa - że byłaś posłuszna tylko wskazaniom wyznawanej przez ciebie religii. Nie potępiam cię za nie niezależnie od tego, jaki jest mój sąd o samej religii. Kim jednak jesteś? Do jakiego ludu się dostałem?

- Ja jestem La, wielka kapłanka świątyni słońca w mieście Opar. Jesteśmy potomkami ludu, który przybył do tej dzikiej krainy przed dziesięciu tysiącami lat w poszukiwaniu złota. Miasta tego ludu rozciągały się od wielkiego morza w ziemi wschodzącego słońca do wielkiego; morza, w którym słońce się pogrąża nocą, by ochłodzić swe promieniste skronie. Był to lud bardzo bogaty i potężny, lecz ludzie mieszkali w tych; wspaniałych pałacach tylko kilka miesięcy w roku, a resztę czasu spędzali! w swym rodzinnym kraju, daleko, bardzo daleko na północy. - Wiele okrętów przewijało się pomiędzy starym krajem i nowym. Podczas pory deszczów tylko nieliczni mieszkańcy pozostawali tu, tylko ci, którzy dozorowali pracę czarnych w kopalniach i kupcy, którzy zatrzymywali się, by zgromadzić ładunki, i żołnierze, którzy pilnowali miast i kopalni.

Raz w taką porę stało się wielkie nieszczęście. Kiedy nastał czas powrotu licznych rzesz, nikt nie przybył. Tygodnie całe oczekiwano powrotu. Kiedy wysłano wielką galerę dla zbadania, dlaczego nikt nie przybył z ojczystego kraju, chociaż wyprawa trwała wiele miesięcy, nie można było odnaleźć śladu potężnego kraju, który przez cały szereg wieków wytworzył starą dawną cywilizację - zapadł się cały w morze.

Od tej chwili datuje się upadek mego narodu. Straciwszy ducha i wiarę w powodzenie, stali się ludzie mego plemienia wkrótce celem napaści czarnych hord z północy i czarnych hord z południa. Miasta, jedno po drugim, opustoszały i upadły. Resztki zmuszone były w końcu szukać ucieczki pod osłoną tej potężnej twierdzy górskiej.

Powoli potęga nasza, topniała, upadała cywilizacja, zmniejszała się nasza wyższość w 120

umiejętnościach, zmniejszała się nasza liczebność, a dziś jesteśmy tylko drobnym plemieniem zdziczałych ludzi-małp.

W rzeczy samej małpy zamieszkiwały z nami od wieków. Nazywamy je pierwszymi ludźmi - znamy ich język równie dobrze jak swój własny. Staramy się tylko w rytuale naszej świątyni zachować nasz język rodzinny. Z czasem i ten będzie zapomniany i będziemy mówili tylko językiem małp. Z czasem przestaniemy wypędzać z granic miasta tych, którzy biorą sobie żony z małp, a zatem, z czasem upadniemy z powrotem do poziomu tych istot, z których zapewne poczęli się nasi prarodziciele przed wiekami.

- Jak to się jednak dzieje, że w tobie jest więcej cech ludzkich niż w innych? - zapytał.

Dla pewnych przyczyn kobiety nie tak szybko nawróciły do starego typu dzikiego jak mężczyźni. Być może, że po części dlatego, że tylko niższe warstwy mężczyzn pozostały 4u w czasie wielkiej katastrofy, a świątynie i wtedy wypełnione były córami najszlachetniejszych rodów. Moja gałąź pozostała czystsza niż inne, ponieważ od wieków matki w mojej linii były wielkimi kapłankami, gdyż ten święty urząd jest dziedzictwem z matki na córkę. Małżonkowie nasi wybierani są spośród najszlachetniejszych rodów w kraju. Najdoskonalszy człowiek, zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym staje się przez dobór małżonkiem wielkiej kapłanki.

- Z tego, co widziałem - rzekł Tarzan z uśmiechem - trudno wybierać.

Dziewczyna spoglądała na niego przez chwilę.

- Nie bądź świętokradcą - rzekła. - To są święci ludzie - kapłani.

- Są więc inni, wyglądający lepiej? - pytał.

- Inni są jeszcze brzydsi niż kapłani - odpowiedziała. Tarzan wstrząsnął się na jej los, gdyż nawet w słabym oświetleniu sklepienia zrobiła na nim wrażenie jej piękność.

- Lecz co będzie ze mną? - zapytał nagle. - Wyprowadzisz mnie na wolność?

- Tyś został wybrany przez Płomieniste Bóstwo jako jego własność - odpowiedziała uroczyście. - Nie mogłabym cię ocalić, nawet ja - gdyby cię odnaleziono. Lecz nie sądzę, że cię odnajdą. Zaryzykowałeś swe życie dla ocalenia mego życia. Nie mogę ci się czymś mniejszym odwdziaczyć. Nie jest to łatwa sprawa - może wymagać wielu dni, lecz myślę, że uda mi się wywieść cię poza mury tej warowni. Chodź, będą mnie szukać, a gdyby nas znaleźli razem, oboje bylibyśmy zgubieni - odebraliby mi życie, gdyby uwierzyli, że ja stałam się niewierną swemu bóstwu.

- Nie możesz więc się narażać - dodał prędko. - Powrócę do świątyni, a jeżeli zdołam wywalczyć sobie drogę do wolności, nie spadnie na ciebie żadne podejrzenie.

Nie chciała się jednak na to zgodzić i w końcu nakłoniła go, by udał się za nią, mówiąc, że i tak pozostali w sklepieniach zbyt długo, aby nie zrodziło się podejrzenie, które by spadło na nią, gdyby

powrócili do świątyni.

- Ukryję cię, a potem sama powrócę - rzekła - powiem im, że ja cały ten czas byłam nieprzytomna po tym, jak zamordowałeś Tha i że nie wiem, dokąd zbiegłeś.

Poprowadziła go przez kręte ponure korytarze, aż doszli w końcu do i niewielkiego pokoju, do którego wpadało trochę światła przez kamienne okratowanie w suficie.

- Tu jest Izba Zmarłych - rzekła. - Nikomu nie przyjdzie do głowy tu cię szukać - nie ośmielą się. Powrócę, gdy się zmierzchnie. Przez ten czas może obmyślę plan ucieczki.

121

Odeszła, a Tarzan pozostał sam w Izbie Zmarłych, w podziemiach obumarłego od dawna miasta Opar.

ROZDZIAŁ XXI

ROZBITKOWIE

Claytonowi marzyło się we śnie, że napił się do woli wody, czystej, świeżej wody, wywołującymi uczucie rozkoszy pełnymi haustami. Nagle odzyskał świadomość siebie i dostrzegł, że jest przemoczony potokami deszczu, spadającymi na całe jego ciało i na odwróconą w górę twarz. Nastąpiła wielka podzwrotnikowa ulewa. Otworzył usta i pił.

Poczuł się na tyle ocucony i wzmocniony, że zdołał się unieść na rękach. Na nogach jego leżał Turan. O kilka stóp dalej w głębi łodzi, blisko steru, leżała skulona Janina Porter, wzbudzając litość - spoczywała bez ruchu. Claytonowi zdawało się, że umarła.

Z niesłychanym trudem Clayton uwolnił się od rozciągniętego na jego stopach ciała Turana i zebrawszy siły poczołgał się ku dziewczynie. Podniósł jej głowę z twardych desek łodzi. Życie mogło się jeszcze kołatać w tym wycieńczonym ciele. Nie tracił nadziei i umoczywszy w wodzie chustkę, skierował drogocenne krople w obrzmiałe usta okropnej postaci, która jeszcze tak niedawno jaśniała promiennym życiem szczęśliwej młodości i wspaniałej piękności.

Przez pewien czas nie było widać znaków ocucenia, lecz usiłowania jego w końcu zostały uwieńczone pojawieniem się słabego drżenia przymkniętych powiek. Starał się rozgrzać wychudłe ręce i wlał do jej spalonych warg znowu trochę wody. Dziewczę otworzyło oczy i długo patrzyło na niego, zanim zdołało przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

- Woda? - wyszeptała. - Czy jesteśmy ocaleni?

- Deszcz pada - wyjaśnił. - Mamy przynajmniej coś do picia. Woda przywróciła życie nam obojgu.

- A pan Turan? - pytała. - Nie pozbawił cię życia. Czy on nie żyje?

- Nie wiem - odrzekł Clayton. - Jeżeli nie umarł, a woda go ożywi... - Tu się zatrzymał,

przypomniawszy sobie trochę zbyt późno, że nie powinien powiększać okropności, jakich i tak panna Porter doznała dosyć.

Lecz ona domyślała się tego, co miał powiedzieć.

- Gdzież on jest? - zapytała.

Clayton skinął głową w kierunku, gdzie leżał rozciągnięty Turan. Przez pewien czas zachowywali milczenie.

- Spróbuję, czy nie uda mi się przywrócić go do życia - rzekł w końcu Clayton.

- Nie - wyszeptała, wstrzymując go ruchem ręki. - Nie rób tego - zabije cię, gdy woda przywróci mu siły. Jeżeli jest umierający, niech umiera. Nie pozostawiaj mnie samej w łodzi z tym okrutnym człowiekiem.

Clayton zawahał się. Poczucie honoru wymagało, aby próbował wskrzesić Turana. Było również możliwe, że Turanowi już żadna ludzka pomoc na nic zdać się nie mogła. Nie było dyshonorem życzyć sobie tego. Gdy tak siedział, walcząc z myślami, podniósł się słabym ruchem na nogi i wykrzyknął z radości.

122

- Ziemia, Janino! - wydarł się okrzyk z jego spieczonych warg.

- Dzięki ci Boże, ziemia!

Dziewczyna zaczęła rozglądać się także. I oto, nie dalej jak w odległości stu jardów, spostrzegła żółty piasek brzegu, a dalej bujną zieleń podzwrotnikowej dżungli.

Teraz możesz go ocucić - rzekła Janina Porter - gdyż i w niej obudziły się wyrzuty sumienia z powodu tego, że powstrzymała Clayтона od okazania pomocy ich towarzyszowi.

Trwało to dobre pół godziny, zanim pan Turan dał oznaki życia, otwierając oczy, a dopiero później udało się im przekonać go, że spotkało ich szczęście. Tymczasem łódź

już ocierała się dnem o piaszczysty brzeg.

Pod wpływem wypitej orzeźwiającej wody i podniety wynikającej z odzyskanej nadziei Clayton znalazł w sobie siły do przejścia płytką wodą do brzegu z linką w ręku i przyciągnięcia łodzi. Koniec sznura przymocował do niewielkiego drzewa, rosnącego na wyniosłości niskiego brzegu, gdyż był przyływ morza i mógł się obawiać, że woda uniesie ich znów na morze z odpływem. Było bardzo możliwe, że nie starczy mu sił, aby przenieść Janinę Porter na brzeg jeszcze przez dłuższy czas.

Zaraz potem udał się chwiejnym krokiem, potykając się z wycieńczenia, do rozpościerającej się tuż dżungli, gdzie widać było wielką obfitość podzwrotnikowych owoców. Znajomość dżungli, jaką zawdzięczał Tarzanowi, pozwoliła mu rozróżnić, jakie owoce były jadalne i po godzinie oddalenia

powrócił na brzeg, niosąc małe naręczce pożywienia.

Deszcz ustał i słońce dopiekało tak bezlitośnie, że Janina Porter prosiła koniecznie, by spróbowano natychmiast dostać się do lądu. Wzmocnieni jeszcze bardziej przez pożywienie przyniesione przez Clayтона wszyscy troje zdołali przedostać się w cień, jaki mogło dać niewielkie drzewo, do którego była przywiązana łódź. Tu, zupełnie wyczerpani z sił, ułożyli się na spoczynek i przespali aż do czasu, gdy się ściemniło.

Miesiąc przeżyli na wybrzeżu stosunkowo bezpiecznie. Odzyskawszy siły, dwaj mężczyźni zbudowali schronisko z gałęzi, rozpięte dość wysoko nad ziemią, by mogło zabezpieczyć od większych zwierząt drapieżnych. W dzień zbierali owoce i chwytali drobne zwierzątka, nocą chronili się do swego schroniska, gdy dzicy obywatele dżungli napełniali puszcę w czasie ciemnych godzin okropnymi rykami.

Spali na pękach traw, a jako przykrycie w czasie nocy Janinie Porter służyło tylko palto Clayтона, to samo, które miał na sobie podczas pamiętnej wyprawy do lasów Wiskonsynu. Clayton zrobił z gałęzi przepierzenie dzielące ich leśne schronisko na dwie połowy: jedną, przeznaczoną dla Janiny Porter, a drugą - dla pana Turana i dla siebie.

Od razu Rosjanin wykazał wszystkie cechy swego charakteru - samolubstwo, ordynarność, arogancję, nikczemność i nieopanowanie. Dwukrotnie doszło między nim a Claytonem do bójki z powodu zachowania się Turana względem Janiny Porter. Clayton bał się pozostawić ją samą z nim na jedną chwilę. Żywot Anglika i jego narzeczonej był jedną straszną udręką, a jednak pomimo wszystko żyli, nie tracąc nadziei, że w końcu znajdzie się ocalenie.

Myśli Janiny często powracały do dawnych wspomnień, jakie wyniosła z tych brzegów.

Ach, gdybyż niezwyciężony bożek leśny z dawno zaginionej przeszłości znalazł się z 123

nimi. Znikłaby wszelka obawa przed szukającymi żeru zwierzętami lub przed zwierzęcej natury Rosjaninem. Nie mogła się powstrzymać od robienia porównań tej niedostatecznej opieki, jaką jej zapewniał Clayton, od tego, czego mogłaby oczekiwać, gdyby Tarzan na chwilę spotkał się z nieszczęsnym i zagrażającym zachowaniem się pana Turana. Pewnego razu, kiedy Clayton udał się do małej rzeczki po wodę, a Turan odnosił się do niej ordynarnie, dała wyraz swym myślom, mówiąc głośno:

- Powinien pan być rad temu, panie Turan, że nie ma tu biednego pana Tarzana, który utopił się, spadłszy do wody z pokładu okrętu wiozącego pana i pannę Strong do Cape Town.

- Zna pani tego osła? - zapytał Turan drwiąco.

- Znam tego człowieka - odrzekła. - Jedyne prawdziwego mężczyznę, jakiego znałam.

W głosie dziewczyny zadźwięczał taki ton, który kazał Rosjaninowi domyślać się, że dziewczę czuło dla jego nieprzyjaciela coś więcej niż przyjaźń. Pochwycił tę myśl, by wyrzucić zemstę nad człowiekiem, który - jak przypuszczał - już nie żył, przez obrzucenie błotem pamięci o nim wobec

dziewczyny.

- Był czymś gorszym niż osłem - zawołał. - To był tchórz i nikczemnik. Chcąc się uchronić przed słusznym gniewem małżonka kobiety, którą skrzywdził, popełnił

krzywoprzysięstwo, usiłując zwalić całą winę na nią. Gdy mu się to nie udało, uciekł z Francji, unikając stawienia się na pojedynek. Dlatego znalazł się na pokładzie statku, na którym ja i panna Strong jechaliśmy do Cape Town. Znam dobrze całą sprawę, gdyż kobieta, o której mówię, jest moją siostrą. Wiem jeszcze coś więcej, czego nikomu dotychczas nie powiedziałem. Ten dzielny pan Tarzan wyskoczył ze statku w przystępie strachu, ponieważ poznałem go i wymagałem, aby dał mi zadośćuczynienie następnego dnia - mieliśmy walczyć na noże w moim pokoju.

Janina Porter wybuchnęła śmiechem. - Chyba nie zechce pan przypuszczać, że kto zna zarówno pana, jak i pana Tarzana, może, choćby na chwilę, uwierzyć w podobne brednie?

- Dlaczegoż więc podróżował pod przybranym nazwiskiem?

- Nie wierzę w to, co pan mówi - zawołała, niemniej jednak rzucone zostało ziarno podejrzeń, gdyż było jej wiadomo, że Hazel Strong знаła jej leśnego bożka tylko pod imieniem Jana Caldwell'a z Londynu.

W odległości zaledwie pięciu mil na północ od ich schroniska stała wygodna mała chata Tarzana, lecz o niej nic nie wiedzieli i nie mogli z niej mieć żadnego pożytku, tak jak gdyby oddzielało ją od nich tysiące mil nieprzebytej puszczy. A dalej na wybrzeżu, kilka mil za chatą, w zbudowanych od ręki namiotach żyła jeszcze druga grupa złożona z osiemnastu osób - byli to ludzie ocaleni na trzech łodziach z okrętu "Lady Alice", od których łódź Claytona odłączyła się w drodze.

Po gładkim spokojnym morzu dopłynęli do lądu przed upływem trzech dni. Nie doznali żadnych takich okropności, jakie spotykają rozbitków i chociaż byli przygnębieni wskutek smutku, cierpienia po katastrofie i niezwykłych trudności, jakie mieli w nowym życiu, jednak nikomu z nich nic złego się nie stało.

Wszystkich ożywiała nadzieja, że czwarta łódź natrafiła na okręt i że wnet rozpocznie się staranne przeszukiwanie wybrzeża. Ponieważ wszelka broń palna i naboje z jachtu 124

zostały złożone w łodzi lorda Tennigtona, członkowie tej grupy dobrze zaopatrzeni byli do obrony i do polowania na większe zwierzęta dla zdobycia pożywienia.

Przedmiotem ich nieustannej troski był tylko profesor Archimedes Porter. Wierząc, że córka została uratowana przez przepływający parowiec, porzucił zupełnie wszelkie obawy o nią i poświęcił swe znakomite zdolności intelektualne rozważaniu tych wielkich i trudnych naukowych zagadnień, które uważał za jedynie właściwą strawę dla myśli człowieka takiej jak on wiedzy. Umysł jego jakby nie był zdolny do odczuwania spraw codziennych.

- Nigdy przedtem - mówił wyczerpany pan Samuel Philander do lorda Tennigtona - nigdy przedtem profesor Porter nie był tak dziwaczny, żeby nie powiedzieć: niemożliwy.

Dzisiejszego rana, kiedy musiałem na krótkie pół godziny opuścić go, nie znalazłem go wcale po powrocie. I gdzież, jak pan sądzi, go odnalazłem? Na pół mili na oceanie płynął

w jednej z naszych łodzi, chciał odjechać. Nie wiem nawet, w jaki sposób zdołał odpłynąć na tak wspaniały dystans od brzegu, gdyż miał tylko jedno wiosło, którym zataczał

najspokojniej kręgi wokoło.

- Kiedy jeden z marynarzy dowiózł mnie do niego w innej łodzi, profesor prawie oburzył

się na moją propozycję, byśmy zaraz, po wracali do brzegu. "Dziwię się bardzo, że pan, jako człowiek sam należący do świata naukowego, masz pan odwagę przeszkadzać w ten sposób postępowi wiedzy... Z pewnych faktów astronomicznych, które drobiazgowo badałem w czasie szeregu ubiegłych podzwrotnikowych nocy, wywnioskowałem całkowicie nową hipotezę nebularną, która bez wątpienia zadziwi cały uczone świat.

Chciałbym zajrzeć do pewnej wybornej monografii o hipotezie Laplace'a, która, jak wiem, znajduje się w pewnej prywatnej bibliotece w Nowym Jorku. A pańskie wtrącenie się do sprawy, panie Philander, sprowadzi niepowetowaną zwłokę, gdyż właśnie płynąłem, by dostać do rąk tę monografię". Z największą, trudnością udało mi się bez odwołania się do użycia siły nakłonić go do powrotu na brzeg - kończył pan Philander.

Panna Strong i jej matka zachowywały się dzielnie i nie okazywały strachu wobec możliwego napadu drapieżnych zwierząt. Nie godziły się tak łatwo jak inni na tłumaczenie, że Janina, Clayton i pan Turan zostali przyjęci na pokład przepływającego okrętu i byli ocaleni.

Esmeralda Janiny Porter opływała wciąż we łzach z powodu okrutnego losu, jaki rozłączył ją z jej "słodką panienką".

Dobry humor nie opuścił ani na chwilę lorda Tennigtona. Zachowywał się wciąż jak wesoły gospodarz usiłujący zapewnić swym gościom wygody i przyjemności. Względem ludzi z załogi jachtu pozostał sprawiedliwym, lecz stanowczym dowódcą. W dżungli równie dobrze jak na pokładzie "Lady Alice" nie wynikały nigdy kwestie co do tego, komu przysługiwało prawo decyzji w ważniejszych sprawach i we wszystkich wydarzeniach wymagających chłodnego rozważnego kierownictwa.

Gdyby kto spośród tej dobrze zorganizowanej i czującej się stosunkowo bezpiecznie grupy rozbitków ujrzał naszą trójkę przebywającą kilka mil na południe, w poszarpanej odzieży, doznającą ustawicznie uczucia strachu, trudno mu byłoby poznać eleganckich członków dobranego towarzystwa, które w wesołym usposobieniu śmiało się i bawiło wspólnie na pokładzie statku "Lady Alice".

125

Clayton i pan Turan utracili prawie całą odzież, poszarpaną na cierniach krzaków i wśród splątanych krzewów zbitej roślinności dżungli, przez jakie musieli się przedzierać w poszukiwaniu pożywienia, którego zdobycie stawało się rzeczą coraz trudniejszą.

Janina Porter, ma się rozumieć, nie brała udziału w tych uciążliwych wycieczkach, lecz ubiór jej mimo to bardzo się zniszczył.

Clayton, z braku innego zajęcia, starannie gromadził skóry każdego zwierzęcia, które zabili. Rozpościerając je na pniach drzew i skrobiąc dokładnie, utrzymywał je w dobrym stanie. Gdy więc dawniejsze jego ubranie przestało okrywać nagość ciała, zaczął

zszywać niezgrabny ubiór ze skór, używając ostrego kolca jako igły oraz mocnej trawy i ścięgien zwierzęcych zamiast nici.

Owocem jego pracy był strój bez rękawów, opadający prawie do kolan. Ponieważ był

zszyty z licznych niedużych skórek małych zwierząt, wyglądał pstro i dziwnie, a przykry zapach, jaki się z niego rozchodził, nie czynił tego ubioru zbyt miłym nabytkiem do uzupełnienia garderoby. Przyszedł jednak czas, że dla zachowania przyzwoitości Clayton musiał się w ten ubiór odziać, a na jego widok w tym stroju Janina Porter, pomimo całej okropności ich położenia, nie mogła powstrzymać się od serdecznego śmiechu.

Później i Turan uznał za konieczne sporządzić sobie taki pierwotny strój. W ten sposób, świecąc bosymi nogami, z obrosłymi gęsto twarzami, wyglądali jak ucieleśnienie przedhistorycznych przodków rasy ludzkiej. Postępowanie Turana było zgodne z jego wyglądem.

Po blisko dwu miesiącach takiej egzystencji spadło na nich pierwsze wielkie nieszczęście. Poprzedziła je przygoda, która o mało co nie położyła nagłego końca cierpieniom obojga. Końca okrutnego i strasznego na zawsze, jak to się dzieje w dżungli.

Turan w napadzie gorączki leżał w namiocie wśród gałęzi drzew, gdzie mieli schronisko.

Clayton wybrał się o kilkaset kroków w dżunglę, poszukując pożywienia. Gdy powracał, Janina Porter wyszła na jego spotkanie. Za nim czołgał się przebiegły i podstępny stary wyliniały lew. Od trzech dni osłabione od starości członki nie zdołały zapewnić pokarmu przepaścistemu żołądkowi. Już od miesięcy jadał coraz rzadziej i oddalał się coraz dalej od miejsc, które zwykle nawiedzał w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy. W końcu znalazł

najsłabszą i najbezbронniejszą w całej przyrodzie istotę - za chwilę Numa zdobędzie sobie obiad.

Clayton, nic nie wiedząc o czyhającej na niego śmierci, wyszedł z dżungli na otwartą przestrzeń idąc ku Janinie. Stał obok niej, na sto kroków od krawędzi, gdzie rozpościerały się gęste krzaki dżungli, gdy Janina spostrzegła za jego plecami płowy łeb i złośliwe żółte oczy, a w chwilę potem odchyliły się trawy i wielkie zwierzę wynurzyło się, trzymając ku ziemi opuszczone nozdrza.

Janina tak się przeraziła, że nie mogła wydobyć głosu, lecz jej wlepiony w jedno miejsce przestraszony wzrok i szeroko rozwarte oczy były równie wymowne jak wyrazy.

Pośpieszny rzut oka za siebie ukazał Claytonowi, w jakim beznadziejnym byli położeniu.

Lew stał w odległości nie większej jak trzydzieści kroków od nich, a nie mieli gdzie się schronić.

Clayton trzymał w ręku mocny kij - broń ta była tak mało skuteczna wobec zgłodniałego lwa, jak dziecinna strzelba nabita przywiązany korkiem. Zrozumiał to Clayton.

126

Zarłoczny Numa już od dawna przekonał się, że na nic nie były przydatne jego ryki, gdy szukał zdobyczy, teraz jednak, kiedy zdobycz była tak pewna jak gdyby czuł już delikatne ciało w swych łapach, które zachowywały się, rozwarł ogromną paszczę i dał wyraz swej od dawna napiętej wściekłości szeregiem ogłuszających ryków wstrząsających powietrze.

- Uciekaj, Janino - wykrzyknął Clayton. - Śpiesz się! Biegnij do kryjówki! - Porażone jednak wskutek strachu członki odmówiły posłuszeństwa i stała bez głosu zdrętwiała, patrząc przerażonymi oczyma na zbliżającą się do nich żywą śmierć.

Turan, posłyszawszy ten okropny ryk, podszedł do wejścia kryjówki, a spostrzegłszy, co się dzieje, zaczął podskakiwać i wołać po rosyjsku:

- Uciekaj! uciekaj! - krzyczał. - Uciekaj, w przeciwnym razie pozostanę samotny w tym okropnym lesie - po czym upadł i zaniósł się płaczem.

Na chwilę ten nowy głos, jaki się rozległ, odwrócił uwagę lwa; zatrzymał się i rzucił

badawcze spojrzenie na drzewo. Clayton nie mógł już dłużej wytrzymać napięcia nerwów. Zwróciwszy się plecami ku zwierzęciu, ukrył głowę w rękach i czekał.

Dziewczyna rzuciła nań okiem w przerażeniu. Dlaczego Clayton niczego nie zrobi? Jeżeli śmierć jest nieuchronna, dlaczego nie wystąpi do walki, by zginąć, jak przystało mężczyźnie - odważnie, waląc w tę okropną mordę drobnym kijem, nawet jeśli wystąpienie takie na nic się nie przyda? Czy Tarzan tak by postąpił? Czyż nie rzuciłby się na spotkanie swej śmierci, walcząc po bohatersku do końca?

Lew przykucnął do skoku, który położy koniec ich życiu, zginą w okrutnych, szarpiących, żółtych kłach. Janina Porter padła na kolana, by zmówić modlitwę i zamknęła oczy, nie chcąc widzieć, co nastąpi w najbliższej chwili. Turan, osłabiony wskutek gorączki, zemdlął.

Sekundy przedłużały się w minuty, długie minuty trwające długo jak wieczność, a zwierzę nie wykonywało skoku. Clayton utracił prawie przytomność pod wpływem przedłużającej się strasznej męki - kolana pod nim drżały - jeszcze chwila, a padnie bez życia.

Janina Porter nie mogła dłużej wytrzymać. Otworzyła oczy. Czyj ej się śni?

- Williamie - wyszeptała - spójrz.

Clayton zapanował nad sobą o tyle, że podniósł głowę i obrócił się, by spojrzeć na lwa. Z

jego ust wydarł się okrzyk zdziwienia. Zwierzę leżało, śmiertelnie rażone, prawie u ich stóp. Ciężka włócznia wojenna sterczała z jego płowej skóry. Wbiła się w plecy ponad prawym barkiem i przebijając ciało, przeszła serce.

Janina Porter podniosła się. Kiedy Clayton przysunął się do niej, zachwiała się osłabiona.

Objął ją ramieniem, by uchronić ją od upadku, a później przyciągnął ku sobie, przechylając jej głowę do swego ramienia i zaczął całować z dziękczynieniem.

Dziewczyna odsunęła go od siebie łagodnie.

- Proszę cię, nie rób tego, Williamie - rzekła. - Przeżyłam tysiąc lat w ciągu tych kilku chwil. Nauczyłam się w obliczu śmierci, jak należy żyć. Nie chcę cię urazić niepotrzebnie, lecz muszę ci oświadczyć, że nie mogę dłużej znosić tej niemożliwej sytuacji, w której próbowałam żyć, ulegając fałszywemu poczuciu potrzeby spełnienia obietnicy danej bez rozwagi.

127

- Ostatnie chwile otworzyły mi oczy na to, że byłoby straszne usiłować w dalszym ciągu łudzić i siebie, i ciebie lub utrzymywać w dalszym ciągu, że możemy się pobrać, o ile uda nam się powrócić do krajów cywilizowanych.

- Co ty mówisz, Janino - zawołał - co ty mówisz? - Co ma wspólnego nasze opatrnościowe ocalenie ze zmianą twych uczuć do mnie? Jesteś rozstrojona - jutro powrócisz do równowagi.

- Dziś lepiej zdaję sobie sprawę, jakie są moje uczucia, niż kiedykolwiek indziej od roku -

odrzekła. - To, co się przed chwilą stało, zmusiło mnie do przypomnienia sobie, że najodważniejszy mężczyzna istniejący na świecie zaszczycił mnie swą miłością. Nie zdawałam sobie sprawy, że miłość była wzajemna, aż do chwili, gdy było już zbyt późno i odmówiłam mu. Nie ma go już na świecie i nie wyjdę wcale za mąż. Będąc żoną innego człowieka, mniej odważnego, musiałabym mieć uczucie pewnej pogardy dla braku odwagi mego męża. Czy możesz mnie zrozumieć?

- Tak - odpowiedział, schyliwszy głowę i pokrywając się rumieńcem wstydu.

Następnego dnia wydarzyło się wielkie nieszczęście.

ROZDZIAŁ XXII

SKARBY W SKLEPIENIACH OPAR

Ściemniło się zupełnie zanim La, wielka kapłanka, zjawiła się znowu w Izbie Zmarłych, niosąc jedzenie i napój dla Tarzana. Nie wzięła ze sobą światła i szukała drogi, opierając się rękami o walące się mury, aż doszła do pokoju. Przez kamienne okratowanie w górze podzwrotnikowy księżyc oświecał słabo wnętrze izby.

Tarzan, który przykucnął w cieniach w głębi izby, gdy tylko usłyszał zbliżające się kroki, wyszedł jej na spotkanie, rozpoznawszy, że to ona.

- Są wściekli - brzmiały jej pierwsze słowa. - Nie zdarzyło się nigdy, by ludzka ofiara umknęła z ołtarza. Pięćdziesięciu udało się na poszukiwania. Przeszukali całą świątynię -

wszystkie zakątki prócz tej jednej izby.

- Dlaczego nie decydują się tu wejść? - zapytał.

- Jest to Izba Zmarłych. Tu powracają zmarli. Popatrz na ten stary ołtarz. Tu zmarli zabierają na ofiarę żywych - jeżeli ich tu znajdą. Taki jest powód, że nasi unikają tego pomieszczenia. Gdyby ktoś wszedł, wiadomo jest, że oczekujący zmarli pochwycą go na ofiarę.

- A ty? - zapytał.

- Ja jestem wielką kapłanką - mnie jednej nie ruszają zmarli. Ja co pewien czas przynoszę im ludzką ofiarę z górnego świata. Ja jedna mogę tu wchodzić bezpiecznie.

- Dlaczego zmarli nie pochwycili mnie? - pytał dalej Tarzan, śmiejąc się w myśli z jej dziwacznej wiary.

Patrzała na niego pytająco przez chwilę, po czym przemówiła:

- Obowiązkiem wielkiej kapłanki jest dawanie nauk i wyjaśnień - zgodnie z dogmatami, które zostały ustalone przez innych ludzi, mądrzejszych. Nie ma jednak dogmatu nakazującego, aby sama|
wszystkiemu wierzyła. Im więcej kto zgłębia swą religię - tym mniej! może wszystkiemu wierzyć - a ja lepiej znam wszystko niż ktokolwiek inny.

128

- A więc jedyny powód twojej obawy przed okazaniem mi pomocy¹, przy ucieczce to to, iż boisz się, że twoi ludzie poznają twoją obłudę?|

- Tak, to wszystko. Zmarli są zmarłymi; nie mogą ani wyrządzić: krzywdy, ani okazywać pomocy. Musimy więc polegać na sobie we wszystkim, a im prędzej weźmiemy się do czynu, tym będzie lepiej. Dopiero co z trudnością udało mi się zmylić ich czujność, gdy niosłam ci to jedzenie. Chęć powtarzania tego co dzień świadczyłaby o zupełnym szaleństwie. Chociaż, zobaczymy, o ile będzie można zbliżyć się do twojej wolności, nim będę zmuszona wracać.

Poprowadziła go z powrotem do izby znajdującej się poniżej komnaty, gdzie był ołtarz. Tu skręciła w jeden z wielu korytarzy, jakie stąd się rozchodziły. Tarzan w ciemności nie mógł zauważyć, który to był. Przez dziesięć minut posuwali się powoli po omacku krętym przejściem, aż doszli do zamkniętych drzwi. Tu usłyszał, że włożyła klucz, a zaraz potem

- uderzenie metalowego rygla. Drzwi otworzyły się na piszczących zawiasach i weszli.

- Tu będziesz bezpieczny do jutrzejszego wieczora - rzekła. Po czym odeszła i zawarłszy drzwi, zamknęła je na klucz.

W miejscu, gdzie stanął Tarzan, panowały piekielne ciemności. Nawet jego wyćwiczone oko nie mogło przebić kompletnej czerni. Ostrożnie posunął się naprzód i wyciągniętą ręką dotknął ściany, potem obszedł wokoło czterech ścian izby.

Było to wnętrze czworokątne i miało ze dwadzieścia stóp. Posadzka twarda, ściany murowane podobne do tych, jak zbudowano gmachy na górze. Duże płyty granitu, rozmaitej wielkości, były starannie ułożone bez wapna i stanowiły podwalinę tej starożytnej budowli. Za pierwszym razem, gdy obchodził ściany, Tarzanowi wydawało się, że odkrył rzecz dziwną w pokoju nie posiadającym okien i mającym tylko jedne drzwi. Znowu spróbował obejść naokoło ścian. Nie, nie był w błędzie! Zatrzymał się w środku ściany przeciwległej do drzwi. Przez chwilę stał bez ruchu, po czym posunął się o kilka kroków w bok. Znowu powrócił i posunął się kilka kroków, lecz w przeciwnym kierunku.

Jeszcze raz obszedł całą izbę, macając bacznie każdy metr ściany. I znowu zatrzymał

się przed tym samym miejscem, które obudziło jego zaciekawienie. Nie mogło być wątpliwości! Powiew świeżego powietrza spływał w tym właśnie miejscu do pokoju przez odstępy w układzie muru, w tym jednym miejscu i nigdzie indziej.

Tarzan zbadał rozmaite kawały granitu, które tworzyły tu ścianę, a w końcu udało mu się znaleźć jeden, dający się łatwo podnieść. Był to kawał szerokości około dziesięciu cali, a powierzchnia, mająca trzy cale szerokości i sześć długości, wysuwała się na pokój.

Człowiek -małpa popodnosił kolejno i inne podobne kamienie. Ściana w tym miejscu widocznie zbudowana była z jednolitych płyt. Wkrótce odsunął kilkanaście i sięgał ręką, by zbadać nową warstwę. Ku swemu zdziwieniu poza płytami muru, które usunął, nie natrafił na nic, na całą długość ręki.

Odsunięcie takiej części muru, która by pozwalała mu przedostać się przez otwór, było dziełem zaledwie kilka minut. Wprost przed sobą, jak mu się zdawało, mógł rozróżnić słabe światło - ciemność mniej nieprzeniknioną. Ostrożnie posuwał się na kolanach, aż spostrzegł, że na piętnaście kroków, czyli na zwykłej szerokości podwalin, powierzchnia urywała się nagle. Sięgnął ręką, lecz nic nie napotykał i nie mógł dojrzeć dna czarnej

otchłani, chociaż uczepiwszy się krawędzi muru, opuścił się w dół w ciemności na całą wysokość swego wzrostu.

W końcu spojrzał w górę i tam spostrzegł przez okrągły otwór niewielki kulisty kawałek gwiazdzonego nieba. Macając wzdłuż ścian zagłębienia, przekonał się, że zagłębienie miało kształt lejki i rozszerzało się ku górze. Oznaczało to, że tą drogą nie było możliwości ucieczki.

Kiedy potem usiadł i rozmyślał, jaki był cel tego przejścia i końcowego lejka, księżyc oświecił szczyt, rzucając potok łagodnego srebrzystego światła na to ciemne miejsce.

Przy świetle wnet zrozumiał, jakie miał przeznaczenie otwór, gdyż głęboko pod sobą ujrział błyszczącą powierzchnię wody. Natrafił na starożytną studnię, lecz jaki był cel

połączenia studni z więzieniem, w którym był ukryty?

Promienie księżycy przekraczając otwór studni, oblały światłem całe wnętrze szybu, a wtedy Tarzan spostrzegł wprost przed sobą inny otwór w przeciwległej ścianie. Przyszło mu na myśl, czy nie tędy

prowadzi droga umożliwiająca mu ucieczkę. Warto było przekonać się o tym i postanowił to zrobić.

Powróciwszy spiesznie do ściany, którą rozebrał, by przekonać się, co się znajduje poza nią, przeniósł kamienie do przejścia i umieścił je na dawnym miejscu.

Głębokie warstwy kurzu, które zauważył na płytach kamiennych, usuwając je ze ściany, kazały mu wnioskować, że nawet jeżeli obecni mieszkańcy starożytnej budowli wiedzieli o tym tajnym przejściu, nie korzystali z niego, być może, całe wieki.

Zamurowawszy z powrotem ścianę, Tarzan zwrócił się do otworu szybu, który w tym miejscu miał jakieś piętnaście stóp szerokości. Człowiek- małpa bez trudności przeskoczył tę przestrzeń i w chwilę później kroczył wąskim tunelem, uważając bacznie na drogę, by nie wpaść w jakiś inny szyb, podobny do tego, jaki właśnie przebył.

Po przejściu kilkuset kroków napotkał schody prowadzące w dół, w ciemności. Na dwadzieścia stóp poniżej zaczęła się znowu równa droga w tunelu, a wkrótce musiał się zatrzymać przed ciężkimi drzwiami z drzewa z masywnymi drewnianymi zasuwami, znajdującymi się po stronie, skąd Tarzan się zbliżył. Fakt ten umocnił Tarzana w przekonaniu, że prawdopodobnie jest na drodze prowadzącej na zewnątrz.

Na przecznicach leżały grube warstwy kurzu jako kolejna wskazówka, że przejście to od długiego czasu nie było używane. Gdy odsunął tę mocną przeszkodę, wielkie zawiasy zapiszczały, protestując w ten sposób przeciw takiemu niezwykłemu zakłóceniu ich spokoju. Chwilę Tarzan stał w miejscu, nasłuchując jakiegoś odgłosu świadczącego o tym, że ten niezwykły hałas nocny zaniepokoił mieszkańców świątyni. Nie usłyszał

jednak niczego i udał się w dalszą drogę, pozostawiając drzwi za sobą.

Bacznie zważając na drogę, dotarł do obszernej izby, wzdłuż ścian której i na posadzce nagromadzone były w liczne szeregi metalowe płyty dziwnego, lecz jednostajnego kształtu. Pod palcami czuł, że przypominały jakby podwójne zzuwadło na buty. Płyty były dość ciężkie i miałyby pewność, że były to sztaby złota, gdyby nie znajdowały się w tak ogromnej ilości. Myśl jednak, że te tysiące funtów metalu, gdyby istotnie były złotem, mogły stanowić jakieś wprost bajeczne bogactwo, nie pozwoliła mu uwierzyć, że miał

przed sobą złoto.

130

W głębi izby znowu znalazł zamknięte drzwi i znów zasuwę znajdującą się po wewnętrznej stronie wzmocniły jego nadzieję, że szedł dawnym i zapomnianym przejściem prowadzącym na wolność. Za drzwiami korytarz biegł już wprost jak strzała, a wkrótce stało się widoczne, że znajdował się już poza zewnętrznymi murami świątyni.

Pragnął widzieć, w jakim szedł kierunku. Jeżeli na zachód, to znajdował się już poza zewnętrznymi murami samego miasta.

Ze wzrastającą coraz bardziej nadzieją śpieszył naprzód jak tylko mógł, aż w końcu po półgodzinnym posuwaniu się przybył do nowych schodów prowadzących w górę. Na dole schody te były ze żwiru, gdy jednak wszedł w górę, jego bose nogi poczuły nagłą zmianę gruntu, po którym stąpały. Zaczęły się schody z granitu. Dotykając ich palcami, Tarzan przekonał się, że widocznie były wyciosane ze skał, nie miały bowiem szpar wskazujących na łączenie części.

Ze sto kroków schody wiły się jak ślimak w górę, aż po pewnym zakręcie Tarzan doszedł

nagle do wąskiej szczeliny pomiędzy dwiema skalnymi ścianami. Ponad nim świeciło gwiazdziste niebo, a przed nim stroma równia stercząca zastąpiła miejsce schodów, które kończyły się u jej stóp. Tarzan spiesznie wspiał się w górę i na górze dotarł do wierzchołka wielkiego odłamu granitowej skały.

O milę od niego leżało walące się miasto Opar. Jego kopuły i wieże skąpane były w łagodnym świetle równikowego księżyca. Tarzan rzucił okiem na sztabę rodzimego metalu, jaką zabrał ze sobą.

Chwilę badał ją w oświetleniu jasnych promieni księżyca, po czym podniósłszy głowę spoglądał na gruzy dawnej wielkości, widoczne z oddalenia.

- Opar - rozmyślał - Opar, zaklęte miasto obumarłej i zapomnianej przeszłości.

Miasto piękności, mieszczące dzikie bestie. Miasto okropności śmierci, lecz także miasto bajecznych bogactw. - Kawał metalu był z prawdziwego złota.

Skaliste miejsce, na jakim Tarzan się znalazł, leżało w dolinie pomiędzy miastem a oddalonymi wyniosłościami skalnymi, po których on i jego czarni wojownicy wspinali się poprzedniego ranka. Zejście na dół po niewygodnej i stromej powierzchni było zadaniem niesłychanie trudnym i wielce niebezpiecznym, nawet dla Tarzana. W końcu jednak poczuł pod nogami miękką ziemię doliny. Nie oglądając się już więcej na] miasto, ruszył

szybkim kłusem przez dolinę ku skałom.

Słońce właśnie wschodziło, gdy dotarł na szczyt płaskiego wzgórza położonego na zachodniej granicy doliny. W znacznej odległości poniżej siebie ujrzał dym wznoszący się ponad wierzchołki drzew lasu rosnącego u podstawy pagórków.

- Człowiek - wyszeptał. - A wysłano ich pięćdziesięciu do ścigania mnie. Czyżby to byli oni?

Szybko zszedł po powierzchni skały i spuściwszy się w niewielki wąwóz, prowadzący do oddalonego lasu, ruszył spiesznie w kierunku, gdzie widział dym. Doszedłszy do krawędzi lasu w oddaleniu około mili od miejsca, gdzie unosił się w cichym powietrzu cienki słup dymu, odbywał dalszą drogę po gałęziach. Ostrożnie zbliżał się, aż nagle uderzył go widok naprędce skleconej borny, w środku której, przykucnąwszy naokół

niewielkich ognisk, siedziało jego pięćdziesięciu ludzi z plemienia Waziri. Zawołał na nich w ich własnym języku:

- Wstańcie, me dzieci, by pozdrowić swego króla!

Z okrzykami zdziwienia i strachu wojownicy zerwali się na nogi, niepewni, czy mają uciekać, czy też nie. Wtedy Tarzan spuścił się lekko ze zwieszającej się gałęzi w środek pomiędzy nich.

Przekonawszy się, że to był w istocie ich wódz we własnej osobie, a nie duch, który przybrał ciało, szaleli z radości.

- Postąpiliśmy jak tchórze, och, Waziri - wykrzyknął Busuli. - Uciekliśmy, pozostawiając ciebie losowi. Gdy jednak zapanowaliśmy nad panicznym strachem, przysięgliśmy powrócić i ocalić cię lub przynajmniej pomścić się na twych mordercach. Szykowaliśmy się właśnie do ponownego wejścia na wierzchołki i do przebycia opuszczonej doliny prowadzącej do tego straszego miasta.

- Czyście nie widzieli pięćdziesięciu okropnie wyglądających ludzi schodzących ze skał do lasu, moje dziatki? - zapytał Tarzan.

- Tak, Waziri - odpowiedział Busuli. - Przeszli obok nas późnym wieczorem wczoraj, gdyśmy naradzali się, by zawrócić po ciebie. Nie znają dobrze lasów. Słyszeliśmy ich na milę, nim ich ujrzeliśmy, a ponieważ mieliśmy inne zamiary, cofnęliśmy się do lasu i pozwoliliśmy im przejść. Kuleli szybko na swych krótkich nogach, a widzieliśmy, że niektórzy posuwali się na czworakach, jak Bolgani, goryl. W istocie było ich pięćdziesięciu, okropnie wyglądających ludzi, Waziri.

Kiedy Tarzan opowiedział im swe przygody i wspomniał o złotym metalu, który znalazł, nikt nie chciał się odłączyć, gdy przedstawił swój plan powrotu nocą dla zabrania z obfitych skarbów tego, co będą mogli unieść. W ten sposób, gdy zmierzch padł na opuszczoną dolinę Opar, pięćdziesięciu hebanowo czarnych wojowników rażnym krokiem śpieszyło po piaszczystym, pełnym kurzu gruncie ku olbrzymiemu zwałowi skalistemu wznoszącemu się przed miastem.

Trudnym zadaniem było zejść w dół po powierzchni skały, lecz z początku prawie rzeczą niepodobną do wykonania wydało się Tarzanowi, by jego wojownicy dostali się na szczyt.

W końcu dokonano czynu herkulesowym wysiłkiem człowieka- małpy. Powiązano włócznie końcami, a Tarzan przywiązawszy do pasa ten szczególnie łańcuch dotarł na szczyt.

Gdy już tam się dostał, powyciągał w górę po kolei wszystkich swych ludzi na wierzchołek. Nie zwlekając ani chwili, Tarzan poprowadził ich do izby kryjącej skarby, gdzie każdemu wyznaczył brzemień, składające się z dwu kawałów szczerego złota.

Wypadło na każdego po osiemdziesiąt funtów.

O północy wszyscy znaleźli się znowu u stóp skalistego zwału. Obciążeni ciężarem zaledwie na południe dotarli do szczytu skał. Stąd odbywała się powoli podróż powrotna, gdyż ci dumni wojownicy nie byli przyzwyczajeni do pełnienia obowiązków tragarzy.

Nieśli jednak ciężary, nie skarżąc się i. po upływie trzydziestu dni przybyli do swego rodzimego

kraju.

Tu Tarzan, zamiast iść ku północo-zachodowi w kierunku własnej wioski, skierował ich prawie bezpośrednio na zachód, a dopiero na trzydziesty szósty dzień podróży kazał im zwinąć obóz i udać się z powrotem do domu. Złoto pozostało tam, gdzie je schowano poprzedniego dnia.

- A ty, Waziri? - pytali.

132

- Ja pozostanę tu kilka dni, moje dziatki - odpowiedział.

- Spieszcie do żon i dzieci.

Kiedy odeszli, Tarzan wziął ze sobą dwa kawały i skoczywszy na drzewo, przebiegł lekko ponad zbitą nieprzeniknioną masą krzewów kilkaset jardów, po czym zjawił się na kolistej polanie, naokół której leśne olbrzymy dżungli wznosiły się w górę jak zastęp obrońców.

W środku tego półkola znajdował się usypany przez samą przyrodę wzgórek twardszej ziemi ze ściętą równo powierzchnią.

Setki razy Tarzan był w tym ukrytym miejscu, tak gęsto obrosłym kolczastymi krzakami i splątanymi odnogami pnących się roślin, o tak wielkiej gęstwinie, że nawet Szita, lampart, nie zdołałby tu się przedostać ani Tantor utorować sobie drogi olbrzymią siłą przez bariery osłaniające izbę narad wielkich małp przed wszystkimi mieszkańcami dzikiej dżungli, prócz takich, które nie mogły nic złego zrobić.

Pięćdziesiąt wypraw zrobił Tarzan, nim złożył wszystkie kawały złota w obrębie koliska.

Wtedy z wydrążenia starodawnego drzewa, które dosięgnął piorun, wydobyl tę samą łopatę, którą odkopał skrzynię profesora Archimedesza Portera ukrytą tu niegdyś przez niego w tym samym miejscu. Łopatą tą wykopał długi rów, do którego złożył bogactwa, przyniesione na ramionach czarnych z zapomnianych sklepień skarbcowych miasta Opar.

Tę noc spędził na półkolisku, a wcześniej następnego dnia udał się w drogę, by odwiedzić swą chatę przed powrotem do plemienia Waziri. Znalazłszy tam wszystko w takim stanie, jak pozostawił, udał się do dżungli na polowanie z zamiarem przyniesienia zdobyczy do chaty, gdzie mógłby wyprawic sobie ucztę w spokoju i spędzić noc na wygodnym posłaniu.

Skierował się na południe na pięć mil ku pięknym brzegom rzeki wpadającej do morza w odległości około sześciu mil od chaty. Dotarł w głąb kraju na pół mili, gdy nagle jego wyćwiczone nozdrza uderzył zapach, który wprawia w drzenie całą dziką dżunglę -

Tarzan poczuł obecność człowieka.

Wiatr dął od morza, Tarzan wiedział więc, że zapach dochodził go z zachodu. Wraz z zapachem człowieczym czuł zapach Numy. Był tam lew i człowiek.

Należy się spieszyć - pomyślał Tarzan - gdyż rozpoznał zapach ludzi białych. - Numa prawdopodobnie wybrał się na polowanie.

Kiedy po drzewach przybył na krawędź dżungli, ujrzał klęczącą modlącą się kobietę, a przed nią stał jakiś biały człowiek, z wyglądu człowiek pierwotny, trzymając twarz ukrytą w rękach. Poza człowiekiem wyliniały lew posuwał się wolno ku swej łatwej zdobyczy.

Twarz człowieka zwrócona była w stronę przeciwną, twarz kobiety schylona w dół, jak bywa przy modlitwie. Rysów twarzy obojga nie mógł dojrzeć. Numa już szykował się do skoku. Nie było sekundy do stracenia. Tarzan nie mógł nawet zdjąć z ramion łuku i nałożyć strzałę, by wysłać jeden z zatrutych pocisków w żółte futro. Brakło czasu. Zbyt daleko się znajdował, by mógł dosięgnąć na czas lwa nożem. Była tylko jedna nadzieja -

jedna możliwość. Ruchem szybkim jak sama myśl Tarzan spełnił czyn.

Żyłasta ręka cofnęła się w tył - przez najkrótszą część momentu potężna włócznia zawisła nad ramionami olbrzyma, a potem krzepka ręka uczyniła ruch naprzód i szybka

śmierć przeleciała przez liście, by utkwic w sercu dającego susa lwa. Nie wydawszy głosu, potoczył się martwy u stóp tych, którzy mieli paść jego ofiarą.

Przez chwilę zarówno kobieta, jak i mężczyzna pozostali bez ruchu. Po czym kobieta otworzyła oczy, by ujrzeć ze zdziwieniem martwe cielsko zwierzęcia, rozpostarte u nóg swego towarzysza. Gdy podniosła się ta piękna twarz, Tarzan osłupiał ze zdziwienia wobec rzeczy nieprawdopodobnej. Czy oszalał? Nie mogła to być przecież kobieta, którą kochał! A jednak, naprawdę, to była ona.

Kobieta powstała, a mężczyzna przycisnął ją do swej piersi i ucałował. Nagle zamigotał

w oczach Tarzana krwawy opar morderstwa i dawna blizna na czole zapaliła się szkarłatem odbijającym od ciemnej jego skóry.

Straszny był wyraz jego twarzy, gdy nakładał zatruty pocisk na swój łuk. Brzydkie światło zaświeciło w jego szarych oczach i wziął na cel człowieka, mierząc do niego z tyłu.

Na chwilę spojrzął na gładki pocisk, odciągając cięciwę daleko w tył, aby strzała przeszła dobrze serce, w które była skierowana. Nie wypuścił jednak fatalnego posłańca śmierci. Z wolna ostrze strzały opadło, blizna na ciemnym czole znikła, Tarzan ze schyloną głową zawrócił posępny do dżungli, udając się do wioski Waziri.

ROZDZIAŁ XXIII

PIĘĆDZIESIĘCIU OKROPNYCH LUDZI

Przez kilka długich chwil Janina Porter i William Cecyl Clayton stali w milczeniu, spoglądając na cielsko zwierzęcia, którego ofiarą o mało co nie padli.

Dziewczyna pierwsza odezwała się po swym wybuchu szczerego wyznania.

- Kto to mógł być? - wyszeptała.

- Bóg jeden wie! - brzmiała odpowiedź.

- Jeżeli to przyjaciel, dlaczego się nie ukaze - mówiła dalej Janina.

- Czy nie dobrze byłoby zawołać na niego i przynajmniej podziękować?

Mechanicznie Clayton spełnił jej żądanie, lecz nie było odpowiedzi. Janina Porter zadrżała. - Dżungla tajemnicza - wyszeptała - dżungla straszna. Nawet czyny przyjazne budzą w niej strach.

- Lepiej wracajmy do kryjówki - rzekł Clayton. - Będiesz przynajmniej tam czuła się bezpieczniej. Ja nie mogę cię obronić - dodał gorzkim tonem.

- Nie mów tak, Williamie - rzekła pośpiesznie, mocno zasmucona z powodu rany, jaką zadały mu jej słowa. - Robiłeś dla mnie, co mogłeś. Byłeś szlachetnym, poświęcającym się i dzielnym człowiekiem. Nie twoja wina, że nie jesteś nadczołowiekiem. Istnieje na świecie jeden tylko człowiek, który potrafiłby dokonać większych rzeczy niż ty. Nie umiałam dobrać właściwych słów w chwili podniecenia, nie chciałam cię urazić.

Chciałabym tylko, abyśmy oboje stanowczo zrozumieli, że nie możemy się pobrać, że takie małżeństwo byłoby czymś złym.

- Sądzę, że cię rozumiem - odrzekł. - Nie mów o tym więcej, przynajmniej do czasu, póki nie powrócimy do cywilizowanych krajów.

Następnego dnia stan Turana pogorszył się. Ciągle prawie majaczył. Nie mogli mu w żaden sposób pomóc, a Clayton nie miał nawet ochoty zbyt się o tę pomoc starać. Z

134

powodu dziewczyny obawiał się tego Rosjanina, w głębi serca radował się, że człowiek ten może umrze. Myśl o tym, że spotka go coś takiego, wskutek czego Janina Porter pozostanie na łasce tego potwora, była mu bardziej przykra niż to, że czekała ją prawie pewna śmierć, gdyby pozostała sama jedna w przestrzeniach okrutnego lasu.

Clayton wydobył ciężką dzidę z cielska lwa, tak iż wybrawszy się następnego dnia do lasu na polowanie, czuł się daleko pewniejszy niż kiedykolwiek przedtem od czasu, jak wyrzuceni zostali na te brzegi. Skutek był taki, że tego dnia zapuścił się dalej od kryjówki, niż to czynił dawniej.

Nie chcąc słuchać majaczeń Turana, który był w malignie gorączkowej, Janina Porter zeszła na dół ze schroniska i siadła u stóp drzewa, obawiając się odejść dalej. Siadłszy obok drabinki, którą Clayton dla niej zrobił, spoglądała na morze w ciągłym oczekiwaniu, że dostrzeże żagle okrętu.

Plecami zwrócona była ku dżungli, nie mogła więc widzieć, jak rozsunęły się trawy i wyrzała z nich dzika twarz ludzka. Małe, nabiegłe krwią skośne oczy śledziły ją uważnie, rozglądając się od czasu do czasu po całym otwartym wybrzeżu, czy nie ma tam śladu innych jeszcze ludzi.

Znowu ukazała się nowa głowa, a za nią druga i trzecia. Turan w schronisku zaczął znów głośno majaczyć - głowy skryły się tak cicho i tak nagle, jak się pojawiły. Wkrótce jednak wyrzały znowu, kiedy dziewczę nie okazało żadnego zaniepokojenia z powodu głosu Turana dochodzącego z góry.

Dziwaczne postacie, jedna za drugą, wynurzyły się z dżungli i zaczęły się podkradać do nie oczekującej nic złego Janiny. Słabe poruszenie traw zwróciło na siebie jej uwagę.

Obróciła się, a na widok, jaki się przedstawił jej oczom, zerwała się na nogi, wydając okrzyk przestachu. Wtedy otoczyli ją jednym pędem. Uniósłszy ją na rękach, podobnych do rąk goryla, jedna z tych istot pobiegła z nią w dżunglę. Brudna łapa zatkała jej usta, by stłumić krzyk. Po tygodniach wycierpianych męczarni przejście to było ponad jej siły.

Wyczerpane nerwy nie wytrzymały i Janina Porter zemdlła.

Kiedy odzyskała przytomność, spostrzegła, że znajduje się w głębi dziwnego lasu. Była noc. Ogromne ognisko paliło się jasno na niewielkiej polance, gdzie się znajdowała.

Naokoło niej siedziało pięćdziesięciu okropnych ludzi. Ich głowy i twarze pokrywał bujny, zbity zarost. Długie ręce opierali na skulonych kolanach krótkich zakrzywionych nóg.

Požerali, jak zwierzęta, nieczyste pokarmy. Garnek przystawiony był do ogniska i z niego istoty te zaostrzonym szpikulcem wydobywały kawały mięsa.

Gdy spostrzegli, że jeniec odzyskał przytomność, najbliższy biesiadnik rzucił jej brudną ręką kawałek duszonej wstrętnej stawy, który potoczył się i upadł koło niej. Przymknęła tylko oczy, doznając obrzydzenia na ten widok.

Wiele dni i nocy wędrowali gęstym lasem. Podczas tych długich, upalnych, ciężkich nie do zniesienia dni, wyczerpaną z sił, z obolałymi nogami, Janinę popychano i wleczono za sobą. Od czasu do czasu, kiedy potknęła się i upadła, znajdujący się najbliżej człowiek dawał jej szturchańca lub kopnięcie nogą. Nim dosięgli końca drogi, buciki jej opadły, podeszwy się porwały. Suknie miała poszarpane w kawałki, a przez nędzne łachmany jej biała dawniej i delikatna skóra przeświecała, ukazując krwawiące się miejsca, podrapane tysiącem bezlitosnych kolców i cierni, przez które ją wleczono.

135

W czasie dwu ostatnich dni podróży była wyczerpana do tego stopnia, że ani kopanie, ani zadawane razy nie zdały się na nic, by ją zmusić do trzymania się na nogach, które krwawiły. Dziewczę nie znajdowało sił, by podnieść się choćby na kolana.

Dziki potwory otoczyły ją, gadając coś i grożąc, przy czym bili ją pałkami i pięściami, kopali zmuszając do marszu. Leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, modląc się o litościwą śmierć, która jedna mogła dać jej ulgę w cierpieniu. Śmierć jednak nie przyszła, a pięćdziesięciu okropnych ludzi przekonawszy się, że ich ofiara jest niezdolna do utrzymania się na nogach, wzięło ją na swe bary i niosło przez całą pozostałą drogę.

Przed zmierzchem jednego dnia ujrzała walące się mury potężnego miasta, wznoszące się przed nią.

Tak była osłabiona i chora, że widok ten nie obudził w niej najmniejszego zainteresowania. Gdziekolwiek się znajdzie, mogła oczekiwać tylko jednego końca swej niewoli wśród tych dzikich potworów.

Przebyli w końcu dwa rzędy wielkich murów i weszli do środka miasta. Wnieśli ją w zwałiska budowli. Tam otoczyły ją setki innych takich samych istot jak te, co ją niosły.

Były jednak wśród nich i kobiety mające nie tak straszny wygląd. Na ich widok doznała po raz pierwszy uczucia pewnej nadziei, że jej męczarnie ustaną. Nadzieja była krótka, gdyż kobiety nie okazywały jej współczucia, chociaż nie znęcały się nad nią.

Gdy mieszkańcy budowli przyjrzel się jej do woli, zaniesiono ją do ciemnej izby, znajdującej się w dolnych sklepieniach i tu pozostawiono na gołej podłodze. Dano jej metalowy kubek wody i pożywienie.

Posuwając się powoli przez puszcę Tarzan z małp, po rzuceniu włóczni, która ocaliła życie Claytona i Janiny Porter z pazurów lwa, pełen był smutku wypływającego ze świeżo otwartej rany serca.

Rad był, że wstrzymał rękę, uprzedzając spełnienie czynu, który w pierwszym napadzie szalonego gniewu, obudzonego przez zazdrość, zamierzał wykonać. Tylko jedna chwilka zadecydowała o życiu i śmierci Claytona z rąk Tarzana. Przez krótką chwilę, która upłynęła między rozpoznaniem dziewczyny, a zwolnieniem naprężonych mięśni trzymających strzałę wymierzoną w serce Claytona, Tarzanem targały bystre porywy dzikiej natury.

Ujrzał kobietę, której pożądał - swoją dziewczynę, swą towarzyszkę - w objęciach innego mężczyzny. Według dzikich praw dżungli, które kierowały życiem, był tylko jeden możliwy sposób postępowania, lecz właśnie, zanim stało się już za późno, łagodniejsze uczucia wypływające z tkwiącej w nim rycerskości opanowały ogniste płomienie namiętności i ocaliły go od zbrodni. Po tysiąc razy składał dziękczynienie, że wzięły nad nim górę te lepsze uczucia, nim palce jego spuściły wyładowaną strzałę.

Gdy pomyślał o powrocie do plemienia Waziri, poczuł wstręt. Nie pragnął oglądać więcej ludzkich twarzy. Wolał być samotny przez pewien czas w dżungli, póki ostrze bólu się nie stępi. Podobnie do swych towarzyszy-zwierząt wolał znosić cierpienia w milczeniu i samotności. Tej nocy spał znów w kolisku małp i przez szereg dni wychodził stąd na polowanie, wracając na noc z powrotem. Po południu trzeciego dnia powrócił wcześniej.

Położył się na miękkiej trawie okolicznej polany, a po upływie kilku krótkich chwil usłyszał

dochodzący go z południowej strony znany mu odgłos. Był to szum wywołany

przesuwaniem się przez puszcę gromady wielkich małp - był tego pewien. Przez chwilę leżał, nasłuchując. Zbliżały się, idąc w kierunku koliska.

Tarzan podniósł się powoli i przeciągnął się. Bystre uszy zdawały sobie sprawę z każdego

posunięcia zbliżającej się gromady. Szli z kierunkiem wiatru i wkrótce poczuł ich zapach, chociaż nie potrzebował już tego dodatkowego dowodu, by mieć pewność, że nie łudziły go uszy.

Kiedy podeszły do koliska, Tarzan zniknął pośród gałęzi po przeciwnej stronie polany. Tu oczekiwał, by przyjrzeć się przybyszom. Nie potrzebował czekać długo.

Oto dzika, obrosła twarz wynurzyła się z dolnych gałęzi, naprzeciwko niego. Okrutne małe oczka obrzuciły jednym wejrzeniem całą polanę, po czym dał się słyszeć szwargot sprawozdawczy do tych, co szli z tyłu. Tarzan mógł dosłyszeć słowa. Wywiadowca przodownik mówił, że plac był wolny i że inni członkowie plemienia mogą wejść bezpiecznie do koliska. Pierwszy zeskoczył lekko na miękki dywan, pokryty murawą, wódz, a za nim, kolejno, ze sto małp antropoidalnych. Były tam ogromnego wzrostu samce i dużo małp. Pewna nieznaczną liczbą drobnych małpiątek, nie odstawionych od piersi, przywarła do kosmatych pleców swych matek.

Tarzan poznał wielu członków plemienia. Było to to samo plemię, do którego się dostał jako małe dziecko. Sporo wśród dorosłych było małych małpiątek gdy był młodzieńcem.

Swawolił i bawił się z nimi w tej samej dżungli podczas krótkich lat ich dzieciństwa.

Zastanawiał się, czy też go poznają - pamięć niektórych małp nie jest zbyt długa, a dwa lata - to dla nich wieczność.

Z posłyszanej rozmowy dowiedział się, że przybyły, by wybrać nowego króla - ich dawny wódz zginął przedwczesną śmiercią, spadłszy z gałęzi, która się złamała.

Tarzan wyszedł na wystający koniec zwieszającego się konaru i ukazał się ich oczom.

Bystre oczy pewnej samicy spostrzegły go pierwsze. Gardłowym naszczekiwaniem zwróciła uwagę innych. Kilkunastu rozrostłych samców podniosło się, by przyjrzeć się natrętowi.

Obnażywszy kły, z najeżonymi na barkach włosami, posuwali się powoli ku niemu, wydając gardłowe, groźne pomruki.

- Karnat, ja jestem Tarzan - przemówił człowiek-małpa w rodowitym języku plemienia. -

Czy mnie pamiętasz? Razem drażniliśmy Numę, jeszcze będąc małymi małpiątkami, rzucaliśmy w niego kijami i orzechami, siedząc bezpiecznie na wysokich gałęziach.

Zwierzę, do którego zwrócił się Tarzan, wstrzymało krok z wyrazem na wpół zrozumienia, na wpół zdziwienia na twarzy.

- A ty, Magor- ciągnął dalej Tarzan, zwracając się do innego - czy nie przypominasz sobie swego dawnego króla, który zabił potężnego. Kerczaka? Spójrz na mnie! Czyż nie jestem tym samym Tarzanem - wielkim myśliwym - niezwyciężonym zwycięzcą, którego znaliście przez wiele lat?

Wszystkie małpy wystąpiły naprzód, więcej jednak okazywały zaciekawienia niż groźby.

Pomamrotały pomiędzy sobą jakiś czas. - Czego chcesz od nas teraz? - zapytał Karnak.

- Nic więcej, tylko spokoju - odpowiedział człowiek-małpa. Małpy zaczęły się naradzać.

W końcu Karnak przemówił znowu.

- Przybywaj w pokoju, Tarzanie z małp.

137

Tarzan z małp zeskoczył więc lekko na murawę pośród dzikiej okropnej hordy - przeszedł on cykl ewolucji i znów był zwierzęciem pośród zwierząt.

Nie było tam pozdrowień, jakie nastąpiłyby wśród ludzi po dwu latach niewidzenia się.

Większość małp powróciła zaraz do swych poprzednich zajęć, które przerwały po przybyciu Tarzana, nie zwracając więcej uwagi na niego, jak gdyby nigdy nie opuszczał plemienia.

Kilka samców, które były zbyt młode, aby mogły go pamiętać, podeszło do niego na czworakach, by go obwąchać, a j eden obnażywszy kły zawarczał groźnie - chciał

wskazać od razu Tarzanowi jego miejsce wśród małp. Gdyby Tarzan cofnął się, warcząc, młody samiec zapewne dałby spokój, jednak miejsce Tarzana wśród małp byłoby ustalone jako niższe od stanowiska zajmowanego przez samca, który nakazał mu cofnięcie się.

Tarzan z małp nie usunął się. Całym rozmachem swych potężnych mięśni chwycił za łeb młodego i rozciągnął go na murawie. Małpa podniosła się i w jednej chwili natarła.

Tym razem zwarli się, szarpiąc się palcami i zębami - przynajmniej chciał tak uczynić młody samiec. Jednak skoro tylko upadli razem na ziemię, warcząc i mamrocząc, palce Tarzana chwyciły za gardło przeciwnika.

Młody samiec przestał walczyć i leżał bez ruchu. Wtedy Tarzan zwolnił palce i powstał -

nie miał zamiaru zabijać, a tylko dać nauczki młodej małpie i wszystkim innym, które to widziały, że Tarzan z małp nie przestał być władcą.

Nauka osiągnęła swój cel - młode samce schodziły mu z drogi, jak powinny czynić, gdy znajdą się w towarzystwie lepszych od siebie, a stare samce nie próbowały w ogóle.

Przez kilka dni matki z młodymi nie dowierzały mu, a gdy próbował podejść zbyt blisko, rzucały się na niego z rozwartymi pyskami i ze strasznym krzykiem. Tarzan wtedy starał

się uskoczyć w bok, unikając dyskretnie bójki, gdyż taki panuje zwyczaj wśród małp -

tylko rozszalałe samce napastują matki. Po pewnym jednak czasie i one przyzwyczyły się do niego.

Wychodził z nimi na łowy jak w dni dawno ubiegłe, a gdy się przekonali, że jego wyższy rozum wskazywał mu najlepsze źródła, gdzie znajdowali pożywienie, i że jego wymyślna linka chwyciła smaczną zwierzynę, której przedtem nigdy nie smakowali, znowu zaczęli spoglądać na niego tak, jak poważali go dawniej, gdy został ich królem. W taki więc sposób przed opuszczeniem koliska, zanim powrócili do swych wędrowek leśnych, wybrali go ponownie na swego wodza.

Człowiek-małpa czuł się zupełnie zadowolony ze swego nowego stanowiska. Nie znał

wesela - szczęścia nie zazna już nigdy, lecz usunął się jak najdalej od tego, co mogło mu przypominać przebyte męczarnie. Już od dawna porzucił wszelkie zamiary powrotu do krajów cywilizowanych, a teraz postanowił nie wracać i do swych czarnych przyjaciół z plemienia Waziri. Wyrzekł się ludzkiego towarzystwa na zawsze. Rozpoczął życie jako małpa - i jako małpa umrze.

Nie mógł jednakże wymazać ze swej pamięci, że kobieta, którą kochał, znajdowała się w niewielkiej odległości od miejsc, po których stąpało jego plemię. Nie mógł również zapomnieć nasuwającej się mu ciągle myśli, że groziło jej ustawicznie niebezpieczeństwo. Widział na własne oczy, że nie miała dostatecznej obrony podczas 138

tej krótkiej chwili, w której był świadkiem, jak Clayton nie umiał sobie poradzić z lwem. Im więcej Tarzan o tym myślał, tym dotkliwiej dokuczało mu sumienie.

W końcu zaczęły go dręczyć wyrzuty, że pozwolił, by egoistyczny ból i zazdrość stały się przeszkodą do zapewnienia bezpieczeństwa Janinie Porter.

Z biegiem czasu myśli te coraz bardziej opanowywały jego umysł i już prawie był

zdecydowany powrócić na wybrzeże i zaopiekować się Janiną Porter i Claytonem, kiedy doszła go wieść, która odmieniła wszystkie jego plany, którą usłyszawszy, rzucił się wściekle w kierunku wschodnim, nie zważając na wszelkie niebezpieczeństwa i śmierć nawet.

Jeszcze nim Tarzan powrócił do plemienia, pewien młody samiec, nie mogąc dobrać sobie towarzyski wśród swego własnego plemienia, udał się, zgodnie ze zwyczajem, w inne strony poprzez dziką dżunglę, by podobnie jak błędny rycerz dawnych czasów zdobyć sobie piękną damę z sąsiedniej społeczności.

Właśnie powrócił ze swoją wybraną i opowiadał swe przygody, póki je pamiętał. Wśród innych rzeczy mówił, że spotkał po drodze dużą gromadę małp dziwnego wyglądu.

- Wszyscy byli kosmaci na twarzy, prócz jednej, a ta miała bielszą skórę niż ten obcy - tu wskazał na Tarzana.

Człowiek-małpa słuchał z natężoną uwagą. Zaczai zaraz zadawać pytania tak szybko, jak tylko niedorozwinięty antropoid mógł mu dać odpowiedzi.

- Czy samce były niskiego wzrostu, z wykrzywionymi nogami?

- Tak.

- Czy mieli skóry Numy i Szity u pasa, a w rękach kije i noże?

- Tak.

- A czy mieli dużo złotych kótek na rękach i na nogach?

- Tak.

- A ona - czy była niskiego wzrostu, drobna i bardzo biała?

- Tak.

- Czy należała do gromady, czy też prowadzono ją jako jeńca?

- Wlekli ją za sobą - często za rękę, czasami za długie włosy rosnące na jej głowie.

Wciąż ją bili i kopali. Och, było to wesele, gdy patrzyłem na nich.

- Boże! - wyszeptał Tarzan.

- Gdzie byli, kiedy ich widziałeś i którędy szli? - pytał dalej Tarzan.

- Byli za drugą wodą tam - i wskazał na południe. - Mijając mnie, szli ku słońcu, w górę wzdłuż wody.

- Kiedy to było? - rzucił pytanie Tarzan.

- Pół księżyca temu.

Nie mówiąc więcej słowa, Tarzan skoczył ku drzewom i poszybował jak duch bez ciała ku wschodowi w kierunku zapomnianego miasta Opar.

ROZDZIAŁ XXIV

TARZAN ZNOWU PRZYBYWA DO OPAR

139

Kiedy Clayton po powrocie do schroniska przekonał się, że Janina Porter znikła, odchodził prawie od zmysłów targany żalem i obawą o jej los. Pan Turan szybko wracał

do zdrowia, gorączka opuściła go zadziwiająco nagle, jak to zwykle bywa. Osłabiony i wyczerpany z sił leżał na łożu usłanym z traw, wewnątrz kryjówki.

Gdy Clayton zaczął go rozpytywać, co się stało z dziewczęciem, był zdziwiony słysząc, że jej nie ma.

- Nie słyszałem nic szczególnego - mówił. - Ale cały ten czas przeleżałem przeważnie nieprzytomny.

Gdyby nie widoczny kompletny brak sił u tego człowieka, Clayton podejrzewałby go o to, że ukrywa przed nim złe wiadomości o losie dziewczyny, widział jednak, że Turan nie mógł p swych siłach nawet zejść po drabinie ze schroniska.

W takim stanie nie miał możliwości uczynić żadnej krzywdy i gdyby schodził na dół, nie potrafiłby wejść z powrotem do schroniska.

Do zmierzchu Clayton przeszukiwał okoliczną dżunglę, szukając śladów zaginionej lub znaków przejścia tych, co ją porwali. Chociaż jednak ślad, pozostawiony przez pięćdziesięciu okropnych ludzi, nie obeznanych z leśnym życiem, byłby tak uderzająco widoczny dla oczu stałych mieszkańców w dżungli jak kierunek ulicy dla cywilizowanego człowieka, Clayton przechodził koło śladów ze dwadzieścia razy, nie umiał jednak rozpoznać znaków świadczących, że znaczna gromada ludzi przeszła tędy przed niewielu godzinami.

Poszukując Janiny, Clayton wciąż wywoływał głośno jej imię, skutkiem tego jednak było, że przywabił Numę, lwa. Na szczęście dostrzegł na czas cień postaci przekradającej się ku niemu i zdążył wdrapać się na gałęzie drzewa, zanim zwierzę zdążyło go dosięgnąć.

To położyło koniec poszukiwaniom na resztę dnia, gdyż lew chodził pod drzewem aż do zmroku.

I wtedy nawet, kiedy zwierzę się oddaliło, Clayton nie odważył się zejść na dół i zapuścić się w okropne ciemności rozpościerające się pod nim w dole. Spędził więc w wielkim strachu okropną noc na drzewie. Następnego dnia powrócił już z rana na wybrzeże, porzuciwszy ostatnią nadzieję na okazanie pomocy Janinie.

W ciągu następnego tygodnia pan Turan szybko odzyskał siły, pozostając w schronisku, gdy Clayton polował w lasach, zdobywając pożywienie dla siebie i dla niego. Nie mówili do siebie, o ile nie zachodziła po temu jakaś konieczna potrzeba. Clayton teraz zajmował

część schroniska przeznaczoną dla Janiny Porter i widział się z panem Turanem wtedy tylko, gdy zanosił mu żywność lub wodę, lub wyświadczał usługi dyktowane przez uczucie ludzkości.

Kiedy Turan odzyskał siły i mógł wychodzić na poszukiwanie pożywienia, Clayton zapadł

na gorączkę. Całymi dniami leżał, rzucając się w malignie, osłabiony, lecz pan Turan nie podchodził do niego, by ulżyć mu w cierpieniu. Pokarmów nie mógł przyjmować, lecz miał pragnienie, które przyprawiało go o męczarnie. W chwilach wolnych od powracających ataków gorączki, choć osłabiony, chodził do strumyka raz na dzień, by przynieść sobie wody w blaszance, która się znalazła wśród niewielu rzeczy, jakie były na łodzi.

prawdziwą przyjemność cierpienia tego człowieka, który pomimo wzgardy, jaką ku niemu czuł, obsługiwał go jak tylko mógł, gdy on przechodził tę samą chorobę.

W końcu Clayton tak opadł z sił, że nie potrafił zejść na dół z kryjówki. Dzień jeden znosił

brak wody, nie odwołując się do pomocy Rosjanina, w końcu jednak, nie mogąc znieść swojego cierpienia dłużej, prosił Turana, by przyniósł mu wody.

Turan zjawił się u wejścia z naczyniem pełnym wody w ręku. Rysy jego twarzy wykrzywił brzydki uśmiech.

- Oto jest woda - rzekł. - Lecz pozwól sobie przypomnieć, żeś mnie obmawiał wobec Janiny, żeś miał ją dla siebie i nie chciałeś się dzielić ze mną...

Clayton przerwał mu. - Dostyc! - zawołał. - Milcz! - Co za bydlę z ciebie, że śmiesz uwłaczać uczciwej kobiecie, która może już nie żyje! Boże! Głupcem byłem, że usługiwałem ci w chorobie - nie wart jesteś żyć nawet w tym podłym kraju.

- Oto twoja woda - rzekł Turan. - Chciałbyś jej dostać - mówiąc to podniósł naczynie do ust i wypił. Resztę wylał na ziemię, po czym zawrócił, pozostawiając chorego.

Clayton skurczył się i ukrywszy twarz w rękach, nie odpowiedział nic, nie próbował walki.

Nazajutrz Turan postanowił udać się w kierunku północnym wzdłuż wybrzeża.

Przypuszczał, że na tej drodze napotka siedziby ludzi cywilizowanych - w każdym razie sądził, że nie będzie mu gorzej w drodze, niż było na miejscu, a bredzenie w malignie Anglika rozstrajało mu nerwy.

Zabrał więc włócznie Claytona i wyruszył w podróż. Przedtem zabiłby złożonego chorobą Claytona, lecz przyszło mu na myśl, że byłaby to przysługa wyświadczona choremu.

Tego dnia dotarł do małej chaty, stojącej na wybrzeżu. Serce jego przepełniło się otuchą na ten widok świadczący, że znajduje się gdzieś w pobliżu cywilizowanego życia, sądził

powiem, że trafił na pierwsze zabudowania bliskiej osady. Gdyby wiedział, czyja była to chata i że jej właściciel w owej chwili znajdował się tylko o kilka mil dalej w głębi kraju, Mikołaj Rokow uciekałby z tego miejsca jak od zarazy. Nic jednak o tym nie wiedział i pozostał tu kilka dni, korzystając z bezpieczeństwa i względnych wygod, jakie mu zapewniała chata. Potem udał się w dalszą drogę na północ.

W obozowisku lorda Tennigtona robiono przygotowania do zbudowania stałych mieszkań i do wysłania ekspedycji złożonej z kilku ludzi na północ w celu zrobienia wywiadu i poszukiwania pomocy.

Ponieważ dzień za dniem przechodził, a oczekiwana z upragnieniem pomoc nie nadchodziła, zaczęła

zamierać nadzieja, że Janina Porter i pan Turan zostali uratowani.

Nikt nie rozpoczął o tym rozmowy z profesorem Porterem, a ten był tak pogrążony w naukowych majaczeniach, że nie zdawał sobie sprawy, jak czas przechodził.

Od czasu do czasu robił uwagę, że za kilka dni na pewno ujrzą parowiec, zarzucający kotwicę u brzegu, i że wszyscy się wtedy znów odnajdą szczęśliwie. To znowu mówił o pociągu i pytał się, czy nie zatrzymały go zasy śnieżne.

- Gdybym nie znał tego człowieka od tak dawna - zauważył Tennigton, mówiąc do panny Strong - przypuszczałbym, że jest niespełna zmysłów.

- Gdyby sprawa ta nie była tak poważna, byłaby śmieszna - odpowiedziała ze smutkiem w głosie panna Strong. - Ja znam go od dzieciństwa i wiem, że ubóstwia Janinę, innym 141

jednak może się zdawać, że jest obojętny na jej los. A powodem tu jest absolutne niezdawanie sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nie potrafi wyobrazić sobie, że może zdarzyć się śmierć, dopóki nie będzie miał przed oczami najoczywistszych dowodów.

- Nie zgadnie pani nigdy, co on chciał zrobić wczoraj - mówił dalej Tennigton. - Wracalem sam jeden z małej wyprawy myśliwskiej i spotkałem go, jak szybko szedł ścieżką wiodącą do obozowiska. Ręce miał założone pod klapy czarnego fraka, cylinder nasunięty na czoło, oczy skierowane na drogę i śpieszył tak zapewne na spotkanie nieuniknionej nagłej śmierci, gdybym go nie spotkał i nie zatrzymał.

- Dokąd to tak profesor śpieszy? - zapytałem. - Idę do miasta, lordzie Tennigton - odrzekł

najzupełniej poważnie - wnieść skargę do urzędu pocztowego na złe funkcjonowanie poczty prowincjonalnej, co nam się daje we znaki. Jakżeż to? Nie otrzymałem ani jednej poczty od tygodni. Powinny były nadejść listy od Janiny. Skargę należy skierować bez zwłoki do Waszyngtonu.

- I czy pani wierzy, panno Strong - ciągnął dalej Tennigton

- trudność to była nie lada przekonać staruszka, że nie istnieje tu poczta wiejska ani że nie ma tu miasta, że znajdujemy się w innej części świata niż ta, gdzie leży Waszyngton, i na innej półkuli.

- Kiedy to zrozumiał, zaczął się niepokoić o córkę. Zdaje mi się, że po raz pierwszy zdał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej tu się znajdujemy, i z tego, że panna Janina może nie jest ocalona.

- Przykre to są myśli - rzekła panna - jednak nie mogę o niczym innym myśleć jak tylko o nieobecnych osobach z naszego towarzystwa.

- Miejmy dobrą nadzieję - odrzekł Tennigton. - Panie obie dały nam piękny przykład odwagi i dzielności, gdyż w pewnym znaczeniu strata, jaką pani poniosła, była być może największa.

- Tak - odpowiedziała. - Kochałam Janinę jak tylko można kochać najlepszą siostrę.

Tennigton nie wypowiedział zdziwienia, jakiego doznał, słysząc te słowa. Nie to miał na myśli. Dużo przebywał w towarzystwie tej pięknej córki Marylandu od czasu rozbicia się

"Lady Alice" i spostrzegł w ostatnim czasie, że przywiązał się do niej bardziej, niż godziło się to z zachowaniem spokoju ducha. Wciąż pamiętał wyznanie, jakie pan Turan mu zrobił, że on i panna Strong byli po słowie, prawie zaręczeni. Zaczai podejrzewać, czy to oświadczenie Turana odpowiadało prawdzie. Nie mógł dostrzec w panie żadnych oznak wskazujących, że z jej strony było coś więcej ponad zwykłą przyjaźń.

- Przecież, jeżeli zginęli, pani, tracąc pana Turana, doznaje smutnego osierocenia - odważył się wyrzec.

Rzuciła na niego szybkie spojrzenie..- Pan Turan był mi przyjacielem - rzekła. - Lubiłam go bardzo, chociaż znałam go bardzo mało.

- A więc nie dała mu pani słowa, że pani wyjdzie za niego za męża? - wyrzekł porywczo.

- Bynajmniej - zawołała. - W tym sensie nigdy o nim nie myślałam.

Było widoczne, że lord Tennigton chciał coś powiedzieć Hazel Strong - miał wielką chęć powiedzieć, i to zaraz, lecz wyrazy jakoś uwięzły mu w gardle. Kilkakrotnie coś zaczynał

mówić niewyraźnie, chrząkał, poczerwieniał, a w końcu powiedział, że chaty zapewne będą wykończone przed nastaniem deszczowej pory.

142

Chociaż jednak nie wypowiedział tego, co chciał, dziewczyna domyśliła się intencji.

Poczuła się szczęśliwa - szczęśliwsza niż kiedykolwiek w swoim dotychczasowym życiu.

W owej właśnie chwili rozmowę przerwało pojawienie się dziwnie, okropnie wyglądającej postaci, która wynurzyła się z dżungli wprost z południa. Tennigton i panna Strong spostrzegli ją jednocześnie. Anglik sięgnął po rewolwer, kiedy jednak na wpół naga, zarosła włosami istota nazwała go po nazwisku i przybiegła ku nim, opuścił rękę i podszedł do niej na spotkanie.

Nikt nie poznałby w brudnej, wynędzniałej istocie, okrytej jedynie odzieniem zszytym z drobnych skórek, eleganckiego pana Turana, którego towarzystwo oglądało w ostatnim czasie na pokładzie statku "Lady Alice".

Zanim inni członkowie towarzystwa dowiedzieli się o jego przybyciu, Tennigton i panna Strong zaczęli się wypytywać o innych, którzy z Turanem byli w jednej łodzi.

- Wszyscy zginęli - odpowiedział Turan. - Trzej marynarze zmarli, zanim dotarliśmy do lądu. Panna Porter została porwana i uniesiona do dżungli przez jakieś dzikie zwierzę, kiedy leżałem w gorączce. Clayton zmarł również na gorączkę kilka dni temu. I któż mógł

pomyśleć, że przez cały ten czas byliśmy oddzieleni przestrzenią tylko kilku mil -

dystansem nie większym nad jeden dzień podróży. To straszne!

Janina Porter nie zdawała sobie sprawy, jak długo przeleżała w ciemnościach sklepień pod świątynią w starożytnym mieście Opar. Przez pewien czas była w malignie z gorączki, lecz gdy to przeszło, zaczęła pomału odzyskiwać siły. Co dzień kobieta, która przynosiła jej jedzenie, nakazywała jej, by podniosła się, przez wiele jednak dni dziewczyna na całą odpowiedź mogła tylko wstrząsnąć głową na znak, że brak jej na to sił.

Z biegiem czasu wydobrzała na tyle, by stanąć na nogach, potem mogła chodzić chwiejnym się krokiem, opierając się ręką o ściany. Mieszkańcy świątyni dozorowali jej teraz z coraz widoczniejszym zainteresowaniem. Zbliżał się ważny dzień, a ofiara odzyskiwała siły.

Dzień ten nadszedł, a wtedy do jej więzienia weszła wraz z wielu innymi młoda kobieta, której Janina Porter dotychczas nie widziała.

Odbyła się jakaś ceremonia - dziewczyna była pewna, że to ceremonia religijna i nabrała otuchy. Cieszyła się, że wpadła w ręce ludu, który widocznie doznał sprowadzających światło i litość wpływów religijnych. Spotkają obojętne ludzkie - takie miała przekonanie.

Dlatego, kiedy poprowadzono ją z więzienia przez długie, ciemne korytarze, a później w górę po schodach na wspinały dziedziniec, nie opierała się, szła nawet chętnie - czyż nie znajdowała się wśród sług Bożych? Myślała sobie, że bez wątpienia ci ludzie inaczej niż ona rozumieli Najwyższą Istotę, lecz to, że uznawali Boga, świadczyło dostatecznie, według jej sądu, że byli to ludzie dobrego serca i miłosierni.

Kiedy jednak ujrzała kamienny ołtarz na środku dziedzińca, ciemne plamy zakrzepłej krwi na nim i na twardej podłodze, zaczęła wątpić i niepokoić się. A gdy podeszli do niej ludzie, związali jej nogi i związane ręce umocowali z tyłu na plecach, opanował ją przestach. Gdy w chwilę potem podniesiono ją w górę i umieszczono na wznak na wierzchu ołtarza, opuściła ją wszelka nadzieja i zaczęła drżeć przerażona.

143

W czasie dziwnego tańca, który potem odbyli kapłani, leżała zlodowaciała z przerażenia, a cienkie ostrze noża, wzniesionego powoli nad nią przez wielką kapłankę, otworzyło jej oczy na to, co ją czeka.

Kiedy ręka zaczęła się opuszczać w dół, Janina Porter zamknęła oczy, i zaczęła się modlić do Stwórcy, przed którego obliczem miała stanąć. Potem ulegając nerwowemu wyczerpaniu, zemdląa.

Dniem i nocą Tarzan z plemienia małp śpieszył przez dziewicze bory ku walącemu się miastu, w którym, jak się domyślał, kobieta, którą kochał, była uwięziona i znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Przez jeden dzień i noc przebył taką przestrzeń, na której przebycie pięćdziesięciu okropnych ludzi

potrzebowało blisko tydzień. Tarzan wybrał drogę ponad splecioną roślinnością, utrudniającą posuwanie się po ziemi.

Wiadomość, którą usłyszał od młodej małpy, wyraźnie mu mówiła, że wzięta do niewoli kobieta, to Janina Porter, ponieważ nie było żadnej innej białej kobiety w dżungli, a opisywani ludzie byli dziwną parodią ludzi zamieszkujących zwaliska Opar.

Los, jaki czekał Janinę, mógł sobie wyobrazić tak jasno, jak gdyby był naocznym świadkiem tego, co się działo. Nie mógł powiedzieć, kiedy położą ją na ponurym ołtarzu, lecz że jej drogie, drobne ciało dostanie się tam, tego był pewien.

W końcu po upływie czasu, który wydał się długi jak wieczność niecierpliwemu Tarzanowi, znalazł się na wierzchołku granicznych skał opasujących pustą dolinę. Pod nim rozpościerały się posępne i ponure zwaliska straszego miasta Opar. Biegiem ruszył

piaszczystą, zapyloną drogą, zawaloną skałami, ku celowi swych dążeń.

Czy zdąży na czas? Nie chciał rozstać się z nadzieją. Bądź co bądź 'będzie mógł

wywrzeć zemstę, a w gniewie czuł się na siłach do starcia z powierzchnią ziemi całej ludności tego okropnego miasta. Było blisko południe, kiedy dotarł do skały, do której wychodziło tajemne przejście do pieczar pod miastem. Jak kot wdrapał się na strome boki groźnego granitowego wzgórza. W chwilę później biegł w ciemnościach długim, wąskim tunelem, prowadzącym do sklepień ze skarbami. Przebył je, a później biegł dalej, aż dobiegł do podobnego do studni zagłębienia, po którego drugiej stronie znajdowało się więzienie z fałszywą ścianą.

Gdy zatrzymał się na chwilę na krawędzi studni, doszedł go przez , otwór z góry odgłos.

Jego bystre uszy pochwyciły ten odgłos i zrozumiał, że to był taniec poprzedzający ofiarę i rytualne śpiewy wielkiej kapłanki. Mógł nawet rozróżnić głos.

Czy możliwe, że ceremonia świadczyła o dokonaniu się tego, co chciał uprzedzić?

Opanowało go przerażenie. Czy nie przybywał za późno? Jak spłoszony jeleń .skoczył

przez wąski parów na drugą stronę w dalszą drogę. Rwał mury fałszywej ściany jakby był

opętany myślą o konieczności rozwalenia przeszkody, jaką spotkał - potężnymi muskularni otworzył sobie przejście, przesunął głowę i plecy przez mały otwór i pociągając za sobą kawałki ściany, które z hałasem spadły na podłogę więzienia, przesunął się cały.

Jednym skokiem przebył długość izby i rzucił się na stare wrota. Tu jednak musiał się zatrzymać. Mocne zawory po drugiej stronie drzwi nie ustąpiły nawet przed siłą 144

muskułów. Chwila wysiłków przekonała go o próżności usiłowań, aby przedostać się przez tę nieprzeniknioną barierę. Była jeszcze tylko jedna droga, a ta prowadziła z powrotem przez długie korytarze do skalistego zwału o milę poza murami miasta.

Stamtąd przez otwarte miejsca, któredy się dostał do miasta, gdy wszedł tu po raz pierwszy ze swymi ludźmi z plemienia Waziri.

Zrozumiał, że jeśli zawróci tą samą drogą, by wejść do miasta tamtędy, przybędzie za późno, by ocalić Janinę, jeżeli to ona znajdowała się na ofiarnym ołtarzu, ponad nim. Nie widział jednak innej drogi, zawrócił z powrotem i pobiegł szybko do przejścia zaczynającego się za wyłamaną ścianą. Przy studni znowu usłyszał monotony głos wielkiej kapłanki, a kiedy wejrzał w górę, otwór znajdujący się tam na dwadzieścia stóp powyżej wydał mu się tak bliski, że przysła mu myśl skoczyć, aby jednym szalonym skokiem dostać się tamtędy do wewnętrznego dziedzińca, który był tak niedaleko.

Rozglądając się, pomyślał, czy nie udałoby się zarzucić linki na jakiś występ muru, który by utrzymał jej koniec na szczycie otworu, sprawiającym mu męki Tantala. Przysła mu pewna myśl. Spróbuj, czy się nie uda. Z walącej się ściany podjął duży płaski kawał

granitu, z jakich były zbudowane mury. Przywiązawszy pośpiesznie koniec linki do kamienia, powrócił do szybu i zwinąwszy linkę w kręgi na podłodze obok siebie, ujął

ciężki kamień i zamierzywszy się kilkakrotnie, by upewnić się co do dystansu i kierunku, rzucił go pod pewnym kątem. Ciężar nie upadł z powrotem wprost w szyb, zawadził tylko o krawędź w górze i spadł na dziedziniec znajdujący się dalej.

Tarzan pociągnął za koniec linki, a upewniwszy się, że zaczepiła się dość mocno w górze szybu, zawisł nad czarną głębią studni: W chwili, kiedy zawisł na linie, zaczął opuszczać się w dół, linka obsuwała się cal za cal, stopniowo. Kamień ciągnął się z zewnętrznej strony murów okalających studnię. Tarzan zawisł, nie wiedząc, czy kamień, uwiązany na końcu, zaczepi się o krawędź, czy też on swym ciężarem pociągnie linkę za sobą i spadnie w niezbadane głębie w dole.

ROZDZIAŁ XXV

PRZEZ DZIEWICZE BORY

Przez pewną niepokojącą chwilę Tarzan czuł obsuwanie się sznura, którego się trzymał, i słyszał ocieranie się kamienia o mury w górze. Nagłe sznur zatrzymał się - to kamień zaczepił się o krawędź. Wtedy bardzo ostrożnie człowiek-małpa uniósł się w górę po sznurze. Za chwilę jego głowa ukazała się na szczycie szybu.

Dziedziniec był pusty. Mieszkańcy odeszli na obrządek ofiarniczy. Do Tarzana dochodził

głos La. Taniec ustał. Musi to być czas do opuszczenia noża w piersi ofiary. Myśląc o tym, biegł szybko w kierunku, skąd dochodził głos wielkiej kapłanki.

Szczęśliwie trafił do drzwi sklepionej izby. Pomiedzy sobą a ołtarzem ujrzał długie rzędy kapłanów i kapłanek szykujących swe kubki na przyjęcie wylanej ciepłej krwi ofiary.

Ręka kapłanki La powoli opuszczała się ku drobnej postaci leżącej nieruchomo na twardym stole. Z piersi Tarzana wydarł się jękliwy głos, gdy poznał rysy ukochanej osoby.

odnaleźli i ujęli tego świętokradcę.

Kiedy Tarzan dopadł szybu znajdującego się poza rozebraną ścianą, tak był pewny pomyślnego skutku swej ucieczki, że zatrzymał się tu, by ułożyć z powrotem wyjęte kamienie. Nie chciał, aby kto z mieszkańców odnalazł to zapomniane przejście i wtedy dostał się do skarbcza. Zamierzał powrócić jeszcze raz i zabrać jeszcze większy zapas złota niż ten, jaki już zakopał w kolisku małp.

146

Biegł przez korytarze, minął pierwsze drzwi i sklepienia skarbcza, minął drugie drzwi i przedostał się do długiego, biegnącego prosto tunelu, prowadzącego do wysoko położonego wyjścia znajdującego się już za miastem. Janina Porter nie odzyskała dotąd przytomności.

Na grzbiecie wielkiego skalistego zwał u zatrzymał się, by spojrzeć wstecz za siebie, na miasto. Ujrzał idący doliną zastęp okropnych ludzi z Opar. Przez chwilę wahał się.

Rozmyślał, czy zejść w dół i biec ku odległym skałom, czy też ukryć się tu w oczekiwaniu nocy.

Rzuciwszy okiem na pobladłą twarz dziewczyny, zdecydował się natychmiast.

Niemożliwe było pozostawać tu z nią i pozwolić wrogom stanąć na ich drodze do wolności. Sądził, że ścigano go w tunelu. Gdyby pozwolił wrogom wyprzedzić się i mieć ich również z tyłu, narażałby się na prawie pewne pochwycenie, nie mógł bowiem iść przebojem przez szeregi wrogów, niosąc omdlałą kobietę.

Zejście w dół po stromej powierzchni skały z Janiną Porter nie było rzeczą łatwą.

Uwiązawszy ją jednak sobie u ramion, zdołał stanąć bezpiecznie na dole zanim mieszkańcy Opar dotarli do wielkiej skały. Wobec tego, że schodził po stronie odwróconej od miasta, goniący za nim ludzie nie widzieli go i ani domyślali się, że ich zdobycz była tak blisko.

Zasłonięty wyniosłością, Tarzan zdołał oddalić się prawie na milę, zanim ludzie z Opar obeszlą wysuniętą placówkę z granitu i dostrzegli zbiegów. Wydając głośnie okrzyki dzikiej radości, rzucili się w pogoń sądząc, że wkrótce na pewno dościgną obciążonego ciężarem zbiega. Nie doceniali jednak szybkości nóg człowieka-małpy i źle oceniali zdolności do biegu swych krótkich pokrzywionych nóg.

Biegąc wciąż równym kłusem, Tarzan utrzymywał wciąż ten sam dystans pomiędzy sobą a goniącymi. Od czasu do czasu spoglądał na twarz, znajdującą się tuż przy nim.

Gdyby nie słyszał słabo bijącego serca, uderzającego tak blisko, nie miałby pewności, czy żyje, tak pobladłe i znużone było jej biedne, wycieńczone oblicze.

Tak dotarli do spłaszczonego wierzchołka górskiego i granicznych skał. Na milę przedtem Tarzan dołożył sił i pędził jak jeleni, aby zdobyć dosyć czasu na zejście ze skał

zanim goniący zdołają dostać się na szczyt, skąd mogli spuszczać na nich kamienie. Był

już w połowie drogi w dole, zanim okrutni mali ludzie dobiegli zziązani do krawędzi.

Wydając okrzyki wściekłości, pełni zawodu, ustawili się na szczycie, potrząsając pałkami i podskakując z wielkiego gniewu. Tym razem jednak nie gonili go dalej, jak tylko do granic swego kraju. Trudno powiedzieć, czy stało się to wskutek tego, że przypomnieli sobie, jak bezowocne były ich poprzednie długie i uciążliwe poszukiwania, czy też widząc na własne oczy, jak szybko mknął przed nimi i patrząc na ostatni przyśpieszony bieg, nabrali przekonania o zupełnej beznadziejności dalszego pościgu. Kiedy Tarzan dotarł do lasów zaczynających się u stóp wzgórków, które otaczały graniczne skały, goniący zawrócili z powrotem do miasta.

Na skraju lasu, w miejscu, skąd widać było jeszcze szczyty skał, Tarzan złożył swe brzemię na murawę i przyniósłszy wody z pobliskiego strumyka, zwilżył jej twarz i ręce.

Nawet to nie przywróciło przytomności Janinie. Bardzo strapiony Tarzan znów wziął w swe mocne ręce dziewczynę i udał się spiesznie dalej na zachód.

147

Po południu Janina Porter odzyskała przytomność. Nie od razu otworzyła oczy -

usiłowała przypomnieć sobie, co się z nią wydarzyło. Ach, przypomniała sobie. Ołtarz, okropna kapłanka, nóż zawieszony nad jej piersią. Zadrżała, gdyż wydało jej się, że była to już śmierć lub że nóż utkwiał już w jej sercu i doznawała krótkiego przedśmiertnego majaczenia.

A gdy po jakimś czasie zdobyła się na odwagę i otworzyła oczy, widok, jaki miała przed sobą, potwierdził jej obawy, gdyż widziała, że spoczywając na rękach zmarłego ukochanego człowieka unosi się w cienistym raju. - Jeżeli jest to śmierć- wyszeptała -

dziękuję Bogu, że umarłam.

- Przemówiłaś, Janko! - zawołał Tarzan. - Powracasz do przytomności!

- Tak, Tarzanie - odpowiedziała i po raz pierwszy od wielu miesięcy uśmiech spokoju i szczęścia rozjaśnił jej lica.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął małpa-człowiek, podchodząc do niewielkiej porosłej trawą polany obok strumienia. - Przybyłem jednak na czas.

- Na czas? Co ty mówisz? - zapytała.

- Zdążyłem cię ocalić od śmierci na ołtarzu, kochanie - odpowiedział. - Czy zapomniałaś?

- Ocalić mnie od śmierci! - wyrzekła tonem zdziwionym. - Czy my oboje nie jesteśmy już na innym świecie, Tarzanie?

Ułożył ją teraz na trawie i oparł jej plecy o pień wielkiego drzewa. Słyszając jej pytania, odstąpił krok w tył, by mógł lepiej przyjrzeć się.

- Na innym świecie! - powtórzył i zaczął się śmiać. - Nie umarłaś przecież. A co do mnie, jeżeli zechcesz powrócić do miasta Opar i zapytasz się tych, co tam mieszkają, powiedzą ci, że i ja przed kilku, godzinami - jak widzieli - byłem żywy. Nie, droga moja, oboje jesteśmy całkowicie żywi.

- Zarówno Hazel jak i pan Turan mówili mi, że spadłeś do wody w czasie podróży morskiej, daleko od lądu - mówiła dalej, jak gdyby chciała go przekonać, że właściwie nie żył już. - Twierdzili, że nie było żadnej wątpliwości co do twojej osoby ani co do tego, że niemożliwe było przypuszczać, żebyś zachował życie lub dostał się na pokład innego okrętu.

- Jakżeż mam cię przekonać, że nie jestem duchem? - zadał pytanie ze śmiechem. -

Rozkoszny pan Turan zepchnął mnie do wody, lecz nie zatonałem - opowiem ci wszystko potem- a oto stoję przed tobą, ten sam, jakiego poznałaś w lasach, panno Janino Porter.

Dziewczyna podniosła się powoli i podeszła do niego.

- Nie mogę jeszcze w to uwierzyć - wyszeptała. - To nie może być, żeby tak wielkie szczęście nastąpiło po strasznych przygodach, jakich doznałam w ciągu tych kilku miesięcy od czasu, jak zatonała "Lady Alice".

Podeszła tuż blisko do niego i położyła mu na ramieniu delikatną, drżącą rękę.

- Ja marzę widocznie i obudzę się za chwilę, by ujrzeć ten straszny nóż, skierowany w me serce. Ucałuj mnie, drogi mój, choć raz, nim rozwieje się to moje marzenie.

Nie trzeba było Tarzanowi powtarzać takiej prośby. Otoczył dziewczynę silnym ramieniem i ucałował nie raz, lecz sto razy, aż brakło jej tchu.

A jednak, gdy dał spokój, objęła go, przyciągnęła jego usta do swoich.

- Czy ja naprawdę żyję, czy też to tylko jest marzenie senne?

148

- zapytała znowu. - Jeżeli nie jesteś żywy, mój kochany, błagam Boga, abym mogła tak umrzeć, nim obudzę się do strasznej rzeczywistości, przez jaką przeszłam w ostatnim czasie.

Przez chwilę oboje milczeli, spoglądając sobie w oczy, jak gdyby zapytywali się wzajem o to, czy w realnym ziemskim życiu spotkało ich tak wielkie szczęście. Przeszłość, wszelkie dawne zawody i okropności znikły z pamięci - nie wiedzieli, co przyszłość przyniesie, lecz mieli chwilę obecną - ta należała do nich, nikt nie mógł jej im odebrać.

Dziewczyna jako pierwsza przerwała milczenie.

- Gdzie idziemy, mój drogi? - zapytała. - Co mamy robić?

- Chcę iść tam, gdzie ty pójdziesz, chcę robić to, co tobie się podoba.

- A Clayton? - rzucił pytanie. Na chwilę zapomniał, że istniał ktokolwiek na świecie, prócz ich obojga. - Zapomnieliśmy, że masz męża.

- Nie jestem żoną Clayтона, Tarzanie - zawołała. - Nie obowiązuje mnie już dane słowo.

Na dzień przedtem, nim te straszne istoty mnie porwały, miałam rozmowę z panem Claytonem o mej miłości ku tobie, zrozumiał, że nie mogę dotrzymać mu obietnicy, którą nieobacznie dałam. Było to zaraz potem, jak spotkało nas cudowne ocalenie od napaści lwa. - Zatrzymała się raptem i spojrzała na niego, z zapytaniem w oczach. - Tarzanie -

zawołała - tyś to uczynił? Nie mógł to być kto inny!

Spuścił oczy, gdyż uczuł się zawstydzony.

- Jak mogłeś wtedy mnie opuścić i pozostawić samą? - zawołała z wyrzutem.

- Nie mów tak, Janino! - prosił. - Proszę, nie mów tak! Nie wiesz, jak żałowałem później tego okrutnego czynu, ani co wycierpiałem, najpierw z powodu wściekłej zazdrości, a potem z powodu gorzkich skarg na swój los, na jaki zasłużyłem. Powróciłem potem do plemienia małp z zamiarem nieoglądania już nigdy istoty ludzkiej. - Tu po wiedział jej co robił od czasu, jak wrócił do dżungli, jak przedzierzgnął się raptownie z cywilizowanego paryżanina w wojownika plemienia Waziri, a potem powrócił do zwierząt, wśród których się wychował.

Zadała mu wiele rozmaitych pytań, a w końcu zaczęła rozpytywać ze strachem o to, czego dowiedziała się od pana Turaria - o znajomą kobietę z Paryża. Opowiedział jej wszelkie szczegóły o swym życiu w Paryżu, nie ukrywał niczego, nie miał powodów się wstydzić, gdyż serce pozostało zawsze jej wierne. Kiedy skończył mówić, siadł, spoglądając na nią, jak gdyby oczekując na wyrok z jej ust.

- Wiedziałam, że Turan nie mówił prawdy - rzekła. - Jakiż to okropny człowiek!

- Nie gniewasz się więc na mnie? - zapytał. Odpowiedź jej, chociaż pozornie niewłaściwa, była bardzo kobieca.

- Czy Olga de Coude jest bardzo piękna? - zapytała.

A Tarzan wybuchł śmiechem i ucałował ją. - Ani w dziesiątej części nie jest tak piękna jak ty - odrzekł.

Westchnęła z ulgą zadowolenia i oparła głowę o jego ramię. Przekonał się, że mu przebaczone.

Tej nocy Tarzan zbudował zgrabną dogodną małą altanę wysoko pośród kołyszących się konarów olbrzymiego drzewa. Tam usnęła zmęczona Janina, a na rozwidleniu gałęzi 149

poniżej przespał się skulony małpa-człowiek, w pogotowiu, by w każdej potrzebie móc jej bronić.

Długa droga na wybrzeże zajęła im wiele dni. Gdzie była dogodna, szli trzymając się za ręce pod

arkadami z gałęzi potężnego lasu, jak mogli w dawno minionej przeszłości wędrować nasi pierwotni przodkowie. Gdzie zarośla były poplątane, brał ją na swe mocne ręce i niósł lekko poprzez drzewa. Dni były im zbyt krótkie, gdyż byli szczęśliwi.

Gdyby nie troskałby zdążyć na pomoc Claytonowi, gotowi byliby przeciągać do nieskończoności radosne chwile, jakich doznawali podczas tej cudownej podróży.

Ostatniego dnia, gdy już zbliżali się do wybrzeża, Tarzan poczuł obecność przed sobą ludzi - ludzi czarnych. Uprzedził o tym Janinę i nakazał zachować ciszę. - Mało jest przyjaciół w dżungli - zauważył oschle.

W pół godziny później podeszli ukradkiem do małej garstki wojowników idących rozciągniętą linią ku zachodowi. Postrzegłszy ich, Tarzan wydał okrzyk radości. Był to oddział jego własnych ludzi z plemienia Waziri. Był tam Busuli i inni, którzy towarzyszyli mu w wyprawie do miasta Opar. Na jego widok zaczęli tańczyć i wykrzykiwać z nadmiaru radości. Całe tygodnie szukali go.

Czarni wielce się zadziwili, widząc u boku swego wodza białą dziewczynę, a gdy dowiedzieli się, że to jest jego przyszła żona, ubiegali się jeden przed drugim, by okazać jej cześć. W otoczeniu rozradowanych czarnych wojowników, śmiejących się i płaszających naokoło, weszli do miejsca, gdzie było schronienie na brzegu.

Nie było widać znaku życia, nie było odpowiedzi na ich wołanie. Tarzan wspiął się szybko do środka zbudowanej na drzewie małej chaty, lecz zaraz pojawił się z pustą blaszanką.

Rzuciwszy ją do stóp Busuli, kazał mu przynieść wody, potem skinął na Janinę, by weszła na górę.

Razem pochylili się nad wynędzniałą postacią, która była niegdyś postacią angielskiego pana. Łzy trysnęły z oczu Janiny, gdy ujrzała zapadłe policzki i oczy oraz wyraz cierpienia, odbitego na tej jeszcze niedawno temu młodej, pięknej twarzy.

- Żyje jeszcze - rzekł Tarzan. - Zrobiliśmy wszystko, co można, lecz obawiam się, że przybyliśmy za późno.

Kiedy Busuli przyniósł wodę. Tarzan wlał kilka kropel do popękanych i obrzękłych warg.

Otarł rozpalone czoło i obmył znędzniałe członki.

Clayton otworzył oczy. Słaby cień uśmiechu wykwit! Na jego obliczu, gdy zobaczył schylone nad sobą dziewczę. Na widok Tarzana na jego twarzy odbiło się zdziwienie.

- Wszystko będzie dobrze, drogi przyjacielu - rzekł człowiek-małpa. - Odnależliśmy cię w samą porę. Wszystko będzie teraz dobrze i postawimy cię na nogi, zanim się spostrzeżesz.

Anglik potrząsnął głową. - Już za późno - wyszeptał słabym głosem. - Lecz to wszystko jedno, chcę umrzeć.

- Gdzie się podział pan Turan? - zapytała Janina.

- Porzucił mnie, gdy gorączka się pogorszyła. To diabeł nie człowiek. Kiedy prosiłem go o wodę, nie mogącej sobie przynieść, wypił wodę, stojąc przede mną, rozlał resztę i śmiał

mi się w twarz. - Mówiąc to, Clayton ożywił się nagle. Uniósł się na łokciu. - Tak, - prawie wykrzyknął - chcę żyć. Chcę żyć tak długo, póki nie znajdę go i nie zamorduję łotra! -

150

Lecz wysiłek ten osłabił go jeszcze bardziej, upadł z powrotem na łoże zwiędłych traw, które wraz z jego dawnym paltem służyło za postanie Janinie Porter.

- Nie kłopotz się o pana Turana - rzekł Tarzan, kładąc mu rękę na czoło. - Turan należy do mnie i dostanę go w swe ręce, bądź tego pewien.

Przez dłuższy czas Clayton leżał spokojnie. Niejednokrotnie Tarzan musiał przykładać ucho do zapadłej piersi, by przekonać się, że słabe, zmęczone serce bije.

Wieczorem ocucił się znowu na krótką chwilę.

- Janino - wyszeptał. Dziewczę schyliło się nad nim, by posłyszeć wymawiane słabym głosem słowa. - Wyrządziłem ci krzywdę... i jemu - tu wskazał głową na człowieka-małpę.

Kocham cię tak bardzo - słaba to wymówka za zadaną krzywdę, nie mogłem jednak znieść myśli, żebym miał wyrzec się ciebie. Nie proszę o przebaczenie. Chciałbym tylko zawiadomić cię o czymś, co powinienem był zrobić już ponad rok temu.

- Zaczął przeszukiwać kieszenie palta, na którym leżał, poszukując tam czegoś, co widział w odstępach wolnych od napadów gorączki. Znalazł, czego szukał - pognieciony kawałek żółtego papieru. Oddał go w ręce dziewczyny, a gdy wzięła papier, ręce jego opadły bezsilnie na pierś, głowę odchylił i wydawszy słabe westchnienie, stężał...przestał

się poruszać. Wtedy Tarzan pociągnął za fałdy palta i okrył nim odchyloną w tył twarz.

Czas jakiś pozostali przy łożu zmarłego na klęczkach, wargi dziewczyny poruszały się, wymawiając słowa modlitwy. Gdy podnieśli się i stanęli po obu stronach zmarłej postaci, łzy stanęły w oczach człowieka-małpy, gdyż własne cierpienie nauczyło go współczuć cierpieniom innych.

Ze łzami dziewczyna odczytała słowa na kawałku wymiętego żółtego papieru.

Przeczytawszy, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Po dwakroć odczytała te zadziwiające słowa, zanim zdołała zrozumieć dobrze całe ich znaczenie.

"Odciski palców dowodzą, że jesteś Greystoke. - Gratuluję.

D'Arnot."

Oddała papier Tarzanowi. - Więc on wiedział o tym cały ten czas - rzekła - i nic ci nie powiedział.

- Ja wiedziałem o tym wcześniej - odrzekł Tarzan. - Nie wiedziałem tylko, że miał tę wiadomość. Musiałem upuścić tę depezę owego wieczoru w poczekalni. Tam mi ją doręczono.

- I otrzymawszy ją, oświadczyłeś nam, że matką twoją była małpa i że nie znałeś swego ojca? - pytała w tonie niedowierzania.

- Tytuł i dobra nie były warte dla mnie nic bez ciebie, moja droga - odrzekł. - Gdybym je zabrał jemu, pozbawiłbym ich kobietę, którą kochałem - teraz mnie rozumiesz Janino? -

wymówił tonem, jak gdyby prosił o wybaczenie winy.

Wyciągnęła ku niemu ręce poprzez ciało zmarłego i ujęła jego ręce w swoje.

- A ja odrzuciłam taką miłość! - rzekła.

ROZDZIAŁ XXVI

ODJAZD TARZANA

151

Następnego dnia udali się na niedaleką wycieczkę do chaty Tarzana. Czterech Waziri niosło ciało zmarłego Anglika. To Tarzan zaproponował, aby pochować Clayтона obok poprzedniego lorda Greystoke na skraju dżungli przy chacie, którą dawny lord Greystoke zbudował.

Janina Porter ucieszyła się myślą, że się tak stanie. W głębi serca podziwiała wielką delikatność uczuć tego podziwu godnego człowieka, który - chociaż był wychowywany przez zwierzęta i wśród zwierząt - posiadał prawdziwą rycerskość ducha i delikatność uczuć, które zwykle uważa się za owoc najwyższej cywilizacji.

Uszli ze trzy mile z pięciu, jakie oddzielały ich od wybrzeża Tarzana, kiedy Waziri, idący na przedzie, zatrzymali się raptownie, wskazując z oznakami zdumienia na dziwną postać zbliżającą się do nich. Był to człowiek w lśniącym jedwabnym kapeluszu, kroczący wolnym krokiem, ze schyloną głową, z rękami założonymi z tyłu pod kłapy fraka.

Na jego widok Janina Porter wydała okrzyk zdziwienia i radości, pobiegła prędko na spotkanie. Na dźwięk jej głosu starszek podniósł oczy i zobaczywszy, kto go witał, również wydał okrzyk ulgi i wesela. Kiedy profesor Archimedes Porter objął córkę, łzy potoczyły się po jego zmarszczonej twarzy i dopiero po kilku minutach zapanował na tyle nad sobą, że mógł przemówić.

Kiedy w chwilę później zobaczył Tarzana, z trudnością zaledwie udało się go przekonać, że boleść i tęsknota za córką nie zwichnęły równowagi jego umysłu. Wraz z innymi tak głęboko był przekonany, że człowiek-małpa już nie żyje, że było to dla niego trudne do rozwiązania

zagadnienie, jak pogodzić to przekonanie z pojawieniem się "leśnego bożka" we własnej osobie.

Smierć Claytona bardzo zasmuciła staruszką.

- Nie mogę tego zrozumieć - rzekł. - Pan Turan zapewniał nas, że Clayton zmarł już dawno temu.

- Turan jest tu z wami? -- zapytał Tarzan.

- Tak. W ostatnim czasie odnalazł nas i zaprowadził do pańskiej chaty. Obozowali niedaleko od niej w stronie północnej. Jak on się ucieszy, gdy zobaczy was dwoje.

- I zdziwi się - dodał Tarzan.

Wkrótce potem nowi przybysze podeszli do polany, gdzie stała chata Tarzana. Pełno było tam ludzi wchodzących i wychodzących, a prawie pierwszą osobą, którą Tarzan ujrzał, był d'Arnot.

Jednakże rzecz cała wyjaśniła się prędko, jak i inne sprawy dziwne z pozoru. Okręt d'Arnota przepływał tuż u brzegów, z obowiązków służby wartowniczej, i na propozycję porucznika zarzucono kotwicę w małej zatoce okolonej lądem, by odwiedzić znowu chatę i tę część dżungli, w której znaczna liczba oficerów i załogi urządziła pełną przygodę wyprawę dwa lata temu. Wylądowawszy, spotkali ludzi z grupy lorda Tennigtona i zaraz rozpoczęto przygotowania do zabrania wszystkich na pokład w celu odwiezienia do cywilizowanych krajów.

Hazel Strong, jej matka, Esmeralda i Samuel Philander nie posiadali się z radości, widząc szczęśliwy powrót Janiny Porter. Jej ocalenie wydało się wszystkim prawie 152

cudowne i wszyscy zgodnie uznawali, że tylko Tarzan mógł czegoś podobnego dokonać.

Zarzucono go pochwałami i słowami uznania, przed którymi nie wiedział, gdzie ma się ukryć.

Wszyscy zainteresowali się wojownikami z plemienia Waziri. Otrzymali oni liczne podarki z rąk przyjaciół swego króla, kiedy dowiedzieli się jednak, że ma on odpłynąć na wielkiej łodzi, która stała na kotwicy w oddaleniu jednej mili od brzegu, bardzo posmutnieli.

Dotychczas nowo przybyli nie spotkali się z lordem Tennigtonem i panem Turanem. Obaj wyszli wczesnym rankiem na polowanie i jeszcze nie wrócili.

- Jak się zadziwi ten człowiek, który, jak mówisz, nazywa się Rokow, gdy cię ujrzy -

rzekła Janina Porter do Tarzana.

- Jego zdziwienie nie będzie trwać długo - odpowiedział groźnie człowiek-małpa, a w jego głosie odezwało się coś, co kazało z zaniepokojeniem spojrzeć mu w twarz. Co tam wyczytała, widocznie potwierdziło obawy, gdyż położyła rękę na jego ramieniu i zaczęła prosić, by oddał Turana w ręce komendanta okrętu, by rozprawiło się z nim prawo Francji.

- W głębi dżungli - rzekła - gdzie nie ma żadnego sądu ani trybunału sprawiedliwości, do którego można się odwołać, miałbyś prawo być sam sędzią w swej sprawie i wykonać wyrok, na jaki zasługuje, własnymi rękoma. Mając jednak do dyspozycji, pod ręką, silną prawicę rządu kraju

cywilizowanego, gdybyś go zabił, popełniłbyś morderstwo. Nawet twoi przyjaciele musieliby się zgodzić na twoje aresztowanie, a gdybyś się im opierał, znowu wywołałbyś nieszczęście, w które nas pogrążyłbyś. Nie mogę myśleć o tym, bym miała cię ponownie utracić. Przyobiecaj mi, że oddasz go tylko w ręce kapitana Dufranne i zdasz się na to, co prawo postanowi - nędznik nie jest wart, byś miał przez niego narażać nasze szczęście.

Zrozumiał, że jej rada była dobra i obiecał. Pół godziny później Rokow i Tennigton wynurzyli się z lasu. Szli obok siebie. Tennigton pierwszy spostrzegł obecność obcych ludzi w obozowisku. Zobaczył czarnych wojowników porozumiewających się z marynarzami krążownika, a zaraz potem dojrzał zgrabnego, śniadego olbrzyma, rozmawiającego z porucznikiem d'Arnot i kapitanem Dufranne.

- Kto to taki? - rzekł Tennington do Rokowa, a gdy Rosjanin wznosił oczy i spotkał się ze wzrokiem Tarzana zachwiał się i zbladł jak ściana.

- Sapristi! - zawołał i zanim Tennigton mógł zrozumieć, co zamierza zrobić, przyłożył broń do ramienia i mierząc wprost w Tarzana z bliska, pociągnął za cyngiel. Anglik jednak znajdował się tuż przy nim - tak blisko, że ręka jego dosięgła wymierzonej lufy na cząstkę sekundy wcześniej, nim kurek spadł na nabój. Kula, wymierzona w serce Tarzana, przeleciała mu ponad głową, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Zanim Turan zdołał ponownie strzelić, człowiek-małpa już skoczył ku niemu i wyrwał mu broń z ręki. Kapitan Dufranne, porucznik d'Arnot i kilkunastu marynarzy rzuciło się ku nim na odgłos strzału i teraz Tarzan oddał w ich ręce Turana, nie mówiąc słowa. Wytłumaczył

całą historię już przedtem francuskiemu komendantowi, nim Rokow się zjawił, a komendant wydał rozkaz natychmiastowego zakucia go w kajdany i osadzenia w więzieniu okrętowym.

153

W chwili, kiedy straż towarzysząca Turanowi miała z nim siadać do łodzi dla odwiezienia go na krążownik, Tarzan poprosił o pozwolenie przeszukania jego kieszeni i ku swej radości znalazł skradzione papiery, które Turan ukrywał.

Wystrzał wywołał z chaty Janinę Porter i innych. Kiedy podniecenie ustało, przywitała się ze zdziwionym lordem Tennigtonem. Tarzan do nich się przyłączył po zabraniu dokumentów z kieszeni Rokowa, a gdy podszedł, Janina Porter przedstawiła go Tenningtonowi.

- Jan Clayton, lord Greystoke - wygłosiła.

Anglik nie mógł stłumić wyrazu zdziwienia wbrew herkulesowym wysiłkom, aby nie uchybić grzeczności. Dopiero kiedy kilkakrotnie usłyszał opowiedzianą całą dziwną historię o losach człowieka-małpy ze słów samego Tarzana, Janiny Porter i porucznika d'Arnot, dał się przekonać, że wszyscy oni nie powariowali i byli przy zdrowych zmysłach.

Przed zachodem słońca pochowano Williama Cecyla Claytona obok mogił stryja i stryjenki,

poprzedniego lorda Greystoke i poprzedniej lady Greystoke. Na prośbę Tarzana dano trzy salwy z broni nad miejscem ostatniego spoczynku "odważnego człowieka, który zginął odważnie".

Profesor Porter, który w swej młodości był ordynowany na duchownego, odprawił

skromne modły za zmarłym. Nad grobem Claytona zebrało się tak dziwnie dobrane towarzystwo żałobników, jakiego słońce nie widziało. Byli tam francuscy oficerowie i marynarze, dwaj angielscy lordowie, Amerykanie i oddział dzikich afrykańskich wojowników.

Po pogrzebie Tarzan prosił kapitana Dufranne, by odłożył odjazd krążownika na kilka dni, aby mógł przez ten czas zebrać swe "ruchomości", znajdujące się w pewnym oddaleniu wewnątrz kraju. Kapitan chętnie zgodził się na tę prośbę.

Koło wieczora następnego dnia Tarzan i jego czarni ludzie przynieśli pierwszą partię

"ruchomości". Kiedy zobaczono starodawne sztaby rodzimego złota, wszyscy otoczyli Tarzana, zadając mu liczne pytania.

Uśmiechając się, zbywał ich jednak niczym - nie chciał dać najmniejszej wskazówki co do pochodzenia tych niezmiernych skarbów. - Pozostawiłem tysiąc razy więcej kawałów złota - tłumaczył - na każdy już zabrany przypada tysiąc pozostawionych. Gdy te wydam, może będę miał chęć powrócić, by zabrać więcej.

Nazajutrz powrócił do obozu z resztą swego złota, a gdy ułożono je na krążowniku, kapitan Dufranne powiedział, że jest teraz jakby kapitanem hiszpańskiej galery z dawnych czasów, powracającej z wyprawy do przepelnionych skarbami miast Azteków. -

Mogę. obawiać, że załoga każdej chwili podetnie mi gardło i opanuje okręt - dodał.

Następnego dnia, gdy szykowano się do odjazdu na okręt, Tarzan wypowiedział swą myśl Janinie Porter.

- Mówią, że dzikie zwierzęta pozbawione są uczuć - rzekł - niemniej jednak pragnąłbym, żeby obrzęd zaślubin odbył się w chacie, gdzie przyszedłem na świat, w pobliżu grobów mej matki i mego ojca, wśród dzikiej dżungli, która była mi domem.

- Czy taki obrzęd będzie zgodny z prawem? - zapytała. - Jeżeli tak jest, to i ja ponad wszystkie inne miejsca wolałabym obrać jako miejsce mych zaślubin memu leśnemu bóstwu tę chatę, otoczoną dziwnym lasem.

154

Gdy zasięgaliby w tej sprawie rady innych, zapewniono ich, że odbyty w takich warunkach będzie miał całą ważność prawną i będzie świetnym zakończeniem dziejów ich miłości.

Całe więc towarzystwo zgromadziło się w małej chacie i u drzwi domu, by wziąć udział w drugiej ceremonii odprawionej przez profesora Portera w ciągu ostatnich trzech dni.

D'Arnot miał być starszym drużbą, a Hazel Strong starszą druhną, lecz Tennigton sprawił zamieszanie we wszystkim, co było umówione, wypowiadając nową swą cudowną "ideę".

- Jeżeli pani Strong się zgodzi - rzekł, ujmując rękę druhy

- Hazel i ja uważalibyśmy za wyborne, gdyby się tu odbyły podwójne zaślubiny.

Nazajutrz odpłynęli, a gdy parowiec wychodził z wolna w morze, widać było wysokiego mężczyznę w eleganckim białym ubiorze i wdzięczną postać kobiecą, stojących na pokładzie i przypatrujących się nienackiej linii brzegu, gdzie dwudziestu nagich czarnych wojowników z plemienia Waziri wykonywało taniec, potrząsając nad głowami, włóczniami i wykrzykując okrzyki pożegnania dla swego odjeżdżającego władcy.

- Byłoby mi żal opuszczać dżunglę na zawsze, moja droga - rzekł - gdyby nie to, że wiem, iż czeka mnie nowe życie szczęśliwe, z tobą na wieki - i pochyliwszy się, Tarzan złożył na ustach swej małżonki pocałunek.

KONIEC

* Magnifique - (fr.) wspaniale

* Nemesis - nieubłagana, karząca sprawiedliwość

* Spahisi (spahowie) - kawaleria francuskich wojsk kolonialnych (głównie w Afryce) składająca się z tubylców.

* Olstro - skórzany futerał na pistolety przyczepiony do siodła.

* Boma - wieś obronna Murzynów Afryki Wschodniej, otoczona wbitymi w ziemię palami.

* Ambrazura - otwór w umocnieniu